

Jo Beverley

Diabelska intryga

Dedykuję tę książkę trzem mężczyznom, którzy odegrali
ważną rolę w moim życiu:

Kenowi, Jonathanowi i Philipowi.

To dzięki wam pisanie stało się dla mnie nie tylko
możliwe, ale też przyjemne. I czuję, że bogowie
naprawdę mi sprzyjają.

PODZIĘKOWANIA

Po pierwsze, pragnę podziękować za wsparcie i rady mojej agentce, Alice Orr, która przechodzi teraz na zasłużony odpoczynek. Życzę jej wiele szczęścia.

Spotkania z innymi autorami są zawsze niesłychanie pomocne, dlatego chciałabym złożyć podziękowania mojej grupie dyskusyjnej, złożonej z Jane Wallace, Solveig McLaren, Karol Loganhume, Marjorie Daniels i Anity Birt, za pomoc w doprowadzeniu do końca tego nie zawsze łatwego projektu. Zwykle są to rozmowy internetowe, ale prawdziwą duszę tej książki odnalazłam w czasie bezpośredniego spotkania z wymienionymi autorkami.

Dziękuję również Andrew Sigelowi, któremu udało się odnaleźć to, co pozostało z libretta „Orione” londyńskiego Bacha. Dzięki temu mogłam zrewidować swoje poglądy na temat tej opery. Pragnę też przekazać wyrazy wdzięczności znawczynie porto Bibianie Behrendt, a także grupie internetowej lemot@onelist.com, która sprawdziła pisownie obcych zwrotów i wyrazów.

Przede wszystkim jednak podziękowania należą się samemu Rothgarowi, który wdarł się w moje życie osiem lat temu i oznajmił: „Przyszedłem, żeby odmienić twój los”.

Londyn, czerwiec 1763 roku

Drzwi do klubu Savoir Faire otworzyły się nagle i na ulicy zajaśniało pochodzące ze środka światło. Minęła północ. Służący, którzy do tej pory leniuchowali, poderwali się na równe nogi. Chłopcy z pochodniami ruszyli, żeby oświetlić drogę wychodzącym dżentelmenom. Jednak czuwający nad wszystkim lokaj już dmuchnął w swój gwizdek i natychmiast od strony powozów odpowiedział mu podobny dźwięk. Woźnica najpierw zapalił lampy, a następnie odczepił od końskich pysków worki z obrokiem.

Jednocześnie zapobiegliwy lokaj zadbał o to, żeby chłopcy nie niepokoiili jego panów: markiza Rothgara oraz jego przyrodniego brata, lorda Bryghta Mallorena. Nie wzbudziło to entuzjazmu wyrostków, ale w końcu z ociąganiem powrócili do gry w kości.

Mimo lśniących białą koronek przy strojach, a także biżuterii, którą nosili, markiz i jego brat nie potrzebowali ochrony. W wysadzanych szlachetnymi kamieniami pochwach trzymali krótkie szpady, i w razie potrzeby zawsze potrafili ich użyć.

Gawędzili sobie teraz spokojnie, czekając na powóz. W tym czasie kolejna grupa gości wyszła z wnętrza ekskluzywnego klubu. Mężczyźni śmiali się i klepali po plecach. Jeden z nich zaintonował fałszywie:

Choć czystość jest poniekąd cnotą,
Lady Chastity nie dba o to,
Ale krzyczała dama nieźle,

Gdy z nagim chłopem ją znaleźli,
La-la-li, la-la-la.

Bracia odwrócili się gwałtownie, a ich szpady świsnęły w powietrzu.

- Wydaje mi się, że ta piosenka już dawno wyszła z mody - łagodnie zauważył markiz. - Powinieneś przeprosić, panie, za karygodny brak wyczucia.

Słowa przyśpiewki stanowiły złośliwy komentarz do wydarzeń sprzed dwóch lat, kiedy to znaleziono lady Chastity Ware z nagim mężczyzną w łóżku. Młoda dama nie przyznała się do niczego, ale to Mallorenowie musieli dowieść jej niewinności. Dzięki nim mogła zacząć pokazywać się w towarzystwie i w końcu wyjść za mąż za najmłodszego przyrodniego brata markiza, lorda Cynrica, obecnie Raymore'a.

Jasnowłosy mężczyzna, który zapewne sporo wypił, przerwał swój śpiew i skrzywił się na te słowa.

- Ani mi się śni! Każdy może śpiewać, co mu się żywnie podoba.

- Byle nie to! - warknął lord Bryght, przystawiając szpadę do gardła blondyna. Ten jednak nawet nie mrugnął, chociaż jego towarzysze cofnęli się ze strachem.

Markiz odepchnął swoją szpadą ostrze brata.

- Dosyć! Nie trzeba nam ulicznych bójek! - Spojrzał zimno na jasnowłosego śpiewaka. - Twoje nazwisko, panie?

Większość ludzi w Londynie zadrżałaby na dźwięk tych słów, wypowiedzianych przez lorda Rothgara, nazywanego często Mrocznym Markizem, ale jego oponent tylko spojrział na niego z pogardą.

- Curry, panie. Nazywam się Andrew Curry.

- Wobec tego, przeproś, panie, za to, że śpiewałeś tak fałszywie - zażądał Rothgar, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Wargi Curry'ego zadrżały od tłumionej wściekłości.

- Łajno pozostanie łajnem, choćby posadzić na nim kwiatki - mruknął. - Zawsze będzie śmierdzieć.

- Tak jak trup - podjął markiz. - Zechciej, panie, wyznaczyć swojego sekundanta.

O dziwo, mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

- Giller? - zwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy.

Ubrany w jedwabie osobnik o twarzy łotra skinął niechętnie głową.

- Oczywiście, Curry. Zawsze do usług.

- Lord Bryght wystąpi w moim imieniu. - Markiz wskazał brata. - Ale chyba sami możemy uzgodnić szczegóły, prawda? Rodzaj broni?

- Szpady - padła odpowiedź.

- Dobrze, wobec tego szpady o dziewiętej przy stawie w St. James's Park. - Rothgar schował broń do pochwy i wsiadł do powozu, który już na niego czekał. - Doskonałe miejsce, żeby popełnić samobójstwo.

Lord Bryght również schował swoją szpadę, wyraźnie zaniepokojony dobrym humorem Curry'ego.

- Giller, chodź no tutaj! - zawiadka przywołał jednego z kompanów.

- Po co? - Mężczyzna w jedwabiach nie wyglądał na zachwyconego całą sytuacją.

- Bo jesteś moim sekundantem, barania głowo! - wściekł się Curry. - Musisz powiedzieć markizowi, że go nie przeproszę!

Skonsternowany Giller zaczął skubać swój wytworny strój. Wyglądał tak, jakby sam bał się, że go zasięka w pojedynku.

- Otóż chodzi o to, panie Giller... - zaczął Bryght.

- Nazywam się Parkwood Giller - przerwał mu zagadnięty.

- Przepraszam, panie Parkwood. Więc chodzi o to, że jako sekundanci powinniśmy starać się doprowadzić do ugody. Proszę porozmawiać z sir Andrewem i jeśli zmieni zdanie, skontaktować się ze mną. Mieszkam w Malloren House przy Marlborough Square.

Giller tylko rozłożył ręce w bufiastych rękawach.

- Zmienić zdanie?! Curry?! To raczej niech pan przekona markiza, żeby nie popełniał samobójstwa.

Podjeżenia Bryght a znalazły potwierdzenie. Curry

prawdopodobnie był zawodowcem. Lord wsiadł do powozu i konie od razu ruszyły. Za nimi z nową siłą wybuchła pijacka piosenka.

Bryght zaklął pod nosem.

- Rozprawię się z nim jutro, bracie, zgodnie ze wszystkimi zasadami - uspokoił go Rothgar.

- Zgodnie z zasadami?! Mogłeś na niego użyć bata, a nikt nie poczytałby ci tego za dyshonor.

- Tak myślisz? Pamiętaj, że to nie Francja. - Markiz zamyslił się na chwilę. - Poza tym, odniosłem wrażenie, że ten Curry celowo dążył do pojedynku.

- Zwykle się tym tak bardzo nie przejmujesz - odparował Bryght, którego pojawienie się w Londynie miało związek właśnie ze sprawami honoru. Jednak, jeśli jego brat przegra, sprawa stanie się nieaktualna.

Rothgar uśmiechnął się wpatrzony w nikłe światło dochodzące zza szyby powozu.

- I tak trudno by mi było uniknąć pojedynku - stwierdził.

- A poza tym, chcę się dowiedzieć, kto pragnie mojej śmierci.

- Więc wiesz, że ten Curry to zawodowiec?

- Domyślam się że to zabijaka i oszust - odparł markiz. - Pewnie dużo uchodzi mu na sucho, bo ma szybką rękę. Trzeba w końcu dać mu nauczkę.

- Tylko dlaczego ty masz to robić?! - Rothgar należał do najlepszych szermierzy, ale przecież zawsze mógł znaleźć się ktoś lepszy. Sam wpajał tę zasadę swoim młodszym przyrodnim braciom, dając im lekcje fechtunku.

Markiz milczał, a Bryght przypomniał sobie jego wcześniejsze słowa.

- Myślisz, że ktoś go wynajął? - zadał kolejne pytanie. - Kto, na miły Bóg, mógłby chcieć cię zabić?!

- Ktoś, kto mnie nienawidzi i się mnie boi - padła odpowiedź.

Bryght tylko się skrzywił na te słowa.

- Tak wielu ludzi się nawzajem nienawidzi, ale jakoś się nie pojedynkują - zauważył, a następnie pokręcił głową. -

Poza tym, nie sędę, żeby ten Curry chciał cię *zabić*. Przecież można za to pójść do więzienia.

- Inaczej cały ten pojedynek nie miałby sensu. - Głos markiza brzmiał ciepło i pogodnie. - Zresztą Curry będzie mógł od razu uciec do Francji, skoro dostanie za ten pojedynek cały worek pieniędzy.

- Czyich pieniędzy?

Rothgar pochylił się w stronę brata. Bryght mógł teraz dojrzeć jego spokojną, zamyśloną twarz.

- To ciekawe pytanie - rzekł. - Wydaje mi się, że żaden z moich nieprzyjaciół nie powinien korzystać z takich środków, ale... - zawiesił głos.

- Pewnie masz takich wrogów, o których nawet nie wiesz! - zniecierpliwił się Bryght. - Właśnie dlatego lepiej nie być Mrocznym Markizem i *eminence noire* Anglii. Inaczej, każdy może zrzucić na ciebie winę za swoje niepowodzenia.

Rothgar zaśmiał się serdecznie.

- Tak, jak na wiejskiego głupka, którego wszyscy winią za to, że mleko jest gorzkie, albo że mrą owce?

Bryght również wybuchnął śmiechem, ponieważ porównanie było zupełnie chybione. Jego brat należał do najlepiej wykształconych i najsprytniejszych ludzi w kraju. Jednak, kiedy powóz zatrzymał się przed pałacem, Bryght natychmiast spoważniał, gdyż znowu przypomniał sobie o pojedynku.

Na śmierć i życie? Czy to możliwe?

Spał kiepsko, za to Rothgar wyglądał rano na wypoczętego i odświeżonego. Wkrótce wezwali powóz i pojechali nad ponury staw w St. James's Park.

- Do diabła! Skąd się tutaj wzięło tylu ludzi?! - zdziwił się Bryght. - Przecież to pojedynek, a nie przedstawienie!

- A co za różnica? - mruknął Rothgar, wychodząc z powozu.

Bryght poszedł w jego ślady, po czym rozejrzał się dookoła. Była tu chyba cała londyńska śmietanka towarzyska, a przynajmniej jej męska część. Arystokracja ustawiła się w pierwszym rzędzie, a osoby gorzej urodzone cisnęły się

gdzieś dalej. Niektórzy nawet wzięli ze sobą dzieci! Część z nich powłaziła na drzewa, podobnie jak kobiety z ludu. Natomiast ci, którzy nie chcieli być widziani na miejscu pojedynku, obserwowali wszystko z oddali przez lunety.

To prawda, że lord Rothgar zaliczał się do najbardziej znanych osób w Londynie, ale w takiej chwili należało dać mu spokój. Świat schodził powoli na psy. Jeszcze dziesięć lat temu usunięto by gapiów z miejsca pojedynku.

Wśród zebranych Bryght dostrzegł lorda Selwyna. Należał on do największych entuzjastów publicznych egzekucji. Na wieść o powieszeniu lub ścięciu, gotów był jechać na koniec świata i z pewnością nie wstawałby tak wcześnie, gdyby nie liczył na ciekawe widowisko.

Najwyraźniej spodziewał się, że ktoś tu dzisiaj umrze.

Bryght szybko przeniósł wzrok na brata, bowiem zorientował się, że przygląda się zebrany zbytnie ostentacyjnie. Co prawda po ślubie przeprowadził się na wieś, ale wciąż znał zasady rządzące londyńskim światkiem. Wiedział, że nie może okazywać strachu. Nie może też zdradzić najmniejszym gestem, że niepokoi się o Rothgara.

W tłumie rozległ się szmer i po chwili na pole przy stawie wyszedł sam Curry ubrany tylko w białą koszulę i spodnie. Na oko był zbudowany podobnie jak lord Rothgar, chociaż miał w sobie jakąś lisią zręczność, która od razu wskazywała, że jest niebezpieczny.

Bryght zaczął żałować, że Cyn został w domu. Mimo niskiego wzrostu, miał on to „coś”, co odróżniało prawdziwego fechtmistrza od amatora. Był prawdopodobnie lepszy od Rothgara, a poza tym, to on powinien stanąć w obronie honoru swojej żony.

Curry wyciągnął szpadę i dla rozgrzewki zaczął ćwiczyć cięcia i sztychy.

- Do diabła, jest leworęczny - wymamrotał pod nosem Bryght.

Jednak Rothgar, który rozbierał się właśnie z pomocą służącego, usłyszał te słowa.

- Masz rację, to prawdziwie diabelska cecha - skomentował. - Wiedziałem o tym.

Bryght jedynie skinął głową. Jego brat nigdy nie stawał do walki bez wcześniejszego przygotowania. Mimo świeżego wyglądu, nie spał pewnie zbyt długo tej nocy.

- I czego jeszcze się dowiedziałeś? - spytał.

- Tak jak przypuszczałem, jest bardzo dobry - stwierdził Rothgar. - W Anglii wygrał trzy pojedynki, raniąc, ale nie zabijając swoich przeciwników. Ale podobno we Francji zabił dwie osoby.

Bryght pomyślał, że będzie mu bardzo trudno zachować obojętność w czasie walki. Teraz jeszcze bardziej bał się o brata. Co prawda Rothgar ćwiczył regularnie i uchodził za mistrza, ale miał niewielkie doświadczenie.

Czy jest wystarczająco dobry, żeby pokonać profesjonalistę? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Fettler, służący markiza, pomógł mu zdjąć wyszywany aurdut, odłożył ubrania i z niezmaconym spokojem podał mu jego szpadę. Zapewne już uznał swego pana za zwycięzcę. Bryght żałował, że brakuje mu tej pewności.

- Idź już. - Rothgar ciął powietrze szpadą. - Masz obowiązki jako sekundant.

- Co mam robić? Czy chcesz ugody?

Markiz tylko potrząsnął głową i zdjął pierścień z rubinem, który mu widocznie przeszkadzał.

- Nie sądzę, żeby do niej doszło. W razie czego zajmij się wszystkimi sprawami. Czy masz ochotę na mój tytuł?

- Przecież wiesz, że nie! - oburzył się Bryght. - Powiedz, jesteś gotów walczyć za wszelką cenę?

Uśmiech ponownie pojawił się na twarzy Rothgara.

- Za kogo mnie uważasz? Przecież nie jestem zwierzęciem! Wystarczy, że Curry będzie prosił o wybaczenie przy wszystkich tych ludziach. Na kolanach - dorzucił markiz, widząc sposepniałe oblicze brata.

Bryght chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tylko machnął ręką. Z przeciwnej strony zmierzał ku niemu Parkwood

Giller, wystrojony jeszcze bardziej niż w nocy. Widocznie pozbył się już strachu o swoje zdrowie i życie, bo wyraźnie sprawiała mu przyjemność" rola sekundanta.

Spotkali się w połowie drogi.

- Czy Sir Andrew jest gotów odwołać swoje oszczerstwo? - spytał Bryght.

Koronkowa chusteczka Gillera zawirowała w powietrzu.

- Oszczerstwo?! Raczysz, panie, żartować! To raczej markiz powinien go przeprosić za nieuzasadnioną napaść.

Na te słowa Bryght aż zgrzytnął zębami.

- To bezczelność!

- Przecież wszyscy wiedzą, że...

Bryght zbliżył się do Gillera, a w jego oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Posłuchaj, draniu. To prawda, że sekundanci nie walczą. Ale uważaj, bo wyzwę cię zaraz po tym pojedynku.

Na łotrowskiej twarzy Parkwooda pojawił się strach.

- Ależ zapewniam waszą lordowską mość... - niemal dąwił się w obawie, że Bryght dotrzyma słowa. - Zapewniam, że ja... ja tak wcale nie myślę.

- W porządku. Spełniliśmy swoją misję. Pora zacząć pojedynek.

Bryght nie miał żadnych wątpliwości, że nic nie zdołałoby przekonać Curry'ego. Dlatego skłonił się lekko i szybko wrócił do Rothgara.

- Walka - oznajmił krótko.

Rothgar milczał, starając się rozluźnić mięśnie. Odebrał tę wiadomość jak coś oczywistego i dalej ćwiczył, usiłując jednocześnie skupić się na przeciwniku. Pewnie właśnie dzięki temu zwykle wygrywał z Bryghtem, który był zbyt niecierpliwy, żeby przed walką zastanawiać się nad strategią i możliwościami oponenta. Z kolei Cyn miał tę umiejętność we krwi. Nie musiał nic robić. Wystarczyło, że wzięł szpadę do ręki, a już był rozluźniony i skupiony. Bryght raz jeszcze pożałował, że to drugi brat nie może stanąć w obronie żony. Z pewnością posiekałby Curry'ego

na kawałki. Sześćioletnia wojaczka uczyniła go nieczułym na śmierć, więc pewnie nawet by się tym nie przejął.

Curry przechadzał się niecierpliwie po polu walki. Zebrani czekali teraz na znak Rothgara. Bryght nie chciał go ponaglać, ale pragnął jak najszybciej mieć pojedynek Z głowy. Tymczasem markiz wcale się nie spieszył. Skończył co prawda rozgrzewkę, ale teraz po prostu spokojnie czekał. Być może chodziło mu o to, żeby wyprowadzić Curry'ego z równowagi.

W końcu uśmiechnął się do brata i wreszcie przeszedł na wydeptany plac. Publiczność wstrzymała dech. Nikt nie poruszał się z równą gracją jak lord Rothgar. Nikt też nie wyglądał okazalej i godniej od niego. Nawet teraz, w samej koszuli i spodniach, pozostał w każdym calu dworzaniem. Jednocześnie ujawniła się jego natura drapieżcy. To, co na co dzień osłaniały peruki i piękne stroje.

Wszyscy wiedzieli o wielkich wpływach Rothgara. Jednak głównie ceniono jego spryt i cywilną odwagę. Niewielu wiedziało, że jest on też doskonałym szermierzem. Bryght pomyślał, że brat być może celowo unikał do tej pory pojedynków. Jakby nie chciał ujawniać wszystkich swoich atutów.

Widzowie aż zamarli na tę demonstrację siły i gracji. A Curry? Jeśli nawet się bał, to nie dał tego po sobie poznać.

Wkrótce też stało się jasne, dlaczego. Ponieważ już od pierwszego skrzyżowania szpad, Curry dał się poznać jako doskonały fechtmistrz. Miał w sobie ową lisią zręczność, czy też instynkt, który pozwalał mu wykorzystać każdą słabość przeciwnika. A poza tym, był leworęczny.

Bryght zagryzł wargi, widząc, że brat broni się niezręcznie. Co prawda udawało mu się odparowywać wszystkie ciosy Curry'ego, ale jednocześnie ustępował mu placu. Po chwili Curry spływał potem. Na czole Rothgara również pojawiło się parę kropel. Mimo niezbyt wyszukanej techniki, jego obrona była skuteczna, chociaż przeciwnik napierał jak burza.

Publiczność uznała już chyba Rothgara za pokonanego i tylko jego brat żywił nadzieję, pamiętając te wszystkie

sztuczki, których nauczył się właśnie od niego. To niemożliwe, żeby Rothgar wszystkiego zapomniał!

Nikt nawet nie śmiał westchnąć. W powietrzu słychać było tylko szczęk stali. Koszule walczących zabarwiły się krwią, choć były to zaledwie zadrapania. Mimo przewagi, Curry'emu nie udało się ciężiej zranić lorda.

Nastąpiło kolejne zwanie. Obaj mężczyźni byli już mocno zmęczeni, ale Curry, który wciąż atakował, chyba bardziej. I właśnie w chwili, kiedy napierał z ostateczną determinacją na markiza, Rothgar jakby urósł. Wyprężywszy się, strząsnął z siebie ostrze Curry'ego, jakby to była zabawka, a nie broń, a następnie wykonał prosty sztych wprost w jego pierś. Prerażony przeciwnik usiłował się osłonić i właśnie wtedy, jakimś nadludzkim sposobem, Rothgar śmignął ostrzem tuż przed nosem Curry'ego i wbił je wprost w jego lewe ramię. Curry krzyknął i wypuścił szpadę z dłoni. Dla wszystkich, którzy choć trochę się na tym znali, stało się jasne, że najprawdopodobniej nie będzie już mógł walczyć lewą ręką.

Widzowie dopiero po chwili zorientowali się w sytuacji. Rozległy się brawa i radosne okrzyki, co znaczyło, że oprócz wrogów, markiz miał tu również przyjaciół.

Curry spojrzął na swoje ramię, nie bardzo wiedząc, co się stało.

Przecież był lepszy.

Przecież już uznał siebie za zwycięzcę.

Schylił się i chwycił szpadę w prawą dłoń. Jednak Rothgar przystawił mu wcześniej swoje ostrze do piersi.

- Musisz teraz obiecać, że... nie będziesz śpiewał nie-modnych piosenek - powiedział, dysząc. Obrona pochłonięła sporo jego sił.

W oczach Curry'ego pojawiła się bezrozumna wściekłość. Patrzył, nie bardzo pojmując, co się stało.

Przecież nikt go do tej pory nie pokonał.

- Jak nie mogę śpiewać, to powiem, że lady Chastity Ware to kurwizzon, jakiego świat nie widział!

Z dzikim wrzaskiem rzucił się na Rothgara. Ten tylko uchy-

lił się i jednym sztychem przeszył mu pierś na wysokości serca, żałując, że pozwolił mu wypowiedzieć ostatnie słowa.

Curry padł na ziemię tuż przed nim. Chwilę potem stało się jasne, że już żadne bluźnierstwo nie wyjdzie z jego ust.

2

Rothgar oczyścił szpadę i schował ją do pochwy. Do Curry'ego niespiesznie podszedł doktor, żeby potwierdzić to, co i tak było oczywiste. Żaden z przyjaciół nieszczęśnika nie miał jakoś ochoty się nim zająć. Publiczność, która do tej pory milczała w osłupieniu, wybuchła teraz gwarem wielu osób.

Rothgar spojrział przez ramię na stojących za nim ludzi. Głosy natychmiast ucichły.

- Szanowni państwo - zaczął - słyszeliście, że sir Andrew Curry obraził nie tylko damę i jej rodzinę, ale także króla i królową. To oni bowiem przyjęli lady Raymore do swego dworu, dając w ten sposób świadectwo jej cnocie. I nikt nie ma prawa tego kwestionować!

W tłumie rozległy się głosy poparcia:

- Tak! Dobrze mówi!
- Boże chroń króla!
- Śmierć oszczercom!

Kumple Curry'ego spojrzeli po sobie ze strachem i nie czekając na dalszy rozwój wypadków ruszyli w swoją stronę. Mężczyźni zaczęli gratulować Rothgarowi. Kiedy tłum się rozproszył, Bryght zauważył, że nie ma nikogo, kto mógłby zająć się ciałem. Dlatego poprosił swojego lokaja, żeby załatwił całą sprawę z doktorem Gibsonem. W tym czasie Fettle pomagał Rothgarowi się ubrać.

- Czy rzeczywiście miał nad tobą przewagę? - Bryght nie mógł powstrzymać ciekawości.

Rothgar wypił potężny łyk z flaszki podanej mu przez lo-

kaja. Była to z całą pewnością źródłana woda, a nie alkohol.

- Muszę przyznać, że był zupełnie niezły - odparł wymijająco. - Najpierw musiałem poznać jego technikę, co kosztowało mnie parę pomniejszych ran.

- Coś poważnego? - zaniepokoił się Bryght.

- Tylko draśnięcia - powiedział Rothgar i skinął na stojący nieopodal powóz. Wsiadając, spojrzął jeszcze na Curry'ego, przy którym czuwał doktor Gibson.

Pojazd ruszył w stronę Malloren House.

- Mam nadzieję, że nie zatruł swojej szpady - westchnął Bryght, sadwiąc się na swoim miejscu.

Na ustach brata pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Nie dramatyzuj!

- Taki łotrjak Curry byłby do tego zdolny. Po prostu uważam, że... - urwał, widząc, że markiz zamknął oczy i oparł głowę o ścianę powozu.

Pojedynek go znużył i teraz potrzebuje odpoczynku, pomyślał. Ciekawe, czy podobnie jak on, Rothgar stracił ochotę na wszelkiego rodzaju pojedynki?

Kiedy w końcu znaleźli się w Malloren House, Bryght po chwili wahania podążył za bratem do jego apartamentu. Wiedział, oczywiście, że służący dobrze się nim zajmie, ale nie mógł się powstrzymać.

Rothgar tylko spojrzął na niego koso, nie wyrzucił go jednak ze swojego pokoju. Powoli rozebrał się, zdejmując na końcu pociętą koszulę. Bryght odetchnął z ulgą, widząc, że rany rzeczywiście nie są poważne. Najgorsze było chyba cięcie przez ramię, z którego wciąż płynęła krew.

Bryght powoli odzyskiwał zdolność logicznego myślenia.

- Więc uważasz, że ktoś wynajął Curry'ego? - nawiązał do ich wcześniejszej rozmowy.

Służący, który cicho niczym duch pojawił się w komnacie, napełnił stojącą na stoliku miskę ciepłą wodą.

- Jeżeli tak, to ten ktoś powinien znowu uderzyć - stwierdził Rothgar, zabierając się do mycia. - I wtedy, mam nadzieję, wszystko stanie się jasne.

- Jeszcze raz! Na miły Bóg, nie będziesz przecież na to bezczeynnie czekał!

Markiz tylko wzruszył ramionami i ochlapał wodą skrwawioną pierś.

- A jak mam temu zapobiec? - Zamyślił się na chwilę. - Zresztą wolę, kiedy wróg atakuje. Wtedy nie muszę się zastanawiać, gdzie jest i co robi. Interesujesz się matematyką, prawda? Jeden punkt nic nam nie mówi, ale dwa pozwalają wyznaczyć linię, która dokądś prowadzi...

Markiz dokończył ablucji i stanął tak, żeby jego balwierz mógł opatrzyć rany.

Następnym razem to może być trucizna albo strzał w ciemności.

- Robię, co mogę, żeby się tego strzec - mruknął, podnosząc ramię do góry.

- A jednak...

- Boże, co za natręt! - Rothgar stracił nagle cierpliwość. - To chyba dlatego, że niedawno się ożeniłeś. Przecież nic się tak naprawdę nie zmieniło! Nie rozumiem, o co robisz tyle hałasu.

Przy gwałtownym ruchu bandaż zsunął się z jego ramienia, ale balwierz szybko zabrał się do poprawiania opatrunku. Bryght pomyślał, że spotkało go to, na co zasłużył.

- Owszem, moja sytuacja się zmieniła - potwierdził, skinąwszy głową dla podkreślenia wagi tych słów. - Teraz, kiedy znalazłem spokój w domowym zaciszu, boję się, że będę musiał zajmować się tą sprawą.

Zrobię wszystko, żebyś nie musiał - odparował zgryźliwie Rothgar. - Na razie potrafię się jeszcze bronić, a potem będziesz zbyt stary, żeby się tym przejmować.

- A Francis? - Bryght pytał o swego syna.

Balwierz skinął głową, że opatrunek skończony i markiz usiadł na krześle, żeby mógł go ogolić. Wiedział, o co chodzi bratu. O małżeństwo. Jego małżeństwo, z którego urodziłyby się spadkobierca dóbr i tytułu. Jednak Rothgar nie chciał się łączyć. Wciąż pamiętał swoją chorą psychicznie matkę i dlatego wolał, żeby to Bryght i Cyn dali życie nowym Mallorenom.

Ten temat należał w rodzinie do zakazanych, ale Bryght najwyraźniej miał ochotę złamać tabu.

- No więc? - podjął.

Rothgar przez chwilę nie mógł odpowiedzieć, ponieważ balwierz golił jego namydloną twarz. W końcu jednak skinął głową.

- Prawdopodobnie twój syn będzie mógł się cieszyć tytułem i wysoką pozycją. - Spojrzał bratu wprost w oczy.

- Przecież wiesz.

To było ostrzeżenie. Markiz uważał temat za wyczerpany. Jednak jego brat, który czuł, że prowadzi coś w rodzaju pojedynku, nie dawał za wygraną.

- A jeśli nie?

Rothgar wstał, żeby służący mogli go ubrać.

- Tak czy tak, powinien się do tego przygotowywać - oznajmił ponuro. - I nie zaniedbywać w przyszłości lekcji fechtunku.

Chwilę później miał już na sobie nową, wy krochmaloną koszulę oraz wyszywany srebrną nicią, jedwabny surdut.

Bryght milczał. Już dawno pogodził się z tym, że tytuł markiza może przejść na niego. Znał obowiązki, które się z tym wiązały. Później, planując małżeństwo, założył, że to jego syn będzie dziedzicem.

Teraz jednak, kiedy Francis miał już dziewięć miesięcy, zaczął się bać o jego przyszłość. Obawiała się też jego żona, Portia. Sama prowadziła żywot spokojny i nie chciała, żeby syn angażował się w dworskie układy, co nieodmiennie oznaczało intrygi i balansowanie między życiem a śmiercią.

Rothgar i tym razem postawił na swoim. Przypomniał, że nie ma zamiaru się żenić, chociaż ani razu nie padło to bezpośrednio z jego ust.

Nie wiedzieć czemu Bryght pomyślał nagle o Currym. Czy Francis by sobie z nim poradził? A jeśli tak, to kiedy? Za piętnaście lat? Może za dwadzieścia?

Balwierz wyszedł, za to w pokoju pojawił się cyrulik.

Niósł wielką perukę, z włosami związanymi czarną akksamitką i przykrytymi szarym materiałem.

Do Bryghtha dopiero teraz dotarło, że nie jest to zwykła poranna toaleta.

- Gdzie się, do licha, wybierasz?

- Zapomniałeś, że dziś piątek?

Rzeczywiście, często nie pamiętał o środowych i piątkowych spotkaniach u króla. Jednak Rothgar nie mógł sobie na to pozwolić. Obecność nie była co prawda obowiązkowa, ale wszystkie liczące się osoby ze dworu i z rządu starały się tych audiencji nie opuszczać. Absencja była postrzegana za afront. Znaczyło to, że nieobecny przyłączył się do którejś z opozycyjnych partii.

- Przecież do króla na pewno dotarły wieści o twoim pojedynku - zauważył Bryght.

- Tym bardziej powinienem pójść, żeby Jego Królewska Mość mógł stwierdzić, że jestem w dobrym zdrowiu - nie ustępował Rothgar.

- Ale na pewno ktoś powie królowi...

Markiz podniósł rękę, na której załśniły rodzinne pierścienie i Bryght natychmiast zamilkł.

- Życie na wsi uśpiło w tobie podstawowe instynkty, mój drogi. Jego Królewska Mość z pewnością będzie chciał mnie zobaczyć, a poza tym, muszę pokazać wszystkim, że nic mi się nie stało i że nie przejąłem się pojedynkiem.

Rothgar stanął przed lustrem i poprawił trochę swój strój.

- Poza tym, obiecałem Uftonom, że przedstawię ich na dworze - dodał.

- Jakim Uftonom? Nie znam żadnych Uftonów!

- Mieszkają w małym zamku koło Crowthorne - odrzekł, patrząc z politowaniem na brata. - To pewni ludzie. Sir George chce, żeby jego syn i spadkobierca poznał uciechy Londynu. Pewnie wcześniej pokazał mu, jak zarządzać ziemią i ludźmi. Na razie zajmuje się nimi Carruthers.

Bryght poniechał protestów. Markiz mógł z jakichś powodów rozczarować króla, ale na pewno nie zawiódłby Uftonów.

Zresztą dzisiaj nie zawiedzie nikogo. Pokaże się pięknie wystrojony i upudrowany i będzie udawał, że nic się nie stało. Bryght przypomniał sobie słowa Szekspira: „Cały świat jest sceną...” Najpierw pojedynek, potem spotkanie u króla, następnie jakiś bal i żonglowanie dowcipami, a na koniec uciechy łoża albo zielonego stołu do gry. Bryght znał to wszystko, niemal wszystko, i w swoim czasie nawet to lubił. Jednak teraz miał wrażenie, że dopiero w rodzinie jego życie stało się prawdziwe.

- Czy nie myślałeś o tym, że król może nie być zadowolony z zabicia Curry'ego? - spytał jeszcze.

- Jeśli zechce mnie upomnieć, powinienem dać mu ku temu okazję - odrzekł Rothgar z niezmaconym spokojem.

- A jeśli zechce cię wtrącić do Tower? - Bryght nie dawał spokoju.

- Podporządkuję się jego woli, chociaż to był uczciwy pojedynek.

- Ale śmierć Curry'ego nie była konieczna.

Markiz raz jeszcze spojrzął na brata z ukosa, a jego niebieskie oczy pociemniały z gniewu.

- To co twoim zdaniem mam zrobić?! Przecież nie umiem czytać w myślach króla! Może powinienem od razu uciec do Holandii?! Albo do Nowego Świata?!

Bryght dopiero teraz zrozumiał, że brat musi pójść na poranne spotkanie. Rothgar rzadko się mylił w tego rodzaju sprawach, a w zasadzie nie mylił się nigdy. Wydawał mu się w tym jakiś nieludzki, a jego przywiązanie do szczegółów sprawiało wrażenie obsesji. Musiał być zawsze nienagannie ogolony i ubrany. Żadnym gestem nie mógł zdradzić, że jest zmęczony lub, że bolą go rany.

Być może to tragiczne doświadczenia młodości sprawiły, że Rothgar wolał kryć swoje uczucia. Został przecież markizem w wieku dziewiętnastu lat i od tego czasu konsekwentnie, budował swoją pozycję.

Dlaczego? Czy po to, żeby nie czuć wewnętrznej pustki?

Matka Rothgara zwariowała po porodzie i własnymi ręk-

kami udusiła swoje dziecko. Rothgar, który miał wówczas zaledwie parę lat, mógł na to tylko patrzeć.

Bryght odnosił czasami wrażenie, że precyzja i chęć panowania nad wszystkim też była rodzajem szaleństwa, które brat przeciwstawiał swojej matce. To prawda, że dzięki temu skorzystali nie tylko Mallorenowie, ale i kraj, lecz gdzieś za precyzyjnym mechanizmem, który stworzył Rothgar, rozbudowując swoje imperium, czaiły się pustka i strach. Bryght wciąż go podziwiał, ale miał też nadzieję, że jego syn będzie zupełnie inny.

Markiz jeszcze raz przejrzał się w lustrze, po czym przypasał sobie krótką, bogato zdobioną szpadę. Stanowiła ona jedynie ozdobę, ponieważ byłoby mu trudno walczyć w takim stroju. Rothgar ubrany był w jedwabne pończochy i ciasno pasowane spodnie. Licowana skóra butów aż lśniła, podobnie jak ich srebrne klamry i obcasy. W dłoni trzymał chusteczkę z najcieńszego jedwabiu. Na koniec Fetterler przypiął mu do lewej piersi gwiaździsty order Łażni ze złotym krzyżem w środku.

Rothgar odwrócił się do brata i złożył mu wspaniały dworski ukłon.

- *Voila* - powiedział.

W tej chwili stanowił doskonałe połączenie piękna i grozy. Tak jak tygrys albo lampart czający się do skoku.

Bryght zaczął klaskać, a Rothgar uśmiechnął się tylko ironicznie. Co prawda swoją rolę miał opanowaną do perfekcji, ale zachowywał do niej, w odróżnieniu od wielu, całkowity dystans. Często też mawiał, że życie dworskie to jeden wielki bal kostiumowy, ale niestety na tym balu podejmuje się niesłychanie ważne decyzje.

Wyszli z pokoju. Za markizem ciągnęła się smuga delikatnego różanego zapachu, ponieważ skropił wcześniej swoją chustkę perfumami. Z tyłu wyglądał jak bawidamek, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek walki.

Pozory, pozory, pomyślał Bryght.

- Chciałem jeszcze porozmawiać o Francisie - rzucił,

zrównując się z bratem. Wiedział, że wybrał zły moment na tę rozmowę.

- Tak? - Oczy markiza zalśniły jak dwa kawałki lodu, ale Bryght postanowił nie dawać za wygraną.

- Poznasz go lepiej, jak przyjedziesz na ślub Branda.

- Aż drzę z radości na tę myśl - rzekł Rothgar, najwyraźniej już wchodząc w dworską rolę. - To taki cudowny berbeć. Jak uważasz, czy Brand rzeczywiście osiadzie na północy? - dodał już normalnym tonem.

- Tak sądzę. Nigdy nie pociągało go światowe życie - odparł Bryght, wiedząc, że i tym razem pozwolił zwekslować rozmowę na inne tory.

- Nie uda mu się go zupełnie uniknąć - powiedział Rothgar, otwierając drzwi wiodące na schody przed podjazdem. - Kuzynka jego narzeczonej jest tam ważną figurą. Jej posiadłość dorównuje Rothgar Abbey.

- Mówisz o lady Arradale? - upewnił się Bryght.

Rothgar skinął głową.

- Hrabina to współczesna Amazonka. Potrafi walczyć nie tylko za pomocą szpady, czy pistoletu, ale też swej urody. Nie wolno jej lekceważyć.

- Ale...

- Czy Brand opowiadał ci o tym, jak go omal nie zabiła? W dodatku zdołała wyprowadzić mnie i moich ludzi w pole. - Rothgar nie chciał dopuścić go do słowa. - Ma sporą władzę i chce ją utrzymać.

- Ale nie każdy lubi władzę! - Bryght zdołał w końcu coś powiedzieć. - Nie chciałbym, żeby Francis dziedziczył po tobie.

Milczenie, które nastąpiło po tych słowach przypominało ciszę przed burzą. Przerwał ją dopiero turkot nadjeżdżającego powozu.

- Wobec tego-zapewniam cię, że postaram się go przeżyć - rzekł w końcu markiz.

Jego brat pokręcił energicznie głową.

- Wolałbym, żebyś się ożenił.

- Nigdy. Nawet dla ciebie - padła odpowiedź.
- Poza matką nie miałeś w rodzinie żadnej... tego typu choroby. Może to był przypadek - zasugerował Bryght.

- Wolę nie ryzykować.
- Więc co ja mam zrobić?

Markiz już chciał wsiąść do powozu, ale zatrzymał się w drzwiach i spojrzał poważnie na brata.

- Są dwa wyjścia: albo dasz mi syna na wychowanie, albo powinienem pozwolić mordercom zrobić, co do nich należy - oddał szybko, chcąc uprzedzić wszelkie protesty. - Wtedy ty zostaniesz markizem, a Francis będzie się spokojnie uczył nowej roli. Możemy założyć, że ktoś chce się zemścić na mie, a nie na całej rodzinie. Inaczej wybrałby łatwiejszy cel.

Bryght wolał nie pytać, kogo ma na myśli.

- Może jednak zaryzykujesz małżeństwo - powtórzył.

Rothgar zmarszczył brwi.

- Mam podjąć ryzyko tylko po to, żebyś ty się przestał martwić?! Nic z tego. Musisz przywyknąć do myśli, że któryś z was będzie musiał przejąć moje obowiązki. Albo ty, albo twój syn. I tak masz lepiej, bo ja nie byłem w ogóle prz ygotowany do tej roli.

Przyjął jeszcze laskę i kapelusz od jednego z lokajów i wsiadł do odkrytego powozu, którym miał odbyć krótką podróż do St. James's Pałace. Stali już tutaj zbyt długo i przed pałacem pojawili się ludzie gotowi błagać markiza o to, by zrobił coś w ich sprawie.

Bryght patrzył za oddalającym się pojazdem, któremu towarzyszyło dwóch uzbrojonych służących. Markiz Rothgar znów znalazł się na scenie.

Westchnął ciężko, zmęczony i zdenerwowany wydarzeniami poranka. Czasami żałował, że w ogóle ma starszego brata.

Harrogate, Yorkshire

- Tam do diabła! - Hrabina Arradale cofnęła się, widząc,

że zaślepienie ostrze znajduje się tuż na wysokości jej serca. Gdyby to była prawdziwa walka, już by nie żyła.

Fechtmistrz zdjął maskę i spojrzał na nią stalowym wzrokiem.

- Za mało ćwiczysz, pani - stwierdził.

Diana również ściągnęła maskę, którą następnie podała służącej.

- Bo nie chcesz przyjeżdżać do mego zamku, Carr.

Clara powiesiła maskę i pospieszyła do pani, by pomóc jej zdjąć napierśnik. William Carr sam radził sobie ze swoimi ochraniaczami.

- Wiesz pani, że cię uwielbiam, ale nie mogę pozwolić, żebyś mną całkowicie zawładnęła.

Diana zerknęła na przystojnego Irlandczyka. Miał niebieskie oczy i niemal granatowe, falujące włosy. Kiedyś nawet myślała, czy z nim nie poplirtować, ale uznała to za zbyt niebezpieczne. Carr, tak jak większość mężczyzn, chciałby ją po prostu mieć na własność. I to po to, żeby zrobić z niej swoją żonę!

- Przynajmniej strzelam lepiej - powiedziała, podchodząc do lustra, żeby związać swoje kasztanowe, wijące się włosy.

- Ale przy strzelaniu twoje policzki nie nabierają tak wspaniałych kolorów.

- Za to serce bije mi szybciej - odparowała.

- Bo strzelanie daje ci władzę. Władzę nad życiem. A ty uwielbiasz władzę, pani. - Spojrzał na nią smutno. - Może dlatego jesteś tak piękna i... niebezpieczna.

Lustro powiedziało jej, że fechtmistrz mówi prawdę. Zwłaszcza teraz, zarumieniona po walce, wyglądała szczególnie atrakcyjnie. Jej uroda często przyciągała mężczyzn, nawet tych o niskim statusie. Czasami żałowała, że jej pozycja nie pozwalała na krótki romans z którymś z nich.

Diana związała włosy aksamitką i odwróciła się od lustra.

- Zaraz ci pokażę, jak niebezpieczna - rzekła z pewnym siebie uśmiechem. - Do strzelania nie potrzebuję partnera, więc mogę ćwiczyć codziennie.

- Wierzę. - Otworzył przed nią drzwi prowadzące na zalane słońcem podwórze. - Lubisz wygrywać.

- Wszyscy lubią, ale ja szczególnie - przyznała.

- I pewnie do tej pory żałujesz, że chybiłaś - zauważył Carr. - Chociaż wcale nie chciałaś zabić tego młodzieńca.

- Lorda Branda? - Hrabina wyprostowała się dumnie. - Oczywiście cieszę się, że go nie zabiłam. Przede wszystkim jednak, żałuję tego, że w ogóle strzeliłam. To był nagły wypadek. Powinieneś nauczyć mnie, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

Zatrzymali się przy wejściu na strzelnicę.

- Przede wszystkim, dama powinna unikać takich sytuacji. - Spojrzał na nią, nie bardzo wiedząc, jak to przyjąć.

- Ta była nie do uniknięcia - stwierdziła. - Gdyby rzeczywiście było tak, jak myślałam, straciłybyśmy z Rosąży-eśli coś podobnego się zdarzy, muszę wiedzieć, jak się bronić. Inaczej, po co w ogóle ćwiczyć?!

Żeby się sprawdzić, lady Arradale,

Diana zaśmiała się krótko.

To prawda. Znasz mnie aż nazbyt dobrze. - Nagle spoważniała. - Ale muszę też umieć się bronić. Ucz mnie, Carr. Ucz mnie tak, jakbym była mężczyzną. Żeby i pi mogła pokonać wszystkich moich wrogów!

Carr przez chwilę dzukał klucza w kieszeni, a potem otworzył drzwi. Weszli na strzelnicę

Chętnie zrobię to za ciebie, o pani - pospieszył z pferą.

Dziękuję, nie trzeba,

Znaleźli się w długim pomieszczeniu, w którym unosił się zapach prochu i metalu. Diana wciągnęła go z przyjemnością. To prawda, uwielbiała pistolety. Tylko one dawały jej takie poczucie siły i władzy.

Pomyślała jednak, że nieprędko będzie mogła z nich skorzystać. Wbrew temu, co powiedziała Carrowi, nie miała zbyt wielu wrogów, No, może za wyjątkiem pewnego markiza. A i on nie łagrażał raczej jej yciu i cprocie, a w każdym razie nie temu pierwszemu.

Carr wskazał kolekcję krótkiej broni,

- Proszę, pani. Są do twojej dyspozycji.

Diana wybrała jeden z robionych na zamówienie pistoletów, zważyła go w dłoni, i sama zabrała się do ładowania: podsypała trochę prochu, wsunęła kulę do lufy. Ubiła wszystko, myśląc o tym, że to wieści o Mrocznym Markizie sprowadziły ją do Carra. Nie była tu przecież od wielu miesięcy.

Odłożyła naładowany pistolet i zajęła się kolejnym. Tak, pokonała Rothgara, a on nie należał do ludzi, którzy, łatwo zapominają porażki. Ale nie tylko to wzbudzało niepokój hrabiny. Gdy w zeszłym roku markiz odwiedził jej zamek, bez przerwy toczyli ze sobą słowne pojedynki, które wkrótce przerodziły się we flirt. Dzięki temu mogli powiedzieć więcej, zostawiając sobie zawsze drogę odwrotu. W pewnym momencie stało się jasne, że Rothgar proponuje jej romans. Diana spłoszyła się, a on obrócił wszystko w żart, ale kiedy się żegnali, pochylił się do niej i szepnął: „Gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie, pani, jestem do twojej dyspozycji”.

Od tego czasu te słowa prześladowały ją dniem i nocą. Zdarzało się, że żałowała swojej decyzji, ale częściej cieszyła się, że uniknęła niebezpieczeństwa.

Diana potrząsnęła głową, chcąc odgonić od siebie natrętne myśli i podsypała jeszcze prochu na panewki obu pistoletów. Markiz z całą pewnością nie zagrażał jej życiu, ale od roku gorliwie ćwiczyła strzelanie. Przecież nie tylko życie miała do stracenia. Gdy tylko doszły do niej wieści o tym, że przyjeżdża, umówiła się na spotkanie z Irlandczykiem.

- Zaraz zobaczysz, Carr, że potrafię się bronić - oświadczyła, stając w pozycji strzeleckiej. Przed nią majaczyły szare sylwetki z czerwonymi krążkami w miejscu serca. Diana odwiodła kurek pierwszego pistoletu i uniosła dłoń do strzału. Powoli zaczynało do niej docierać, że nie jest to jednak najlepsza broń przeciw markizowi.

3

Dochodziło południe. Coraz więcej osób mijało bramę przy Pall Mail i zmierzało w stronę St. James's Pałace. Wśród nich znajdowali się zarówno ministrowie królewscy, wyżsi oficerowie, jak i wystrojeni dworacy oraz przedstawiciele ziemiaństwa, którzy chcieli choć raz w życiu znaleźć się na audyencji u króla. Wszyscy mieli na sobie dworskie stroje, a także upudrowane peruki oraz krótkie szpady. Inaczej nie wpuszczono by ich do wnętrza.

Ci, którzy byli przyzwyczajeni do takich wizyt, gawędzili swobodnie z towarzyszami albo myśleli o swoich sprawach. Natomiast ziemianie rozglądali się dokoła nabożnie, licząc na to, że król być może zwróci na nich uwagę, a nawet, kto wie, zamieni z nimi parę słów.

Odźwierny zaprowadził markiza wprost na dziedziniec królewski. Rothgar raz jeszcze poprawił koronki u rękawów, a następnie zaczął odpowiadać na pozdrowienia różnych osób. Niektórzy patrzyli na niego tak, jakby za chwilę mieli go odprowadzić do Tower. To nie było wykluczone, ponieważ młody król był nieprzewidywalny, a jednocześnie miał silne poczucie władzy i moralnego posłannictwa.

Rothgar zauważył swojego sekretarza w towarzystwie dwóch wyraźnie zdeprymowanych dżentelmenów i natychmiast ruszył w ich stronę. Zanim Carruthers zdążył cokolwiek powiedzieć, starszy mężczyzna o szczerej twarzy wystąpił i skłonił się Rothgarowi.

- Wasza lordowska mość, jesteśmy panu bardzo wdzięczni. - Sir George wciąż skubał koronkowy rękaw, najwidoczniej speszony wspaniałością swojego stroju.

Rothgar natychmiast mu się odkłonił.

- Cieszę się, widząc cię, panie, w Londynie - rzekł i skierował wzrok na młodzieńca. - A to zapewne twój syn... - Teraz spojrzął na Carruthersa, który podpowiedział bezgłośnie: „George”. - George - dokończył, starając się powstrzymać uśmiech.

Młody człowiek skłonił się głęboko, trzymając prawą dłoń na rękojeści krótkiej szpady. Już zapewne doświadczył, jak trudno nad nią zapanować. Przy braku uwagi, można było dźgnąć damę albo dżentelmena w nieodpowiednie miejsce.

Markiz wskazał obu Uftonom drogę do pałacu.

- Mam nadzieję, że mój sekretarz służył panom pomocą w czasie tej wizyty - Rothgar zwrócił się do starszego mężczyzny.

- O tak! I to bardzo! - Sir George opowiadał o wszystkim, co widzieli w Londynie, a jego syn kiwał co jakiś czas głową. Zbliżali się do wielkiej sali przyjęć, a starszy Ufton coraz częściej tracił wątek i spoglądał nerwowo w stronę apartamentów królewskich. - Na miły Bóg, panie! Sam nie wiem, co powiedzieć, jeśli król zechce zamienić ze mną parę słów.

- Najjaśniejszy pan sam wybierze temat - uspokoił go markiz. - Ale mów coś, panie, bo król nie jest zadowolony, kiedy mu odpowiadają tylko „tak, Wasza Królewska Mość” albo „nie, Wasza Królewska Mość”.

Starszy Ufton przystanął i z trudem przełknął ślinę,

- No, spróbuję. Raz kozie śmierć! Ale ty Georgie - zwrócił się do syna - odpowiadaj tylko „tak” lub „nie”.

- Dobrze, tato - karnie obiecał młodzieniec.

Rothgar uśmiechnął się lekko. Uważał poranne spotkania u króla za nużące, dlatego z przyjemnością zgodził się zaprezentować swoich sąsiadów na dworze. Dzięki temu mógł spojrzeć na tę uroczystość ich oczami, co czyniło ją mniej nudną. Poza tym cieszył się, że ludzie szlachetni mają dostęp do króla. Żałował tylko, że nie przełożył pojedynku o jeden dzień, co być może zaoszczędziłoby Uftonom nieprzyjemności. Jeśli król zdecyduje się zrobić sprawę ze śmierci Curry'ego, na pewno jakoś się to na nich odbije.

Weszli do wielkiej komnaty z przepysznymi zdobieniami, ale niemal pozbawionej mebli. Rothgar wybrał towarzystwo, w którym dostrzegł jeszcze kilku przedstawicieli ziemiaństwa i po chwili Uftonowie zaczęli z nimi swobodnie rozmawiać o cenach zboża i hodowli bydła. Markiz starał się uczestniczyć w rozmowie, mimo iż co jakiś czas ktoś do niego podchodził ze słowami wsparcia. Usiłował też zapamiętać tych, którzy nagle przestali go zauważać.

Nagle w pierwszych rzędach rozległy się szmery.

- Król! Król! Król!

Wszyscy zwrócili się w stronę władcy, ale on dał znak, żeby wrócić do przerwanych rozmów. Jerzy III miał dopiero dwadzieścia pięć lat, świeżą cerę i niebieskie oczy. Jego twarz była nieprzenikniona. Ponieważ wciąż poważnie traktował swoje obowiązki, zaczął przechadzać się po sali, starając się z każdym zamienić choć parę słów. Rothgar nie mógł zgadnąć, w jakim jest nastroju.

W końcu wdał się w krótką pogawędkę z hrabią Marlbury, który stał nieopodal markiza. Rozmowy powoli zaczęły cichnąć. Oczy zebranych zwróciły się na Rothgara. Król podszedł do niego i skinął lekko głową.

- Cieszymy się, widząc cię w dobrym zdrowiu, panie, co? - powiedział. - Bardzo się cieszymy.

Rothgar odkłonił się głęboko.

- Wasza Królewska Mość jest dla mnie bardzo łaskawy. Niech mi wolno będzie przedstawić sir George'a Uftona z Ufton Green i jego syna, George'a.

Od tego momentu wszystko poszło już gładko. Zebrani na sali przedstawiciele arystokracji i szlachty powrócili do swoich rozmów, a sir George odpowiadał krótko, ale sensownie na pytania króla, dotyczące głównie sytuacji w hrabstwie Berkshire. Na koniec król zapytał młodego George'a, czy podoba mu się w Londynie i usłyszawszy nerwowe „Tak, Wasza Królewska Mość”, przeszedł dalej.

Sir George odetchnął z ulgą. Rothgar miał ochotę pójść w jego ślady, ale oczywiście tego nie zrobił. Nie pozwolił

sobie nawet na uśmiech zwycięstwa. Gdy tylko Uftonowie uspokoił się nieco, wyprowadził ich na świeże powietrze. Tutaj czekał na nich Carruthers, który przekazał Uftonów w ręce dwóch lokai w liberiach i poinformował markiza, że król chce go zobaczyć na prywatnej audiencji.

- Więc to jeszcze nie koniec - wymamrotał pod nosem Rothgar i poklepał po ramieniu zaniepokojonego sekretarza.

Pospacerował trochę między marmurowymi rzeźbami, a potem udał się do sypialni królewskiej, która służyła też jako sala przyjęć. Po drodze zastanawiał się, czy chodzi o sprawę Curry'ego, czy też król po prostu chce zasięgnąć jego rady w sprawach państwowych.

Rothgar czasami żałował tego, że zajmuje tak wysoką pozycję w państwie. O ileż przyjemniej byłoby mieć niewielką, według jego standardów, posiadłość, taką jak Uftonowie. Największym problemem byłaby wtedy zła pogoda lub choroba bydła i nie musiałyby się wówczas zastanawiać, czy następnego dnia nie trafi do więzienia.

Skoro jednak sam Bóg wyznaczył mu takie obowiązki, musi teraz z pokorą przyjąć Jego wolę.

Po powrocie do domu, Rothgar z przyjemnością pozbył się peruki i dworskiego stroju. Teraz miał czas na to, żeby przemyśleć rozmowę z królem. Mimo pokoju zawartego z Francją wiele osób w Paryżu myślało o nowej wojnie, chcąc w ten sposób powetować sobie porażkę. Chodziło o to, żeby wybać, kto się ku temu skłania i na ile zaawansowane są przygotowania. Król wiedział, że Rothgar ma, dzięki swym koneksjom, większe możliwości w tym względzie, niż jego szpiedzy. Nie chcąc zawieść władcy, musiał napisać parę listów, na pozór niewinnych, ale zawierających wyraźne wskazówki.

Kiedy skończył, zajął się sprawami domowymi. Podpisał kilka rachunków i zaczął przeglądać pisma, zawierające prośbę o patronat lub wsparcie. Nie miał nastroju na podobne problemy i już chciał wyrzucić papiery, gdy nagle zauważył pakiet przysłany przez znajomego wydawcę.

Wewnątrz znalazł wybór wierszy. Jeden z nich wyszedł spod pióra Rousseau, ale był przetłumaczony na angielski:

Słońce dobiegło niemal końca szlaku,
Kiedy cna Diana w dziewiczym orszaku...

W tym momencie przypomniała mu się inna Diana, lady Arradale. Podobnie jak bohaterka wiersza, była piękna, stworzona do miłości i... zdecydowana strzec swej cnoty.

Pomyślał, że mógłby jej dać ten wiersz w prezencie.

Rothgar rozumiał decyzję Diany, by nie wychodzić za mąż. Wiedział jednak, że w przeciwieństwie do mężczyzn, nie będzie jej łatwo zaspokoić swoje seksualne potrzeby. Co więcej, dla wielu osób piękna i niezamężna kobieta stanowiła afront wobec boskich wyroków. Ci ludzie gotowi ją byli uważać za wysłanniczkę piekieł, czy też współczesną Lilit.

Niestety, należał do nich również król, który w dodatku nie krył swojej niechęci wobec faktu, że Diana Westmount została głową rodu. Pytał o nią nawet w czasie rozmowy, a Rothgar odpowiedział coś wymijająco w nadziei, że monarcha wkrótce o wszystkim zapomni. Co prawda ograniczało go wiele przepisów, ale wciąż potrafił kąsać.

Markiz doczytał wiersz do końca. Opisywał on wojnę, jaką bogini łowów wypowiedziała Kupidynowi. Był zabawny, a także pouczający. Wprawdzie Dianie udało się przepędzić posłańca miłości ze swego królestwa, ale zakochała się, zraniona jego zabłąkaną strzałą. Hrabina z pewnością doceni kunszt poety oraz wymowę wiersza.

Tak, musi dać ten wiersz do przepisania. Przy okazji powinien zachować jeden egzemplarz dla siebie. Diana Westmount była taka, jak jej poetycki odpowiednik - odważna, mądra i wyjątkowo piękna. Trzeba było wiele wewnętrznej siły, żeby się w niej nie zakochać.

Oczywiście miała też i wady. Rothgar nigdy nie spotkał osoby równie władczej i impulsywnej. To powinno wystarczyć, żeby się od niej trzymać z daleka. Tymczasem on, wciąż

do niej powracał, jeśli nie dosłownie, to chociaż myślami

Jako kuzynka narzeczonej Branda, stanie się wkrótce jego daleką powinowatą.

- Człowiek rozumny unika niebezpieczeństw - powtórzył głośno jedną z maksym, którymi się kierował.

Przez chwilę bawił się pierścieniem z rubinem, zastanawiając się, czy jechać na ślub Branda. Nikt nie miałby mu za złe, gdyby się na nim nie pojawił. Wszyscy wiedzieli, że ma na głowie mnóstwo ważnych spraw.

Jednak, z drugiej strony, była to rzadka okazja, żeby spotkać się niemal z całą rodziną. I z Dianą Westmount, dodał w myśli.

Wstał od biurka i zaczął przechadzać się po pokoju. Sprawy związane z Francją mogą poczekać. Carruthers zostanie w Londynie i w razie czego prześle mu wieści przez posłańca. Zobaczy tylko szczęśliwy koniec przygody Branda i będzie wracał. W końcu i on przyłożył ręki do pomyślnego zakończenia tej całej historii.

Stanął przed oknem, jak zwykle, gdy miał już gotową decyzję. Pojedzie na trzy dni i, przy odrobinie szczęścia, w ogóle nie zobaczy się z hrabiną.

Rothgar wyszedł, żeby przygotować się do serii wieczornych spotkań. W głębi duszy wiedział, że trzy dni to bardzo dużo. Wystarczy, żeby spowodować nawet największą katastrofę.

Trzy dni, pomyślała Diana, nasłuchując, czy jej odźwierny nie obwieszcza trąbieniem przybycia Malloreków. Będą tu tylko trzy dni. Musi uważać, żeby w tym czasie unikać wszelkich starć.

W końcu usłyszała daleki sygnał. Jej serce zatrzepotało w piersi niczym ptak. Usiłowała tłumaczyć sobie, że to dlatego, iż w dawnych czasach właśnie w ten sposób zapowiadano nadciągających wrogów.

Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić. Przecież to nie najazd, tylko zwykła wizyta. Ona będzie się zachowywać

jak dama, markiz jak dżentelmen, a na koniec uściskną sobie dłonie i się rozstaną. Najchętniej na zawsze.

- Diano.

Aż podskoczyła, słysząc głos matki. Starsza pani nie traciła nadziei, że córka jednak wyjdzie za mąż. Teraz zapewne chciała zobaczyć, jak zareaguje na przyjazd Mallorenów, a właściwie jednego z nich.

- To chyba goście weselni, Diano - powiedziała. - Nie zejdiesz ich przywitać?

- Tak, mamó.

Starsza pani uśmiechnęła się chytrze.

- Przewróciłaś zamek do góry nogami, żeby ich godnie przyjąć. Przez ostatnią godzinę stałaś i czekałaś na sygnał trąbki. A teraz zwlekasz z powitaniem. Co się z tobą dzieje?

- Nic, mamó - odparła, unikając jej wyblakłych nieco, zielonych, tak jak jej, oczu.

Matka nigdy tak naprawdę nie rozumiała jej motywów. Wydawało jej się, że panna, która nie jest ani brzydka, ani ułomna, co umożliwiłoby jej krzewienie cnoty bez wyrzeczeń, powinna w końcu wyjść za mąż. Poza tym, uważała tytułarne obowiązki hrabiowskie za ciężar, a nie wyzwanie. Markiz wydawał jej się idealnym kandydatem na męża i w skrytości ducha wierzyła, że Diana w końcu go poślubi.

Nigdy w życiu! pomyślała hrabina, zbiegając po schodach.

Kiedy znalazła się na dole, przystanęła na chwilę, żeby złapać oddech. Spojrzała przelotnie do wielkiego lustrowanego w holu i stwierdziła, że jest zarumieniona. Najwyżej powie, że to puder.

Poprawiła jeszcze swoją bladożółtą suknię w kremowe kwietne wzory i prosty naszyjnik z pereł. Nie może przypominać, że jest damą. Włosy wydawały się w porządku, chociaż parę niesfornych kosmyków wysliznęło się spod muślinowego czepeczka. Jednak nic nie mogła już na to poradzić.

Powozy Mallorenów zaturkotały na podjeździe i zatrzymały się na zamkowym dziedzińcu. Diana po raz kolejny przypomniała sobie ostatnie spotkanie z markizem.

Chciał wówczas porwać jej kuzynkę Rosę, a ona wraz z niewielkim oddziałem swoich ludzi zdołała mu się przeciwstawić. Nie żałowała tego, co zrobiła, chociaż Rothgar należał do najpotężniejszych osobistości w królestwie.

Ciekawe, czy zauważy, że ma na sobie tę samą suknię, co wtedy?

Markiz miał opinię bystrego obserwatora, co mogła parę razy potwierdzić. Powinien zauważyć jej strój i, co więcej, zrozumieć jego znaczenie. Wciąż była gotowa walczyć i zwyciężać. Nie miała zamiaru się poddać, mimo złożonej przez niego propozycji.

Uznała, że nadszedł odpowiedni moment, żeby powitać gości i podeszła do drzwi. Dwóch lokajów otworzyło je na oścież. Na zamkowym podwórzu stały aż cztery podróżne powozy. Trzy inne, z bagażami i służącymi, pojechały dalej, w stronę pomieszczeń kuchennych.

Część przybyłych już wysiadła. Wśród nich znajdowały się zmęczone dzieci, które będą wymagały dodatkowej opieki. Tylko Mallorenów stać było na równie absurdalne pomysły.

Diana uśmiechnęła się uprzejmie i już szykowała krótką przemowę powitalną, kiedy nagle zobaczyła postać wysiadającą z drugiego w kolejności powozu.

- Rosa! - krzyknęła uradowana i pospieszyła, żeby ją uściskać. Nie widziały się przez długich dziewięć miesięcy.

Dopiero po chwili przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni i wyzwoliła ze swych objęć ukochaną kuzynkę. Podniosła chustkę do oczu, a kiedy ją opuściła, zobaczyła przed sobą rozbawionego tym, co zaszło lorda Branda Mallorena. Wysoki i przystojny, z ciemnorudymi włosami zaczesanymi do tyłu, wydawał się idealnym partnerem dla Rosy. ale to nie on wprawił ją w drzenie. To nie z jego powodu miała problemy z wysłowieniem się. Rothgar był w pobliżu. Diana czuła na sobie jego wzrok. Raz jeszcze poprawiła nerwowo suknię, która miała być jej zbroją przeciwko markizowi i powiedziała drżącym głosem:

- Witamy w Arradale.

4

Z powozu wysiadł w końcu uśmiechnięty markiz. Diana poczuła, że jej serce nie chce się podporządkować dyscyplinie, którą narzuciła całemu ciału.

- Lord Rothgar? - Miała nadzieję, że nie zauważy, jak jest zdenerwowana. - Miło mi znowu powitać cię w Arradale, panie.

Markiz musnął tylko jej dłoń ustami przy powitaniu, a mimo to dreszcz przebiegł po plecach Diany. Czy zawsze tak na nią działał, czy też było to coś nowego? Teraz była zbyt zmieszana, by wspominać jego wcześniejszą wizytę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, hrabino - przywitał się oficjalnie. - Tym bardziej, że zgodziłaś się gościć Mallorenów.

Rothgar patrzył na nią chłodno. Nic nie wskazywało na to, że jest choć trochę poruszony.

- Och, dla Rosy zrobiłabym wszystko - wyznała. - Mogłabym gościć nawet monstra.

- No, to może jakoś z nami wytrzymasz. - Dotknął delikatnie jej ramienia, kierując w stronę nowo przybyłych. - Pozwól, pani, że przedstawię ci niektórych członków mojej rodziny.

Jego dotyk parzył. Zerknęła na Rosę, szukając pomocy, ale kuzynka nie spuszczała oczu z narzeczonego, ślepa na to, co się działo dokoła. Jednak markiz natychmiast wychwycił jej spojrzenie.

- Patrzy na niego jak w obrazek - szepnął hrabinie do ucha. - To prawdziwe szaleństwo.

Te słowa trochę ją otrzeźwiły. Szaleństwo! Nie może pozwolić na to, by też się w nim pogrążyć.

Diana uniosła dumnie głowę i podeszła do grupki Mallorenów.

- To lord i lady Steen - Rothgar pospieszył z wyjaśnieniami. - Jak widzisz, pani, mają czwórkę dzieci, ale do prawdy trudno mi połapać się w tym, które z nich jest kim. Lady Steen to oczywiście moja siostra Hilda.

Najmłodsze dziecko o ciemnych włosach podbiegło do Rothgara i wyciągnęło rączki w górę.

- Wuje! Wuje! - zawołało.

Kujej zdziwieniu Rothgar podniósł malucha i ucałował w oba policzki.

- A to akurat jest Arthur Groves - dodał markiz ze śmiechem. - Gotów zaprzyjaźnić się nawet ze smokiem.

Diana zauważyła, że czuprynka malca nie jest tak ciemna, jak kruczoczarne włosy wuja. Podobieństwo było jednak uderzające. Chłopiec przytulił się mocno do Rothgara i zszedł mu z rąk dopiero na wyraźne żądanie matki.

Bardzo poruszył ją ten widok. Spodziewała się Mrocznego Markiza, a zastała mężczyznę łagodnego jak baranek. Pomyślała, że czyni go to jeszcze bardziej niebezpiecznym. W ten sposób potrafi uspić czujność przeciwnika, a potem... uderzyć.

- Mój brat, oczywiście, żartuje - wtrąciła lady Steen. - Nie chce się przyznać, że uwielbia siostrzeńca. Tak trudno być *eminence noire* Anglii! - dodała z westchnieniem.

- Przecież wszyscy w Londynie wiedzą, że zjadam takie niewinne dzieci na śniadanie - rzekł markiz, mrugając do niej znacząco.

Uderzyło ją to, że jest tak odprężony. Ona szykowała się do walki, a on tymczasem dobrze się bawił. Przykucnął teraz, żeby porozmawiać o czymś z Arthurem. Zdaje się, że o koniach. Przy okazji nic sobie nie robił z form towarzyskich, być może zakładając, że stanowią już jedną rodzinę.

Diana odwróciła głowę o parę sekund za późno. Nie, nie może patrzeć! Nie wolno jej dać po sobie poznać, że go obserwuje. Przez najbliższe trzy dni będzie musiała ignorować markiza.

Lady Steen wypchnęła przed siebie dwie dziewczynki, które usiłowały się schować za jej spódnicą.

- Pozwoli pani, że przedstawię moje córki, hrabino. - Teraz ona przejęła obowiązek prezentowania rodziny. - Sarah i Elanor.

Obie dziewczynki dygnęły nieśmiało. Nie przypominały Arthura. Podobnie, jak część Mallorenów miały raczej rude włosy.

- A to mój najstarszy syn, Charles, lord Herbert - dodała lady Steen.

Młodzieniec spojrział na nią i skłonił się grzecznie. Jako jedyny z „dzieci” stał spokojnie przy swoim ojcu.

- Niestety, nie mogę pani zapewnić, hrabino, że nasze pociechy będą grzeczne. - W tym momencie Sarah zachichotała nerwowo, ale matka zgromiła ją wzrokiem. - Mam nadzieję, że nie naruszą zanedo spokój Arradale. Zabralismy je ze sobą, ponieważ później wyruszamy całą rodziną do Szkocji.

Diana zapewniła ją, że to żaden kłopot i zdziwiła się, że rzeczywiście tak myśli. Jeszcze bardziej poruszyło ją to, że czuła się coraz lepiej w towarzystwie Mallorenów. Przystała się uśmiechać z obowiązku i na jej usta powrócił zwykły promienny i szczery uśmiech.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że to niebezpieczne. Powinna uważać, bo cios może spaść z nienacka.

Przeszli do kolejnego powozu, gdzie stało dwoje Mallorenów. Rothgar znowu trzymał na rękach siostrzeńca, ponieważ Arthur zaczął go wołać, kiedy ruszyli dalej. W tej sytuacji trudno się było dziwić, że nie zachowywał dworskich form i rzucił tylko:

- To mój brat, Bryght.

Lord Malloren miał włosy jeszcze ciemniejsze niż Rothgar i był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Wysoki, z jastrzębimi rysami brata, pełen nonszalancji mógł spodobać się każdej kobiecie, lecz na Dianie nie zrobił szczególnego wrażenia. Ku jej zdziwieniu jego żona była niska, ruda, z tysiącem piegów na twarzy, i nie wyróżniała się urodą.

W pewnym momencie Bryght spojrzął na swoją wybranekę, a na jego twarzy pojawił się wyraz uwielbienia, Rothgar znowu pochylił się do jej ucha.

- Zadurzył się w niej jak żak - szepnął. - Uważaj, pani, bo to może być zaraźliwe. Ja jeden w mojej rodzinie oparłem się tej chorobie.

Hrabina potrząsnęła głową.

- Nie obawiaj się, panie. Ja też ją pokonam - zapewniła go.

- Och, co za ulga! - powiedział, westchnąwszy teatralnie. - Wobec tego będziemy mogli sięść razem do kolacji, tworząc enklawę w morzu zakochanych.

Diana roześmiała się na te słowa, licząc na to, że nie zdradzi się ze swoim niepokojem. Markiz miał rację. Jako jedyni w całym towarzystwie nie mieli partnerów i z tego względu zapewne będą musieli wszystko robić razem.

Nie, to niemożliwe! Musi temu jakoś zaradzić.

- Wuję, dali, dali! - zakrzyknął mały Arthur.

Lord Bryght poprosił ją, by zaczekała, ponieważ chce jej przedstawić swojego syna. Chwilę potem z powozu wysiadł, czy raczej został wysadzony, chłopczyk w jedwabnym stroju, który ledwo umiał utrzymać się na nogach. Piastunka pilnowała cały czas, żeby nie upadł.

- To mój syn, Francis - powiedział z wyraźną dumą.

Diana nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Nigdy wcześniej nie przedstawiano jej niemowlaków.

- Bardzo mi miło - rzekła niepewnie, kucnąwszy przy Francisie, który szybko schronił się w ramiona piastunki.

Na ten widok mały Arthur zażądał, żeby go postawić i pobiegł do ciotecznego brata. Na szczęście Bryght w porę wziął syna na ręce, inaczej Francis już leżałby na ziemi. Lord Malloren zaczął kołysać go w powietrzu, a ten zaniósł się śmiechem.

Diana próbowała nie okazywać zdziwienia, chociaż było to bardzo trudne. To niemożliwe, żeby tacy mężczyźni jak Rothgar czy Bryght lubili dzieci. Kłóciło się to z ich wizerunkiem twardych i bezwzględnych rycerzy.

- Oczywiście nie musi pani pamiętać, które dziecko jest

czyje, hrabino - powiedziała żona Brygha, chwyciwszy małego Arthura. Głos miała melodyjny i pełen ciepła. Coś sprawiało, że po prostu chciało się jej słuchać. - Przy odrobinie szczęścia można ich w ogóle nie spotkać.

Rothgar wziął ją delikatnie pod ramię.

- Chodźmy dalej.

Pożegnała się z Bryghtem i jego żoną i ruszyli w stronę ostatniego powozu.

- Liczę na to, że Portia ma rację - rzekł, rozglądając się dokoła. - To naprawdę wielki zamek i dzieci będą miały mnóstwo miejsca do zabawy. Czasami zachowują się jak prawdziwe diablęta - dodał ostrzegawczo.

Diana pomyślała, że jakoś poradzi sobie z dziećmi. Zwłaszcza, że, o dziwo, była do nich dobrze nastawiona. Znacznie trudniej będzie sprostać wyzwaniu, jakie stanowiła sama obecność markiza. Po tym, co zobaczyła, czuła się zupełnie zagubiona. Mroczny Markiz okazał się nagle miłośnikiem dzieci i rodziny.

Zatrzymali się przed ostatnią parą.

- Tuszę, pani, że poznałaś już moją siostrę, Elf?

Rzeczywiście, spotkała się z nią parę razy w Londynie i obie panie przypadły sobie do gustu.

- Miło mi panią widzieć, lady Elfled.

Zagadnięta skinęła swoją rudą głową i wskazała stojącego obok przystojnego szatyna.

- Mi również, hrabino. Oto mój mąż, lord Walgrave.

Mężczyzna skłonił się szarmancko, a w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. Wszystko wskazywało na to, że jest człowiekiem pogodnym i prostodusznym.

- To dla mnie wielki zaszczyt, lady Arradale.

Walgrave'owie jeszcze nie mieli dzieci. Diana mogła więc liczyć na to, że mąż Elf będzie dotrzymywał jej towarzystwa, co by ją uwolniło od markiza. Według najnowszej mody, małżonkowie raczej unikali siebie w większym towarzystwie. Jednak wystarczyło zobaczyć, z jakim namaszczeniem lord Walgrave podaje żonie ramię, żeby zrozumieć, że nie

ma na co liczyć. Zresztą Mallorenowie w ogóle nie przejmowali się modą i gotowi byli robić, co im się żywnie podoba. Najlepszy dowód, że zabrali ze sobą dzieci.

To byli już wszyscy. Diana wiedziała, że Rothgar ma jeszcze jednego brata, lorda Cynrica, ale ten wraz z żoną przebywał w Kanadzie. Jeszcze raz rozejrzała się po dzie-dzińcu i pomyślała, że to przecież tylko trzy dni.

Klasnęła w ręce i zaprosiła wszystkich do zamku.

- Nawet nie wie pani, jak jestem szczęśliwa, że mam za sobą tę podróż - wyznała lady Walgrave, idąc tuż przy niej.
- To już trzeci miesiąc, ale wciąż mam mdłości, zwłaszcza w powozie.

Hrabina spojrzała na nią ze zdziwieniem. Że też się *nie* domyśliła! Wszyscy Mallorenowie byli płodni ponad ludzka miarę. Może jest to ich tajny plan, żeby zdominować w ten sposób Anglię. Jedyne Rothgar zawsze twierdził, że nie chce się żenić. Ale te deklaracje nie do końca ją uspokajały.

- Może każę przynieść sole trzeźwiące - zaproponowała.

- Nie, dziękuję. Świeże powietrze działa na mnie najlepiej. - Odetchnęła głęboko. - Jednak nie zdziw się pani, kiedy będę musiała nagle opuścić towarzystwo.

Diana skinęła głową i przystanęła chwilę przed drzwiami, żeby lady Walgrave mogła jeszcze pooddychać świeżym powietrzem.

- To wobec tego bardzo odważna decyzja, że zdecydowałaś się, pani, na tę podróż - zauważyła.

Elf tylko potrząsnęła głową.

- Chciałam koniecznie zobaczyć ten ślub. Przeżyć tój jeszcze raz. Nasz był taki pospieszny, prawda kochanie?

- O, tak - zgodził się lord Walgrave.

Diana przypomniała sobie plotki, które przywiozła z Londynu jedna z jej sąsiadek. Podobno data ślubu lady Malloren została przyspieszona z bardzo ważnego powodu. Ciekawe, czy okaże się, że Elfurodzi wcześniaka, który będzie zupełnie normalnym, zdrowym noworodkiem? Takie rzeczy zdarzały się w towarzystwie i nikt z tego nie

robił problemu. Chyba, że cała sprawa wychodziła na jaw.

- Poza tym, tak naprawdę cieszę się z tej podróży - dorzuciła szybko lady Walgrave. - Nigdy nie byłam na północy. Te wzgórza i ukwiecone łąki! Gdybym była malarką, spróbowałabym to uchwycić... Poza tym interesuje mnie przemysł.

- Przemysł? - powtórzyła niepewnie Diana, przekonana, że się przesłyszała.

Elf potwierdziła natychmiast:

- Tak, głównie przędzalniczy i tkacki.

- Przędzalniczy i tkacki? - Diana nie mogła uwierzyć własnym uszom i nawet zapomniała, że to niegrzecznie tak szczegółowo wypytywać gości.

Na ustach Elf pojawił się tajemniczy uśmiešek.

- To takie hobby - wyjaśniła. - Namówiłam nawet Bryghta i Portię, żeby pojechali obejrzeć akwedukt księcia Bridgewater. A potem zwiedzimy port w Liverpoolu.

Jak na kobietę były to rzeczywiście dość nietypowe zainteresowania. Diana miała wrażenie, że śni. Już wcześniej zdarzały jej się koszmary dotyczące spotkania z Mallorenami. Nie dziwiło jej, że przybysze z południa chcieli zobaczyć słynny akwedukt. Sama była obecna przy jego otwarciu cztery lata temu. Ale port i fabryki?! To wszystko jakoś nie chciało jej się pomieścić w głowie.

Rzuciła więc tylko coś zdawkowego i poprowadziła gości dalej, do wnętrza zamku.

Planowała, że urządzi dziś wieczorem przyjęcie dla znuudzonych i głodnych luksusu przybyszy z Londynu, ale teraz nie wiedziała, czy to najlepszy pomysł. Być może markiz wolałby zwiedzić kopalnię ołowiu, a lord Steen wziąć udział w wyprawie na torfowiska!

Tak naprawdę, to sama najchętniej schowałaby się gdzieś na torfowych bagnach na te całe trzy dni.

Niestety, jako gospodyni nie mogła tego zrobić. Postanowiła jakoś wypełnić czas, który im został. Pozwoli teraz służbie, by zaprowadziła gości do ich pokojów. Po krótkim odpoczynku planowała uroczystą kolację i cieszyła się

w duchu, pamiętając, że miejsca jej i markiza znajdowały się na przeciwległych krańcach stołu. Po kolacji muzyka i karty, co powinno wystarczyć na resztę wieczoru.

Ślub miał się zacząć wcześniej rano, około dziesiątej. A potem zaplanowano oczywiście weselne przyjęcie.

Diana zaczęła wydawać dyspozycje służbie, kiedy nagle w holu rozległ się przerażający wrzask. To krzyczał Arthur, któremu matka udaremniła kolejny napad na Francisca. Po chwili dołączył do niego sam napadnięty i w sali zrobiło się straszne zamieszanie. Na szczęście piastunki schwyciły najmłodszą progeniturę Mallorenow i pobięły za służbą z wrzeszczącymi dzieciakami.

Diana z trudem powstrzymała się, żeby nie zatkać sobie uszu. Zmieszani Mallorenowie szybko rozeszli się do swoich pokojów. Została tylko ona i markiz.

- Czy źle się czujesz, panie? - spytała, widząc jego zbiełałą twarz i usta. Markiz zachwiał się, jakby miał upaść.

- Trochę mnie boli głowa, to wszystko - powiedział, a uśmiech szybko powrócił na jego wargi. - To zadziwiające, że ten hol ma tak wspaniałą akustykę.

Diana skinęła głową, chcąc dać znak, że go rozumie. W tym towarzystwie byli jedynymi zdrowymi psychicznie ludźmi.

Okazało się, że jest to niebezpieczne. Nagle zawiązała się między nimi jakaś dziwna nić porozumienia. Nawet, gdyby chciała ją przeciąć, nie była w stanie tego zrobić. Dlatego pożegnała się szybko i uciekła do swoich pokojów.

5

Tego wieczoru zasiedli do kolacji w czternastkę. Oprócz dorosłych Mallorenow była tu jeszcze Rosa, Diana, jej matka, a także paru rezydentów. Markiz, tak jak zaplanowała hrabina, usiadł tuż obok jej matki, na przeciwległym końcu stołu.

Mimo to, Diana nie mogła się powstrzymać, żeby co jakiś czas nie zerkać w jego stronę. Starła się zatem więcej uwagi poświęcać Brandowi i lordowi, których miała po obu bokach.

Mallorenowie okazali się być bardzo miłym towarzyszstwem. Widać było, że lubią się nawzajem i czują się świetnie w swoim gronie. Rozmowa miała raczej ogólny charakter, a nie tak, jak na eleganckich przyjęciach, wyłącznie sąsiedzki. Wyglądało na to, że mają za nic wymogi mody, jeśli kłóciły się one w jakiś sposób z ich rodzinnymi przyzwyczajeniami.

Rothgar prawie się nie odzywał, chociaż gdy już otworzył usta, mówił z sensem i dowcipnie. Diana, jako gospodyni, starała się brać udział w rozmowie, chociaż nie mogła oderwać swych myśli od markiza.

Odniosła wrażenie, że Rothgar lubi rodzinę, ale jednocześnie odnosi się do niej z dystansem. Tak jakby był ojcem wszystkich tu zebranych i patrzył pobłaźliwie na swoje pociechy.

Diana wiedziała, że matka markiza zwariowała po porodzie i zabiła niemowlę. Rosa poinformowała ją w sekrecie, że Rothgar, który był tego świadkiem, wciąż pamiętał to wydarzenie i że sam obawiał się szaleństwa. Dlatego też zdecydował się nie żenić.

Później dowiedziała się także, że rodzice markiza zmarli na jakąś tajemniczą chorobę zaledwie parę dni po sobie i on musiał wówczas przejąć wszelkie obowiązki wynikające z tytułu i pozycji. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Ojciec Diany zmarł, gdy miała dwadzieścia dwa, ale po pierwsze, nie była obciążona strasznymi wspomnieniami, a po drugie, została jej jeszcze matka, która mogła zawsze służyć radą.

Diana odsunęła od siebie talerz z plackiem z karczocha. Czuła, że powoli traci apetyt. Dla kogoś takiego, jak Rothgar, to co zrobili w zeszłym roku z Rosą, mogło się wydać głupie. Poczęstowały wtedy Branda winem ze środkiem nasennym, a następnie odeszły. Rosa nawet chciała

zostać, żeby się nim zająć, ale sama nie czuła się najlepiej, ponieważ wypita wcześniej parę łyków trunku.

Brand im wybaczył. Czy markiz również? Diana nie chciała jego przyjaźni, wolała jednak nie mieć w nim wroga.

- Źle się pani czuje, hrabino? - spytał zaniepokojony lord Steen.

Natychmiast zaprzeczyła ruchem głowy.

- Po prostu coś mi się przypomniało - wyjaśniła. - Życie wśród Mallorenów musi być naprawdę ciekawe, prawda? - zaryzykowała pytanie.

Zauważyła, że usta lekko mu drgnęły.

- Na tyle, że zdecydowaliśmy się przenieść w odludny zakątek Devon - odparł.

Diana omal się nie roześmiała. A więc Steenowie mieli dość intryg i sławy, jaką cieszył się Rothgar. Nie powinna zapominać, że nie każdy lubi dworskie życie. A przecież markiz należał do królewskich doradców. Chociaż nigdy się z tym nie afiszował, wszyscy wiedzieli, że ma wielkie wpływy.

Hrabina spojrzała na przeciwległy koniec stołu. Już poprzednio odniosła wrażenie, że markiz góruje nad rodziną, a teraz przekonanie to się pogłębiło. Dystans wydawał się jeszcze większy. Czyżby był równie samotny jak ona w swoich dążeniach i planach? Czyżby rodzina jego też nie rozumiała?

Po kolacji wszyscy wstali od stołu. Panowie zajęli się swoimi drinkami i grą w karty, a panie oczywiście plotkami.

Diana wysłuchiwała najnowszych wieści i sama podzieliła się tym, co wiedziała o okolicznych osobistościach. Po chwili Elf zaproponowała Dianie, żeby przeszły na „ty”, co wydawało się sensownym posunięciem ze względu na ich już niemal rodzinne stosunki. Rozmowa przebiegała nadzwyczaj ciekawie i hrabina nie miałaby nic przeciwko temu, żeby panowie posiedzieli dłużej nad brandy i kartami. Niestety, zapragnęli zagrać z paniami. Diana przygotowała zatem stoliki, a lady Steen usiadła do klawesynu.

Po paru melodiach wymieniła ją Rosa, do której zaraz dosiadł się Brand. Nie grał zbyt dobrze i nie krył tego, że

przede wszystkim interesuje go narieczona. Diana nie mogła powstrzymać zazdrości, widząc, jak coraz bardziej przysuwa się do Rosy.

Palce narieczonych tańczyły po klawiaturze i był to prawdziwy taniec miłości. Oboje co chwila patrzyli sobie w oczy.

Hrabina wstała ze swego miejsca i rozejrzała się po sali. Czy goście mają wszystko, czego potrzebują? Czy są zadowoleni? Przecież jest tutaj gospodynią.

O dziwo, pierwszą osobą, na którą zwróciła uwagę był markiz. Grał właśnie w wista z lordem Bryghtem oraz małżonkami Walgrave. Jednak jego partnerem był lord Walgrave, a nie brat. Zaciekawiona Diana przyglądała się przez moment grze, chcąc zrozumieć, dlaczego. Bez trudu zauważyła, że zarówno Rothgar, jak i lord Bryght są doskonałymi graczami. Pewnie dlatego rodzina nie chciała, by grywali w tandemie.

Lord Rothgar natychmiast uchwycił jej spojrzenie.

- Czy chcesz zagrać, pani? - spytał.

Diana potrząsnęła głową.

- Nie chciałabym przeszkadzać... - zaczęła, ale lord Walgrave podniósł dłoń do góry, nie dając jej skończyć.

- Nie przeszkadzasz, pani - stwierdził z mocą, kładąc rękę na sercu. - Chętnie ustąpię ci pola. Czuję się jak kotek, który wszedł między tygrysy.

- Biedak, brakuje mu instynktu mordercy - poparła go żona.

Diana nie miała wyboru, ponieważ lord Walgrave już opuścił swoje miejsce przy stoliku i zaczął rozmowę z lordem Steenem. Przez chwilę miała wrażenie, że padła ofiarą spisku, szybko jednak porzuciła tę myśl.

Przecież sama była swoim największym wrogiem! Co ją podkusiło, żeby umieścić Rothgara w apartamencie przylegającym bezpośrednio do jej części zamku?

- Nie wiedziałam, że wist może być aż tak niebezpieczny - rzekła niepewnie Diana.

- Powinnaś spytać najpierw, o jaką stawkę gramy - stwierdził markiz i zmierzył ją wzrokiem.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Zbyt blisko, jak na jej gust. Nigdy wcześniej nie znajdowała się tak blisko Rothgara.

- A o co gramy? - zapytała nieśmiało.

- O duszę. - Markiz niemal przewiercał ją wzrokiem.

Diana drgnęła na swoim miejscu. Serce zabiło jej niepokojnie.

- Tak mówimy w rodzinie, ale w rzeczywistości gramy na punkty - wyjaśniła Elfz nudzonym tonem. - Chodzi o to, że brat nie chce, żebyśmy w swoim gronie grali na pieniądze.

- A co się dzieje z przegraną duszą? - Diana powoli odzyskiwała kontenans.

- Zostaje u właściciela, chyba...

- Chyba? - powtórzyła, patrząc Rothgarowi wprost w oczy

- Chyba, że zwycięzca zechce inaczej. Biedne przegrane dusze! - westchnął teatralnie i wyłożył pierwszą kartę. - As kier.

Diana uśmiechnęła się lekko.

- Nie będziesz mógł, panie, teraz mówić, że masz asa w rękawie - zauważyła.

Markiz wyglądał na rozbawionego tą uwagą.

- Zawsze mam jakiegoś asa w rękawie - stwierdził, kładając z kolei króla kier.

Zachowywał się tak, jakby wiedział, że z kierów pozostała jej tylko dama. Gra stawała się coraz bardziej emocjonująca. Inni członkowie rodziny porzucili swoje zajęcia i zaczęli się przyglądać czwórce przy stoliku.

Wkrótce stało się jasne, że Rothgar skorzystał z gry, żeby nawiązać z nią flirt. Co i rusz padały pod jej adresem dwuznaczne uwagi. Musiała nie tylko uważać na przebieg gry, ale jeszcze zastanawiać się, jak je odparować. Żeby nie patrzeć na Rothgara, starała się skoncentrować na samej rozgrywce. Jednak po chwili zauważyła, że patrzy na piękne, wypielęgnowane dłonie markiza i myśli, jak dobrze byłoby czuć je na skórze.

Rothgar rozpoczął licytację.

- Jeśli wolisz, pani, grać na pieniądze, to... - zawiesił głos, Hrabina zaprzeczyła lekkim ruchem głowy.

- Zawsze uważałam, że to sama gra jest ekscytująca, a nie to, jaka jest stawka.

Rothgar uśmiechnął się z aprobatą.

- Ja też tak uważam. A ty, pani, jesteś wytrawnym graczem.

Ich oczy spotkały się na moment i hrabina poczuła, że brakuje jej tchu. Wymowa jego spojrzenia była aż nadto oczywista. Potrzebowała czasu, żeby choć trochę się opanować.

- Gramy? - spytała.

Trzy dni, starała się uspokoić w duchu. To tylko trzy dni.

Oboje z markizem zdecydowanie wygrali. To prawda, że mieli trochę szczęścia, ale poza tym decydowały umiejętności oraz zdolność zgadywania intencji partnera. Niemal czytali sobie w myślach. Zebrani nagrodzili ich brawami. Kiedy wstawali od stolika, zauważyła, że Elf wymieniła znaczące spojrzenie z Bryghtem. Diana chciała zaprotestować. Stwierdzić, że to przecież o niczym nie świadczy. Oczywiście nie zrobiła tego, ponieważ byłaby to jawna demonstracja niechęci wobec markiza.

W końcu rozegrali tylko partyjkę wista!

Jednak Diana nie miała pewności, że chodzi tylko o karty. A jej wątpliwości nasiliły się, kiedy udała się na spoczynek. Służąca rozpoczęła normalny wieczorny rytuał, a hrabina nie mogła się powstrzymać, żeby co jakiś czas nie zerkać na wyłożone mahoniem drzwi, dzielące ją od sypialni Rothgara.

Jego pokój był pomalowany w fantazyjne kwietne wzory. Drzwi po drugiej stronie aż lśniły bielą i mogły zachwycić niejednego podlotka różowymi zdobieniami. Początkowo wydawało jej się, że umieszczenie markiza w tak kobiecym pokoju będzie niezłym dowcipem. Powoli jednak zaczynała w to wątpić. Wciąż miała na sobie suknię, chociaż służąca już chciała ją rozpinać. Diana powiedziała jej, żeby chwilę zaczekała i zbliżyła się do drzwi.

Ciekawe, co robi markiz? I jak podoba mu się to pomieszczenie, stworzone specjalnie dla niej w czasach, gdy miała kilkanaście lat? Markiz nie mógł być już rozebrany do snu, ponieważ wychodził jeszcze do stajni, żeby sprawdzić konie.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, Diana zapukała do drzwi.

- Proszę! - dobiegło do niej ze środka.

Nacisnęła ciężką klamkę, myśląc o tym, że powinna odszukać stary klucz do tych drzwi. Weszła i ujrzała markiza. Stał na środku pokoju, w koszuli i spodniach, ale już bez surduta. Nie można tego było nazwać negligem, ale też nie był to strój odpowiedni na przyjęcie damy. Na twarzy Rothgara malowało się zdziwienie.

- Czym mogę służyć, pani?

Hrabina zaczerwieniła się i spróbowała odwrócić wzrok, który spoczywał na jego muskularnym ciele. Na próżno. Z tego powodu zmieszała się jeszcze bardziej.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko tej... sypialni, panie - zaczęła niepewnie. - Chciałam sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje.

Rothgar spojrział najpierw na nią, a następnie jego wzrok powędrował w stronę łóżka w jej pokoju. Piekło i szatani! Diana myślała, że spali się ze wstydu.

- Twoja gościnność, pani, jest... porażająca. Nie, dziękuję, niczego mi nie brakuje.

Diana miała ochotę uciec stąd i zatrzaskać mocno drzwi. Co się z nią dzieje, że strzela gafę za gafą?!

- Musieliśmy wykorzystać wszystkie gościnne pokoje - tłumaczyła się. - Liczę na to, że będzie ci tu wygodnie, mimo kobiecego wystroju.

Rothgar uniósł do góry brew.

- Mam wrażenie, że sypiałem już w podobnych - rzekł z namysłem, a ona pomyślała, że ze wstydu zapadnie się pod ziemię.

- Powinna być ją przemalować - brnęła dalej, chociaż najchętniej zakończyłaby już tę rozmowę. - Korzystałam z niej, kiedy byłam małą dziewczynką, a teraz stoi pusta.'

- Lepiej zaczekaj, pani, aż wyjdiesz za mąż. Będziesz wtedy potrzebować dodatkowej sypialni.

Hrabina uniosła dumnie brodę.

- Przecież wiesz, panie, że, podobnie jak ty, nie chcę wiązać się węzłem małżeńskim.

- A, tak. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Wobec tego powinnaś, pani, zmienić sypialnię.

- Zmienić? Dlaczego? - Diana spojrzała przez ramię, chcąc sprawdzić, co nie podoba mu się w jej sypialni.

Rothgar polecił służącemu, by postawił przed nią wielkie lustro stojące pod ścianą. I nagle stało się jasne, co miał na myśli. W swojej długiej kremowej sukni, z naszyjnikami z pereł i złotymi bransoletami, wciąż pasowała do tej sypialni. Pokój, który przejęła po ojcu, wydawał się dla niej zbyt surowy i ponury. Wyglądało to tak, jakby przez pomyłkę zamienili się pomieszczeniami.

- Bardziej potrzebne jest mi biurko niż toaletka - powiedziała do siebie.

- Wybór należy do ciebie, pani. - Markiz skłonił głowę, - Masz przecież władzę i pieniądze.

Poruszył dłonią, a ten gest wydawał się otwierać wszystkie drzwi wokół. Nagle stało się dla niej jasne, że po śmierci ojca przeniosła się do męskiego świata, w którym musiała radzić sobie z różnymi przeciwnościami. Zamiana pokojów stanowiła symbol tego, co zaszło.

- Czy to już wszystko, lady Arradale? - Rothgar starał się powstrzymać ziewnięcie. - Obawiam się, że jutrzejsze uroczystości zaczynają się wcześniej rano.

Diana poczuła nagle, że nadużywa jego cierpliwości. Pożegnała się więc z nim pośpiesznie, a markiz zamknął za nią drzwi. W wielkim dębowym biurku ojca znalazła klucz. Włożyła go więc do zamka i przekręciła ze zgrzytem.

Była zła na siebie, ponieważ pozwoliła, by ostatni ruch należał do markiza. Jednocześnie zamknięcie drzwi na klucz stanowiło demonstrację nie siły lecz słabości.

To szaleństwo! szaleństwo powtarzała w duchu, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. Czy swoje zachowanie, czy też całą sytuację? A może i jedno, i drugie?

Clara zaczęła rozpinać jej suknię, a hrabina nagle wy-

obraziła sobie, co by się stało, gdyby nie znalazła klucza. Czy Rothgar przyszedłby do niej w nocy? Z całą pewnością byłby wspaniałym kochankiem. Pieściłby ją delikatnie, powoli dochodząc do stanu najwyższej rozkoszy. Przecież nie krył tego, że zna kobiece alkowy. Diana zadrżała, a służąca od razu się spłoszyła.

- Przepraszam, jeśli cię, pani ukłułam - powiedziała pokornie.

Diana nie mogła przyznać się, że ten dreszcz wywołały jej erotyczne fantazje.

- Nic takiego, Claro - westchnęła.

Kiedy później została sama, krążyła jeszcze przez chwilę po pokoju, zastanawiając się, co robi markiz. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Chętnie nawet zajrzałaby do jego pokoju przez dziurkę od klucza, ale zrezygnowała, podniecona tym, co mogłaby zobaczyć. Ciekawe, czy gdyby nie zamknęła drzwi, Rothgar uznałby to za zaproszenie? Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie spał tak blisko niej. Pomijając ojca, który przychodził, żeby pocałować ją na dobranoc.

Diana rozejrzała się dokoła. Pokój ojca wydał jej się nagle smutny, wręcz przygnębiający. Przejęła go wraz z obowiązkami głowy rodu. Musi je przecież wypełniać. Chce utrzymać świetność swej rodziny i nie pozwoli, by jakkolwiek mężczyzna traktował ją jak swoją własność. To było święte postanowienie. Od śmierci ojca wiedziała, że jest skazana na samotność i już dawno się z tym pogodziła.

Więc dlaczego na jej policzkach pojawiły się łzy?

Diana wytarła je starannie batystową chusteczką i położyła się do łóżka. Miała nadzieję, że ten podstępny Rothgar nie zdoła przeniknąć do jej snów.

6

Zarówno ślub, jak i przyjęcie w rodzinnym domu Rosy wypadły nadzwyczajnie. Diana miała wątpliwości, zwłaszcza co do tego drugiego, ponieważ miało się ono odbyć w wiejskim dworze, Coniston Hall, pozbawionym wygód i przestrzeni, do których przywykła arystokracja.

Oczywiście od razu zaproponowała, by urządzić wesele w Arradale, ale ojciec Rosy, bogaty właściciel ziemski, odmówił. Na północy mniej liczył się blichtr i tytuły, a bardziej charakter i własna praca. Jego zdaniem Mallorenowie powinni to zaakceptować.

Diana musiała przyznać, że przyjęli to lepiej niż sądziła. Nie starali się izolować, ale wtopili się w różnobarwny weselny tłum, pokazując, że naprawdę potrafią się bawić. Zresztą niedostatki wyrafinowanej elegancji rekompensował zestaw potraw i sposób ich przyrządzenia, zaś z braku sali balowej, urządzono tańce w wielkiej szopie, co chyba odpowiadało wszystkim.

Hrabina tańczyła z wikarym, rumianym panem Hobwikiem, szwagrem Rosy, Haroldem Davenportem i swoim zarządcą. Cały czas rozglądała się jednak za markizem. Wciąż czuła jego obecność. Markiz tańczył z miejscowymi paniami, nie przebijając, jeśli idzie o wiek czy urodę, co z pewnością zjednało mu pochlebne opinie.

„Gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie...” Diana nie mogła nic poradzić na to, że te słowa ciągle do niej wracały.

Po jakimś czasie Rothgar zniknął jej z oczu. Odnalazła go we dworze w towarzystwie starszych właścicieli ziemskich. Już chciała podejść i wybawić go z tej, jak jej się wydawało,

niezbyt dla niego miłej sytuacji, kiedy zauważyła, że rozmowa jest nadzwyczaj żywa i interesująca dla obu stron.

Zganiła siebie w duchu za to śledzenie markiza i przeszła do pań, które pokrzepiały się właśnie lemoniadą z imbirem. Dzięki kawałkom lodu z piwnic Arradale napój miał prawdziwie orzeźwiające właściwości. Diana próbowała się włączyć do rozmowy, ale dotyczyła ona głównie mężów i dzieci. Znudzona tematem, zerkała co jakiś czas w stronę Rothgara.

Zauważyła, że nie próbuje on upodobnić się do swoich rozmówców. Byłoby to wyjątkowo niemądre posunięcie, ponieważ wszyscy zebrani znali jego pozycję. Na szczęście nie starał się też wywyższać, co podkreślił swoim strojem. Miał on „wiejski”, płowozółty kolor i niewiele ozdób. Jedyne elegancki krój zdradzał, że pochodzi z najlepszych londyńskich salonów krawieckich. Nawet koronkowe wykończenia rękawów były mniej obfite niż zwykle, ale za to wykonane z najlepszego materiału.

Miejscowe ziemiaństwo miało na sobie bogatsze i bardziej krzykliwe stroje. Panowie nosili na wygolonych głowach peruki. Było to łatwiejsze niż hodowanie własnych włosów. Natomiast wszyscy Mallorenowie zdecydowali się wystąpić bez peruk, co podkreślało miły i nieformalny charakter uroczystości.

Mieli na szczęście bardzo ładne i bujne włosy. Zwłaszcza markiz, który związał ściągnięte do tyłu kruczoczarne włosy aksamitką. Diana pomyślała o tym, jak przyjemnie byłoby je czuć pod palcami.

Zarumieniona poprosiła o kolejną lemoniadę i przyłożyła chłodną szklanekę do policzka. Łudziła się nadzieją, że ostudzi to choć trochę jej wyobraźnię. Na próżno. Ciągle miała przed oczami wyrazistą twarz z jastrzębimi rysami i mocno zarysowanymi kreskami brwi. Niebieskie oczy lśniły dziwnym światłem, które znamionowało siłę i władzę. Markiz wyglądał tak, jakby wciąż balansował między powagą a ironią. Może nie teraz, ale zawsze, kiedy z nią rozmawiał.

W pewnym momencie Rothgar wstał, żeby nalać sobie

kolejnego drinka. Natychmiast popatrzyła w jego stronę, jakby łączyła ich niewidzialna smycz. Przekonana, że było to zbyt ostentacyjne, zaczerwieniła się aż po korzonki włosów i rozejrzała dokoła, chcąc sprawdzić, czy ktoś zauważył jej spojrzenie.

Niespodziewanie podpłynęła do niej ubrana na biało Rosa.

- Jeśli będziesz tak na niego patrzeć, ludzie zaczną plotkować - szepnęła jej do ucha przyjaciółka.

- Nie bądź głupia! - obruszyła się Diana.

Rosa wzięła ją pod rękę i odciągnęła w jakiś ustronny kąt. Wyglądała pięknie w swoim koronkowym staniku wyszywanym perłami. Biały welon ocieniał jej delikatną twarz.

- Elfytała mnie już o to, co łączy cię z jej bratem.

- Z markizem? To przecież nonsens!

Kuzynka знаła ją jednak na tyle dobrze, żeby nie dać się zwieść.

- Lord Rothgar jest interesującym mężczyzną - zauważyła. - I przystojnym, zwłaszcza jeśli kogoś fascynują dra piezniki.

- Do licha, przecież jest też głęboko ludzki!

Rosa spojrzała na nią z bezgranicznym zdziwieniem, a hrabina przeklęła w myśli swój szybki język.

- Oczywiście on mi się wcale nie podoba. - Diana postanowiła wybrnąć z niezręcznej sytuacji. - Ale to nie znaczy, że nie mogę widzieć jego zalet. Czasami bardzo mi go żal, Roso.

- Żal?! Lorda Rothgara?! - powtórzyła przyjaciółka, jakby chcąc się upewnić, że mówią o tej samej osobie.

- Jesteś taka, jak inni! Widzisz w nim tylko doskonale funkcjonującą maszynę, a nie żywego człowieka! Powinnaś mu być wdzięczna. To dzięki niemu stanęłaś na ślubnym kobiercu!

- Jestem, ale...

- Tak, to prawda, że jest inteligentny, elegancki, a poza tym zajmuje się sprawami największej wagi państwowej - ciągnęła Diana ze świadomością, że wkrótce pożałuje swoich słów. - Ale popatrz, jaki jest samotny! Nie widzisz, że nawet najbliższa rodzina go nie rozumie?!

- A ty? Ty rozumiesz? - **spytała nieufnie Rosa.**

Hrabina skinęła głową.

- Naturalnie. Ponieważ ja też czuwał nad dobrem rodziny i postanowiłam nigdy nie wchodzić w związki małżeńskie - powiedziała zdecydowanie. - Oczywiście, przy zachowaniu odpowiednich proporcji.

- Jeśli dobrze pamiętam, nie miałaś w rodzinie choroby psychicznej - rzuciła niewinnie przyjaciółka.

Diana starała się jej nie słuchać.

- Poza tym, jest człowiekiem znanym...

- To chyba dobrze - wtrąciła zaraz Rosa.

Jednak Diana wiedziała, co oznacza popularność. Markiz nie mógł pewnie przejść ulicą, nie będąc rozpoznany. A wielbiciele potrafią być natrętni. Sama coś o tym wiedziała, chociaż była tylko jedną z znanych osób z północy Anglii. Ale prawdziwą anonimowość zapewniało jej jedynie przebranie. Skorzystała z niego w zeszłym roku udając pryszczatą pokojówkę Rosy. To właśnie wtedy spotkała markiza po raz pierwszy.

- Nie ma też czasu na prawdziwe przyjaźnie - dodała Diana, myśląc o swojej sytuacji.

To prawda, że miała wielu znajomych, ale tylko Rosa była jej prawdziwą przyjaciółką. A teraz traciła nawet ją.

- Ma przecież piękną kochankę - stwierdziła Rosa, nie wiedząc, że tym jednym zdaniem wywoła prawdziwą burzę w sercu hrabiny.

- Czy... czy nie boi się, że spłodzi dziecko? - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Podobno jest bezpłodna.

- To... bardzo... wygodne - zauważyła, czując, że każde słowo kaleczy jej krtań.

Nie, nie powinna się tak bardzo przejmować sprawami markiza! Jednocześnie starała się przekonać, że kieruje **nią** jedynie współczucie.

- Jest bardzo piękna - ciągnęła Rosa. - W hiszpańskim typie.

Diana spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciółkę.

- Chcesz powiedzieć, że Małtorenowie przedstawili cię tej kurtyzanie?! - Nie posiadała się ze zdumienia.

Rosa w odpowiedzi potrząsnęła głową.

- To nie jest kurtyzana. I nikt tak naprawdę nie wie, czy rzeczywiście jest kochanką lorda. Tak się tylko mówi. - Rosa ponownie zniżyła głos. - To uczona i poetka. W jej domu odbywają się przyjęcia literackie. Byliśmy nawet na jednym z Brandem.

Uczona i poetka! pomyślała smutno Diana. Mimo starannego wykształcenia, nie była ani jednym, ani drugim. Czuła, że coś dławi ją w gardle, dlatego pociągnęła Rosę do drzwi, żeby wyjść na powietrze.

Kiedy znalazły się na zewnątrz, odetchnęła parę razy głębiej, a następnie zaproponowała, żeby poszły zobaczyć tańce. Tam przynajmniej nie było markiza.

- To pewnie ciekawa osobowość - rzuciła Diana, nie mogąc się uwolnić od myśli na temat kochanki markiza.

- Kto? - zdziwiła się Rosa. - A, tak, oczywiście. Elegancka i światowa. Wyglądają razem jak dwoje pięknych, rasowych kotów.

- Kotów? Trudno mi sobie wyobrazić markiza w charakterze kanapowca, który łąsi się do czyichś rąk.

Rosa zaśmiała się krótko.

- Przecież sama mówiłaś, że nie jest pozbawiony uczuć.

Diana tylko machnęła ręką i spojrzała na wirujące pary. Nie było sensu niczego tłumaczyć. Rosa należała już do innego świata i z całą pewnością nie rozumiałaby skomplikowanej psychiki lorda Rothgara.

Myśli Diany krążyły wciąż wokół niego. Tak, ona potrafiła go zrozumieć. A jednocześnie sprawiało jej przyjemność wyobrażanie sobie, że markiz właśnie do niej się łąsi. Że to ona może zaspokoić jego kocią potrzebę pieśczo-

Muzyka zamilkła i tancerze skłonili się sobie głęboko. Zapowiedziano następny taniec. Panowie ustawili się w jednym rzędzie, a panie w drugim. Flecista dał znak i rozpoczęto skoczny jiga.

Atmosfera robiła się coraz bardziej swobodna. Dżentelmeni emablowali damy, a młodzież pozwalała sobie nawet od czasu do czasu na wymianę pocałunków. Wzrok Diany padł na grupę dzieci, które bawiły się w swoim kółku. Był wśród nich Arthur, który po swojemu podskakiwał w takt muzyki. Zapłonione i szczęśliwe córki lady Steen znalazły sobie partnerów i tańczyły z dorosłymi.

- Widziałam go z siostrzeńcem - powiedziała po chwili hrabina. - To zadziwiające, jak się potrafi nim opiekować.

Tym razem Rosa nie musiała już pytać, o kogo jej chodzi.

- Tak, wygląda jak tygrys z barankiem - zaczęła, ale zaraz umilkła widząc błyski w oczach Diany. - Tak, widać, że powinien mieć dzieci.

Skoro nie zjadł jeszcze małego Arthura, dodała w duchu.

Hrabina patrzyła na maluchy, myśląc o tym, że nie potrafi być w ich towarzystwie tak naturalna i swobodna jak Rothgar. Jej wzrok padł na dziecko, które wirowało w tańcu jak kołowrotek. Nieco dalej zauważyła żonę lorda Bryghta, trzymającą w ramionach uśpionego synka. Wśród kobiet z sąsiedztwa była jeszcze jedną żoną i matką. Bez trudu znalazła z nimi wspólny język.

Diana pomyślała, że nic nie denerwuje jej bardziej niż rozmowy o porodach. Albo o przeziębieniach dzieci!

Nie należała do tego świata.

Nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Tak, masz rację - zwróciła się do Rosy. - Markiz powinien się ożenić. To dziwne, że nikt go jeszcze nie przekonał.

- Ze jego matka nie była szalona?

Diana pokręciła głową.

- Że warto zaryzykować.

- Słyszałam, że lord Bryght próbował to zrobić, ale doszło do przykrej sceny - poinformowała ją Rosa.

Diana z całą pewnością wypytałaby przyjaciółkę o szczegóły, ale w tym momencie w stodole pojawił się lord Brand.

- Zdaje się, że mąż już się za tobą stęsknił - powiedziała, czując ukłucie w sercu.

Rosa wyciągnęła ku niemu ręce i pocałowała go mocno, gdy wziął ją w ramiona.

- Ten rok nauczył nas cierpliwości, prawda kochanie? - zwróciła się do męża.

Diana wiedziała, że po gwałtownym wybuchu namiętności oboje postanowili czekać z rozpoczęciem miłosnego życia aż do ślubu.

Brand pocałował ją raz jeszcze.

- Mnie nie nauczył niczego! - stwierdził z łobuzerskim uśmiechem. - Chodźmy już, kochanie.

Rosa przyłgnęła do niego niemal całym ciałem. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby wiedzieć, jak są szczęśliwi. Przez moment Diana żałowała, że nie ma ukochanego. Chciała, żeby ktoś tak na nią popatrzył przynajmniej raz w życiu.

- Muszę już iść, Diano - zwróciła się do niej przyjaciółką. Zabrzmiało to, jak zapowiedź rozstania. - Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś i życzę ci, żebyś znalazła swoje szczęście. Być może wcale nie jest tak daleko - dodała z tajemniczą miną.

Hrabina chciała wyjaśnić, że kobieta z jej pozycją i władzą musi zapomnieć o własnym szczęściu, ale tylko uśmiechnęła się do nowożeńców.

- Bądźcie zawsze zdrowi i tacy dla siebie, jak dzisiejszego dnia - powiedziała. - A mnie wystarczy polityka i rachunki. Nie uwierzycie, ale bardzo mnie to zajmuje.

Rosa zrobiła minę, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale po chwili zrezygnowała. Przytuliła się tylko ciałem do męża i po chwili zniknęli wśród tłumu otaczającego stodołę. Diana znowu została sama.

Po następnym tańcu zarządziła przerwę. W najlepszym możliwym momencie, ponieważ Brand zbierał się już wraz z żoną do odjazdu. Mieli stąd spory kawałek do swojego nowego domu w Wenscote i dlatego zdecydowali się wyjechać wcześniej. Ich powóz już czekał, a woźnica kończył zapinanie uprzęży.

Zebrani obsypali nowożeńców kwiatami, wyjmowanymi z koszy przygotowanych uprzednio przez Dianę. Te-

raz, żeby godnie pożegnać przyjaciółkę, sama chwyciła jeden z tych koszy i chodziła wśród tłumu, by każdy mógł z niego zaczerpnąć. Podesunęła go też markizowi, który, ku jej zdziwieniu, wziął aż dwie garście kwiecica, podążył w stronę nowożeńców i wysypał je prosto na ich głowy.

Brand śmiejąc się, próbował usunąć płatki z włosów młodej żony, a potem swoich. Na próżno. Sporo kwiatków zostało, tworząc wokół ich głów coś w rodzaju korony, czy może raczej aureoli.

Natenwidok Diana poczuła ściśnięcie w gardle. Nie chciała jednak płakać. Będzie się przecież nadal widywać z przyjaciółką. Zebrała resztę kwiecica z kosza i rzuciła na Rosę.

- Szczęśliwej drogi!

Łzy same popłynęły jej po policzkach.

- Czy małżeństwo to tak wielkie nieszczęście, hrabino? -

Usłyszała głęboki męski baryton tuż koło swego ucha.

Zamarła nagle, świadoma bliskości Rothgara.

- To są łązy szczęścia, markizie - odparła, wycierając policzki. - Zresztą, już nie płaczę.

W obliczu zagrożenia udało jej się szybko powstrzymać

- Wciąż płaczesz, pani. Tylko w myślach.

- Masz inklinacje do metafizyki, panie - stwierdziła, rając się, by jej głos zabrzmiał kpiąco.

Rothgar potraktował to jednak poważnie.

- Być może metafizyka jest w życiu najważniejsza.

- Co by znaczyło, że jesteśmy jak piórka na wietrze.

- A nigdy się tak nie czułaś, pani? - Markiz patrzył na nią uważnie.

Gdyby chciała powiedzieć prawdę, musiałaby wyznać, przez cały dzień miotały ją dziwne, nieznanne jej po uczuć. Tak, jakby stała się nagle zupełnie innym człowiekiem

- A ty, panie?

Wstrzymała oddech. Myśl o tym, że markizem kierowało coś poza jego wolą, wydała jej się mało prawdopodobna,

- Chodźmy, bo zaraz odjadą - powiedział po chwili wahania. - Z pewnością będzie ci brakować przyjaciółki, pani.

- A tobie, panie, brata - zauważyła, tknięta nagłą myślą. -
To przecież ostatni.

Wiedziała, że trafiła w jego słaby punkt. Markiz też czasami musiał się czuć jak miotane wiatrem piórko.

- Ostatni? - powtórzył, chcąc zyskać na czasie.

- Inni twoi bracia są już żonaci - wyjaśniła. - Zdaje się, że sam ich swatałeś, prawda, panie?

Rothgar pokiwał tylko smutno głową.

- Masz, pani, doskonałą pamięć.

- I co będziesz robił teraz? - zapytała prowokacyjnie.

- Swat pozostaje swatem. Będę się starał dobrze wyswatać naszą ojczyznę - odparł po dłuższym namyśle.

- Komu?

- Cóż, przede wszystkim, pokojowi - odrzekł po następnej minucie. - W kraju musi być spokojnie, żeby mógł się prawidłowo rozwijać.

Hrabina sama wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Pokój miał zawsze swoją cenę.

- Czy nie powinniśmy odebrać Francji tego, co do nas należy?

Tym razem nie musiał zbyt długo szukać odpowiedzi.

- Raczej wzmocnić to, co już mamy. To i tak dużo.

Pochylił się, żeby wyjąć coś z kosza na kwiaty. Kiedy się wyprostował, zauważyła, że trzyma w ręku mak. Purpurowy kwiat mógł zesłać kojący sen albo wywołać potworne uzależnienie.

Skinęła głową.

- Zgadza się.

Rothgar zbliżył się do niej i zatknął kwiat za jej stanik. Tak głęboko, że poczuła łaskotanie między piersiami. Dłonie zabrakło refleksu, żeby zaprotestować. Spojrzała najpierw na kwiat, a potem w oczy markiza.

- O co ci chodzi, panie?

W odpowiedzi wymamrotał coś po grecku.

- Arystoteles. - Bez trudu rozpoznała cytat. - Łatwiej zrozumieć innych niż siebie. Łatwiej też ich osądzić.

Zaskoczony Rothgar spojrział na nią z podziwem. Dopiero po chwili pokiwał ze zrozumieniem głową.

- To jasne, jako jedynaczka i dziedziczka otrzymałaś, pani, męską edukację.

- Czasami było to potwornie nudne, ale jak widać, się opłacało - rzekła, a złośliwy uśmiezek pojawił się na jej wargach.

Markiz spojrział na nią swoimi błękitnymi oczami, w których igrały wesołe iskierki.

- Przy tobie, pani, muszę pamiętać, że kobiety mają też głowy - stwierdził.

Diana nie wiedziała, czy potraktować to jako komplement pod swoim adresem, czy też bronić honoru kobiet.

- Już Safona stanowiła tutaj dobry przykład - rzekła surowo, żeby się zaraz zawstydzić.

Markiz jedynie machnął ręką.

- Safona nie napisała niczego nadzwyczajnego. Można by nawet powiedzieć, że była typową kobietą. Pisała z głowy, ale nie o głowie, że się tak wyrażę.

Diana zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Ty, pani, jesteś znacznie bardziej interesująca - dodał po chwili.

Znowu poczuła na sobie jego spojrzenie. Ponieważ zauważyła, że podstawiono już jej powóz, postanowiła uciec, ratując się w ten sposób z opresji. Nie lubiła, kiedy to właśnie ona stawała się tematem rozmowy. Och, gdyby miała przy sobie pistolet, z którego mierzyła do niego rok temu.

- Tylko ci się tak wydaje, panie. Zegnaj - rzuciła jeszcze, wciskając się na miejsce obok ciotki Mary.

Powóz ruszył w kierunku zamku. Hrabina spojrziała na mak, który wciąż miała zatknięty za dekollet. Śmiało posunięcie. Ciekawe, co miało znaczyć?

A może, po prostu, nic?

Nie, lord Rothgar nie należał do ludzi, którzy robią coś o tak sobie. We wszystkim był jakiś cel. Zaniepokoić ją? Zbić z pantałyku? A może był to gest przyjaźni? Jeśli tak, to zbyt erotyczny, jak na jej gust.

Powoli zaczęło narastać w niej przekonanie, że markiz również jej pragnie. Być może oboje musieli walczyć z pożądaniem.

Diana zobaczyła piórko na rękawie ciotki i dmuchnęła. Delikatny puszek uniósł się w powietrze i poleciał do góry, wprost w niebo. Płynął sobie delikatnie, aż w końcu uderzył w niego podmuch wiatru i puszek pofrunął daleko przed siebie.

Woźnica pogonił konie. Powóz potoczył się szybciej. Piórko zniknęło jej z oczu.

Rothgar odwrócił oczy od powozu, którym odjechała lady Arradale. Pomyślał, że popełnił wielkie głupstwo, wtykając jej kwiat za stanik. Bliskość ciała hrabiny rozpałała go do białości. Miał wrażenie, że śluby i wesela coraz gorzej działają na jego mózg.

Przez chwilę jeszcze przechadzał się wśród ostatnich gości. Widział szczerze, przyjazne twarze i roześmiane oczy. Wszyscy się tu znali. To był inny świat i markiz pomyślał ze smutkiem, że nigdy nie będzie do niego należał.

Podobnie, jak lady Arradale.

Tyle, że ona przynajmniej miała z nim jakiś kontakt. Paru ziemian, z którymi rozmawiał, wspominało, że odgrywa dużą rolę w północnej części kraju. Niektórzy nie kryli też, że woleliby na jej miejscu mężczyznę, ale nawet oni chwalili ją za dobre i mądre decyzje. Tak, wieś nie znała jeszcze intryg. Ciekawe, czy hrabina potrafi to docenić.

Jeszcze raz pomyślał o niej ciepło. Rozumna, pełna wdzięku, piękna, wykształcona. I niebezpieczna, dodał zaraz. Bardzo niebezpieczna.

Wczoraj wieczorem przyszła do jego sypialni.

Co dalej? Czy następnym razem wypuści ją, tak jak wczoraj?

Rothgar zażądał konia pod wierzch. Stajenny osiodłał go w ciągu paru minut. Markiz dosiadł wierzchowca i ruszył w stronę zamku.

7

Po powrocie do Arradale goście rozeszli się do swoich pokoi, żeby się przebrać i trochę odpocząć. Diana zażądała późnej kolacji i upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, również udała się na spoczynek.

Z westchnieniem ulgi legła na łóżku ojca i najpierw przez kilka minut przypominała sobie ślub, a następnie skoncentrowała się na osobie markiza. Musiała teraz przyjąć jakąś taktykę, żeby przetrwać kolejny dzień. No i oczywiście dzisiejszą kolację.

Leżąc na miękkim łożu, powoli traciła orientację. Nie wiedziała już, o co jej tak naprawdę chodziło. Czy o zwycięstwo w pojedynkach słownych? Czy może o to, żeby wyjść cało z tego spotkania?

Dziś po kolacji znowu zasiądą do gry w wista. Musi uważać, żeby nie grać z markizem. Ani przeciwko niemu, bo przecież wtedy mogłaby stracić „duszę”. Najutro zaplanowała już parę rzeczy: łowienie ryb, wycieczkę łódką po jeziorze i, dla zainteresowanych, wyprawę do wodospadów.

A pojutrze? Diana odetchnęła z ulgą. Pojutrze wszyscy wyjadą. I o ile żal jej się będzie żegnać z nową przyjaciółką, o tyle chętnie rozstanie się z Rothgarem!

Hrabina wstała po jakiejś półgodzinie, czując, że wciąż jest jej gorąco. Zadzwoiła na służącą, żeby przygotowała jej kąpiel. Wymyta i odświeżona włożyła lekki jedwabny szlafrok. Właśnie tego potrzebowała. Jedwab pieścił delikatnie jej ciało, a ona mogła odpocząć, śniąc... o markizie.

Diana otworzyła oczy i podniosła się z łóżka. Pomyślała, że życie pod jednym dachem z Rothgarem stanowczo przekracza jej możliwości.

Spokojnie, już niedługo się go pozbędzie. Tylko, czy nie warto doświadczyć czegoś nowego przy okazji tej wizyty? Jeżeli się jeszcze kiedykolwiek spotkają, to pewnie za parę lat. Czy *nie* będzie wtedy żałować, że go nie pocałowała?

Serce podskoczyło w piersi hrabiny.

- Nie, dosyć tego! - powiedziała głośno i sama zdziwiła się, że jej głos brzmi tak mocno w sypialnianej ciszy.

Musi coś zrobić! Musi działać! Inaczej pograży się bez reszty w sennych marzeniach o Rothgarze.

Usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać leżące na nim papiery. Przed ślubem nie miała czasu, żeby to zrobić i dlatego piętrzący się przed nią stos wyglądał nadzwyczaj okazale. Większość stanowiły rachunki, wymagające jedynie jej podpisu albo propozycje, które od razu mogła wyrzucić. Dopiero po paru minutach zatrzymała się na dłużej nad listem od kuzynki. Annę zawiadamiała ją oficjalnie, jako głowę rodu, o planowanym ślubie. Czyżby cały świat zwariował na punkcie małżeństwa? A przecież jej chodziło o jeden niewinny pocałunek!

List wypadł jej nagle z ręki.

Niewinny?

Diana nauczyła się w ten sposób myśleć po doświadczeniach z wczesnej młodości, kiedy to pozwalała od czasu do czasu, żeby jakiś chłopiec z sąsiedztwa skradł jej całusa. Później, niekiedy, decydowała się też na mniej niewinne pieszczoty, w czasie balów maskowych i innych tego rodzaju okazji. Cały czas miała jednak świadomość, że w pełni panuje nad sytuacją.

Teraz po raz pierwszy poczuła się zagrożona. Wystarczyła sama myśl o pocałunku, a już dreszcz przebiegał po jej ciele.

To dlatego, tłumaczyła sobie, że lord Rothgar jest niebezpieczny.

Diana oparła brodę na dłoni i przez chwilę zastanawiała się nad całą sprawą. Markiz nie powinien być przecież dla niej zagrożeniem. Jego niechęć do małżeństwa stanowiła odpowiednie zabezpieczenie.

Czy nie mogłaby więc pozwolić sobie na jeszcze jeden flirt?

Uporządkowała resztę papierów i bezwiednie sięgnęła po leżący nieopodal mak. Bawiąc się nim przeszła do drugiego pokoju, gdzie spoczęła na szezlongu przy otwartym oknie. Myślami powróciła do rozmowy sprzed roku:

- Co by się stało, panie, gdybym pozwoliła ci całować moją dłoń? - spytała wówczas Rothgara.

- Cóż, to w dalszym ciągu byłby flirt, hrabino.

- Flirt? - powtórzyła, unosząc lekko brwi.

- Tak, trochę poważniejszy - przyznał.

- Wobec tego moja wiedza na temat flirtu jest **bardzo** ograniczona - westchnęła.

- Może chciałabyś nauczyć się czegoś nowego?

- Nie, dziękuję - odrzekła wtedy słabnącym głosem.

Jeszcze teraz na to wspomnienie serce biło jej szybciej. Hrabina ucałowała lekko czerwone płatki i uniosła się trochę na szezlongu. Gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie - te słowa wciąż dźwięczały jej w głowie.

- Claro! - zawołała służąca.

Pojawiła się ona niemal natychmiast, trzymając w rękach suknię, którą Diana chciała włożyć na kolację.

- Słucham panią.

- Powiedz Ecclesby'emu, że po kolacji urządzimy tańce

Rothgar miał na sobie tylko pasowane spodnie i koszule. Związane z tyłu włosy opadały mu na plecy, kontrastując z jej bielą. Siedział w pokoiku obok sypialni, przy damskim biurku, które bardziej nadawało się na toaletkę niż miejsce, przy którym można prowadzić korespondencję. Między innymi listami Carruthers przysłał mu dwa zaszyfrowane raporty. Jeden dotyczył tego, co dzieje się w Paryżu, a drugi stanowił dokładny opis działań francuskiego ambasadora w Londynie. Bardzo zaniepokoiło go to, że D'Eon tak łatwo zdołał wkraść się w łaski królowej. Po krótkim namyśle zdecydował, że po powrocie sam będzie musiał zająć się tą sprawą.

Następnie otworzył list z pieczęcią królewską. Tak, jak się spodziewał, nie było tam nic szczególnego. Rothgar za-

trzymał się tylko na dłużej nad fragmentem poświęconym lady Arradale. Z jakichś powodów król miał obsesję na punkcie hrabiny. Powinien raczej zająć się własną żoną i nie mieszać się do czyichś prywatnych spraw. Markiz pomyślał, że ten problem będzie dla niego kolejnym wyzwaniem.

Ktoś zapukał do drzwi.

Rothgar złożył list i ukrył go wśród innych na biurku.

- Proszę.

Spodziewał się Diany, natomiast w drzwiach pojawiła się Elf. Siostra miała na ustach uśmiech, ale widział, że jest spięta.

- Piękny ślub, nieprawdaż? - zagaiła i zerknęła do wnętrza pokoju. - Dobry Boże!

Rothgar zachował stoicki spokój.

- To dawny pokój hrabiny - wyjaśnił. - Różowy kolor działa kojąco na nerwy. Jeśli teraz powiesz mi, że przepuściłaś rodzinny majątek, najwyżej pogrozę ci palcem.

Elf roześmiała się swobodnie. Nie chodziło więc o pieniądze.

- Rozumiem, że w zamku mogło zabraknąć pokoi gościnnych, ale... - Ponownie rozejrzała się wokół. - Przepraszam, czy mogę zajrzeć do sypialni?

Rothgar sam otworzył jej drzwi. Elf stała przez dłuższy czas w progu, podziwiając różową tapetę, łóżko z amorkami nad wezgłowiem i baldachim w kwietne wzory.

- Czy możemy się zamienić? - spytała w końcu. - Takie dziewicze łóżko bardzo mnie podnieca.

Markiz uśmiechnął się do siebie.

- Być może o to chodziło hrabinie - rzekł po namyśle. - Ale na mnie nie ma jakiegoś wpływu.

Jednak wystarczyło, że pomyślał o Dianie, a już przed oczami stanęła mu erotyczna scena z jej udziałem. Zobaczył ją śpiącą w samej białej w tym właśnie łóżku i... Nie, nie, wystarczy!

Elf weszła do sypialni.

- Bardzo tu pięknie.

- H m , no tak. Napijesz się czegoś? Mogę ci nalać lemoniady z cytryną - zaproponował.

Siostra natychmiast skinęła głową.

- Wspaniale! - Przyjęła z jego rąk chłodną szklankę. - Skąd ją wzięłeś, Bey?

- Zamówiłem u służby - odparł. - Zresztą sam przywiozłem do Arradale chyba tonę cytryn.

- Nie spodziewałeś się, że hrabina będzie je miała - zauważyła złośliwie.

- Raczej nie chciałem uszczuplać jej zapasów. Przecież wiesz, że uwielbiam cytryny. - Wskazał jej miejsce w lekkim wyplatany fotelu. - No, Elf, powiedz, co cię sprowadza do mojego buduaru?

Uśmiechnęła się raz jeszcze, ale już mniej pewnie i wypila spory łyk lemoniady. Rothgar zajął miejsce naprzeciwko.

- Bardzo polubiłam lady Arradale - zaczęła, czując, że chyba po raz pierwszy wkracza w osobiste życie brata. - Em, widziałam, jak włożyłeś kwiat za jej stanik. Chyba nie chcesz z nią flirtować?

Spuściła oczy, ale Rothgar patrzył wprost na nią.

- A gdybym miał taki zamiar?

- Musiałabym zaprotestować - powiedziała mocniejszym głosem.

- Chyba nie sądzisz, że mógłbym ją skrzywdzić? Hrabina jest silną i władczą kobietą i wie, na co może sobie pozwolić.

Siostra pokręciła głową.

-W tych sprawach nie ma mocnych i można kogoś skrzywdzić nawet o tym nie wiedząc - stwierdziła. - Oczywiście wiem, że nie dopuściłbyś do skandalu.

Markiz pochylił się w stronę siostry.

- Więc nie rozumiem, czego się obawiasz.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Czuła się niezręcznie, ale jednocześnie jej interwencja zaczęła nabierać sensu. Rothgar dał przecież wyraźnie do zrozumienia, że interesuje się Dianą.

- Tego, że złamiesz jej serce!

- Jestem przekonany, że hrabina potrafi odróżnić flirt od trwałego związku - rzekł szybko.

Elf potrząsnęła głową.

- Ale po co ten cały flirt?! - spytała dramatycznie. - Rosa opowiadała mi o waszym poprzednim spotkaniu.

- I co, myślisz, że chcę się zemścić? - przerwał jej.

- Sam to powiedziałeś, Bey!

- Naprawdę sądzisz, że chcę ją sobie rozkochać, a potem porzucić w podły sposób? - zapytał z niedowierzaniem. - Myślałem, że stać cię na więcej fantazji.

Elf poczuła, że się rumieni. Chciała jednak doprowadzić tę rozmowę do końca.

- Więc po co to wszystko? Przecież pojutrze wyjeżdżamy! Markiz wzruszył ramionami.

- Wesela tworzą sprzyjającą atmosferę do flirtu - wyjaśnił. - A tak się składa, że poza wdową, jesteśmy z hrabiną jedynymi osobami bez pary.

- Wobec tego flirtuj z wdową!

- Nawet próbowałem, ale ta kobieta ma niezamężną córkę! - jęknął Rothgar.

Elf nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Wobec tego, jeśli nie masz zamiaru się żenić, powinieneś powstrzymać się od flirtów - stwierdziła z całą mocą.

- Diana potrzebuje mężczyzny, który mógłby się zająć jej sprawami. Ty jesteś potrzebny w stolicy.

Markiz rozłożył szeroko ręce.

- Więc widzisz, że nic nie może wyniknąć z tego związku. - Powoli zaczynał tracić cierpliwość. - Oboje mamy inne plany.

Jednak siostra raz jeszcze pokręciła głową.

- Obawiam się, Bey, że nie rozumiesz sytuacji lady Arradale - zaczęła wyjaśnienia. - Wybrała trudną drogę i w przeciwieństwie do samotnych mężczyzn nie może ulec żadnej pokusie. Dlatego właśnie jesteś dla niej zagrożeniem.

Rothgar roześmiał się serdecznie.

- Nie przeceniasz przypadkiem moich możliwości?
- Czasami mam wrażenie, że to ty ich nie doceniasz
westchnęła Elf, wstając ze swego miejsca.
Markiz pospieszył, by otworzyć jej drzwi.
- Przecież wiesz, że staram się zrozumieć swoje słabe
i mocne punkty - rzucił przy wyjściu.
Siostra tylko pokręciła głową.
- Ale nie wszystkie, nie wszystkie - rzekła smutno.-
Nie masz pojęcia, ile kobiet cierpiało z twojego powodu.
Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia.
- Na własne życzenie - mruknął.
Elf otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć,
ale po chwili je zamknęła. Pożegnała się z bratem i wyszła.
W korytarzu zatrzymała się i spojrzała na grecką urnę niewi-
dzącym wzrokiem. Ta rozmowa wcale jej nie uspokoiła. Po
namyśle podeszła do sąsiednich drzwi i zapukała lekko.
Otworzyła jej pulchna pokojówka z zadartym noskiem
- Słucham, panią.
- Chciałabym rozmawiać z hrabiną, jeśli to możliwe.
- Elf? - Głos Diany dobiegł do niej z wnętrza pokoju.
Wejdz, proszę.
Pokojówka otworzyła szeroko drzwi i wpuściła ją d<
środku. Elf zauważyła, że Diana wstaje właśnie z szezlo
ga. Miała na sobie jasnozielony jedwabny szlafrok.
- Przepraszam, przeszkodziłam ci w odpoczynku.
Pani domu pokręciła głową.
- Wręcz przeciwnie. Myślę, że lepiej wypocznę przy
rozmowie. - Wskazała jej wygodną kanapę, stojącą koło
otwartego okna. - Usiądź proszę. Napijesz się lemoniady?
Na stoliku stał dzban w pojemniku z lodem. Obie te
rzeczy były takie same jak w pokoju Rothgara.
- Z przyjemnością.
Służąca podała im szklanki napełnione chłodnym płynem.
- Możesz teraz odejść, Claro - zwróciła się do niej hra-
bina. - Będę cię potrzebowała dopiero przed kolacją.
Po chwili zostały same.

- Lemoniada jest doskonała **na gorące letnie wieczory**,
takie jak dziś - zauważyła Elf.

Diana skinęła głową.

- Twój brat był na tyle uprzejmy, że przywiózł dodatkowy zapas cytryn. Inaczej musielibyśmy już pić wodę.

- Tak, Bey lubi panować nad sytuacją.

Diana roześmiała się na te słowa.

- Jest wspaniałym człowiekiem - powiedziała lekko, ale Elf nie dała się na to nabrać.

Tak jak ona, Diana miała dwadzieścia sześć lat. Wydawała się jednak bardziej dojrzała, zapewne z powodu swoich licznych obowiązków. W ciągu ostatnich lat udawało jej się unikać różnych niebezpieczeństw, co tylko ją wzmocniło. Jednak Elf dostrzegła też jakiś smutek w jej oczach. Coś, co świadczyło o tym, że tęskni do tego, co kobiece i słabe. Doskonale rozumiała tę tęsknotę. Wiedziała też, że Diana musiała wkładać coraz więcej wysiłku w obronę swojej niezależności.

- Dałabym wiele, żeby wiedzieć o czym myślisz. - Usłyszała po chwili głos hrabiny.

Natychmiast ocknęła się z zamyślenia.

- W zeszłym roku postanowiłam stracić dziewictwo - powiedziała, gdyż nie miała zamiaru bawić się w subtelności.

Diana wytrzeszczyła oczy.

- I co? - wydusiła z siebie.

- Byłam już zmęczona strzeżeniem cnoty - ciągnęła Elf z nadzieją, że wszystko, co powie, będzie czymś w rodzaju ostrzeżenia. - Sama postanowiłam z tym skończyć. Oczywiście z pomocą Forta. Okazało się, że jest to dosyć trudne.

- Pewnie chciał zaczekać do ślubu - domyśliła się Diana.

Siostra Rothgara roześmiała się perliście.

- Fort? Nie! Chodziło raczej o... To dosyć skomplikowana sprawa. Po prostu nie chciał wżeniac się w rodzinę Mallorenów i to mi zaimponowało. Każdy inny wzięłby mnie nawet, gdybym była garbata.

Diana pokiwała głową, chcąc dać znak, że wie do czego zmierza.

- Ale w końcu przecież i tak wzięliście ślub? - spytała.

- Pobraliśmy się cztery miesiące po tym wydarzeniu. Mogło pójść gorzej. Na szczęście nie zaszłam w ciążę.

Diana poczuła, że się rumieni.

- Gdybyś spodziewała się dziecka, twoi bracia i tak zmusiliby lorda Walgrave do małżeństwa i wszystko skończyłoby się tak samo - zauważyła.

Elf pokręciła głową.

- Nie, wówczas na pewno bym za niego nie wyszła - stwierdziła z mocą. - A moi bracia, nawet Cyn, też byli temu przeciwni.

Hrabina otworzyła ze zdziwienia usta.

- Więc wiedzieli o tym, co się stało? Rothgar wiedział? I co zrobił?

Elf uśmiechnęła się smutno.

- Wygłosił krótki wykład o wykorzystywaniu ludzi i wciąganiu mężczyzn w pułapkę. Nie było to zbyt przyjemne, ale i tak odetchnęłam z ulgą. Bałam się, że wyzwie Forta na pojedynek - zakończyła swoją opowieść.

W pokoju zapanowało milczenie. Diana zaczęła wygładzać dłonią fałdy swojego szlafroka.

- Jak rozumiem, jest to ostrzeżenie przed... flirtem. - Uniosła głowę i spojrzała na siostrę Rothgara. - Jednak w twoim wypadku wszystko skończyło się dobrze.

- Ale mogło też dojść do katastrofy. - Wzięła Dianę za rękę. - Przepraszam, że może zabrzmi to, jak impertynencja... Znamy się tak krótko... Uważaj, Dianko. Jak słyszałaś, znam niebezpieczeństwa, na które jesteś narażona. Gdybym miała ci coś polecić, to tylko małżeństwo.

Hrabina cofnęła natychmiast swoją dłoń.

- Jestem przekonana, że małżeństwo to wspaniała rzecz - stwierdziła chłodno. - Jednak cena, którą musiałabym za nie zapłacić, jest zbyt wysoka.

Elf westchnęła ciężko. Być może niepotrzebnie rozmawia-

ła z Dianą na ten temat. Osoba tak chłodna i wyniosła jak ona, z całą pewnością poradzi sobie ze swymi słabościami.

- Utrzymałabyś przecież hrabiowski tytuł - podjęła dyskusję.

- Ale w oczach świata byłabym tylko żoną swego męża. Utraciłabym prawo zasiadania w Izbie Lordów i reprezentowania swojej rodziny. Nie oddam władzy, która mi się słusznie należy!

Z kolei Elf spojrzała na hrabinę ze zdziwieniem. Nie znała jej od tej strony. Nie wiedziała, że Diana tak bardzo ceni sobie władzę. Cóż, jeśli okaże się, że nie potrafi powściągnąć swych kobiecych instynktów, może stracić jeszcze więcej. Skandal zniszczyłby jej karierę.

Elf miała wrażenie, że stoi na wysokim wzgórzu i widzi Amazonkę jadącą galopem po zboczu. Na dole jest głęboki dół, ale kobieta na koniu go nie widzi, a ona nie może krzyknąć tak głośno, żeby ją ostrzec.

- Jeśli tak, to obawiam się, że rozmowa nic nie pomoże - westchnęła Elf i wstała ze swego miejsca. - Ale mogę spróbować ci pomóc. Prześlę to przez moją służącą.

Diana również podniosła się z szeslonga. Elf milczała chwilę, zastanawiając się, czy poruszyć kolejny temat.

- Najgorsze jest to, że my, kobiety, nie potrafimy oddzielić uczucia od spraw płci - rzekła w końcu. - Zwłaszcza, jeśli jest to pierwszy raz.

Diana skinęła głową na znak, że rozumie.

- Tak właśnie było z Rosą. Do końca zarzekała się, że nie kocha Branda.

Elf uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Okłamywała samą siebie. - Z tymi słowami wyszła z mrocznego, męskiego pokoju lady Arradale.

Kiedy znalazła się u siebie, zajrzała do swoich papierów. Nie bez trudu odnalazła ulotkę, którą wydały anonimowo z Saffoną i rozdawały znajomym damom. Były to informacje na temat sposobów zmniejszenia prawdopodobieństwa zajścia w ciążę. Elf owinęła ją w czysty papier i przesłała do Diany.

Oczywiście Bey wiedział o tym wszystkim. Sam zresztą był orędownikiem podobnych praktyk. Uważał, że to kobiety powinny decydować, czy chcą mieć dziecko, czy nie. Jednak Elf przypuszczała, że to nie on wprowadzi Dianę w świat kobiecych rozkoszy. Zostało mu półtora dnia. To za krótko, żeby uwieść damę. Obawiała się, że hrabina tak czy tak będzie w końcu musiała skorzystać z ulotki.

Tej nocy Diana powróciła do swej sypialni jednocześnie zirytowana i sfrustrowana. Co prawda nie sądziła, że markiz będzie chciał ją uwieść, ale spodziewała się, że ponownie nawiąże z nią flirt. Może nawet ją pocałuje.

Tymczasem Rothgar przez cały wieczór traktował hrabinę z chłodną uprzejmością. Kiedy chciała, to z nią tańczył, kiedy prosiła o lemoniadę, przynosił ją natychmiast, lecz nie było w tym żadnego uczucia. Poza tym niewiele mówił i odpowiadał jedynie na pytania. Tak, jakby przestała go nagle interesować.

Na kolacji były tylko cztery pary, w tym trzy zameżne i ona z markizem. Mogła więc spędzić z nim sporo czasu. Ale kiedy zostawali sami, markiz zaczynał rozmowę o pogodzie! Tego wieczoru dowiedziała się więcej niż kiedykolwiek na temat aberracji pogodowych wokół Wysp Brytyjskich i ich wpływie na gospodarkę i samopoczucie mieszkańców. Kiedy wreszcie skończyli dysputę na tematy związane z klimatem, markiz zaczął omawiać produkcję rolną! Jeśli sądził, że ją tym zainteresuje, to był oczywiście w błędzie.

Diana zacisnęła dłoń w małą piąstkę i uderzyła w stojący przy łóżku stolik. Delikatny mebel aż podskoczył, a ona poczuła gwałtowny ból. Spojrzała na jego blat, na którym w dalszym ciągu spoczywał przywiednięty już purpurowy mak.

- Dostyc tego! - mruknęła.

Clara obserwowała ją z rosnącym zdziwieniem. Rzadko zdarzało jej się widzieć panią w podobnym nastroju. Szybko też pomogła hrabinie zdjąć piękną satynową suknię z głębokim dekoltem i gorset. Nalała jeszcze wody do miski, żeby Diana mo-

gła przemyć twarz i zabrała się do szczotkowania jej włosów.

Hrabina zaczęła się powoli uspokajać. Czesanie zawsze wpływało kojąco na jej nerwy. Pomyślała, że to koniec z Rothgarem. Bawił się nią w czasie weselnego przyjęcia, a kiedy się skończyło, przestał na nią zwracać uwagę. Przecież znał w Londynie tyle pięknych kobiet. Dlaczego miałby się interesować właśnie nią?

Wciąż jednak czuła się skrzywdzona. Na szczęście nikt, poza Elf, nie odgadł, co tak naprawdę czuje. A co by się stało, gdyby markiz wiedział, że jest gotowa mu ulec? Czy skorzystałby z okazji, a potem potraktował tak obojętnie, jak dziś? Wszystko możliwe. To dobrze, że już pojutrze odjedzie z Arradale.

Diana odesłała Clarę do jej pokoiku i zdjąwszy bieliznę, włożyła lnianą koszulę nocną. Nie miała jeszcze ochoty się kłaść. Nalała sobie wody do szklanki i otworzyła okno, próbując stłumić rozczarowanie. Nad zamkiem wisiał gruby rojal księżyc. Nie, nie osiągnie pełni przed wyjazdem Mallorenów. Nie wzbudzi miłosnego szaleństwa w jej żyłach.

Hrabina uśmiechnęła się gorzko i usiadła na łóżku, wciąż patrząc na księżyc. Czy to prawda, że cały jest ze srebra i że kryje w swym wnętrzu niezmierzone skarby? Księżyc w pełni był jej symbolem, symbolem bogini Diany. Nie powinna więc bać się jego wpływu. Tylko on mógł stać się powiernikiem jej największych tajemnic.

Może taki już jej los, by zawsze uciekać przed zalotnikami. Może wiąże się to jakoś z jej imieniem. Nie, z pewnością w Anglii żyje wiele Dian będących szczęśliwymi żonami i matkami.

Już chciała się położyć, znużona całym dniem, kiedy nagle przypomniała sobie przesyłkę od Elf. Dopiero teraz rozpakowała ją i spojrzała na starannie wydrukowaną ulotkę. Zaczęła czytać, ciekawa, czy jest to jakieś kazanie, czy może traktat na temat wyrzeczeń. Jej policzki powoli nabierały kolorów. Nic podobnego! Wewnątrz znajdował się dokładny, ale prosty opis praktyk, które pozwalają uniknąć ciąży. Niektóre dotyczyły mężczyzn, ale większość kobiet.

Zaszokowana Diana odłożyła broszurkę na biurko. A potem znowu wzięła, żeby dalej czytać przy mdłym świetle lampy. W trakcie lektury na jej ustach pojawił się uśmiech. Jedno było pewne, Elfnie sądziła, że Diana straci cnotę z jej bratem. Markiz z całą pewnością znał techniki opisane w tej ulotce. Odniosła nawet wrażenie, że mógł ją redagować. Wskazywał na to jej prosty, męski styl.

8

Następnego ranka obudził ją silny powiew wiatru i coś jakby krople deszczu bębniące po parapecie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że deszcz wpada przez otwarte okno do jej sypialni. Wskoczyła z łóżka i zamknęła je szybko. Spojrzała na szary, zamglony krajobraz.

Natura całkowicie pokrzyżowała jej plany. W taki dzień nie było mowy o jakichkolwiek wyprawach. Znaczyło to, że będzie musiała spędzić z Mallorenami cały dzień w zamku.

Z westchnieniem rezygnacji zadzwoniła po Clarę i kazała jej wytrzeć mokry parapet i podłogę.

Po namyśle zdecydowała, że każe wstawić do salonu stół bilardowy. Panowie na pewno chętnie zagrają, a może i niektóre damy będą miały na to ochotę. Jeśli nie, trzeba będzie zadowolić się kartami i najlepszymi trunkami z zamkowych piwnic. To powinno wystarczyć.

Największy problem stanowiły dzieci. Diana nie miała pojęcia co zrobić, żeby się nie nudziły. Zamek nie był przygotowany na ich przyjęcie. Nie wiedziała nawet, gdzie się podziały jej zabawki z dzieciństwa. W końcu posłała po ochmistrzynię.

Przypomniawszy sobie wczorajsze zachowanie markiza, wybrała zieloną, aksamitną suknię, całkowicie zasłaniającą dekolt. Jeśli wczoraj mógł mieć jakieś wątpliwości, co do jej zamiarów, dzisiejsze przesłanie było oczywiste. Suk-

nia mówiła, że jej właścicielka nie ma ochoty na jakikolwiek, nawet najbardziej niewinny, flirt.

Diana zjadła śniadanie w swoim pokoju, a następnie, zopatrzona w odpowiedni klucz, zajrzała do pokoju dzieci. Młodsza dwójka ze śmiechem obrzucała się resztkami jedzenia, natomiast dzieci Steenów, czyli Eleanor, Sarah i lord Harber, patrzyły ponuro w okno.

- Nienawidzę Yorkshire - orzekła starsza dziewczynka, zanim jeszcze dostrzegła jej obecność.

Diana chrząknęła i starsze dzieci bardzo się zmieszały. Wstały grzecznie i ukłonili jej się na powitanie.

- Brzydka pogoda to straszna rzecz, prawda? - powiedziała z uśmiechem. - Ale mam dla was niespodziankę. Moja ochmistrzyni dała mi klucz do pokoju, gdzie wciąż powinny być moje stare zabawki. To niedaleko, na końcu korytarza. Pójdziecie tam ze mną?

Cała trójka otoczyła ją ochoczo. Dziewczynki aż piszczały z radości. Diana powoli zaczęła sobie przypominać niektóre ze swoich zabawek i jeszcze raz musiała przyznać, że rodzice bardzo o nią dbali.

Wyszli we czwórkę na korytarz, zostawiając umazane kaszą i puddingiem maluchy w pokoju. Ochmistrzyni zapewniała ją co prawda, że starała się utrzymywać to miejsce w czystości i porządku, ale Diana miała też nadzieję, że będzie w nim coś tajemniczego i niezwykłego.

Wkrótce dotarli do drzwi. Zamek niestety był naoliwiony i klucz nie zazgrzytał.

- Przykro mi, ale nie ma tu szkieletów i innych tego typu fascynujących rzeczy - usprawiedliwiła się Diana, wprowadzając dzieci do środka.

Cała trójka uśmiechnęła się grzecznie.

Diana podeszła do wielkiej komody i otworzyła szufladę.

- Tutaj są stroje - stwierdziła. - Możecie się w nie przebierać.

Dzieci nie wyglądały na zachwycone. Diana uśmiechnęła się pod nosem i zajrzała do sporego pudła.

- Sztuczne kwiaty - oznajmiła.

Powoli chyba zaczynało do nich docierać, że się z nimi drażni.

- Lady Arradale, a zabawki? - spytała nieśmiało Eleanor.

- Aa, trzeba było od razu mówić, że chodzi wam o zabawki - powiedziała, prowadząc je do następnego pokoju.

Tym razem drzwi zaskrzypiały. To pomieszczenie było nieco ciemniejsze od poprzedniego. Dzieci nareszcie poczuły powiew przygody.

- Możecie sami poszukać zabawek - zniżyła głos do szeptu. - Tylko uważajcie, bo niektóre mogą być z porcelany.

Dzieciaki w ciszy rozeszły się po pokoju. Sarah była najszybsza. Od razu odkryła pierwszą zabawkę, szczerze osłoniętą materiałem.

- Koń na biegunach! - wykrzyknęła, rozpakowując go.

Hrabina przypomniała sobie, jak bardzo lubiła to zwierzę. Jako dziecko mogła galopować na nim całe popołudnie, odkrywając nowe ziemie. Zabawka była w niezłym stanie, a czerwone lejce i siodło wyglądały jak nowe.

- Mogę się na nim przejechać? - poprosiła Sarah.

Kiedy Diana skinęła głową, uniosła falbany swojej spodkownicy i usiadła na nim okrakiem. Nie „ujechała” jednak daleko, bo Charlie znalazł właśnie nową zabawkę.

- Co to jest, lady Arradale? - spytał.

Sarah już była przy nich i patrzyła na drewnianą skrzynkę, którą rozpakował właśnie jej brat.

Diana zmarszczyła czoło.

- Jeśli dobrze pamiętam, jest to magiczne pudełko. - Otworzyła drzwiczki. - Musicie patrzeć do tego cylindra, żeby zobaczyć obraz.

Dzieci po kolei zaglądały do środka.

- Nic nie widać - poskarżyła się Nelly.

Diana odnalazła już szufladkę z ruchomymi dyskami i wsunęła jeden do środka.

- Musicie stanąć bliżej okna, chociaż najlepiej patrzeć przy świecy - instruowała dzieci.

- O, są ludzie - ucieszył się Charlie. - Ruszają się! Ruszają! - krzyknął uradowany, kiedy Diana zakręciła korbką.
- Daj! Mi! Mi! - Siostry też chciały zobaczyć.

Diana ustawiła je w kolejce i pokazała, jak zrobić, żeby ludziki poruszały się szybciej. Zwłaszcza Neli była zachwycona zabawką.

- Jeśli nie dasz mi jeszcze popatrzeć, to wybiorę coś za ciebie - zagroził jej brat.

Dziewczynka odskoczyła jak oparzona od magicznego pudełka.

- Ani mi się waź!

Natychmiast podbiegła do kolejnej zabawki i zaczęła ją rozpakowywać.

- Ostrożnie, Eleanor - upomniała ją Diana.

Dziewczynka posłuchała, chociaż jednocześnie starała się jak najszybciej dostać do wnętrza paczki. Po chwili jej oczom ukazała się porcelanowa twarzązka.

- To lalka! - ucieszyła się. - O, jaka wielka!

Przed nią stał chłopiec niemal naturalnej wielkości. Plecami opierał się o skałę, a w rękach trzymał pałeczki. Wyglądał uk, jakby za chwilę miał nimi uderzyć w swój bębenek.

- Ma prawdziwe włosy - zauważyła Nelly. Dotknęła jego jasnych kędziorów, ale z obawą cofnęła rękę. - I ubranie.

Dzieci wydawały się trochę onieśmiałe tą dziwną lalką. Zresztą Diana też za nią nie przepadała, a jej matka traktowała dziwnego dobosza z wyraźną niechęcią. Pewnie dlatego rodzice pozbyli się lalki. Diana w ogóle jej nie pamiętała.

- Tam z tyłu jest kluczyk - zaczęła wyjaśnienia. - Jeśli przekręcicie go dwadzieścia razy, zobaczycie, co się stanie.

Najstarszy Charlie pokiwał głową.

- Wiem, co to jest. To automat. Pamiętacie, widzieliśmy takie u wujka Beya. Ma ich u siebie sporo.

Nie miała pojęcia, że Rothgar zbiera automaty. Było to dziwne, ponieważ markiz nie wyglądał na kogoś, kto lubi zabawki. A te urządzenia były rzadkie i bardzo drogie.

Nelly nabrała trochę odwagi i podeszła do lalki. Stała z tyłu i zaczęła przekręcać kluczyk. Wszystkie dzieci liczyły.

- ... siedem, osiem, dziewięć, dziesięć...

Kiedy doszły do dwudziestu, hrabina powiedziała: „uwaga” i opuściła dźwignię, która uruchamiała dobosza. Coś zgrzytnęło i mechaniczny chłopiec uklonił się dzieciom.

- Ooo! - rozległo się dokoła.

Jednak to nie było wszystko. Dobosz odwrócił głowę, żeby spojrzeć na ptaka siedzącego na skale, a ten rozpostarł skrzydła i wydał z siebie zgrzytliwe, mechaniczne trele. Chłopiec zaczął mu towarzyszyć, wybijając rytm pałeczkami na bębenu. Co jakiś czas podnosił głowę, jakby chciał sprawdzić, czy podoba się publiczności. W pewnym momencie jednak znieruchomiał, a jego pałeczki zawisły w powietrzu. Wyglądał teraz inaczej niż przedtem. I tylko ptak przed końcem melodii zdołał złożyć skrzydła. Na koniec coś okropnie zazgrzytało, ale dzieci i tak zaklaskały w ręce.

- Wspaniałe! Cudowne!

Diana skoczyła, żeby podnieść dźwignię. Pamiętała, że z jakichś względów jest to niesłychanie ważne.

- Ojej - westchnęła.

- Gratuluję odwagi - usłyszała za sobą męski baryton.

Natychmiast się odwróciła i zobaczyła stojącego w drzwiach markiza.

- Gratuluję odwagi - powtórzył. - To niebezpieczne bawić się taką lalką, bez wcześniejszego sprawdzenia mechanizmu. - Podeszedł do nich, a następnie położył dłoń na głowie dobosza. - *Pavre en fant*. Panie pozwolą.

Dziewczynki zachichotały, kiedy uniósł delikatnie satynowy kaftan lalki. Oczom wszystkich ukazały się metalowe tryby i kółka, które łączyły się z głównym mechanizmem znajdującym się w skale.

Markiz delikatnie badał wszystkie części urządzenia.

- Jedna przekładnia zerwana - zwrócił się do dzieci, a nie do niej. - Nie wolno go na razie uruchamiać, zanim nie sprawdzi się wszystkiego dokładnie.

Opuścił chłopcu kaftan i podniósł się z klęczek. Tym razem popatrzył na hrabinę.

- To piękny mechanizm, pani. Wykonany prawdopodobnie przez Vaucansona.

Diana tylko wzruszyła ramionami.

Być może. Dostałam go na szóste urodziny i nigdy nie lubiłam się tym bawić. - Pogładziła Eleanor po głowce. - Obawiam się, że będziesz musiała poszukać sobie czegoś innego, kochanie.

Dziewczynka z wyraźną ulgą zrezygnowała z dobosza i wkrótce znalazła drewniany teatrzyk z kompletną pacynkową obsadą do paru bajek.

• Jaki ładny! - ucieszyła się Nelly.

Pozostała dwójka też była zachwycona i wkrótce razem zaczęli się zastanawiać, jaką sztukę zagrać.

- Chciałeś ze mną mówić, panie? - Diana zwróciła się Rothgara.

W odpowiedzi pokręcił głową.

- Chciałem sprawdzić, co robią dzieci - odparł. - Paskudna pogoda.

- Pewnie wywołaliśmy ją naszą wczorajszą rozmową - rzuciła z przekąsem.

Markiz nie zareagował na złośliwość. Wciąż przyglądał się mechanicznemu chłopcu, jakby próbując sobie coś przypomnieć.

- Ciekawe, dlaczego tu stoi - rzekł w końcu. - Chyba wiesz, pani, że jest bardzo cenny?

Hrabina raz jeszcze wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie zastanawiałam się nad jego wartością. Nie przepadałam za nim w dzieciństwie, a moja matka wręcz go nie lubiła.

- Pewnie dlatego, że to chłopiec - zauważył.

Diana jeszcze raz spojrzała na dobosza.

- To prawda, że kupił go ojciec, ale nie sądzę, żeby chciał jej dokuczyć - powiedziała z wahaniem. - Chodziło raczej o to, że jest jak żywy.

A może o obie te rzeczy, *dodała* w myśli. Przecież jej matka miała tylko jedno dziecko, i to w dodatku dziewczynkę. Diana nigdy nie zastanawiała się nad związkiem rodziców. Wydawał się jej szczęśliwy. Ale zapewne w nim również nie brakowało dramatów. Przypomniała sobie, że jej prawdziwa edukacja zaczęła się, gdy miała już dwanaście lat. Prawdopodobnie wtedy ojciec porzucił 'myśl o męskim potomku

Markiz uniósł delikatnie porcelanową głowę chłopca. Z powodu uszkodzonego mechanizmu poruszyła się wolno, jakby dobosz wahał się, czy wykonać ten ruch. Zielone martwe oczy patrzyły teraz wprost na nich.

- Ładne dziecko - stwierdził. - Podobne do ciebie, pani, z dzieciństwa. A w każdym razie do tego portretu, który wisi w twojej dawnej sypialni.

Diana z zapartym tchem podeszła do zabawki. Markiz miał rację. Tylko jej włosy były inne, ciemniejsze.

Zamknęła na chwilę oczy, chcąc się uspokoić. Pomyślała o tym, co musiała czuć matka, widząc dobosza. Jak to dobrze, że nie przywiązała się do niego i że rodzice tak szybko go schowali.

- To... straszne - wyjąkała.

- Twój ojciec, pani, pewnie uważał to tylko za kaprys. Może chciał wam zrobić przyjemność - podsunął jej Rothgar.

Tak, na pewno ma rację, pomyślała Diana. Wciąż była zbyt wstrząśnięta, żeby zebrać myśli i powiedzieć coś sensownego.

- Ładny chłopiec. Władczy, ale pełen wdzięku i ciepła. Twój portret, pani, też mi się zresztą podobał.

O nie, tylko nie teraz! Diana nie miała najmniejszej ochoty na flirt. Rothgar chyba również, ponieważ znowu pochylił się nad automatem.

- Jeśli nie znajdziesz, pani, kogoś, kto mógłby go naprawić, mogę go wziąć do Londynu - zaproponował. - Mistrz Merlin jest najlepszym fachowcem w tej dziedzinie. Osobiście bardzo lubię zajmować się automatami.

- Już słyszałam. - Diana przypomniała sobie uwagę

Charliego. - I jestem naprawdę zaskoczona, że lubisz zabawki, panie.

- Raczej maszyny, pani. Precyzyjne automaty, które robią to, co się im poleci.

Hrabina uśmiechnęła się lekko.

- Potrzebujesz do tego magii? Merlina? - spytała ironicznie.

- Tak się składa, że to prawdziwe nazwisko - odparł poważnie. - Zauważ, że na przykład księżę Bridgewater buduje mosty i akwedukty, jak na to wskazuje jego nazwisko.

- A Byrd komponował muzykę chóralną opartą na pieśniach ptaków - dodała po chwili. - Coś rzeczywiście jest z tymi znaczącymi nazwiskami.

Markiz pokiwał głową.

- Właśnie. Nazwiska mogą zawierać dodatkowe informacje o osobach, które je noszą - powiedział, patrząc na nią znacząco.

Diana tylko wzruszyła ramionami.

- Arradale to po prostu dolina rzeki Arry - zauważyła. - Za to twoje nazwisko, panie, kojarzy się z gniewem. A imię Bey, bo tak, zdaje się, nazywa cię rodzina, oznacza wschodniego przywódcę.

- A twoje imię, pani? Diana to bogini łowów. - Zanim zdążyła wymyślić jakąś zręczną odpowiedź, Rothgar dodał: - Na pewno świetnie strzelasz, pani. Chętnie bym to sprawdził. Masz tu zapewne jakąś strzelnicę?

Hrabina przypomniała sobie wydarzenia sprzed roku i pomyślała niechętnie o wspólnym strzelaniu. Na szczęście mu liała się zająć dziećmi, które bawiły się właśnie teatrzykiem.

- Chodźcie - zwróciła się do nich. - Powinniśmy wracać do pokoju. Służba zaraz dostarczy wam zabawki.

Markiz wciąż czekał na odpowiedź. Diana zmarszczyła czoło, myśląc, że powinien dostać to, o co prosi.

- Czy chcesz, panie, urządzić zawody strzeleckie?

- Czemu nie? Nie mamy przecież nic lepszego do roboty. A poza tym, chciałbym zobaczyć, jak strzelasz, pani - Zakończył.

Hrabina zdawała sobie sprawę, że jako gospodyni nie może odmówić. Czuła się jednak nieswojo. Odprowadziła dzieci do ich pokoju i poleciła służbie, by przyniosła im zabawki. Następnie zaprosiła Rothgara do salonu.

- Skąd to zainteresowanie, panie? - spytała go po drodze. - Pamiętasz, rok temu nie mogłam chybić, bo trzymałam pistolet tuż przy twoich plecach.

- Ale chybiłaś, pani, strzelając do Branda - zauważył.

- To dlatego, że byłam zbyt wzburzona, a on poruszał się zbyt szybko.

- Mam nadzieję, że nie żałujesz niecelnego strzału?

Zatrzymała się na chwilę i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Cieszę się oczywiście, że nie zabiłam Branda - rzekła wyniośle. - Natomiast żałuję, że chybiłam. Kobieta z moją pozycją musi umieć się bronić.

Markiz skinął głową.

- Masz rację, pani.

- Dlatego następnym razem nie mogę dać się ponieść emocjom - powiedziała na poły do siebie, a na poły do niego.

Kiedy znaleźli się w salonie, hrabina zaczęła wydawać rozporządzenia służbie. Poleciła poinformować gości o zawodach i otworzyć strzelnicę. Wszystko miało być gotowe w ciągu najbliższych paru minut.

Rothgar obserwował ją z uśmiechem, myśląc, że Diana potrafi działać szybko. Była też niebezpieczna. Z całą pewnością w ciągu tego roku pracowała nie tylko nad swoimi strzeleckimi umiejętnościami, ale też nad emocjami. Ciekawiły go efekty tej pracy. Markiz był przekonany, że wszelkie umiejętności się łączą i że nie można stać się doskonałym strzelcem czy szermierzem, bez znajomości greckich filozofów. Pewnie dlatego mężczyźni bardziej interesowali się wojaczką. I gdyby Elf nie wychowywała się z Cynem, z pewnością nie posiadałaby tylu „męskich” umiejętności, a przy okazji uniknęłaby wielu niebezpieczeństw. I tak do brze, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Z hrabiną było podobnie. Męskie wychowanie dało jej do ręki groźną broń, a kobieca natura uczyniła ją jeszcze bardziej niebezpieczną. Lady Arradale stanowiła zagrożenie nie tylko dla otoczenia, ale i dla siebie samej. Świadczyły o tym rozkazy, które Rothgar otrzymał od króla.

Z królewskiego pisma wynikało, że hrabina upomniała się jako głowa rodu o swoje miejsce w Izbie Lordów. Znajdowało się ono oczywiście poza jej zasięgiem. W całym parlamencie nie zasiadała ani jedna kobieta, a Jerzy III z całą pewnością nie miał zamiaru tego zmieniać.

Co więcej, jako tradycjonalista, wpadł w gniew i kazał Rothgarowi szpiegować lady Arradale. Rozumiał chyba, że dysponuje ona dużą władzą, zwłaszcza tu, na północy, chciał się więc dowiedzieć, jak ją poskromić.

Ta rola nieszczególnie odpowiadała markizowi. Przecież wciąż musiał pamiętać o tym, że ma działać jako poplecznik króla. Na przykład zawody strzeleckie, które uważał za świetną rozrywkę, zaczęły mu się po namyśle jawić jako coś groźnego. Nie będzie dobrze, gdy król dowie się, na przykład, że lady Arradale jest doskonałym strzelcem. To tylko wzmoże jego niechęć.

Powinien więc chyba poprosić członków rodziny, by o tym nie opowiadali.

Po jakimś czasie wszyscy zainteresowani goście zjawili się w salonie, skąd przeszli podcieniami do strzelnicy. Służba przygotowała już cztery pistolety. Odsłonięto też cele, którymi były ludzkie sylwetki. Dwie z nich najwyraźniej kobiece.

- Do licha, mamy strzelać do kobiet? - zaniepokoił się Steen.
- Kobiety też potrafią być groźne - zauważył Rothgar.
- Oczywiście - potwierdziła zdecydowanie Diana. - Gdyby strzelała do pana jakaś kobieta, lordzie Steen, na pewno zdecydowałby się pan na strzał.
- Strzelała? Kobieta? - powtórzył niepewnie Steen.
- Portia oddała do mnie dwa strzały - zauważył Bryght.
- A Elf rzuciła we mnie nożem - dodał Fort.
- To nieprawda - wtrąciła szybko Elf. - Mierzyłam do

kartki, którą trzymałeś w dłoni i w nią właśnie trafiłam.

- Tak czy tak, nie było to pewnie zbyt przyjemne - mruknął Rothgar, odwracając się do Diany. - Jak strzelamy, hrabino?

Zagadnięta wskazała sylwetki.

- Strzelamy w zaznaczone serce - odparła. - Im bliżej środka, tym lepiej.

Rothgar spojrzął jeszcze na pistolety.

- Czy to twoje, pani? - Wskazał mniejszą parę.

Diana potwierdziła skinięciem głowy.

- Elfteż może z nich korzystać - zaproponowała. - Zdaje się, że chciała wziąć udział w zawodach.

- Ale czy wobec tego, my możemy skorzystać ze swoich? - dopytywał się w dalszym ciągu markiz.

- Przywiozłeś, panie, swoje pistolety pojedynkowe?! - Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Rothgar nie wiedząc czemu, odczuł przyjemność, widząc jej zdumienie.

- Nigdy nic nie wiadomo... - bąknął. - Ale nie, mam po prostu moje pistolety podróżne - przyznał w końcu i spojrzął na pozostałych mężczyzn.

Tak, jak się spodziewał, Bryght wziął ze sobą broń. Również Elf po chwili wahania przyznała, że ma pistolety, co niepomrotnie zdziwiło jej męża. Teraz stało się jasne, kto w tym gronie należy do Mallorenów, a kto nie.

Natychmiast wysłano służbę do pokojów po broń. Rothgar natomiast rozejrzał się po oczekujących, a następnie zwrócił się do Diany:

- Jaką nagrodę proponujesz, pani?

Hrabina spłoszyła się nieco.

- Nie sądzę, żeby ktoś z obecnych chciał grać o pieniądze - rzekła niepewnie.

- Wobec tego gramy o „duszę” - rzuciła lekko Elf.

- Wolałbym o ciało - wymamrotał Rothgar pod nosem, ale na tyle wyraźnie, żeby Diana go usłyszała. Patrzył na nią tak, jakby chciał ją pożreć.

Musiała powtórzyć sobie parę razy w duchu, że robi to specjalnie po to, żeby ją wytrącić z równowagi. Rzucali kośćmi, żeby ustalić, kto strzela pierwszy i wypadło na Rothgara, który bez najmniejszego wysiłku umieścił dwie kule w kolejnych dwóch sercach. Rodzina nagrodziła go okrzykami i tylko lady Arradale spojrzała na niego chłodno. W jej oczach pojawił się płomień prawdziwego współzawodnictwa.

Następnie strzelała Elf, która okazała się być lepsza od strzelającego po niej Forta. Bryght jednak okazał się równie dobry jak jego brat, chociaż było widać, że strzelanie nie sprawia mu przyjemności.

Kiedy przyszła jej kolej, Diana stanęła pewnie w postawie strzelniczej i jej kule, podobnie jak Rothgara, utkwily równo w samych środkach serc. Zauważyła, że markiz jest poruszony jej umiejętnościami. Pewnie pomyślał o tym, że gdyby tak strzelała rok temu, Branda nie byłoby już wśród nich.

- Jak miło! Mamy trzech zwycięzców! - ucieszyła się Elf.
Hrabina pokręciła głową.

- Nie. Teraz umieścimy za sercami biały papier i będziemy starali się jak najwierniej powtórzyć poprzedni strzał - oznajmiła.

- Na miły Bóg! Przecież to szaleństwo! - obruszył się Steen.

- Raczej niepotrzebna ekstrawagancja - zauważył spokojnie Rothgar. - 2 moich doświadczeń wynika, że nie trzeba nawet trafić w serce, żeby zabić.

Spojrzała na niego i pomyślała, że gdyby grali „o ciało”, sama oćwiczyłaby go różgami. Nagiego.

- Przecież chodzi tylko o sprawdzenie naszych umiejętności - powiedziała z uśmiechem. - To nie musi niczemu służyć. Tak, jak pańskie automaty, markizie.

Rothgar skłonił jej się dwornie.

- Dobrze. Wobec tego sprawdźmy, pani, które z nas jest najlepszą maszyną. Do zabijania - dodał, patrząc jej w oczy.

I znowu zrobił to tylko po to, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Diana nie miała zamiaru się poddać. Kazała słuzącemu umieścić czyste kartki za sercami przypię-

tymi do sylwetek, a następnie wskazała je Rothgarowi.

- Proszę, panie.

Markiz naładował już wcześniej pistolety i teraz zajął pozycję strzelniczą. Tym razem celował dłużej. Kiedy strzelił, pomyślał, że kula powędrowała trochę w bok. Za drugim razem starał się nie powtórzyć tego błędu, ale znowu trochę przesadził.

Służący szybko przyniósł papierki i serca.

- Na miły Bóg! Dokładne trafienia! - wykrzyknął Steen.

Markiz uśmiechnął się pobłaźliwie. Lubi szwagra, ale dokładność nie była jego najmocniejszą stroną.

- Nie, strzały lekko przesunięte - stwierdził. - Pierwszy w prawo, a drugi w lewo. Bryght? - zwrócił się do brata.

- Nie widzę sensu w takiej zabawie - mruknął zagadnięty.

- Potraktuj to jako zadanie matematyczne. Musisz po prostu wytyczyć dwa punkty - kusił go Rothgar.

- Wolę to robić za pomocą linii i cyrkla - powiedział stanowczo Bryght. - Rezygnuję.

Również Elf, która miała na koncie dwa trafienia, jedno nieco oddalone od środka, nie dała się skusić.

- Wiem, że nie potrafię tego zrobić - stwierdziła po prostu.

- Ale ty, pani, chyba nie zrezygnujesz? - markiz zwrócił się do lady Arradale.

Diana już trzymała w ręku pistolet.

- Nie, oczywiście. Przecież to była moja propozycja - przypomniała.

Zajęła pozycję i po chwili oddała pierwszy strzał. Rothgar widział, że celny, ale z tej odległości trudno mu było ocenić, na ile. Zastanawiał się, kto uczył ją strzelania, gdyż lady Arradale była w tym bardzo dobra. Zdawało mu się tylko, że brakuje jej tej wewnętrznej dyscypliny, która pozwala zastosować rzeczy wyuczone w praktyce. A może nie. Już nie.

Po drugim strzale przyniesiono tarcze i okazało się, że na kartkach Diany też są przesunięcia.

- Chyba mniejsze - przyznał po oględzinach Rothgar.

Hrabina potrząsnęła głową.

- Nie, chyba takie same - rzekła z przykrością.

- Chodźmy lepiej do salonu i poddamy te tarcze dokładnej analizie - zaproponował Bryght. - Jest pewnie jakiś sposób, żeby zmierzyć te przesunięcia. To właśnie jest dla mnie matematycznym wyzwaniem.

Bryght od razu zabrał się do oględzin. Przyglądał się obu kartkom przez ładnych parę minut. W końcu uniósł głowę.

- Do licha, Bey! Wygląda na to, że przegrałeś z hrabiną! - wykrzyknął ze zdziwieniem.

- Mam nadzieję, że wygrana cię ucieszyła, pani? Czy umiesz walczyć na szpady?

- Ależ Bey! - zaprotestował brat.

Diana tylko się uśmiechnęła.

- Tak, ale nie jestem w tym tak dobra - poinformowała go. - Brakuje mi stałego partnera.

Rothgar pomyślał, że chętnie by nim został. Teraz miał jednak ochotę zmierzyć się powtórnie z lady Arradale. Nie wątpił, że jest również diabelsko zdolnym szermierzem.

9

Diana poprowadziła towarzystwo do domu. Szła przodem, chcąc uniknąć czczych rozmów. Podświadomie czuła, że z jednej strony markiz ją podziwiał, ale z drugiej, jest mu ciężko pogodzić się z porażką.

Ganiła siebie w duchu za to, że zastanawia się, co myśli Rothgar. Jednak fakt pozostawał faktem. Zależało jej na opinii markiza. Zrobiłaby wszystko, żeby z nim wygrać.

Kiedy znaleźli się w salonie, Diana zamówiła herbatę dla wszystkich, natomiast Bryght zabrał się do pomiarów. Mniej więcej po godzinie podniósł się znad kartek z niepewną miną i odłożył szkło powiększające.

- Wydaje mi się, że jest remis - obwieścił.

Hrabina wzięła kartki z sercami i przyjrzała się im **raz** jeszcze. Robiła wszystko, żeby ukryć niezadowolenie.

- Tak, bardzo podobne - przyznała.

Bryght spojrział na nią z rozbawieniem.

- Niemal identyczne - stwierdził.

Rothgar podszedł do stolika i wziął tarcze Diany.

- Pozwolisz pani, że zatrzymam twoje serce? - Świadomie użył liczby pojedynczej, chociaż miał w dłoni obydwie kartki.

- Jako pamiątkę?

- Jako skarb - powiedział, chowając tarcze do kieszeni surduta. - No, przynajmniej udało mi się zremisować.

Elf wyczuła, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta i podskoczyła do swojej nowej przyjaciółki.

- Diano, droga, podobno świetnie grasz w bilard! Naucz mnie tego, proszę. Mężczyźni nie potrafią tego zrobić. Wciąż mi mówią...

Diana dała się wyprowadzić do sąsiedniego pokoju, słuchając potoku jej wymowy. Nawet nie obejrzała się za siebie, chociaż miała na to olbrzymią ochotę. Elf prowadziła ją pewnie, ściskając mocno ramię hrabiny. Powinna jej być chyba wdzięczna, bo już zamierzała zaproponować kolejny pojedynek strzelecki.

Spędziły wspólnie następną godzinę przy stole bilardowym. Elf okazała się pojętną uczennicą i już po jakimś czasie bez problemów kierowała bilem do łuzy. Zresztą Diana grała naprawdę dobrze. Myślała nawet o tym, żeby zaproponować bilard reszcie towarzystwa, ale obawiała się, że Rothgar dorównuje jej umiejętnościami. I znowu staliby się parą. Sama myślała o tym, że mógłby okazać się lepszy, nie mieściła się w głowie hrabiny.

Żeby nie myśleć o markizie, zajęła się pracą. Spędziła dwie godziny w towarzystwie swego sekretarza i najrozmaitszych papierów. To przyniosło jej ukojenie. Kiedy Turcott wyszedł, żeby zająć się listami, które mu podyktowała, Diana mogła wreszcie pozbiierać myśli.

Po pierwsze, stwierdziła, że markiz jest fascynującym męż-

czynną. Nie przyjmowanie tego do wiadomości byłoby poważnym błędem. Zresztą, nie tylko jej imponował. W całym Londynie, ba, w całym kraju, krążyły opowieści o jego wyczynach.

Po drugie, musiała przyznać, że coś się między nimi dzieje. Diana znała wielu przystojnych mężczyzn, ale żaden nie działał na nią tak jak Rothgar. Tylko przy nim ciarki chodziły jej po plecach, a serce przyspieszało swego biegu.

Czy markiz działał tak na wszystkie kobiety? Miała powody, by przypuszczać, że nie. W końcu Rosa wybrała Branda, chociaż równie dobrze mogła zdecydować się na Rothgara. Przecież na początku nawet nie mówiła o miłości, a tylko o pożądaniu. Markiz był przecież równie pociągający jak jego bracia.

Bardziej, bardziej, dodała w myśli.

Wiele wskazywało na to, że kobiety szukają tego jednego, wybranego mężczyzny. Niektóre, tak jak Rosa, znajdują go bez trudu. Inne rezygnują z poszukiwań. Jeszcze inne trafiają na swoich wybranych, gdy już jest za późno. Czy to możliwe, żeby markiz był przeznaczony właśnie jej? Jeśli tak, musi się go wyrzec. W imię wyższych celów.

Diana uśmiechnęła się do siebie. Zachowywała się tak, jakby Rothgar już się jej oświadczył, a przecież nawet słowem nie wspomniał o małżeństwie, a jeśli tak, to tylko w sensie negatywnym.

To naprowadziło ją na trzeci i ostatni punkt rozważań. Markiz doskonale nadawał się na kochanka! Diana często zastanawiała się nad tym aspektem swoich znajomości. Lubiła oceniać, czy ten lub inny mężczyzna nadawałby się na kochanka. W przypadku Rothgara, było oczywiste, że tak.

Markiz miał nie tylko wspaniałe ciało, lecz również odpowiednią pozycję. Gdyby ich związek jakoś się upublicznił, co zwykle następowało przy tego rodzaju okazjach, nie musiałyby się niczego wstydzić. No, prawie niczego... Poza tym, dorównywał jej umiejętnościami. Diana uwielbiała mierzyć się z mężczyznami i było jej przykro, kiedy z powodu swoich częstych zwycięstw, spotykała się z od-

mową. A Rothgar z całą pewnością dotrzymałby jej pola.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że stoi przed nią ze szpadą. Nie wiedzieć czemu był nagi. Aż zaparło jej dech. To zadziwiające, jak łatwo mogła sobie wyimaginarować nagiego markiza!

Diana musiała odczekać chwilę, żeby się uspokoić. I wtedy naszła ją kolejna refleksja, że Rothgar ze swoim mizoginizmem, był też najbezpieczniejszym z kochanków. Nawet, gdyby z jakiegoś powodu postradała zmysły i błagała go, żeby się z nią ożenił, on i tak by odmówił!

Jeszcze przez moment myślała o tym wszystkim, a potem roześmiała się nagle. Po co się nad tym zastanawiać?! Przecież markiz wyjedzie jutro i nie spotkają się już nigdy.

Jeśli coś ma się zdarzyć, to dzisiejszej nocy.

Hrabina wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Wyjrzała przez okno. Deszcz ustąpił przygnębiającej mżawce, poza tym nic się nie zmieniło. Biedne dzieci, musi im powiedzieć, że mogą zmienić zabawki.

Dziś w nocy!

Westchnęła lekko. Nie, to niemożliwe.

Nagle przyszło jej do głowy, że powinna zająć się gośćmi. Podeszła do drzwi i zastygła z dłonią na mosiężnej klamce.

- Czy to odwaga, czy tchórzostwo? - spytała siebie.

Idealny kochanek znajduje się w sypialni obok, a ona dobrowolnie z niego rezygnuje. Czy boi się publicznego blamażu? A może po prostu reakcji Rothgara?

Diana zeszła do gości tylko po to, żeby się przekonać, że wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Markiza w ogóle nie było w salonie. Wobec tego zajrzała do dzieci i zaproponowała im nowe zabawki. Maluchy bardzo przywiązały się do konia na biegunach, więc ta zabawka, jako jedyna została w pokoju.

Już z czystym sumieniem wróciła do siebie i zajęła się mniej ważnymi sprawami. Teraz z kolei praca wyraźnie jej nie szła. Przerzuciła część sąsiedzkiej korespondencji,

w której nie znalazła nic ciekawego, a następnie z ulgą stwierdziła, że zbliża się pora obiadu.

Zeszła na dół, ale markiza wciąż nie było w salonie. Przeszła do pokoju obok, gdzie Elf wytrwale zmagala się z bilardem.

- Brawo! - wykrzyknęła, widząc zgrabne uderzenie. - Za chwilę będziesz musiała przerwać. W jadalni już nakrywają do stołu. Widziałas gdzie brata?

- Rotligara? - Elf od razu domyśliła się o kogo chodzi. - Nie, ani na chwilę nie wychodził z pokoju.

- Zawsze ma tyle pracy? - zdziwiła się Diana.

- Nie, ale jest teraz bardziej zajęty ze względu na niedawny pokój z Francją.

- Ale przecież markiz nie jest członkiem rządu, prawda?

- Nie jest - zgodziła się siostra Rothgara.

- A może jednak jest? - dopytywała się hrabina.

Elf robiła wszystko, żeby nie parsknąć śmiechem. Znała już te pytania na temat brata i zwykle zbywała je w ten lub inny sposób. Tym razem chciała powiedzieć prawdę.

- Sama nie wiem wszystkiego, ale domyślam się, że Bey ma rozbudowaną sieć informatorów i wie o sprawach, o których nie wie król.

- Słyszałam, że jest jego doradcą.

- Zaufanym doradcą - poprawiła ją Elf. - Król bardzo sobie ceni jego dar obserwacji. I to, że Bey nie pcha się do polityki

Elf wyraźnie uznała temat za wyczerpany, a Diana nie chciała jej naciskać. Przeszły do salonu, gdzie już czekali inni goście. Po chwili pojawił się tam także markiz i już w komplecie mogli zacząć obiad.

Po posiłku wszyscy znowu przenieśli się do salonu, gdzie dzieci zaaranżowały małą scenę. Dorośli obejrzeni przygotowany przez nie spektakl i nagrodzili go brawami. Rozmowa w sposób naturalny zeszła na zabawki i Diana kazała, na życzenie gości, przenieść je do salonu. Wszyscy oglądali ruchome scenki w magicznym pudełku. Parę osób wyraziło żal, że nie można uruchomić automatu.

Hrabina spojrzała na matkę. Starsza pani zachowywała się zupełnie naturalnie, ale kiedy spoglądała na dobosza, w jej oczach pojawiał się jakiś cień. Diana chętnie by ją pocieszyła, ale nie wiedziała, jak to zrobić. W końcu, pod wpływem nagłego impulsu podeszła do markiza.

- Jeśli chcesz, panie, możesz wziąć ten automat do Londynu i naprawić - powiedziała. - To prezent ode mnie.

Był to dosyć ekstrawagancki podarunek, ale lord Rothgar skłonił się jej dwornie.

- Dziękuję, pani. Zajmę się nim z całą pieczołowitością.

Kiedy wszyscy obejrzeni już zabawki, ustawiono stoliki do gry w wista. Diana pilnowała, żeby nie grać z markizem, ale i tak jej myśli wciąż krążyły wokół niego.

Ostatnia noc! Czy powinna, czy też nie? Co robić? I przede wszystkim, jak zareagowałby sam markiz, gdyby pojawiła się u niego w nocy?

Obserwowała go ostrożnie zza swoich kart, podziwiając jego profil i długie palce. Niemal czuła je na swoim ciele.

- I co teraz? - Dobiegł do niej głos lorda Steena.

- Że co? A, walet trefl.

Lord Steen westchnął ciężko.

- I znowu pani przegrała, hrabino. Proszę się skoncentrować na grze.

W tym właśnie momencie dłonie Rothgara dotarły do jej piersi. Jej sutki stały się twarde niczym dwa kamyki. Diana wstała od stolika i wymówiwszy się migreną, podeszła do okna. Jak na ironię przestało padać. Chmury ustąpiły i widać było nawet chylące się ku zachodowi słońce.

Jeszcze jedna noc.

Diana wyszła na zewnątrz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Kamienie na dziedzińcu były mokre od deszczu. Przeszła do zachodniej bramy, chcąc raz jeszcze spojrzeć na słońce, a następnie wróciła do gości.

Z trudem doczekała pory spoczynku. W końcu, kiedy znalazła się sama w sypialni, przebrała się w jedwabną koszulę nocną i odesłała Clarę. Z pokoju obok nie dobiega-

ły żadne dźwięki, ale Diana była pewna, że markiz wrócił już do siebie. Po cóż miałby chodzić nocą po zamku.

Po chwili namysłu włożyła satynowy szlafrok i ścisnęła go mocno paskiem. Stanowił on godziwy przyodziewek, chociaż nikt nie mógł mieć wątpliwości, że jest to strój nocny. Zaczerwieniona podeszła do drzwi i zastukała lekko.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła przed sobą służącego Rothgara.

- Słucham, lady Arradale?

Omiotła szybko wzrokiem sypialnię, żeby stwierdzić, że nie ma w niej Rothgara. Piekło i szatani! Chciała zatrzasnąć drzwi i schować się pod kołdrę, ale postanowiła ratować resztki swojej godności.

- Chciałam się dowiedzieć o jutrzejsze plany markiza - powiedziała.

Mężczyzna patrzył na nią bez cienia zainteresowania.

- Czy mam to przekazać markizowi, kiedy wróci, lady Arradale?

Diana stwierdziła, że nerwy ma napięte jak postronki. Musi uważać, żeby się nie skompromitować. I to przed kim? Przed zwykłym służącym!

- Nie, nie. Sama z nim porozmawiam jutro rano.

Na twarzy służącego nie drgnął nawet muskuł.

- Tak jest, milady.

Zamknęła drzwi, a następnie rzuciła się na łóżko. Po co uległa temu głupiemu impulsowi?! Czuła się upokorzona i skompromitowana. Mogła mieć jedynie nikłą nadzieję, że służący nic nie powie Rothgarowi o jej wizycie. Zawsze obawiała się tego, że jej namiętna natura doprowadzi kiedyś do czegoś takiego. Czuła się zniesmaczona tym, że musiała się tłumaczyć przed służącym.

Nie, musi poskromić swoje skłonności i żyć jak mniszka! To jedyny sposób, żeby uniknąć podobnie niezręcznych sytuacji.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

Najchętniej zatkałaby sobie uszy i udawała, że zasnęła.

Niestety, pukanie powtórzyło się. Tym razem było głośniejsze i bardziej natarczywe.

Wstała i z bijącym sercem podeszła do drzwi. Czy Rothgar przychodził z podobnym zamiarem co ona? Poprawiła jeszcze szlafrok, zanim wpuściła go do wnętrza. Ku jej zaskoczeniu, miał na sobie ten sam surdut i spodnie co przy kolacji.

- Tak, słucham. - Ścisnęła jeszcze mocniej pasek.

- Przepraszam za najście o tak późnej porze, hrabino. Chciałem jednak z panią porozmawiać.

Mówił pewnym głosem, konkretnie i dobitnie. Nie, nie przyszedł tu po to, żeby ją zdobyć. Diana z trudem zdołała ukryć swoje rozczarowanie. Po co wobec tego ją natchodził? Czyżby chciał jej coś wyznać?

- Proszę, niech pan wejdzie, markizie - powiedziała oficjalnym tonem. - Może kieliszek porto?

Odmówił ruchem głowy, co znaczyło, że nie będzie mogła szukać pomocy w alkoholu. Ciekawe, czy zauważył, że drża jej ręce i że jest zarumieniona jak kilkunastoletnia panienka?

Usiedli naprzeciwko siebie. Jak mąż i żona, pomyślała.

- O co więc chodzi, panie?

- Polecono mi zabrać panią do Londynu, hrabino - padła odpowiedź.

Erotyczne fantazje skończyły się jak nożem uciął. Diana siedziała na swoim miejscu z otwartymi ustami.

- Kto... kto ci polecił, panie? - zdołała w końcu wyjąkać.

- Jak to kto? Król. Oczywiście z pomocą królowej. - Podał jej zalakowany list.

Diana złamała pieczęć i przeczytała list od królowej. Charlotte chciała, by na jakiś czas została jej damą dworu.

- Dlaczego? - Odłożyła pismo. - To chyba jasne, że nie pojedę.

Rothgar pokręcił z dezaprobatą głową.

- Nie radzę odmawiać królowi.

- Nie ma prawa! - wykrzyknęła, zaciskając dłonie w pięści. Wstała i zaczęła się przechadzać po sypialni. Nie tego się spodziewała po tej romantycznej nocy.

Rothgar siedział spokojnie na swoim miejscu.

- Dlaczego? - Diana powtórzyła swoje pytanie.

Pamiętała jeszcze, że wielu Arradale'ów nie powróciło z Londynu. Zostało oficjalnie lub nieoficjalnie zgładzonych. Od tego czasu ograniczono znacznie królewską władzę, ale Jerzy III wciąż mógł ją wtrącić do Tower.

- Sama zwróciłaś na siebie uwagę Jego Królewskiej Mości, pani - zaczął markiz. - Nie trzeba było ubiegać się o miejsce w Izbie Lordów.

- Przecież słusznie mi się należy! - rzekła z mocą, chociaż wiedziała, że sprawa jest przegrana. - Nikt nie reprezentuje moich ziem w Parlamencie! To niesprawiedliwe!

- Tylko dzieci myślą w takich kategoriach, pani. Życie nie jest sprawiedliwe - dodał sentencjonalnie.

- Czy uważasz, że zachowuję się dziecinnie, panie?

- Akurat w tym jednym względzie - odparł. - To pewnie dlatego, że mieszkałaś zbyt długo na północy.

- Lubię moje ziemie.

- Tak, bo tutaj możesz bawić się jak dziecko i niczego się nie obawiać.

Spojrzała na niego i gdzieś, w głębi serca, pojawił się strach. Niewiele wiedziała o życiu dworskim, a miała powody, by spodziewać się najgorszego.

- Czy coś mi grozi? - Milczała przez chwilę, mocując się z jednym słowem. - Tower? - wydobyła je w końcu z siebie.

Rothgar pokręcił głową.

- Nie sądzę. Pamiętaj o akcie *Habeas Corpus*.

Diana wciąż była pełna wątpliwości.

- Czy król go uszanuje?

- Został do tego ostatnio zmuszony przez sąd w sprawie tego dziennikarza, Johna Wilkesa. Jednak to, że w ogóle doszło do aresztowania wskazuje, że król wciąż ma ostre zęby i potrafi kąsać.

Hrabina przypomniała sobie przypadek Wilkesa, który napisał krytyczny wobec króla artykuł do „North Britona”.

Jerzy III wtrącił go za to do Tower, ale Wilkes został zwolniony jako członek Izby Gmin.

-Ja nie napisałam niczego obraźliwego ani nie złamałam prawa - zauważyła Diana.

Zaczynała się powoli uspokajać. Żaden z jej wielkich przodków nie ugiął się przed królem. Zwłaszcza wtedy, gdy czuł, że racja jest po jego stronie.

- To oczywiste, pani. Mimo to jesteś w niebezpieczeństwie.

- Ale dlaczego? - powtórzyła po raz kolejny. - Domagałam się jedynie tego, co mi się słusznie należy.

Rubin na palcu markiza błysnął krwawo w powietrzu. Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

- Dajmy już temu pokój, pani - powiedział z westchnieniem. - Większość mężczyzn zareagowałaby podobnie. Załóżę się, że król napisał na twojej petycji: „przeciwnie naturze” albo gorzej: „buntownicze”. Obawiam się, że sprawdził też twoją pozycję i wpływy. Musi uważać na te ziemie. Zwłaszcza, że znajdują się tak blisko Szkocji.

- Ale ja przecież nie jestem buntownikiem! I nie można mną pomiatać. Nie zgodzi się na to ani arystokracja, ani mój lud! - zakończyła mocno.

- Ani ja, co jest tutaj oczywiście najważniejsze - dodał beznamiętnym tonem.

Chciała roześmiać mu się prosto w twarz, ale coś jej mówiło, że markiz nie żartuje. Nawet Elf podkreślała przecież wpływ, jaki ma na króla. Diana słyszała zresztą już wcześniej o jego możliwościach.

- Powiedz zatem, co mi zagraża, panie - poprosiła.

- Po pierwsze, najpierw pojawią się naciski, żebyś wyszła za mąż, pani. - Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Rothgar powstrzymał ją dłonią. - Po drugie, jeśli im nie ulegniesz, będą cię chcieli uznać za umyślowo chorą.

Protest uwiązał jej w gardle. Przez chwilę patrzyła na markiza jakby był jednym z tych precyzyjnie wykonanych automatów, a potem wstała i lekceważąc jakąkolwiek etykietę, nalała sobie kieliszek porto z kryształowej karafki. Słod-

ko-cierpki płyn dobrze jej zrobił, ale nie uspokoił do końca.

- Przecież król nie może mnie tak po prostu uznać za wariatkę!

Rothgar nawet się nie poruszył na swoim miejscu.

- Sam, nie - stwierdził. - Nie wiem, czy czytałaś, pani, ostatni raport komisji parlamentarnej na temat domów dla umysłowo chorych?

Diana skinęła głową.

- Tak, wiem. Wielu wariatów to po prostu ludzie niewygodni - podjęła temat. - Sama definicja choroby umysłowej jest niejasna, co pozwala na wsadzenie do domu wariatów praktycznie każdego. Zwykle są to krnąbrne żony albo córki. Podjęłam już kroki, żeby zlikwidować tę plagę na swoich terenach. Mam nadzieję, że w Londynie dzieje się podobnie?

Markiz potwierdził, wciąż jednak był zaniepokojony jej losem.

- To prawda, ale nie można było zabronić wtrącania tam ludzi naprawdę chorych - rzekł ze smutkiem. - Dlatego, dysponując odpowiednią władzą, można przekupić lekarzy i pozbyć się niewygodnej osoby. Wszystko może tu się stać pretekstem.

Już chciała powiedzieć, że to niesprawiedliwe, ale się powstrzymała. Nie chciała, by Rothgar uważał ją za dziecko. Znała niesprawiedliwości świata i od lat starała się z nimi walczyć.

- Na przykład co? - spytała.

Tylko chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią:

- Hazard, częste wizyty w teatrze, chęć poślubienia osoby niższego stanu... - wymieniał znane sobie przypadki.

- Albo też pragnienie zasiadania w Parlamencie - dorzuciła.

- Wystarczy niechęć do małżeństwa - mruknął Rothgar. - Ciekawe, dlaczego pociąg do rządzenia innymi wciąż wydaje się wszystkim bardzo naturalny?

Diana sięgnęła po karafkę i nalała sobie jeszcze trochę ciemnego niczym krew płynu. Tym razem piła małymi łykami, rozkoszując się smakiem. Zaczynała się wreszcie powoli uspokajać.

- Nie sędę, żeby król zdecydował się na taki krok wobec głowy rodu - rzekła po chwili. - Cała sprawa byłaby szyta zbyt grubymi nićmi.

Rothgar uderzył dłonią w poręcz swojego fotela.

- Właśnie dlatego powinnaś, pani, pojechać na południe. Ile razy byłaś w Londynie?

Diana zmarszczyła brwi.

- Dwa. Pierwszy raz sześć lat temu z ciotką, a potem w czasie koronacji.

Właśnie wtedy Rothgar zobaczył ją po raz pierwszy. Już wówczas go zaintrygowała. Wydawała mu się piękna i niedostępna. Czyż mógł przypuszczać, że ich drogi skrzyżują się tak szybko?

- Musisz wobec tego pokazać się w towarzystwie, żeby wszyscy mogli cię ocenić. W ten sposób wytrącisz królowi broń z ręki - radził. - Spróbuj też poznać i zrozumieć dwór.

- Żeby móc z nim walczyć?

Spojrzał na nią jak na niesforną uczennicę.

- Żeby nauczyć się unikania zagrożeń - pouczył. - Z dworem tak naprawdę nie można wygrać.

Diana jeszcze przez chwilę przechadzała się po pokoju, a następnie odstawiła swój wysoki kieliszek i usiadła w fotelu.

- A jaką mam gwarancję, panie, że mnie nie zwodzisz? - spytała po chwili namysłu.

To pytanie wyraźnie go rozbawiło.

- A czemu miałbym cię zwodzić?

Rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Sama nie wiem. Jesteś, panie, w końcu *eminence noire* Anglii. Możesz mieć swoje powody.

- Przyjmijmy, pani, że tym razem wyjątkowo mówię prawdę. Gdyby coś ci się stało, Rosa i Brand nigdy by mi tego nie darowali. Jesteś teraz prawie członkiem mojej rodziny, a ja zawsze chronię rodzinę.

- Nawet przed niechcianym małżeństwem?

- A po co chronić przed chcianym? - zażartował.

Diana skrzywiła się, jakby ten dowcip dotknął ją osobiście.

- Mówmy poważnie!

- Dobrze, wobec tego powiem ci, pani - zaczął, patrząc jej prosto w oczy. - Osobiście uważam, że należy zwiększać wolności obywatelskie, w tym prawa kobiet. Sam przyłożyłem ręki do podpisania aktu Hardwicke'a i paru innych dokumentów w tej materii. Ale staram się też żyć w takim świecie, w jakim się urodziłem. Dlatego muszę cię uprzedzić, że jeśli król znajdzie dla ciebie, pani, odpowiednią partię, będzie ci się trudno wymigać od ślubu. Inaczej uznają cię za umyślowo chorą. - Zawiesił głos. - Można jednak próbować temu zaradzić, jeśli zechcesz ze mną współdziałać.

Diana spojrzała na niego podejrzliwie. Jakże miała podstawi, żeby mu ufać? Jeszcze dziś rano niemal przegrał z nią w strzeleckim turnieju.

- To znaczy?

Rothgar uśmiechnął się do niej.

- Bardzo dobrze zagrałaś pokojówkę Rosy, pani. Może teraz dla odmiany spróbujesz zagrać prawdziwą damą?

- Ja jestem prawdziwą damą - powiedziała z naciskiem, prostując się na swoim miejscu.

Markiz nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- No więc, jeśli będziesz się zachowywać jak prawdziwa dama, możliwe, że po prostu uspokoisz królewskie obawy. I wtedy, cała sprawa okaże się nadzwyczaj prosta.

- A jeśli król zechce mnie jednak wydać za mąż?

- To nie odmawiaj, ale powiedz, że jesteś już z kimś po słowie - podsunął jej sprytne wyjście.

- Przecież to nieprawda!

Tym razem nie potrafił powstrzymać zniecierpliwienia. Zmarszczył czoło i pokręcił głową, jakby była niegrzeczną uczennicą i zasługiwała na najniższą możliwą notę.

- Gdybyś przeczytała uważnie list królowej, zauważyłabyś, pani, że cię zaprasza na krótki okres - zaczął wyjaśnienia. - Królowa urodzi już w sierpniu, a wtedy król, który jest kochającym małżonkiem, zapomni o innych sprawach. Musisz tylko dotrzeć do tego momentu.

- Rozumiem. - Po krótkim namyśle zdecydowała, że markiz proponuje jej najlepsze wyjście z sytuacji.

- Bardzo się cieszę.

Hrabina uśmiechnęła się smutno.

- Będę mogła wrócić do domu, ale z podciętymi skrzydłami - powiedziała ni to do siebie, ni to do Rothgara. - Chodzi o to, żebym nie podnosiła hałasu!

- Będziesz musiała, pani, działać jak lis, a nie jak lwica!

- To znaczy, że będę musiała wszystkiego się bać - stwierdziła.

- Będiesz żyła tak, jak przedtem - przekonywał ją.

Diana znowu wstała i zaczęła przechadzać się po sypialni, która nagle wydała jej się ciasna. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Noc była ciepła i pogodna. Wspomniały księżyc świecił nad jej zamkiem.

- Ale bez poczucia wolności - rzuciła.

Rothgar wstał i położył dłoń na jej ramieniu. Nawet teraz, po tej rozmowie, poczuła, że wciąż go pragnie.

- To dziecięce obawy. Pora stać się dorosłym.

Przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć, ale w głowie miała pustkę. Jej świat, który tak cierpliwie budowała przez osiem lat mógł lec w gruzach. I to tylko z powodu królewskich uprzedzeń. Diana wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Patrzyła na księżyc, myśląc o tym, że sama chciałaby być tak odległa i chłodna wobec ludzkich spraw.

- A co się stanie, jeśli król nie da się nabrać i wciąż będzie naciskał na małżeństwo? - zadała ostatnie, dręczące ją pytanie. - Albo jeśli zechce ze mnie zrobić psychicznie chorą?

- Wtedy poślubisz mnie - padła odpowiedź.

Odwróciła się od okna i stanęła z nim twarzą w twarz. Miała nadzieję, że nie widzi, jak sprzeczne targają nią emocje. Jedna jej część wrywała się, żeby powiedzieć, że mogą się pobrać już teraz, a druga chciała krzyknąć, że nigdy do tego nie dopuści.

- Sprytny plan - wykrztusiła w końcu.

Markiz uśmiechnął się do niej życzliwie.

- Cieszę się, że jesteś w stanie ocenić to racjonalnie.
- Traktujesz to, panie, jako ostateczne zabezpieczenie - ciągnęła, starając się ukryć swoje uczucia. - Jako mąż będziesz mógł zawsze uratować mnie przed domem dla umysłowo chorych.

Rothgar skinął głową.

- A poza tym, będzie to oczywiście jedynie formalne małżeństwo - zapewnił. - Zatrzymasz pani swój tytuł, ziemię i... swoją osobę. Pod warunkiem...

- Pod warunkiem? - podchwyciła, zaniepokojona tym, że czegoś jednak od niej będzie chciał.

- Pod warunkiem, że będę cię mógł bić bez ograniczeń, pani. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. - Inaczej po prostu nie będziesz zachowywać się rozsądnie. Pamiętaj, że jeśli posłuchasz mojej rady, małżeństwo nie będzie konieczne.

Diana z trudem powstrzymała uśmiech.

- Wobec tego spróbuję zachowywać się jak tępa, spolegliwa dama - stwierdziła.

- Tak będzie najlepiej.

Rothgar zaczął zbierać się do wyjścia. O dziwo, nie chciała, żeby ją opuszczał. Pragnęła zatrzymać go na dłużej w swojej sypialni.

- Moglibyśmy przypieczętować nasz pakt pocałunkiem - wyrwało jej się. Diana sama była zadziwiona tymi słowami.

Markiz zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią przeciągle.

- Lepiej nie, lady Arradale - rzekł w końcu. - Czy możesz, pani, wyjechać jutro? Jeśli nie, mogę na ciebie zaczekać parę dni.

Diana sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo zabolęła ją odmowa. Wiedziała jednak, że Rothgar ma rację. Jeśli mają razem jechać do Londynu, będzie lepiej, jeśli nauczą się trzymać swe żądze na wodzy. Dotyczyło to zwłaszcza jej... Ale może też i jego?

- Myślę, że lepiej załatwić to szybko - odparła z westchnieniem. - Postaram się jutro rano załatwić wszystkie

moje sprawy i będziemy mogli wyjechać wczesnym popołudniem. Czy to ci odpowiada, panie?

Rothgar skinął głową.

- Najzupełniej. Pozostaje nam wobec tego parę szczegółów do uzgodnienia. Czy pojedziesz, pani, moim powozem, czy weźmiesz własny?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Podróż z markizem była kusząca, bardzo kusząca, a podróż oddzielnym powozem nazbyt ekstrawagancka.

- Chętnie pojedę z tobą, panie. Ale i tak będę potrzebowała oddzielnego powozu z bagażami i służbą - zauważyła.

Rothgar otworzył już drzwi do swojej sypialni. Diana raz jeszcze spojrzała na znajome kwietne wzory i delikatne różowe wnętrza. Jak miło byłoby spędzić tę noc w swoim dawnym pokoju.

- To jasne, pani. Możesz go wysłać, kiedy zechcesz.

Próbowała obliczyć w myślach, jak szybko zdoła załatwić wszystkie swoje sprawy. Stwierdziła, że część z nich może zostawić swojemu sekretarzowi, jak choćby te niefortunne listy od sąsiadów. Nikt się nie obrazi, że nie odpowiedziała osobiście, jeśli okaże się, że wyjechała do Londynu na wezwanie królowej.

- Wobec tego wyjedziemy w południe - zdecydowała.

Lord Rothgar chciał już wyjść. Nie mógł się jednak powstrzymać i zbliżywszy się do hrabiny, uniósł jej dłoń do ust.

- Wiesz, pani, że zawsze będziesz miała we mnie przyjaciela.

Ile ciepła kryło się w tych jego na pozór zimnych oczach!

- A ty, panie, że z niechęcią przyjmuję twoją pomoc.

Zaśmiał się krótko i puścił jej dłoń.

- To niemal powszechne odczucie - stwierdził, przechodząc do swojej sypialni. - Boimy się przyjmować czyjaś pomoc. Boimy się uzależnić od innych ludzi.

Diana stała przez moment przy otwartym oknie, ściskając dłoń, którą pocałował. Więc to jednak nie koniec.

W ciągu najbliższych tygodni, a może miesięcy będą spotykać się równie często jak ostatnio. Z westchnieniem zdjęła szlafrok, nie wiedząc, czego chce i o co jej chodzi.

Kiedy weszła do łóżka, lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Wstała zatem, żeby zamknąć okno, chociaż to nie świeże powietrze spowodowało, że nagle zrobiło jej się zimno. Zmroziła ją myśl, że mogłaby zostać uznana za umyślowo chora! Żyła co prawda w czasach cywilizowanych, a władza monarchy uległa ostatnio dużemu ograniczeniu, wciąż jednak wiele ryzykowała. Dopiero teraz zrozumiała, że gdyby nie Rothgar, byłaby narażona na znacznie większe niebezpieczeństwo. Być w odpowiednim czasie uprzedzonym, to tyle co zyskać dodatkową broń.

Pomodliła się, dziękując Bogu za to szczęśliwe zrzęczenie losu. Jednocześnie pomyślała, że to jej płeć jest powodem wszystkich tych problemów. Gdyby nie była kobietą, mogłaby kpić sobie z królewskich knowań. A przede wszystkim - nigdy nie naraziłaby się na podobne kłopoty. Zasiadałaby zwyczajowo w Izbie Lordów i nikt by nawet nie pisał, że to nie jej miejsce.

Przed zaśnięciem pomyślała jeszcze, że coraz bardziej uzależnia się od markiza. Czuła się tak, jakby Rothgar prowadził ją na jedwabnym sznurku, który z każdą chwilą stawał się coraz grubszy. Stwierdziła też, że nie może dopuścić do małżeństwa z nim. Co innego być samotną hrabiną, rządzącą północą Anglii, a co innego chować się za plecami męża.

Nie, absolutnie nie może na to pozwolić.

Przed wizytą u Diany Rothgar odesłał Fettleera do jego pokoju. Stary służący należał do najbardziej dyskretnych znanych mu ludzi, ale wystawianie go na próbę nie miało żadnego sensu. Rozebrał się więc sam i ze zdziwieniem zauważył, że zajęło mu to mniej czasu niż z asystą służącego.

To dziwne, że arystokracja nie ubiera się i nie rozbiera sama, pomyślał. Oczywiście pomoc jest wymogiem etykiety, ale jakże uciążliwym!

Rothgar kiedyś nawet próbował buntować się przeciwko różnym wymogom towarzyskim, ale szybko dał sobie spokój. Z uśmiechem pomyślał o hrabinie, która sama nalała sobie porto. Zauważył, że ma ochotę na alkohol, gdy tylko zaproponowała mu kieliszek. Odmówił, chcąc wystawić ją na próbę.

- Dziwna kobieta - westchnął, przypominając sobie odbytą przed chwilą rozmowę.

Podszedł do obrazu wiszącego nad kominkiem i spojrzął nań raz jeszcze. Ostatnio robił to zbyt często. Ale czy mógł się oprzeć tej dziewczynce z kasztanowymi lokami, którą nieznanemu artyście uchwycił w tak naturalnej pozycji? Mała Diana siedziała na ławce, trzymając na rękach dwa kotki. Jeden chciał jej chyba uciec, więc podniosła trochę nóżkę ukazując pofałdowaną ppńczoszkę. Nie to jednak było najważniejsze, ale radość życia, która wprost biła od dziecka. Roześmiała buzia z dołeczkami i isierki w zielonych oczach. Wprost miało się ochotę uściskać i wycałować dziewczynkę.

Chciał zbliżyć się jeszcze bardziej do obrazu, ale coś mu zatarasowało drogę. Dopiero teraz przypomniał sobie o automacie, który kazał ustawić przy kominku. Zdjął z niego płócienną zasłonę i spojrzął na dwoje dzieci. Różniły się włosami i oczami, poza tym były niemal identyczne. Chłopiec co prawda robił wrażenie poważniejszego, ale za to dopiero teraz zauważył ptaka na gałęzi tuż obok ramienia dziewczynki.

Pomyślał smutno o losach niechcianych dziewczynek. Hrabina miała na pewno szczęśliwe dzieciństwo, ale jej rodzice z pewnością bardziej cieszyliby się z chłopca. Tak było w wielu domach. Czy sprawiedliwie?

Przypomniał sobie własne słowa na temat sprawiedliwości i uśmiechnął się gorzko. Nie miał złudzeń co do świata, w którym przyszło mu żyć.

Raz jeszcze rozważył to, co wynikało z postanowienia lady Arradale. Musiał przyznać, że był to jedyny sensowny wybór. Gdyby wyszła za mąż, musiałaby zrezygnować ze swoich ambicji. Mąż-zawistnik tropiłby każdy przejaw

jej samodzielności. I tym, co by jej wówczas pozostawało, byłoby ukrywanie własnych umiejętności.

Mąż i żona stanowią jedno. Tyle, że tym jednym jest właśnie mąż, pomyślał. Jego siostra miała dużo szczęścia, że trafiła na Forta. Ale też była znacznie mniej niezależna niż Diana.

Myśli markiza podążyły nagle w innym kierunku. Zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby nagle, jakimś cudem, pojawił się brat hrabiny. Czy powitałaby go ciepło? Czy z chęcią pozbyłaby się hrabiowskich obowiązków?

Rothgar pokręcił głową i raz jeszcze spojrzął na portret dziecka, a potem jego lalkową podobiznę. Ciężar władzy jest słodki. Nawet dzieci lubią rządzić rówieśnikami. Poza tym, lady Arradale doskonale sobie radziła. Z pewnością źle by zniosła, gdyby ktoś obrócił wniwecz całą jej pracę.

Półświadomie dotknął głowy chłopczyka i pomyślał o dzieciach, których nigdy nie będzie miał. Na szczęście miał już dziedzica. Ale obserwując dziecko Brygha, zatęsknił za własnym. Cóż, puste marzenia.

Z ciężkim westchnieniem usiadł na łóżku, żeby zdjąć buty. Były to dworskie pantofle, których używał w czasie wizyt. Ściągnął też krótkie spodnie i pończochy. Następnie zerknął na automat i z powrotem przykrył go płótnem. Spojrzenie dziewczynki z portretu jakoś mu nie przeszkadzało.

Wciąż dziwiło go to, że hrabina, będąc osobą tak mądrą i odważną, potrafiła jednocześnie być tak naiwna. Ale czuł do niej sympatię z powodu jej całkowitej ignorancji dotyczącej dworskich gier. Z całą pewnością należała do tych osób, które mówiły prawdę prosto w oczy i potrafiły bronić swoich przekonań.

Z uśmiechem przypomniał sobie to, co Fettleer swoim beznamiętnym głosem opowiedział mu o jej nocnej wizycie. Znaczyło to, że płonął w niej ogień pożądania. Być może w innych okolicznościach Rothgar skorzystałby z okazji. Ale teraz był zbyt wzburzony pismem od króla. A poza tym wiedział, że ich wzajemne stosunki i tak się mocno skom-

plikują w ciągu najbliższych dni. W tym wszystkim, co ich czekało, nie było miejsca na romans.

10

Diana z ulgą wstała nad ranem, ponieważ przez całą noc dręczyły ją koszmary związane z domem dla psychicznie chorych oraz... markizem. To on ratował ją z opresji, a potem całował jej dłoń. To on wnosił ją do ślubnej sypialni i rozbierał. To on w końcu z dzikim chichotem mówił, że tak naprawdę wcale nie są małżeństwem i że król to wszystko ukartował.

Sny nie miały żadnego sensu, ale były bardzo męczące. Kiedy się w końcu obudziła, pożałowała, że zgodziła się jechać powozem Rothgara. Ta podróż może stanowić przedłużenie nocnego koszmaru. Wystarczy, że markiz zacznie z nią flirtować. Albo, co gorsza, tego poniecha!

Pomyślała o dniach, które będzie spędzać razem z nim. I o nocach, które będą spędzać osobno. Wszystko to wydało jej się zbyt przytłaczające i najchętniej w ogóle wycofałaby się z decyzji dotyczącej wyjazdu.

Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Widmo choroby psychicznej wciąż nad nią wisiało. Kto odmawia królowi? Buntownik, albo wariat!

Obudziła się, gdy zegar wybił trzecią i leżała jeszcze pół godziny. Kiedy usłyszała jedno krótkie uderzenie, wstała i zapaliła świecę. Jeszcze przy jej świetle zabrała się do porządkowania spraw domowych. Napisała instrukcje dla służby, w których dokonała wyraźnego podziału kompetencji. Wyzaczyła też sekretarza na swojego zastępcę.

Dopiero po czwartej obudziła Clarę i wydała jej odpowiednie dyspozycje. Napisała również do Wenscote z informacją dla Rosy i Branda. Nie miała ochoty wzywać ich

tak szybko po ślubie, ale przyjaciółka nie darowałaby jej, gdyby wyjechała bez pożegnania.

W końcu, kiedy zrobiło się już zupełnie widno, a jej apartament zamienił się w jedną wielką pakowalnię, Diana posłała pokojówkę, żeby sprawdziła, czy obudziła się już jej matka. Clara wróciła z informacją, że tak. Diana udała się więc do niej, zastanawiając się, jak wyjaśnić matce swój nagły wyjazd i nie wzbudzić jej niepokoju.

Tymczasem okazało się, że starsza pani, która jadła właśnie śniadanie w łóżku, uznała wyprawę do Londynu za świetny pomysł.

- Jak to miło ze strony królowej - ucieszyła się. - I jak dobrze, że markiz będzie ci towarzyszył. Na drogach jest przecież tak niebezpiecznie.

Diana pomyślała, że znacznie niebezpieczniej będzie w powozie z Rothgarem.

- Zawsze radzę sobie sama, mam - zauważyła. - A poza tym dwór jest chyba strasznie nudny.

- Oczywiście - zgodziła się matka, wprawiając ją w osłupienie. - Chodzi o to, że będziesz mogła korzystać z rozrywek Londynu.

- Większość osób wyjeżdża stamtąd na koniec sezonu.

Starsza pani pokręciła głową.

- Jestem przekonana, że znajdziesz coś... podniecającego. - W jej oczach zalśniły figlarne iskierki. - Już markiz o to zadba. W końcu jesteście teraz prawie... rodziną.

Te niedopowiedzenia i błyski w oczach matki kazały jej sądzić, że wie o wczorajszej propozycji markiza. Jednak takie przypuszczenie było na tyle absurdalne, że szybko oddaliła je od siebie. Matka jak zwykle więcej przeczuwała niż wiedziała. Jak to się dzieje, że jej przecucia okazują się zwykle trafne? Dobrze przynajmniej, że nie domyśla się powodu nagłego wezwania do Londynu.

Po chwili do pokoju wszedł lokaj, obwieszczając przybycie Rosy i Branda. Posłaniec Diany nie mógł dotrzeć do nich tak szybko, co znaczyło, że to Rothgar poinformował ich

wcześniej. Przeszła do salonu, gdzie zastała wszystkich swoich gości. Część była już gotowa do wyjazdu. Powitały ją spojrzenia pełne sympatii, ale też ciekawości. Diana przywitała się spokojnie z zebranymi. Dopiero po jakimś czasie znalazła okazję, żeby porozmawiać z Rosą na osobności.

- Pięknie wyglądasz! - zachwyciła się Diana.

- No jasne. O co chodzi z tym całym Londynem? Posłaniec markiza przyjechał wczoraj bardzo późno, ale na szczęście nie spaliśmy. - Przyjaciółka zachichotała. - Zawsze mówiłaś, że nie znosisz Londynu.

Diana wzruszyła ramionami.

- Nie mam wyboru. Królowa...

Nie zdołała skończyć, ponieważ Elfwzięła ją w ramiona.

- Och, Dianio! Moje biedactwo!

Ciekawe, czego dowiedziała się od brata? Diana nie chciała, żeby wszyscy poznali jej sytuację. Byłoby to krępujące i zupełnie niepotrzebne.

- Mój Boże, uschniesz z nudów przy królowej! - uzałała się nad nią dalej. - Zwłaszcza teraz, kiedy oczekuje rozwiązania, nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

- Ale przynajmniej jest nadzieja, że szybko mnie zwolnią - podsunęła z westchnieniem Diana.

Elf tylko machnęła ręką.

- I tak zdążysz zanudzić się na śmierć. Powiedziałam Beyowi, że pojedziemy z wami do Londynu, ale jest przeciwny.

Hrabina zerknęła na Rothgara, który rozmawiał właśnie ze Steenem i Brygthem. Ciekawe, dlaczego nie chciał, by Elf jej towarzyszyła?

- Ma rację. Przecież chcieliście się rozejrzeć po okolicy - przypomniała.

Siostra Rothgara potrząsnęła swoją kształtną główką.

- Fort obiecałmi, że jak tylko się ze wszystkim uporamy, natychmiast przyjedziemy do stolicy. Musimy odwiedzić parę zakładów tkackich, żeby zorientować się w cenach. Inne atrakcje mogą poczekać.

Ta wiadomość dodała jej otuchy.

- Bardzo się cieszę - rzekła z uśmiechem. - I liczę na pomoc w Londynie.

Elf spojrzała najpierw na nią, a potem na Rothgara.

- Czy podróż z moim bratem nie będzie dla ciebie zbyt... uciążliwa? - Spytała, powstrzymując z trudem figlarny uśmiech.

- Obawiam się, że to raczej markiz zanudzi się w moim towarzystwie - odparła Diana, starając się nadać głosowi znudzony ton. - Chcę wziąć ze sobą parę książek, więc droga zbiegnie mi na czytaniu.

- Przynajmniej będzie wam wygodnie. Powóz Beya ma rozkosznie miękkie siedzenia. - Elf zapłoniła się nagle z powodu wymowy swoich słów. - Szczęśliwej podróży.

Ucałowały się na pożegnanie.

Dzieci Steenów były już niespokojne. Rodzice obiecali im atrakcje w domu i teraz chcieli dotrzeć tam jak najszybciej. Diana pożegnała się więc z Hildą i jej mężem, który w imieniu całej rodziny podziękował jej za gościnność. Potem przyszła kolej na Walgrave'ów.

- Jeśli Bey będzie chciał tobą rządzić, to powiedz mu, żeby się wypchał - szepnęła jeszcze Elf, żegnając się z nią po raz drugi.

Na końcu pożegnali się Bryghtowie. Przy czym lord patrzył na nią tak, jakby domyślał się, dlaczego musi jechać do Londynu. Jego cicha jak myszka żona była zajęta Francisem.

- Życzę powodzenia - powiedziała tylko, kiedy podstawiono ich powóz. - I dziękujemy za wszystko.

Być może właśnie takiej towarzyszkii życia potrzebował Bryght. Łagodnej i spokojnej, nie rzucającej się w oczy. Zapewne zmęczyło go ciągłe obcowanie ze swoimi wojowniczymi i pewnymi swego siostrami.

Zostali we czwórkę z markizem, Rosą i Brandem. Zakończono już pakowanie rzeczy hrabiny i służba przenosiła teraz sakwojaże do oddzielnego powozu.

- Nie mam ochoty na ten wyjazd! - westchnęła.

Rosa wzięła ją pod ramię.

- To jasne - rzuciła. - Ale powiedz sobie, że już niedłu-

go wrócisz do domu. Jeszcze przed jesienią, kiedy jest tu najładniej.

Rothgar patrzył na przyjaciółki, które zaczęły przechadzać się po zamkowym dziedzińcu, a następnie przeniósł spojrzenie na brata.

- Pytaj.

- Czy to naprawdę konieczne, Bey? - Brand wyrzucił z siebie pytanie, które dręczyło go od momentu, kiedy zobaczył minę lady Arradale.

- To rozkaz króla.

- Król zwykle robi to, co mu radzisz - zauważył Brand.

- Przeceniasz moje możliwości - mruknął Rothgar. - Czy wiedziałeś o tym, że hrabina wystąpiła o prawo zasiadania w Izbie Lordów?

Brat skrzywił się, jakby jadł przywiezioną przez marki-za cytrynę.

- Rosa coś o tym wspominała - przyznał. - Jak na tak sprytną kobietę, potrafi robić wyjątkowo głupie rzeczy. Chodzi mi o lady Arradale.

- A nie wydaje ci się to niesprawiedliwe?

- Niesprawiedliwe? - powtórzył Brand. - Czy ja wiem? Przecież dziedziczy tytuł.

- Ale gdyby miała nawet młodszego brata, to nie byłaby hrabiną - zauważył Rothgar.

- Chciałbyś, żeby tytuł przysługiwał najstarszemu dziecku bez względu na płeć? - zapytał Brand, uderzony oryginalnością tej myśli.

- Albo najzdolniejszemu. Albo takiemu, które po prostu pragnie dziedziczyć. Bryght na przykład nie chce tytułu markiza. Ani dla siebie, ani dla swojego syna - zakończył gorzko Rothgar.

- To by była prawdziwa rewolucja! - Brand potrząsnął głową. - Jeśli będziesz o tym rozpowiadał, skończysz w Bedlam.

Markiz zaśmiał się ponuro.

- No właśnie. Ale zostawmy ten temat. Chciałbym cię jeszcze prosić, żebyś miał oko na Francuzów.

- Tutaj? - zdziwił się Brand.

- Tak, właśnie tutaj - potwierdził Rothgar. - Te ziemie są jęczyczkiem uwagi całego królestwa. Leżą między spokojną południową Anglią, a buntowniczą Szkocją i Irlandią. Dlatego proszę, żebyś uważał na przybyszów z północy. Jeżeli czegoś się dowiesz, natychmiast przyślij mi wiadomość.

- Czy to się nigdy nie skończy? - westchnął Brand. - Podejrzewam, że Bryght i Elf też otrzymali odpowiednie dyspozycje.

- Tak, chociaż mam swoich ludzi w Liverpoolu. Ludwik XV chciałby pomścić klęskę Francji.

Brand wyprostował się nieco.

- Byłby szalony, gdyby zaczął nową wojnę!

Rothgar zbył wybuch brata machnięciem ręki.

- Wojna w ogóle jest szaleństwem, a popatrz, co się dzieje wokół. Wiem, że Francuzi tylko czekają na odpowiedni moment, żeby uderzyć. Być może będą sami chcieli stworzyć dogodną sytuację. D'Eon to zręczny polityk.

- I podobno niezrównany szermierz - Brand wpadł mu w słowo. - Jak sądzisz, czy miał coś wspólnego ze sprawą Curry'ego?

Rothgar nie chciał rozmawiać o tym z bratem. Zrozumiał, że Brand pragnie się przede wszystkim zająć piękną żoną. Popełnił błąd, prosząc go, by miał oko na Francuzów. Tak, myli się ostatnio zbyt często.

- Jestem w bardzo serdecznych stosunkach z D'Eonem - poinformował Brand.

Jednak brat nie dał się tak łatwo zwieść.

- Uważaj na niego, Bey - poprosił. - To groźny przeciwnik.

Służba skończyła już przygotowania do odjazdu. Zjedli więc we czwórkę późne śniadanie, a następnie pożegnali się, wyszedłszy ponownie na dziedziniec.

- Nie przejmuj się Francuzami, Brand - rzekł Rothgar. - Zajmij się raczej hodowlą bydła i... dzieci. Życzę ci wiele szczęścia.

- Mógłbym ci radzić to samo, ale nie... - Brat zmarszczył czoło. - Mam tylko jedną prośbę. Postaraj się nie skrzywdzić hrabiny. Łatwiej ją dotknąć, niżby się mogło wydawać.

Rothgar położył dłoń na sercu.

- Pragnę tylko jej dobra - zadeklarował.

Brand spojrział na niego z powagą.

- Właśnie tego się obawiałem.

Kiedy w końcu dotarli do oberży „Pod łabędziem” w miasteczku Ferry Bridge, Diana była zupełnie wyczerpana. Markiz zarezerwował dla nich całe piętro. Większość służby wyległa na podwórko, żeby ich powitać. To również wydało jej się denerwujące. Diana przywykła do zaszczytów, ale nie aż takich.

Jednak najbardziej męczył ją brak zainteresowania ze strony markiza.

Tak, jak zapowiedziała, wzięła ze sobą parę interesujących książek, ale miała też nadzieję na ciekawą rozmowę. Zwłaszcza, że podróżowali w towarzystwie Clary i Fettera, co czyniło konwersację zupełnie bezpieczną.

Niestety Rothgar przez cały czas przeglądał jakieś dokumenty. Część z nich miała pieczęcie najświetniejszych domów Anglii, więc domyśliła się, że są ważne. Niektóre były zapewne zaszyfrowane, gdyż markiz czytał je korzystając z jakiejś książeczki.

Koło trzeciej stos korespondencji zmałał na tyle, że odzyskała nadzieję na jakiś kontakt z towarzyszem podróży. Niestety, wkrótce dogonił ich posłaniec z nowymi listami. Jak się okazało, ścigał ich aż od Arradale.

Rozmawiali tylko w czasie przerw na zmianę koni. Rothgar przechadzał się z nią wówczas po okolicy, gawędząc o pogodzie albo miejscowym przemyśle lub rolnictwie. Nie spodziewała się, że aż tyle wie, ale nie interesowały jej ani uprawy, ani mijane roszerne.

W końcu zrozumiała, że Rothgar chce w ten sposób ograniczyć ich osobiste kontakty. Zapewne nieprzeniknio-

ny Fettler opowiedział mu o jej nocnej wizycie i markiz domyślił się jej powodów.

Do licha! Nie chciała przez dwa kolejne dni rozmawiać o pogodzie i uprawach Inu. Posłała Clarę do swojego pokoju, żeby poczyniła przygotowania do nocy, ale pokojówka powróciła z informacją, że wszystko już jest zrobione. Diana przez chwilę miała ochotę zadysponować kolację do swego pokoju, ale w końcu zdecydowała się zjeść w towarzystwie Rothgara.

Kiedy jednak zeszła do ich prywatnej jadalni, zastała tam dwoje nieznanych ludzi pogrążonych w rozmowie z markizem.

Rothgar natychmiast zauważył jej wejście.

- Oto hrabina Arradale - zaprezentował ją. - Pozwól, pani, że ci przedstawię pana de Couriac i jego damę.

Młody człowiek wstał i skłonił jej się dwornie na francuski sposób. Jego towarzyszka dygnęła uprzejmie. Diana patrzyła na nich osłupiała. Francuzi?! Tutaj?! Wkrótce uzmysłowiła sobie, że przecież oficjalnie między Koroną a Francją panuje pokój. Skłoniła się, czując, jak palają policzki. Czyżby markiz specjalnie sprowadził tutaj tę parę, przeznaczając jej role przyzwoitek? Wiedział przecież, że nie będzie mógł liczyć na stałą obecność służby.

- Bardzo mi miło państwa poznać - powiedziała Diana.

Pani de Couriac była dosyć ładna, lecz przede wszystkim sprawiała wrażenie osoby niezwykle inteligentnej. Malutka i szczupła, wyglądała bardziej na dziewczynkę niż dorosłą kobietę i miała duże brązowe oczy oraz zaciśnięte w kreseczkę usta. Jej mąż prezentował się przy niej jak niedźwiedź, chociaż tak naprawdę był niższy *od* Rothgara.

- Z wzajemnością. Niezmiernie się cieszymy, mogąc odwiedzić pani piękne sthony - powiedziała z silnym akcentem pani de Couriac.

Angielski jej męża był znacznie lepszy:

- Przez wszystkie te lata żałowaliśmy, że nie możemy tego zrobić - dodał.

Oboje mówili po angielsku, co było o tyle zaskakujące,

że Francuzi rzadko uczyli się tego języka. Co więcej, raczej nie interesowały ich brytyjskie pejzaże i przyciągał ich jedynie przemysł.

Ze względu na panią de Couriac, Diana przeszła na francuski, którym posługiwała się jak rodowita Paryżanka.

- Wojna jest zawsze nieszczęściem, prawda? Czy państwo zjecie z nami kolację? Jak miło! Musicie państwo nam opowiedzieć, co dzieje się we Francji.

Przy zupie rozmawiali o podróżach. Mówił głównie pan de Couriac, natomiast jego żona wpatrywała się w markiza. Jej usta nabrały nagle powabnego kształtu, a w oczach pojawił się wyraz cielącego zachwyty.

Pan de Couriac albo tego nie widział, albo nie chciał widzieć!

Podano rybę. Diana próbowała zwrócić na siebie uwagę markiza i Francuzeczki, ale na próżno. Pomyślała, że to Rothgar oszalał, dając się omotać tej kobiecie. Przecież za chwilę pan de Couriac wyzwie go na pojedynek!

Francuz zachowywał jednak spokój, skupiając się na swoim daniu.

- Ach, wy, Anglicy, żadnych sosów, żadnych sosów - rzucił tylko.

Madame de Couriac oblizała prowokacyjnie palce, którymi wcześniej dotknęła potrawy. Wyglądała w tej chwili jak demon seksu. Albo jedna z tych strzyg, o których Diana kiedyś czytała.

Dlaczego jej mąż nic nie robi? Czyżby obawiał się Anglika na jego własnym terytorium? Diana pomyślała, że musi zadziałać, inaczej dojdzie do tragedii. Nadludzkiem wysiłkiem zdołała odwrócić uwagę Francuzki od markiza i zaczęła rozmowę o modzie. Pytała najpierw o stroje, potem o perfumy, a kiedy zaczęło jej już brakować tematów, wypytywała panią de Couriac o modne fryzury i kapelusze, których zresztą szczerze nie znosiła.

Co jakiś czas zerkała na markiza. Tak, jak przypuszczała, nie pozostał obojętny na wdzięki Francuzki. Czy nie rozumiał tego, że naraża się na gniew jej męża? Przecież

był światowcem. Powinien znać niebezpieczeństwa wynikające z takich sytuacji.

Kolacja dobiegała już końca. Oboje z Rothgarem dopijali herbatę, a francuskie małżeństwo kończyło kawę. Diana z wymuszonym uśmiechem odsunęła od siebie filiżankę.

- Chcecie państwo zapewne już się położyć, żeby jutro wcześniej zacząć podróż - zwróciła się do Francuzów.

- Nie, zatrzymaliśmy się tutaj na kilka dni - powiedziała pani de Couriac, patrząc Rothgarowi prosto w oczy.

Co za głupiec! pomyślała Diana.

- Może porto? - zaproponował pan de Couriac.

A ten jeszcze większy! wściekała się w duchu.

- Nie, dziękuję. My w każdym razie wyjeżdżamy jutro rano - rzekła, kładąc nacisk na „my”.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, pani, że my musimy udać się na spoczynek? - spytał Rothgar. - Poproszę porto.

Spojrzała na niego z wściekłością, ale musiała powściągnąć gniew. Dalsza walka wydawała się beznadziejna. Markiz bez reszty pogrążył się w szaleństwie.

- W każdym razie ja muszę - niemal warknęła, a następnie skłoniła się wszystkim chłodno. - Dobranoc.

Wstali, żeby się z nią pożegnać, ale nie miała wątpliwości, że za chwilę usiądą do porto. Sama nie wiedziała, dlaczego pan de Couriac nie skorzystał z okazji i nie odciągnął żony od markiza. Mężczyźni wydawali jej się coraz mniej zrozumiali. Co takiego ma w sobie ta Francuzka?! I dlaczego Rothgar uznał, że jest lepsza od niej?!

Kiedy znalazła się na korytarzu, przyszło jej do głowy, że być może chodzi im o jakąś perwersję *a trois*, o których czytała kiedyś w zakazanej książce. Francuzi słynęli przecież z miłosnych gier.

Diana otworzyła drzwi do swego pokoju, a potem zatrzasnęła je z hukiem. Oparła się o nie plecami i stwierdziła, że jest zazdrosna. Zazdrosna o panią de Couriac, której tak szybko udało się to, na co ona czekała od ładnych paru dni.

Co za ironia, pomyślała, zdejmując swój czepek. Przecież

ta kobieta jest zamężna, więc nie powinna się tak zachowywać. Tylko osoba wolna, tak jak Diana, mogła w ten sposób prowokować mężczyzn. Przypomniała sobie, jak Francuzka oblizywała palce i położyła dłoń na swoich ustach.

Nie, to nie tak. Brakowało jej czegoś uwodzicielskiego, czegoś, co jak ją kiedyś przekonywała Rosa, mają tylko kurtyzany.

Podeszła do okna i swoim zwyczajem otworzyła je na oścież. Jakiś spóźniony powóz nadjeżdżał od strony Yorku. Jak przyjemnie byłoby wyjść i cieszyć się wolnością. Niestety, zapewne wszyscy w oberży wiedzą, że przyjechała tu w towarzystwie lorda Rothgara.

Przypomniała sobie, jak przed rokiem odgrywała rolę pokojówki Rosy. Cieszyło ją to, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Służąca zawsze mogła pójść, gdzie chciała. Miała też prawo do przyjaznej pogawędki z jakimś woźnicą czy lokajem lub nawet flirtu.

Przez chwilę zastanawiała się nad Clarą, która była mniej więcej jej wzrostu. Hrabina potrafiła też naśladować jej akcent z Yorkshire. Jednak nie, bez odpowiedniego makijażu nie miała najmniejszych szans. Ktoś mógłby ją natchmiast rozpoznać.

Oczywiście Rothgar mógł wyjść, gdy tylko miał na to ochotę. Wszyscy by go poznali, ale wcale by się tym nie przejął. Diana nie wiedziała, dlaczego mężczyźni nawet w tym względzie mieli większe prawa, ale fakt pozostawał faktem. Powszechnie zakładano, że kobieta nie potrafi się bronić. A przecież wczoraj wykazała, że jest co najmniej równie dobrym strzelcem jak markiz.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, żeby wyjść na dwór z pistoletami. Nie, musi przecież grać prawdziwą, a więc słabą i omdlewającą damę. Inaczej zamkną ją szybko w domu dla psychicznie chorych.

Diana była raz w takim miejscu i nie chciała już nigdy tam wracać. Stało się to zaraz po raporcie komisji parlamentarnej. Właśnie wtedy pojechała do Yorku, żeby sprawdzić, czy nie trzyma się tam pokrzywdzonych kobiet.

Miejsce było dobrze utrzymane, a siostry zakonne wyglądały na oddane swoim pacjentom. W zgiełku i tumulcie, jaki tam panował, trudno było ocenić, które osoby są normalne, a które nie. A jeśli ta kobieta, która wyznała jej, że jest indyjską księżniczką mówiła prawdę?! Nie, niemożliwe! Miała przecież piegi i mówiła z miejscowym akcentem. Diana nabrała wówczas przekonania, że nawet człowiek normalny, który trafi w takie miejsce, po jakimś czasie musi zwariować. Lodowate kąpiele, którymi leczono chorych, mogły jeszcze przyspieszyć ten proces.

Brr! Nagle poczuła, że zrobiło jej się zimno. Podeszła do okna, żeby je zamknąć, ale nagle zastygła z wyciągniętymi rękami. Z dołu dobiegła do niej rozmowa po francusku. Od razu zorientowała się, że ma ona dosyć burzliwy przebieg. Pan de Couriac zapewne zdecydował się wypomnieć żonie jej wiarołomność.

- Ależ próbowałam! - syknęła kobieta i rozejrzała się dokoła.

Diana nadstawiła uszu.

- Za mało. Widziałem, że mu się podobasz.

- To co mam zrobić?! Iść nago do jego sypialni?!

- Tak, jeśli tego wymaga interes kraju.

- On nie jest taki, Jean-Louis. Sam musiałby mnie poprosić.

Głos mężczyzny niemal przeszedł w krzyk. Francuz zupełnie nie przejmował się tym, że ktoś może ich słyszeć.

- To zrób coś, żeby cię poprosił!

- Cii... Sama nie wiem... Aa! - Kobieta wydała pełen bólu okrzyk, a Diana wychyliła się, żeby sprawdzić, co dzieje się na dole. Pan de Couriac trzymał żonę za ramię i zapewne ścisnął ją tak mocno, że zabolęło.

- Proszę, Jean-Louis! Będę próbować.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Nie spojrzął w górę, ale Diana i tak wolała wycofać się do swego pokoju. Więc to sam pan de Couriac stręczył markizowi żonę. Ale po co? Dla pieniędzy? A może po to, by go zabić? Hrabina przypomniawszy sobie, jak Elf opowiadała o tym, że ktoś próbo-

wał zabić jej brata w pojedynku. A może chodziło o szantaż? Nie, raczej niemożliwe. To kobieta w takich sytuacjach miała więcej do stracenia. Więc jednak pojedynek. Gdyby pan de Couriac przyłapał markiza ze swoją żoną, Rothgar musiałby dotrzymać mu pola. To prawda, że jest doskonałym szermierzem, ale na świecie na pewno są lepsi.

Pełna złych przeczuć zadzwoniła po Clarę i wyjrzała za okno. Francuzi gdzieś zniknęli.

11

- Claro, pójdz teraz do markiza i przekaz, że proszę o chwilę rozmowy - powiedziała Diana, kiedy pokojówka zjawiła się w jej pokoju.

Czekając, zastanawiała się, jak ostrzec Rothgara. Clara wróciła szybciej niż się spodziewała.

- Markiza nie ma w jego pokoju, pani.

Czyżby już znalazł się w ramionach madame de Couriac? Nie, to za szybko. Popełnił dużą nieostrożność wychodząc w nocy ze swojego pokoju, a może i z oberży.

- Wobec tego przekaz jego lokajowi, że chcę rozmawiać z markizem, gdy tylko wróci.

- Tak, pani.

Clara wyszła z pokoju, a Diana zaczęła ponownie analizować rozmowę Francuzów. Nagle przyszło jej do głowy, że mogą też być szpiegami. Wydawało jej się, że de Couriac wspomniał coś o dobru kraju.

Przypomniała sobie papiery, które widziała u Rothgara. Część z nich na pewno była tajna. Być może Francuzi chcieli je wykraść.

Diana odetchnęła z ulgą. Gdyby jej domysły okazały się słuszne, życie markiza nie byłoby w niebezpieczeństwie. Doprawdy Rothgar niepotrzebnie włóczył się po nocy.

Zaczęła chodzić po swoim wygodnym pokoju, czując się w nim jak w klatce. W końcu nie wytrzymała i narzucawszy lekką pelerynę wyszła na zewnątrz. Ludzie zwracali na nią uwagę, ale nie budziła sensacji. Starła się trzymać tylko dobrze oświetlonych miejsc. Kiedy znalazła się przed oberżą, zauważyła, że Rothgar żegna się z zażywnym mężczyzną, wyglądającym na wiejskiego prawnika. Zaraz potem zobaczyła francuskie małżeństwo przechadzające się nieopodal. Śmiało podeszła do markiza.

- Czy mogłabym z tobą porozmawiać, panie? - spytała, rozglądając się nerwowo.

- Ależ z największą rozkoszą - odrzekł, składając jej ukłon.

Pomyślała, że mógłby sobie darować te dworskie manieiry. Zaproponowała przechadzkę, a kiedy znaleźli się daleko od de Couriaców, chwyciła go za ramię.

- Podśledzałam przypadkiem rozmowę tych Francuzów - szepnęła podniecona.

-I?

Krew nabiegła jej do policzków i zmieszana opuściła rękę.

- Em, de Couriac chciał skłonić żonę, żeby... żeby ci się, panie, oddała - wyrzuciła z siebie w końcu.

- Odniosłem wrażenie, że wcale nie trzeba jej do tego skłaniać - powiedział z niezmaconym spokojem.

- Pani de Couriac jest niebezpieczna.

- Wszystkie kobiety są niebezpieczne - stwierdził sentencjonalnie.

- Ale ja, panie, nie chcę cię zabić! - wypaliła.

Rothgar uśmiechnął się lekko.

- Chciałbym mieć tę pewność - rzekł z westchnieniem. - Przecież już raz próbowałeś zabić mojego brata. Ale, ale, zbaczamy z głównego tematu. Powiedz pani, dlaczego tak mnie straszysz panią de Couriac?

Jej obawy wydały się nagle przesadzone.

- Em, wydaje mi się, że mogą być szpiegami. - Diana starała się pozbierać rozbiegane myśli. - To pewnie głupie,

ale mówili coś, że to dla dobra kraju... w ogóle - zakończyła niezręcznie.

Markiz pokręcił głową.

- To wcale nie jest głupie. Dziękuję za ostrzeżenie.

Niestety, wciąż nie przychodziła mu do głowy najgorsza ewentualność. Diana uznała więc, że musi mu o tym powiedzieć wprost.

- Być może pan de Couriac będzie chciał cię przyłapać z żoną. Po to, żeby zabić cię w pojedynku - ciągnęła, czując się wyjątkowo niezręcznie. - Słyszałam, że już była taka próba.

- Ach, ta Elf! - westchnął, po czym spojrzał jej prosto w oczy. - Nie tak łatwo mnie zabić.

Już chciała mu odpowiedzieć, że każdy może zginąć w pojedynku, kiedy od strony oberży nadbiegła zdenerwowana pani de Couriac.

- Ach, monsieur, mój mąż leży w bólach - mówiła szybko po francusku. - Posłałam po lekarza, ale mój angielski nie jest tak dobry, żeby się z nim porozumieć. Czy zechcesz panie...?

- Ja też mówię po francusku - wtrąciła Diana. - Chętnie podejmę się roli tłumaczki.

Pani de Courier spojrzała na nią jak na jaszczurkę.

- Niestety, mój mąż jest w samej bieliźnie - rzekła, spuszczając oczy. Jednocześnie chwyciła markiza pod ramię i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Diana nie potrafiłaby tego tak zrobić. Przypomniała sobie, że jeszcze przed chwilą widziała ich dwoje przed oberżą. A teraz nagle okazało się, że pan de Couriac jest półnagi i chory. Co więcej, zdążyli posłać po lekarza. Cała intryga była szyta grubymi nićmi, ale Rothgar wydawał się tego nie dostrzegać.

- Chodźmy - powiedziała. - Pewnie zaraz pojawi się lekarz.

Diana spojrzała na Francuzkę.

- Możesz też, pani, liczyć na moją pomoc - wtrąciła złośliwie. - Gdybyś na przykład czuła się zbyt samotna.

Z trudem powstrzymała się, żeby nie chwycić Rothgara za wolne ramię i nie przeciągnąć go na swoją stronę. Zrobiła wszystko co mogła, aby go ostrzec. Ma chyba trochę oleju

w głowie, który pozwoli mu wyjść cało z tej sytuacji, chociaż Diana powoli zaczynała wątpić w męski rozum. Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziły takie diablice, jak pani de Couriac.

Rothgar poszedł za Francuzką, ciekawy, o co też może jej chodzić. Równie dobrze mogły to być jego papiery, jak i życie. Już od jakiegoś czasu podejrzewał, że to D'Eon stoi za pojedynkiem z Currym. Gdyby się okazało, że teraz de Couriac chce go wyzwąć, zyskałby ten drugi punkt, o którym mówił Bryghtowi. Wyznaczona linia prowadziła by wprost do Francji.

Markiz uśmiechnął się, przypomniawszy sobie śmiałą akcję lady Arradale. Doskonale radziła sobie w nowych dla niej warunkach, choć jednocześnie nie zyskałaby swoim zachowaniem przychylności króla. Gdy tylko przekonała się, że ma do czynienia ze szpiegami, powinna zemdleć albo co najmniej zamknąć się na klucz w swoim pokoju. Prawdziwa dama nie starałaby się zaradzić niebezpieczeństwu.

Pozory, pozory, powtórzył raz jeszcze w myśli. Będzie musiał porozmawiać z hrabiną o jej zachowaniu.

Po paru minutach dotarli do pokoju Francuzów. Pan de Couriac miał na sobie niemal cały przyodziewek. Zdjął tylko pas od swoich podróżnych spodni. Kiedy ich zobaczył, jęknął żałośnie.

- Posłałaś, pani, po lekarza?

Madame de Couriac przyłożyła wierzch dłoni do czoła.

- Tak... tak mi się zdaje - odparła słabym głosem. - Jestem wstrząśnięta.

Przysunęła się jeszcze bliżej Rothgara, chociaż to stan męża powinien ją bardziej interesować. Markiz grzecznie acz stanowczo poprowadził ją do łóżka.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

- Proszę! - krzyknął po francusku pan de Couriac, a potem przypomniał sobie, że jest chory i znowu jęknął.

Do pokoju wszedł młody i szczupły mężczyzna. Miał przy sobie torbę z przyborami i rzeczywiście wyglądał na miejscowego lekarza.

- Doktor Ribble - przedstawił się.

- Proszę dalej, doktorze. Tutaj jest pański pacjent. Jestem lord Rothgar i będę, w razie potrzeby, tłumaczył z francuskiego.

Spojrzenie lekarza wskazywało, że o nim słyszał. Jednak na jego spokojnej twarzy nie drgnął żaden muskuł. Zachował też swój rzeczowy sposób bycia i od razu przystąpił do badania pacjenta.

- Nic szczególnego tu nie widzę - rzekł w końcu, zapoznawszy się z tłumaczeniem markiza. - Może tylko niewielkie wzdęcie, zupełnie naturalne po posiłku. Zalecam odpoczynek. Takie bóle często same mijają.

Tym razem pani de Couriac nie potrzebowała tłumaczenia.

- I myśli pan, że zapłacimy za taką pohadę?! - spytała po angielsku. - Bezczelność. Musi mu pan coś przepisać!

- Zapewniam panią, że nie ma żadnej potrzeby... - zaczął spokojnie doktor.

- To nieprawdopodobne! - przerwała mu Francuzka. - Pan jest... Pan jest... *charlatan*. Jak to się mówi po angielsku? - zwróciła się do markiza.

Rothgar obserwował z rozbawieniem całą scenę. Podoobało mu się zachowanie doktora Ribble'a. Musi zapamiętać to nazwisko na wypadek, gdyby potrzebował tutaj kogoś zaufanego.

- Tak samo jak po francusku, szarlatan - wyjaśnił Rothgar.

- Obawiam się jednak, że doktor może mieć rację.

Pani de Couriac nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Wzburzona plątała się coraz bardziej w swojej angielszczyźnie.

- To niemożliwe. Musi być lekahstwo. Ja nie zapłacimy, jeśli nie będzie lekahstwo!

Doktor zmarszczył brwi, a następnie otworzył swoją torbę. Wyjął z niej płaską flaszkę i wręczył ją Francuzce. Rothgar był pewny, że zawiera jakąś nieszkodliwą ziołową miksturę.

- Więc najpiehw nic, a potem coś. Ja myślimy, że pan nie-

nawidzić Francuzów. Pan chcemy ich othuć - brnęła dalej, chociaż była na tyle wzburzona, że nie powinna mówić w żadnym języku Czy to możliwe, żeby wszystko to było udane?

- Ależ nie podobnego - odparł rzeczowo doktor Ribble. - To będzie razem pięć szylingów. Trzy za wizytę i dwa za lekarstwo. Proszę podawać po dwie łyżki co parę godzin.

Pani de Couriac wyciągnęła drżącą dłoń z portmonetką do markiza.

- Niech pan mu zapłaci - powiedziała po francusku. - Nie mam już siły.

Rothgar odliczył potrzebną sumę i wręczył ją lekarzowi. 2 trudem powstrzymał się, żeby nie mrugnąć do niego porozumiewawczo. Tak, z całą pewnością zapamięta jego nazwisko.

Kiedy doktor Ribble wyszedł, madame de Couriac otworzyła flaszkę i nalała odrobinę lekarstwa na cynową łyżkę.

- Pachnie fatalnie - stwierdził zaniepokojony pan de Couriac.

Markiz nie wątpił, że jeszcze gorzej smakuje. Nikt przecież nie uwierzy w smaczne lekarstwo. Medycy zwykle przy takich okazjach dodawali do mikstur odrobinę opium, żeby rodzina miała trochę spokoju w czasie snu pacjenta.

- Wypij, kochanie.

Francuz wypił i skrzywił się okropnie.

- Fe, coś strasznego!

- Ale za to, jak będzie działać, panie - wtrącił markiz. - Wypij jeszcze łyżkę.

Pan de Couriac posłuchał jego słów, chociaż rym razem skrzywił się jeszcze bardziej. Żona otuliła go troskliwie kołdrą.

- Spij, kochanie - poprosiła.

Rothgar nie miał powodów, żeby przedłużać wizytę, ale pozostał chwilę, żeby sprawdzić, co teraz nastąpi. To spotkanie mogło być przygotowane wcześniej. Nie krył się przecież ze swoimi planami i zamówił pokoje na własne nazwisko.

Ciekawe, czy pani de Couriac spróbuje go teraz zwabić do łóżka, czy też będzie próbowała go zabić? To drugie by-

ło bardziej prawdopodobne, chociaż nie spodziewał się, żeby jej mąż wyzwiał go na pojedynek. Ten sposób okazał się zawodny. Trzeba więc znaleźć inny, lepszy.

Markiz spojrzął raz jeszcze na małżonków. Jeśli nawet okaże się, że za całą sprawą stoi Ludwik XV, wciąż nie wiedział, dlaczego miałby pragnąć jego śmierci. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że jest królewskim doradcą i że ma duże wpływy, ale Rothgar, w przeciwieństwie do wielu innych mężów stanu, nie parł do otwartego konfliktu z Francją. Chciał natomiast powstrzymać eksport wszystkiego, co pomogłoby Ludwikowi XV odbudować jego flotę. Namawiał też króla by nalegał na zniszczenie fortyfikacji pod Dunkierką.

Żadna z tych rzeczy nie usprawiedliwiała morderstwa. Może jednak pani de Couriac zechce wyjaśnić mu parę spraw?

Francuzka odwróciła się właśnie od łoża zbolatego męża i podeszła do markiza.

- Jak mam ci, panie, dziękować? Tak bardzo nam pomogłeś. - Zachwiała się nagle. - Och, czuję, że och...

Złapał ją i przygarnął do siebie, tak jak się spodziewała. Zawsze przy takich okazjach miał ochotę się odsunąć. Zrobił to nawet dwa czy trzy razy.

- Osłabłaś, pani - stwierdził. - Zaprowadzę cię do mojej jadalni. Musisz się napić koniaku.

- Jesteś, panie, bardzo uprzejmy - szepnęła i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

Zaprowadził słaniającą się Francuzkę do jadalni, mijając po drodze drzwi do sypialni lady Arradale. Następnie posadził ją na leżance, stojącej w rogu jadalnego pokoju i nalał trochę koniaku.

- Twoja uprzejmość, panie, jest najwyższej próby - stwierdziła, zdejmując pantofelki. - Muszę powiedzieć, że nie wszyscy twoi rodacy są tak mili.

Rothgar wzruszył ramionami.

- Niedawno skończyliśmy wojnę.

- Czy wciąż czujesz, panie, wrogość do Francuzów? A zwłaszcza... Francuzek?

Pani de Couriac bez przerwy się do niego wdzięczyła. A to składała usta w ciup, a to przeginała do tyłu szyję. Najchętniej wzięłby ją na kolano i dał w pupę, jak małej dziewczynce, którą udawała.

- Wobec Francuzek? Nigdy! - zadeklarował. - Właśnie po to walczyłem, żeby wyzwolić je spod panowania Francuzów.

Madame wybuchnęła perlistym, zbyt perlistym jak na jego gust, śmiechem, a następnie wypła kolejny łyk koniaku.

- Żartowniś z ciebie, panie. Ja też nie mam ci niczego za złe.

Rothgar obserwował ją uważnie. Sam też pił, chcąc dać dobry przykład.

- A dlaczego miałabyś mieć? - spytał natychmiast.

Zmieszała się trochę pod jego spojrzeniem. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Przysunęła się bliżej, znowu udając osłabienie.

- Och, panie, obawiam się, że zemdleję...

Rothgar chwycił ją i przyciągnął do siebie. Nie potrzebował długo czekać, żeby odzyskała przytomność. Zatrzepotała rzęsami niczym lalka i otworzyła oczy.

- Trudno mi oddychać w tej sukni. Zdejmij ją - poprosiła. - Nie potrafię ci się oprzeć, panie. Weź mnie!

Palce Rothgara zacisnęły się wokół jej wąskiej talii, a następnie przesunęły w dół, w stronę delikatnych stopek.

- Wolniej, madame. Należę do mężczyzn, którzy lubią pić rozkosz małymi łykami.

Diana siedziała w fotelu w swoim pokoju, nie bardzo wiedząc, co robić. Wciąż niepokoiła się o Rothgara. Mimo późnej pory nie chciała iść do łóżka. W pełnym stroju czekała na rozwój wydarzeń.

Wcześniej wysłała Clarę na przeszpiegi, wiedziała więc, że lekarz uznał chorobę Francuza za zwykłą niedyspozycję i że Rothgar zabrał słaniającą się panią de Couriac do swojej prywatnej jadalni.

Co dalej?

Mogła tylko zgadywać, co dzieje się w apartamencie

markiza. Rozumiała aż nazbyt dobrze, że chce on wyba-
dać Francuzkę i starała się nie myśleć o metodach, do któ-
rych musi się uciec.

Jeden z jej ludzi ani na chwilę nie spuszczał z oka sy-
pialni pana de Couriac. Drugi tkwił przy pokoju markiza,
gotowy w każdej chwili pospieszyć mu na pomoc. Diana
wiedziała, że Rothgar potrafi się sam bronić, pragnęła jed-
nak uniknąć jakiegokolwiek ryzyka.

Cały czas usiłowała wmówić sobie, że nie obchodzi jej
to, co dzieje się teraz w jadalni. Nie mogła być przecież
zazdrosna o taką pchłę, jak madame de Couriac.

Usłyszała cztery uderzenia do drzwi. Dwa szybkie i dwa
wolne. To był któryś z jej służących.

- Proszę.

Lokaj, który czuwał przy drzwiach Francuza zameldo-
wał, że ze środka dochodzą jakieś dźwięki. Pan de Couriac
prawdopodobnie wyzdrowiał i teraz się ubierał.

- Tylko, że to jakby żelazo, pani - poinformował ją nie-
zbyt składnie.

Diana potrzebowała chwili, żeby podjąć decyzję. Wcisnę-
ła w ręce służącego książkę i kazała mu ją upuścić, gdyby
Francuz wyszedł z pokoju. Pan de Couriac mógł równie do-
brze szukać nocnika, jak i przypasywać sobie szpadę.

Co dalej? To pytanie powracało do niej coraz częściej.
Nie mogła ot tak sobie wtargnąć do apartamentu marki-
za. Dopiero, gdyby Francuz wyszedł, jej interwencja była-
by w pełni usprawiedliwiona. Naładowała nawet pistolet,
który trzymała w fałdach sukni.

Diana nastawiła uszy.

Nic, cisza.

I nagle, bum! 2 dołu dobiegło do niej głośne uderzenie.
Znaczyło to, że pan de Couriac opuścił swój pokój.

Czy pójdzie teraz na górę?

Diana postanowiła być pierwsza. Tak, jak planowała,
weszła bez pukania do jadalni markiza.

- Och! - wykrzyknęła widząc, że Rothgar i Francuzka

siedzą na leżance. Markiz trzymał w dłoniach jej stopę, a ona wyginała się do tyłu, mrużąc z przyjemnością.

- Och! - westchnęła pani de Couriac na widok hrabiny. Tylko Rothgar zachował spokój.

- Czym mogę służyć, pani? - spytał Dianę.

Masaż stóp nie byłby najgorszy, pomyślała.

Francuzka szybko zabrała mu nogę z kolan i wsunęła stopy w pantofelki.

- Bardzo ci dziękuję, panie - powiedziała. - To mi doskonale zrobiło.

- Poproszę koniaku - zażądała Diana, dostrzegłszy butelkę na stoliku.

Markiz rozejrzał się dokoła, jakby spodziewał się, że gdzieś obok stoi lokaj, potem westchnął i wstał z leżanki.

- Muszę porozmawiać z tą służbą - mruknął do siebie.

Diana czekała na swój kieliszek. Drzwi znowu otworzyły się z trzaskiem i pojawił się w nich pan de Couriac. U boku miał krótki rapier.

- O, już wyzdrowiałeś, panie! - ucieszył się Rothgar. - Może odrobinę koniaku?

Francuz aż otworzył usta ze zdziwienia. W tym momencie do pokoju wpadł uzbrojony służący Diany.

- Moja służba jest zawsze gotowa - powiedziała z dumą hrabina. - Mój drogi, nalej wszystkim koniaku.

Pan de Couriac popatrzył na nią z wściekłością, a potem przeniósł cały ciężar tego spojrzenia na żonę. Skurczyła się pod jego wpływem. Podziękował za alkohol, mruknął coś na temat tego, że jeszcze nie czuje się dobrze i niemal wyciągnął małżonkę z jadalni.

Rothgar uśmiechnął się promiennie.

- Przemiła para!

Odprowadził jej służącego i sam nalał koniaku. Kiedy zostali sami, nagle spoważniał.

- Chyba powinniśmy ustalić, kto się kim opiekuje pani - rzekł, podając jej kieliszek - Pozbawiłaś mnie nie lada okazji.

Diana ogrzewała przez chwilę alkohol dłonią.

- Chciałeś, żeby cię złapał, panie? - zdziwiła się. - Wiedziałeś, że był uzbrojony?

Dopiero teraz odsłoniła swoją lewą rękę, w której wciąż trzymała pistolet. Markiz podszedł do niej i spojrzał z niedowierzaniem na broń.

- To jakieś szaleństwo - westchnął.

Jednak hrabina chciała się dowiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w obozisku. Odłożyła więc pistolet na stół i zajęła miejsce opuszczone przez panią de Couriac. Czuła jeszcze ciepło jej ciała i ciężkie, orientalne perfumy, których używała.

- O co tutaj chodzi? - spytała, wypiwszy kolejny łyk alkoholu.

Markiz wzruszył ramionami.

- Być może ona jest rozpustna, aja mam ochotę na romans.

- A tak naprawdę? - Nie dawała za wygraną.

Rothgar klepnął się po kolanach.

- Mogę prosić o twoje stopy, pani?

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Po co?

- Lubię kończyć to, co zacząłem.

Pokusa była zbyt wielka i po chwili ułożyła swoje nagie stopy na kolanach markiza. Jęknęła z rozkoszy, czując jego dotyk. Natychmiast też zganiła siebie w duchu. Musi uważać, żeby zachowywać się przyzwoicie. Jednak, gdy Rothgar rozpoczął masaż, było jej niezwykle trudno się opanować.

- Mogło też im chodzić o moje papiery - ciągnął markiz. - Ale wówczas de Couriac poszedłby raczej do mojej sypialni.

- I nie byłby uzbrojony - zauważyła.

- Mógł wziąć rapier do obrony. - Przycisnął czuły punkt na wysklepieniu jej stopy i Diana aż syknęła z rozkoszy. Na szczęście szybko otrzeźwił ją sens tego, co powiedział.

- To znaczy... - zaczęła.

- To znaczy, że chciał mnie zabić.

- W pojedynku?

Rothgar uśmiechnął się lekko.

- Nie, nie w pojedynku.

Zimny dreszcz przebiegł po jej ciele.

- I co dalej? - zadała kolejne pytanie.

- Teraz, pani, powinienem pocałować twoją stopę. Czy pragniesz ciągnąć tę grę? - Spojrzał jej prosto w oczy.

Diana była zmieszana i niepewna. Nie wiedziała, czy markiz żartuje, czy mówi poważnie. Czy chce ją uwieść, czy też raczej ukarać za mieszanie się w jego sprawy? Nagle zrobiło się jej gorąco, gdy poczuła jego dłoń nieco wyżej, na łydce. Jej pierś zafalowała niespokojnie.

- Nie, nie ~~sądzę~~ - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

- Ja też uważam, że to nie ma sensu.

Hrabina dopiła swój koniak i wstała. Markiz, wbrew etykiecie, pozostał na swoim miejscu.

- Czy nie zaspokoisz, panie, mojej ciekawości? - spytała po chwili. - Kim są ci ludzie?

Rothgar przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Niewiedza jest bezpieczniejsza - stwierdził w końcu.

- Ale też nudna - odparowała.

- Za to ciekawość może zaprowadzić na samo dno piekła - rzekł ostrzegawczo.

- Chętnie tam zajrzę, bylebym tylko mogła wrócić.

Markiz pokręcił głową.

- Z piekła nie ma już wyjścia. - Wstał i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. - Dobranoc, lady Arradale.

Poczuła się odrzucona i niechciana. Cóż jednak miała robić? Pożegnała się i wyszła. Przed drzwiami wciąż czekał jej uzbrojony służący. Powiedziała mu, żeby poszedł do siebie i zeszła na dół, by odwołać drugiego.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, przypomniała sobie palce markiza na swoich stopach. Ten masaż był jak pieczota. Do końca życia nie będzie go mogła zapomnieć.

Muszę! powiedziała sobie w duchu, zacisnąwszy dłonie na poręczach fotela. Muszę zapomnieć o wszystkim, co wiąże się z Rothgarem.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie będzie to łatwe, mając go wciąż przy sobie. Spojrzała na stojącą na

stole lampę i poczuła się jak ćma, która wciąż stara się dotrzeć do płomienia. Na razie dzieliła ją od niego warstwa szkła i owad był nieszczęśliwy. Możliwe, że po jakimś czasie trafi do ognia, a wówczas zamieni się w popiół.

Diana spojrzała do lustra.

- Jak ćma - powiedziała do siebie.

12

Diana zeszła na śniadanie, ciekawa, jak potraktuje ją markiz. On jednak nawet gestem nie dał znać, że pamięta nocny masaż i to, że siedział w jej obecności. Wstał, gdy tylko ją zobaczył i odprowadził na miejsce jak prawdziwy dżentelmen. Następnie częstował doskonałymi jajkami na bekonie i bawił rozmową na temat pogody. Hrabina starała się powściągnąć irytację, ale miała z tym pewne problemy. Na szczęście po chwili w jadalni pojawił się Fettler.

- Tak, słucham? - powiedział markiz, kiedy służący stanął przy jego krześle.

Fettler pochylił się lekko.

- Mam informacje, że Francuzi opuścili dziś w nocy oberżę - zaczął.

- I pewnie nie zapłacili za swój apartament - przerwał mu Rothgar. - To bardzo nieładnie z ich strony.

- Nie, zapłacili, panie. - Fettler zniżył głos. - Chodzi o to, że zostawili na podłodze ślady krwi.

Diana odłożyła sztućce. Tylko to, że widziała markiza żywego i całego powstrzymało ją od wstania od stołu.

- Co więcej, panie - ciągnął służący - oberżysta słyszał w nocy dwa krzyki. Jeden grubszy, a drugi cienki, jakby damski.

- Najpierw kobiecy, a potem męski? - spytała poblądła Diana. Wiec to jednak nie był sen. Popełniono tutaj morderstwo.

- Tak, pani. - Fettler spojrzał w jej kierunku.

- A czy ktoś widział odjazd tych Francuzów? - wypytywała dalej.

- Oberżysta dostarczył im koni - odparł służący tym swoim beznamiętnym głosem. - Zapłacili mu i odjechali.

- Więc może byli tylko ranni?

Markiz nawet nie przerwał jedzenia. Dopiero teraz, gdy miał już pusty talerz, odłożył sztućce i spojrzał na nią rozbawieniem.

- Oberżysta źle widział w mroku, ale wydawało mu się, że pan de Couriac trzymał sztywno prawą rękę, a jego żona miała krwawy ślad na twarzy - odrzekł Fettleer.

- Czy coś jeszcze? - Markiz wyglądał na znudzonego.

Kiedy służący zaprzeczył, odprawił go z powrotem, po czym spojrzał na zemocjonowaną hrabinę.

- Zjedz jeszcze, pani. - Podsunął jej pieczone kiełbaski. - Będzie ci się lepiej myślało.

Wyglądały naprawdę apetycznie, więc Diana nabiła aż dwie na swój widelec.

- Nie musisz traktować mnie tak protekcyjnie, panie - rzekła, wbijając nóż w soczyste mięso. - Chyba domyślam się, co się stało.

- A co? - Markiz sięgnął po filiżankę kawy.

- Pan de Couriac chciał ją ukarać za to, że źle wywiązała się z zadania, a ona musiała pchnąć go nożem - rozwinięła swoją myśl, a potem rzuciła się na kolejny kawałek kiełbaski. - Sama bym tak zrobiła.

- Będę o tym pamiętał - zapewnił ją z uśmiechem. - Tylko po co wyjeżdżali?

Diana zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią, a następnie uniosła nóż do góry.

- Bali się albo ciebie, albo swojego zwierzchnika. Może chcą też przygotować nową pułapkę - dodała i sama się przestraszyła tego, co powiedziała.

Ale markiz bardziej chyba obawiał się jej noża niż de Couriaców.

- Czy możesz mnie zapewnić, pani, że będziesz używa-

ła tego noża wyłącznie do kiełbasek? Przecież nawet nie próbowałem cię oszpecić.

- A, tak - obiecała, nabijając na nóż ostatni kawałek pysznej kiełbaski. - Może wreszcie powiesz mi, panie, dlaczego ci ludzie nastają na twoje życie? Mam prawo wiedzieć, skoro biorę w tym udział.

Rothgar wypił kolejny łyk kawy i zmarszczył czoło.

- A dlaczego jeden człowiek może chcieć zabić drugiego? Diana potrząsnęła głową.

- Masz, panie, tendencję do odpowiadania pytaniem na pytanie - rzekła, odkładając sztućce. - Załóżmy, że nie jesteś Sokratesem, a ja twoim uczniem.

Markiz nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Właśnie, dlaczego? - Zaczął odginać swoje długie palce. - Po pierwsze, przez zemstę. Nie zrobiłem jednak Francuzom niczego strasznego. Po drugie, żeby coś zyskać. Ale jedynym człowiekiem, który może zyskać po mojej śmierci jest Bryght, a on nie pracuje dla Ludwika XV.

- Po trzecie - podjęła Diana - ze strachu, że zdradzisz jakieś sekrety, panie.

- Nie znam żadnych sekretów - uciął krótko, chociaż Diana spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Po czwarte, ze strachu przed tym, co mogę zrobić.

Pokręciła głową.

- Jesteś tak groźny? I nie masz żadnych sekretów?

Rothgar zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami.

- Albo z obawy przed tym, czego się mogę dowiedzieć - mruknął do siebie, ale Diana usłyszała jego słowa. - No, dosyć tego, moja pani. Przejmujemy się jakimiś drobiazgami, a zapominamy o prawdziwym niebezpieczeństwie. Czy mówiłem ci już, że nie możesz mieć bronii na dworze? I w ogóle, pani, musisz zachowywać się jak dama.

- Zrobię to, Ttedy okaże się to koniecznie.

- Jak powiedział pewien pijak, kiedy mu zaproponowano, żeby skończył z gorzałką - zażartował.

- Sama potrafię zadbać o swoje sprawy.

- Już to udowodniłaś, pani, wysyłając petycję do króla.
Diana znowu poczuła uścisk strachu na gardle. Z powodu wczorajszych wypadków, zupełnie zapomniała po co jedzie do Londynu.

- Teraz będę uważać.

- A ja ci w tym pomogę - stwierdził, nalewając jej kawy. - Napij się, proszę. Wkrótce ruszamy w drogę.

- Kiedy to się wreszcie skończy?! - westchnęła.

- Jeśli pytasz o swoją sytuację, to wraz z powrotem na północ. Natomiast jeśli o Francuzów, to obawiam się, że wraz z moją śmiercią.

Diana poruszyła się niespokojnie na swoim miejscu. Nigdy nie czuła się poważnie zagrożona. Nigdy też nie musiała oswajać się z myślą o śmierci. Natomiast Rothgar wyglądał na pogodzonego ze swoim losem. A przecież mógł być od niej zaledwie parę lat starszy.

- Chodziło mi o twoje problemy, panie. Co zrobisz, jeśli Francuzi zastawią nową pułapkę?

Markiz wytarł usta delikatną batystową serwetką.

- Jeśli zechcą zorganizować prawdziwy zamach, to nic. - Pomachał białą tkaniną, jakby chciał się poddać. - Jednak wiele wskazuje na to, że będą próbowali wykorzystać moje słabości, żeby mnie zmusić do walki.

Wypiła kolejny gorzki łyk kawy.

- Musisz więc oprzeć się swoim słabościom, a wszystko będzie dobrze - rzuciła.

Spojrzał głęboko w jej zielone oczy.

- Musimy - poprawił ją.

Przez chwilę przy stole panowała cisza. A więc nie mówił tylko o Francuzach. Diana odsunęła od siebie kawę, na którą zupełnie nie miała ochoty. Chętniej napiłaby się koniaku, ale wiedziała, że damie nie przystoi o niego prosić, a dżentelmenowi pić o tej porze.

Konwenanse, konwenanse...

Znowu pomyślała o swoim bezpieczeństwie. Kiedyś kojarzyło jej się tylko z nudą, ale teraz chciała już być bez-

pieczna. Nie przypuszczała nawet, że zagrożenia mogą przybierać tak zwyrodniałe formy.

Spojrzała na markiza, świadoma tego, że czegoś od niej oczekuje. Czy powinna powiedzieć, że chce oprzeć się swoim słabościom? Czy może podziękować mu za opiekę? Jedno zerknięcie wystarczyło, żeby dostrzec, że patrzy na nią ciepło i z przyjaźnią. Przyjaźń! Tylko to miał jej do zaoferowania! I to wyłącznie z powodu jakichś wymaginowanych, zagrożeń.

Nie, rzeczywistych, poprawiła siebie w duchu.

- A jeśli ja nie chcę, żeby wszystko było dobrze? - zapytała prowokacyjnie.

Rothgar wstał i podszedł do drzwi.

- Moim zadaniem jest zapewnienie ci, pani, bezpieczeństwa. I zrobię to, nawet wbrew twojej woli - rzekł z całą mocą. - Powinniśmy zaraz ruszać, jeśli chcemy dziś dotrzeć do Stamford.

Wydęła usta, ale Rothgar już na nianie patrzył. Zakończyła więc śniadanie i wstała od stołu, myśląc, że rzeczywiście jest podobna do pijaka. Ale jej „gorzałka” miała śniadą cerę, jastrzębie rysy i lodowato niebieskie oczy.

Kiedy w końcu koła ich powozu zaturkotały na moście w Stamford, Diana była jedynie cieniem tej osoby, która tak niedawno opuściła zamek Arradale. Nigdy nie przypuszczała, że sama bliskość mężczyzny może ją wprowadzić w taki stan. Bolała ją głowa i miała ochotę wyskoczyć ze swego miejsca i biec jak najdalej przed siebie.

Markiz zachowywał się cały czas z nienaganną galanterią, co tylko pogarszało sprawę. Czasami zagadywał ją o samopoczucie lub starał się nawiązać konwersację na temat pogody, ale głównie zajmował się swoimi papierami. Co jakiś czas, zapewne żeby trochę odetchnąć, sięgał po dość grubą książkę. Diana próbowała odczytać wytłoczony na grzbiecie tytuł, ale bezskutecznie.

W końcu wyjęła własną książkę i udawała, że czyta. Gdy markiz zwrócił jej uwagę, że trzyma ją do góry no-

gami, myślała, że spali się ze wstydu. Litery tańczyły jej przed oczami. Nawet koncepty Pope'a nie były w stanie przyciągnąć jej uwagi, nie mówiąc o jej utrzymaniu.

Postanowiła więc śledzić mijanych jeźdźców i powozy. Wypatrywała de Couriaców albo też innych zamachowców. Ale już koło południa stwierdziła, że nie ma się czego obawiać. Francuzi zapewne zrozumieli, że markiz jest dla nich zbyt trudnym przeciwnikiem.

Koło trzeciej zatrzymali się na posiłek. Miała nadzieję, że Rothgar zacznie się zachowywać normalnie, ale srogo się zawiodła. Zaczął jej nawet prawie komplementy! Równie dobrze mogli być parą zupełnie obcych ludzi.

Po namyśle stwierdziła, że markiz ma rację. Przecież prawie zupełnie się nie znają i zapewne, po paru spotkaniach w Londynie, rozstaną się na zawsze. Po co budować coś na tak kruchych podstawach? Po co budzić nadzieję?

Powóz w końcu wjechał do miasteczka, a Diana raz jeszcze powiedziała sobie, że nic nie wie i nie chce wiedzieć o życiu Rothgara. Jej ciało mówiło jednak coś innego. Wystarczyło, że markiz schylił się trochę w jej kierunku, a dreszcz przebiegał jej po plecach. Wciąż czuła dotyk jego rąk na swoich stopach. I wciąż pragnęła, by masaż nigdy się nie skończył.

Zerknęła raz jeszcze na dłonie markiza. Były piękne i wypielęgnowane. Co więcej, wcale nie budziły strachu, lecz... pożądanie. Diana chciała je czuć na swoim ciele. Domyślała się, że Rothgar jest nie tylko mistrzem szpady. Jego pieszczoty należały na pewno do najbardziej wyszukanych.

Pierścień markiza zalśnił krwawo przy zachodzącym słońcu.

- Koniec podróży - oznajmił, kiedy zajechali na dziedzińiec oberży „Pod królem Jerzym”. - To znaczy, na dzisiaj.

Miała nadzieję, że poda jej dłoń przy wysiadaniu, a ona będzie mogła ją ścisnąć, ale Rothgar ponownie zapomniał o etykiecie. A może zauważył jej pełne żaru spojrzenie i uznał, że nie powinien ulegać słabościom? Diana wyszła więc sama z powozu i z przyjemnością rozprostowała nogi.

Chyba po raz pierwszy od dawna chciała być kobietą. Tylko kobietą, skuloną słodko w jego ramionach.

- Pokoje już gotowe - oznajmił Rothgar po krótkiej rozmowie z oberżystą.

Podziękowała i przeszła z Clarą do swojej sypialni, która była jeszcze ładniejsza niż poprzednia. Ucieszyło ją zwłaszcza łóżko z pościelą z gęsiego puchu. Jednak po chwili zasmuciła się na myśl, że spędzi tę noc samotnie.

Westchnęła ciężko i otworzyła szeroko okno. Jak tak dalej pójdzie, rzeczywiście trzeba ją będzie oddać do domu dla psychicznie chorych. Markiz miał rację, że przy takim nastawieniu czekała ich katastrofa. W ciągu ostatnich paru godzin nie mogła racjonalnie myśleć, a przecież choćby tu, na miejscu, mogli się gdzieś czaić kolejni szpiedzy króla Francji.

Po krótkim namyśle, zdecydowała, że zje kolację w swoim pokoju. Wysłała więc Clarę do markiza z informacją, że boli ją głowa. Nie miała ze sobą soli trzeźwiących. Nigdy ich nie używała. Teraz też była pewna, że ból przejdzie sam po krótkim odpoczynku.

Zjadła więc lekki posiłek, a następnie położyła się na zasłanym łóżku. Starła się o niczym nie myśleć. Po jakimś czasie stwierdziła, że czuje się lepiej. Ból ustąpił, a ona odzyskała psychiczną równowagę.

Posłała więc po swojego służącego i wydała mu dyspozycje. Willis powrócił po piętnastu minutach z informacją, że w oberży nie ma francuskich gości.

- A markiz? Sprawdziłeś, co robi?

- Tak, pani - odparł. - Jest u siebie w pokoju z gościem.

Natychmiast przypomniała sobie to, co się działo z de Couriacami. Czy Rothgar sam nie potrafił zadbać o swoje bezpieczeństwo?

- Czy... czy dowiedziałeś się kto to jest? - zadała kolejne pytanie.

Willis skinął głową.

- Dama, która jedzie do Nottinghamshire.

Znowu? Rothgar chyba oszalał na punkcie kobiet! To

prawda, że był atrakcyjny, ale nie aż tak, żeby jedna po drugiej wskakiwały mu do łóżka. Ta kobieta musiała być szpiegiem albo, co gorsza, morderczynią.

- Nazwisko? - spytała krótko.

Służący skurczył się na swoim miejscu.

- Ee, pytałem oberżystę, ale ta dama jest jakaś dziwna. Powiedziała tylko, że nazywa się takjakoś... - Zanim Willis wymówił to imię, już je znała. - Syfona.

- Safona - poprawiła go.

- Możliwe, pani - zgodził się. - To chyba nie jest francuskie nazwisko, prawda?

Pokręciła głową, czując, że nie byłaby w stanie wydobyć z siebie głosu. Czyżby Rothgar zaplanował to spotkanie? A może specjalnie posłał po przyjaciółkę, żeby uwolnić się od wpływu Diany. Wszak mogła przypuszczać, że nie jest dlań obojętna.

- Bardzo sprytne, bardzo sprytne - powtórzyła pod nosem, odprawiając uprzednio Willisa.

Jedyne, co mogła teraz zrobić, to zejść na dół i poszukać sobie kogoś, z kim dałoby się poflirtować. Czuła jednak dziwną pustkę w sercu. Nie, nigdzie nie pójdzie. Zagra raczej w karty z Clarą, a następnie wypije kilka kieliszków dwudziestoletniego porto, które tuż po ich przyjeździe zachwalał oberżysta.

Rothgar nalał rubinowego płynu do kieliszka Safony.

- Wielka szkoda, że lady Arradale nie przyszła na kolację. Na pewno by ci się spodobała.

- A tobie się podoba? - W jej oczach zapaliła się isierka zaciekawienia.

- Nawet bardzo.

Żałował, że Safona musi jechać na północ. Potrzebował kogoś, z kim mógłby poważnie porozmawiać. Dopiero teraz zrozumiał, jak był spięty podczas całej podróży.

- A co ci się w niej podoba?

No tak, stary kłopot z przyjaciółmi. Zwykle sąw stanie aż nazbyt wiele się domyślić.

- Charakter, duma, inteligencja...

- Zawsze wydawało mi się, że większość mężczyzn docenia raczej duże biusty, krągłe biodra i... hojność.

- Pamiętaj, że ja nie jestem większością mężczyzn - powiedział z uśmiechem. - Ale jeśli idzie o te części ciała, które wymieniłaś i... inne, to muszę stwierdzić, że nie pozostawiają wiele do życzenia.

Saibna wypłała kolejny łyk wina. Światło kandelabru oświetlało jej niezwykłą i piękną twarz. Miała ciemną skórę, wysokie kości policzkowe i duże orientalne oczy w kształcie migdałów. Od razu można się było domyślić, że przynajmniej część jej przodków nie pochodziła z Anglii. Była szczupła i gibka, z wąskimi biodrami, ale za to pięknie wysklepionym biustem. Jednak to nie uroda Salony stanowiła podstawę ich wieloletniej przyjaźni.

Może powinien porozmawiać z nią o Dianie? W końcu była lekarką dusz i wiedziała więcej niż ktokolwiek o zawiłej ludzkiej psychice.

- Czy lady Arradale cię pociąga, Bey?

- Wcale tego nie powiedziałem.

Przyjrzała mu się uważniej.

- Zmieniłeś zdanie?

Nie wiedział, czy chodzi jej o małżeństwo, czy o potomstwo. W obu wypadkach odpowiedź była jedna:

- Nie.

- Z czym walczysz, Bey?

- Z szaleństwem.

- Wygrać z szaleństwem, to znaczy przegrać - rzuciła. - Wiesz o tym?

Safona spokojnie dopiła swoje wino. Rothgar pochylił się w jej stronę i spojrzał głęboko w oczy przyjaciółki.

- Mówisz zagadkami.

- Jeśli nawet pokonasz własne słabości, to i tak nie dadzą ci one spokoju - wyjaśniła. - Będą wracać przez całe życie. Jedyna rzecz rozsądna w miłości, to ulec jej, chociaż wydawałoby się to szaleństwem.

Kto jej powiedział o miłości?!

Rothgar spojrział na przyjaciółkę. Znali się od tylu lat. Znał jej umysł i ciało, chociaż był tylko jednym z jej kochanków. Być może najważniejszym, gdyż potrafił oprócz zmysłowości docenić też jej umysł. Markiz zaś lubił to, że nie musi przy niej niczego udawać. Safona była prawdziwym odpoczynkiem wojownika. Nigdy nie rozmawiali o miłości. Dlaczego teraz poruszyła ten temat w kontekście lady Arradale?

- Nie zmieniłem zdania - powtórzył twardo.

- Szkoda.

- Dlaczego?

Poprosiła gestem, żeby nalał jej jeszcze porto. Przez chwilę zbierała myśli, chcąc dać mu pełną odpowiedź.

- Nie chodzi mi tylko o lady Arradale - odrzekła w końcu. - Wiele się ostatnio wokół ciebie zmieniło.

- Plaga małżeństw i narodzin - mruknął ponuro. - Też to zauważyłaś?

Spojrziała na niego ciekawie.

- Bardzo załuję, że nie mogę poznać lady Arradale - stwierdziła. - Dlaczego boli ją głowa?

- To pewnie przez tę podróż - stwierdził, patrząc w podłogę.

- A nie byłeś dla niej niemiły?

Potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie, zachowywałem się jak prawdziwy dżentelmen.

Przyjaciółka syknęła z dezaprobatą.

- A więc jednak byłeś.

Rothgar sięgnął po kieliszek i wypił całego zawartość. To również nie uszło jej uwagi.

- Tylko dla dobra lady Arradale.

Safona bawiła się przez chwilę jednym ze swoich pierścieni.

- To znaczy, że postanowiłeś zabić to uczucie - stwierdziła wreszcie.

- **Tak. Skoro nie zmieniłem zdania, musiało zginąć** - przyznał.

- Zginąć młodo. Tak jak twoja siostra.

Grymas gniewu wykrzywił mu twarz. Z trudem udało mu się opanować.

- To nie było zbyt uprzejme - rzucił tylko.

- Czasami impertynencja jest jak skalpel - zauważyła Safona. - Pozwala przeprowadzić niezbędną operację.

Rothgar powściągnął gniew już na tyle, że nawet się do niej uśmiechnął.

- A czego chciałybyś mnie tym razem pozbawić?

- Twojej żelaznej zbroi.

- Nigdy!

- Wobec tego czeka cię szaleństwo - orzekła ze smutkiem. - Nie możesz w nieskończoność opierać się swoim naturalnym instynktom. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałaś lady Arradale.

Cóż ona wiedziała o Dianie? Przecież się nawet nie spotkały!

- Na razie jestem zupełnie zdrowy.

- Na razie - powtórzyła.

Nalał sobie znowu porto i wypił.

- Wystarczy, Safono. - To, co miało być rozkazem, zamieniło się w żalostną prośbę.

Jednak przyjaciółka, podobnie jak wytrawny chirurg, nie zważała na nic.

- Nie, Bey. Jesteś wspaniałym człowiekiem. Nie zniosłabym tego, gdybyś zwariował albo popełnił samobójstwo. A wiele wskazuje na to, że uruchomiłeś mechanizm autodestrukcji.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Ja? Autodestrukcji?

- A czym miał być pojedynek z Currym?

Rothgar machnął ręką, jakby sprawa go zupełnie nie dotyczyła.

- To była kwestia honoru! Wcale nie szukałem śmierci. -

Jej brązowe oczy wciąż patrzyły na niego z przyganą. - Obie-
cuję ci, moja droga, że się nie zastrzelę ani nie powieszę.

- Nigdy w to nie wątpiłam. To nie w twoim stylu.

Markiz wstał i położył rękę na sercu.

- Obiecuję więc, że nie skończę z sobą w świadomy spo-
sób.

Saibna również podniosła się z miejsca i podeszła do okna.

- Nawet nie wiesz, jak potężną siłą może być ludzka pod-
świadomość - westchnęła.

Rothgar uwielbiał sposób, w jaki się poruszała. Nie szła,
ale jakby płynęła w powietrzu. Nie było w tym nic sztucz-
nego. Tak, jakby się już z tym urodziła.

Przez chwilę zastanawiał się, czy Safona będzie się
chciała z nim kochać. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma
na to ochoty i to nie z powodu rozmowy. Gdyby zaprosi-
ła go do siebie na noc, z pewnością by się zgodził. Na tym,
między innymi, polegała ich przyjaźń.

Safona zbliżyła się do niego i dotknęła chłodną dłońią
jego policzka.

- Boję się, Bey - wyznała. - Boję się, że zatrzymasz się
nagle, jak jeden z tych twoich automatów.

- Nie jestem automatem!

- Nie, ale masz niektóre cechy tych maszyn - rzekła ze
smutkiem. - Pewnie dlatego tak je lubisz. I też trzeba cię
nakręcić, żebyś zaczął działać.

Pomyślał, że wspólnie spędzona noc nie byłaby taka zła.
Pomogłaby mu się rozluźnić i zapomnieć choć na chwilę
o lady Arradale.

- A ty jesteś w tym najlepsza - powiedział, patrząc jej
zmysłowo w oczy.

Potrząsnęła głową.

- Nie o tym mówię, Bey. Zawsze działałeś, ponieważ chcia-
łeś chronić swoją rodzinę. Powiedz, kim zajmiesz się teraz?

Markiz tylko machnął ręką.

- Z pewnością nie zabraknie im kłopotów - stwierdził.

- Ale nauczą się je rozwiązywać sami, we własnych ro-

dżinach - tłumaczyła. - Staniesz się... nie, już się stałeś niepotrzebny.

Rothgar przypomniał sobie rozmowę z Brygthem i z trudem przełknął ślinę.

- Mam co robić - mruknął w końcu.

Safona zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. Poczuł się jak zawodnik na ringu, którego napastnik zepchnął w róg. Od początku nie był w stanie nawiązać z nią równorzędnej walki. Wciąż musiał się bronić. Dlaczego? Czyżby miała trochę racji?

- Jesteś człowiekiem, który potrzebuje podniety, żeby móc funkcjonować. Zawsze działałeś z pasją i energią. Mówię o pasji, a nie seksie, Bey - dodała, kiedy położył dłoń na jej biodrach. - Nie potrafisz żyć jak filozof. Do tej pory broniłeś swoją rodzinę. Co zrobisz teraz?

Rothgar zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- A ty? Co ty robisz?

Safona uśmiechnęła się pobłażliwie.

-Ja jestem samowystarczalna - odparła. - Mam kochanków, ale równie dobrze mogę ich nie mieć. Rozumiem, że ciało daje nam przyjemność, ale prawdziwą pełnię możemy osiągnąć sami albo z pomocą innych ludzi. Ty potrzebujesz innych ludzi Bey.

Czy mu się wydawało, czy też szepnęła na koniec: „lady Arradale”?

- Z jakiej niemądrej książki to wyczytałaś?

Spojrzała na niego z politowaniem.

Markiz odstąpił od niej i zaczął krążyć po pokoju.

- Dobrze, wobec tego może ucieszy cię wiadomość, że przez najbliższych parę tygodni będę się musiał zająć sprawami hrabiny - podjął temat. - Będę, jak to ujęłaś, żył jej życiem. Muszę ją bronić przed zakusami króla.

Skinęła głową.

- Nie wątpię, że zrobisz to z prawdziwą pasją.

Spojrzała na nią. Znowu ten uśmiech. A niech ją diabli porwą!

- Zrobię to najlepiej, jak potrafię - stwierdził.

-Potrafisz, potrafisz - westchnęła. - Chodź, pocałuj mnie, Bey.

Zatrzymał się i zmarszczył czoło.

- Nie mam nastroju.

Safona podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

- Tylko jeden pocałunek - poprosiła. - Być może ostatni.

Pocałował, ale jej dłoń.

- Nie zamierzam się zenić, moja droga. Naprawdę nie się nie zmieniło. Zresztą, lady Arradale też nie chce wychodzić za męża.

- Tak, oczywiście.

- Więc z całą pewnością nie będzie to nasz ostatni pocałunek, chyba że sama tak zdecydujesz.

Safona skinęła głową.

- Nigdy ci nie odmówię, jeśli będziesz się chciał ze mną kochać - powiedziała, a następnie wspięła się nieco na palce, żeby dotknąć swoimi wargami jego ust.

Pocałunek trwał długo. Oboje byli mistrzami w tej sztuce. Jednak Rothgar nie mógł nie zauważyć, samotnej łzy, która skapnęła z rzęsy przyjaciółki i potoczyła się po jej kremowym policzku.

Kiedy skończyli, podeszła szybko do drzwi.

- Ale byłabym bardzo rozczarowana, gdybyś przyszedł do mnie w tym celu - rzuciła wychodząc.

Markiz patrzył przez chwilę za nią, jakby nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Miał ochotę wziąć kieliszek po porto i trzasnąć nim o ścianę. Był jeszcze bardziej spięty niż poprzednio, a sądził, że rozmowa go zrelaksuje.

13

Następnego ranka Diana przeszła niechętnie do jadalni Rothgara. Ku jej zaskoczeniu nie zastała tam markiza, ale

szczupłą kobietę o orientalnej urodzie. Mimo, że nieznajoma miała na sobie zwykły strój podróżny, otaczała ją aura niezwykłości. Poruszała się też w zadziwiająco lekki sposób.

Wstała na widok Diany. Natychmiast w drzwiach pojawił się Rothgar, który musiał słyszeć, jak wchodzi.

- Pozwól, pani, że przedstawię ci poetkę Safonę - zwrócił się do niej, podchodząc bliżej.

Hrabina mogła oczywiście odmówić kontaktów z tak niekonwencjonalną osobą, ale bała się, że zostałyby to źle odebrane. Nie wiedziała jednak, jak się do niej zwracać, ani jak ją traktować.

- Bardzo mi miło, madame. - Skłoniła lekko głowę. - Jdzie pani do Londynu?

- Nie, z Londynu, lady Arradale - odparła Safona niezwykle miękkim, melodyjnym głosem. - Zaproszono mnie na biesiadę poetycką w Nottinghamshire. Jeśli będziesz, pani, w Londynie po moim powrocie, chętnie zaproszę cię na jedno z moich literackich spotkań.

- Z największą przyjemnością - powiedziała Diana, chociaż pomyślała: „po moim trupie”.

- Muszę już iść. Mój powóz czeka.

W jej pożegnaniu z Rothgarem nie było cienia intymności. Mimo to Diana od razu zauważyła, jak wiele ich łączy. Usłyszała też ostatnie słowa, które Safona powiedziała nieco głośniej: „Bardzo rozczarowana”.

- Rozczarowałaś, panie, Safonę? - spytała, kiedy zostali już sami.

- Nie, chodziło jej o to, co może się zdarzyć. - Odsunął krzesło i wskazał jej miejsce.

Ciekawe, co może się zdarzyć? Czy miała na myśli małżeństwo? Przecież Rothgar mógł sobie na to pozwolić, skoro była bezpłodna. W obawie, że powie zaraz coś niegrzecznego, nałożyła sobie na talerz wielki plaster szynki i zabrała się do jedzenia.

W końcu, kiedy przełknęła pierwsze kawałki, poczuła się na tyle uspokojona, że zwróciła się do markiza:

- Czy dzisiaj wreszcie dojedziemy do Londynu?

- Tak, jeśli wszystko dobrze pójdzie. - Rothgar również zaczął jeździć. - Dzięki temu mogłabyś odpocząć przed jutrzejszym spotkaniem z królową.

A więc to już jutro! Przynajmniej będzie mogła zapamiętać o Rotligarze i Salonie. Miała już dosyć stałej bliskości markiza.

Zjadła szybko i bez przyjemności i wypła herbatę zamiast kawy.

- Jedźmy już - poprosiła, wstając od stołu.

Rothgar poprosił ją jeszcze o chwilę zwłoki. Wysła więc przed oberżę „Pod królem Jerzym” i z podziwem spojrzała na jej masywną sylwetkę. Markiz wybierał tylko najlepsze zajazdy.

Zaczęła przechadzać się po podjeździe i ze zdziwieniem zauważyła, że jej służąca wsiada do powozu z bagażami.

- Claro, powinnaś przecież być ze mną - powiedziała.

Służąca pokręciła głową.

- Nie, pani. Dzisiaj mam jechać z Fettlerem w drugim powozie. To zarządzenie markiza - wyjaśniła.

Hrabina skinęła głową. Będzie musiała później porozmawiać z Clarą i wyjaśnić, kto może jej wydawać rozkazy. Jednocześnie zachodziła w głowę, co też to może znaczyć. Była coraz bardziej podniecona. Czy to możliwe, żeby noc spędzona z Safoną zaostrzyła mu apetyt? A może z jakichś powodów nie pozwoliła mu na zbliżenie i markiz zdecydował się zmienić obiekt swych załotów. Oczywiście nie odpowiadała jej rola zastępczyni, ale z drugiej strony...

Diana potrząsnęła głową, stając tuż przy drzwiczkach powozu. Nie, z pewnością chce z nią po prostu swobodnie porozmawiać. Może chodzi mu o opracowanie strategii przy spotkaniu z królową?

Albo oto, żeby raz jeszcze pomasaż jej stopy! Diana znowu puściła wodze fantazji, czując, że serce bije jej coraz mocniej. Ocknęła się dopiero, kiedy Rothgar zaprosił ją do środka.

Po wejściu odniosła wrażenie, że znalazła się w innym,

jeszcze bardziej luksusowym powozie. Po chwili zorientowała się jednak, że dwa siedzenia z naprzeciwka złożono w przednią ścianę pojazdu. Bardzo sprytne, pomyślała. Zwłaszcza, jeśli podróżny ma długie nogi.

Czy chodziło mu tylko o to, żeby móc się wyprostować? Markiz rzeczywiście usadowił się tak, by zająć całą długość powozu.

- Teraz jest wygodniej, *nie* sądzisz, pani?

Nie, w jego obecności czuła się bardziej skrępowana!

- Nie narzekałam do tej pory, panie - odrzekła. - Choć jest to oczywiście świetne rozwiązanie.

- Sam je wymyśliłem i zaprojektowałem - pochwalił się. - Co więcej, można tak rozłożyć siedzenia, by tworzyły coś w rodzaju wielkiego łoża.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, a jednocześnie zarumieniła się aż po korzonki włosów.

- Więc chodzi ci o większą wygodę, panie? - Wskazała jego wyciągnięte nogi.

- Nie tylko. Musimy przecież przeciwżyć twoją rolę, pani - stwierdził. - Tak, żebyś dobrze wypadła w Londynie.

Przeciwzyć? Na łożu? Dobry Boże! Miała nadzieję, że nie domyśla się, jakimi torami biegną jej myśli.

- Wydaje mi się, że wiem, jak zachowują się damy. Może nawet widziałam parę w swoim życiu - ironizowała.

- Nie żartuj, pani. Chodzi o to, żebyś trzymała w ryzach swój wybujały temperament. Co byś na przykład powiedziała, gdyby król tak zaczął rozmowę. - Rothgar zrobił odpowiednią minę i jednocześnie zmienił głos na ostrzejszy i mało uprzejmy. - Czy nie uważasz, pani, że kobiety powinny służyć swoim mężom i rodzić im dzieci?

- Szczęśliwe te, które mogą to robić Wasza Królewska Mość.

- Jeśli to nie jest oficjalna audyencja, możesz mówić najjaśniejszy panie albo sire - szepnął.

- Tak, sire.

- I nikt nie powinien się migać, moja pani! - dodał „królewskim” głosem.

- Kto by się tam migał, sire.
Markiz zagryzł wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.
- Mówimy poważnie - rzucił ostrzegawczo.
Hrabina skinęła głową.
- Wobec tego, lady Arradale, zapewne chcesz wyjść za mąż?
- Jeśli znajdę odpowiedniego kandydata, sire.
Rothgar skinął jej łaskawie głową, jednocześnie minę miał taką, jakby połknął patyk.
- Kandydatów u nas nie brakuje, co?
- Co, co? - zdziwiła się Diana.
- Nic, po prostu ma taką manierę, że powtarza „co?” - wyjaśnił normalnym głosem. - W czasie uroczystości stara się pilnować, ale też to czasem wtrąca.
- Rozumiem.
- No więc jak, moja pani? - znowu spytał skrzekliwym głosem.
- Sire, chciałabym poślubić człowieka męznego, walecznego i mądrego.
Rothgar przerwał jej skomplikowanym gestem.
- Chodzi więc o żołnierza, co?
- Wspominałam też o inteligencji - zauważyła.
- Nie żartuj sobie z króla, bo wtrąci cię, pani, do Tower - ostrzegł ją, a potem powrócił do roli: - Chodzi ci więc o żołnierza?
- Niekoniecznie, sire. Nie tylko wśród wojskowych są odważni ludzie, nie mówiąc już o mądrych - nie mogła sobie darować tego przytyku. - Chciałabym też męża oddanego i czułego. Takiego, który byłby mi wierny tak, jak ja jemu.
I nie spotykał się w nocy z pięknościami o egzotycznej urodzie, dodała w duchu.
Rothgar spojrział na nią bystrze.
- Myślisz pani, że nie znajdziesz nikogo takiego? - Zmienił głos na normalny. - Brand będzie takim mężem.
- Jeszcze nie skończyłam, sire.
Skinął ręką na znak, że pozwala jej łaskawie dokończyć.

- Pragnę takiego męża, sire, który nie będzie starał się mnie w niczym ograniczać. Takiego, który potrafi dostrzec we mnie nie tylko kobietę, ale i człowieka.

Markiz smutno pokiwał głową.

- I dlatego właśnie musimy wszystko powtórzyć, lady Arradale.

Diana dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że wypadła z roli.

- Oczywiście, nie powiem tego królowi - sumitowała się. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak, a pijak wyrzuci butelkę.

- Nie jestem niewolnikiem niezależności i władzy! - wybuchnęła.

Rothgar nie dał się ponieść emocjom. Uniósł tylko nieznacznie brwi.

- Naprawdę?

- W każdym razie nie w większym stopniu niż ty, panie!

- Tyle, że mężczyźni mogą zajmować się polityką - zauważył.

Słowo „niesprawiedliwe” aż cisnęło się jej na usta. Jeśli go nie wypowiedziała, to dlatego, że pamiętała wcześniejsze komentarze Rothgara na ten temat. Skłoniła więc tylko głowę.

- Tak, sire.

- Dobrze - pochwalił ją Rothgar. - A co powiesz, jeśli król spyta o stan twoich włości, pani?

Diana uśmiechnęła się triumfalnie.

- O, tutaj jestem dobra. Mogę objaśnić wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Markiz nie wyglądał na zadowolonego z tej odpowiedzi.

- Nie, pani! Udasz zmieszanie i niewiedzę.

- Ale wówczas może zechcieć, żeby jakiś mężczyzna uporządkował moje sprawy - argumentowała Diana.

- I tak będzie ci chciał narzucić małżeństwo - stwierdził. - A to tylko pogłębiłoby jego niechęć do ciebie.

Diana westchnęła, ale pochyliła głowę jeszcze niżej.

- Tak, sire.

Wziął ją lekko pod brodę i unióś w ten sposób, żeby spojrzeć wprost w jej zielone oczy.

- Dobrze, co? - powiedział z podziwem.

Wieczorem, kiedy opuściwszy Ware ruszyli prosto do Londynu, była już kompletnie wyczerpana. Myślała z niechęcią o naukach, lecz również o nauczycielu, chociaż Kothgar robił wszystko, żeby ją zaciekawić i poruszyć. Podróż wydłużyła im się z powodu poluzowanego koła i przymusowego postoju u kołodzieja we wsi.

Mimo irytacji i wyczerpania, narastał w niej strach. Jeśli markizowi chodziło o to, by przekonać ją, że bez jego pomocy pogrąży się w oczach króla, to osiągnął swój cel. Diana nie wiedziała, co ją czeka. Bała się najgorszego. W tym świetle zamach na Rothgara jawił się jako dziecinna igraszka.

Wyjrzała na zewnątrz, obserwując zachodzące słońce. Położyła rękę na rozpalonym czole. Nie, nie bolała jej głowa, ale wszystko wirowało jej przed oczami jakby na rycerskim turnieju.

- Odnoszę wrażenie, panie, że koniecznie chcesz mnie poślubić - powiedziała w końcu słabym głosem.

Markiz pólężał na swoim siedzeniu i również wyglądał na zmęczonego.

- Dlaczego tak sądzisz, pani?

- Bo robisz wszystko, żeby mnie przekonać, że sobie nie poradzę - odparła. - A jeśli tak, to pozostaje mi tylko skorzystać z twojej propozycji małżeństwa.

- To by znacznie uprościło sytuację - przyznał. - Ale nie poddawaj się, pani. Myślałem, że masz więcej woli walki.

Słońca nie było już prawie widać zza linii horyzontu. Diana odwróciła się do markiza.

- Zrobiłeś wszystko, panie, żeby ją zniszczyć.

- Jest wiele różnych sposobów walki i wiele strategii. Nie zawsze ten, kto się wycofuje, jest pokonanym. Zwykle ludzie nie są tego w stanie zrozumieć.

- Czy to znaczy, że uważasz mnie za niezwykłą? - Aż otworzyła szerzej oczy.

- Nie napraszaj się, pani, o komplementy - upomniał ją. -

- Kiedy potrzebuję czegoś, na czym mogłabym się oprzeć. Czuję się stłamszona i niemal pokonana - poskarżyła się, a łzy niemal stanęły jej w oczach. Nie chciała jednak płakać. Nie przy Rothgarze.

- Tak, pani, jesteś niezwykła - przyznał. - Na tym, między innymi, polega twój problem.

W czasie tej wyczerpującej lekcji osiągnęli stan, który trudno by było nazwać przyjaźnią. Czuli się raczej jak dwoje spiskowców, walczących o wspólną sprawę. Połączył ich jeden cel, a także coś głębszego, czego nie potrafiła jeszcze nazwać

- Bo jestem takim monstrum, którego powinni się strzec mężczyźni?

Pochylił się w jej stronę. W półmroku widziała jedynie błękit jego oczu.

- Jesteś pani niezwykle inteligentną, ale i piękną kobietą - stwierdził. - To już drugi komplement. A właściwie drugi i trzeci.

Diana poczuła, że serce skoczyło jej do gardła.

- Ale na tobie, panie, nie robię jakoś wrażenia - powiedziała prowokacyjnie.

Wziął jej dłoń i złożył na niej solenny pocałunek. Diana zadrżała, czując jego usta. Tak bardzo chciała mieć je bliżej, znacznie bliżej.

- Robisz. I to duże.

Diana nie była w stanie się poruszyć. Dobrze, że głos jej jeszcze nie odmówił posłuszeństwa.

- Wcale tego nie okazujesz...

Wyprostował się i pochylił nad hrabiną.

- Wiesz, pani, że nie byłoby to zbyt rozsądne.

- Nic nie wiem - szepnęła, czując na twarzy jego gorący oddech.

Rozchyliła wargi, w każdej chwili spodziewając się pocałunku. Na próżno.

- Nasza... przygoda już prawie skończona, pani - ciągnął Rothgar. - Po jutrzejszej wizycie na dworze nie będziemy się już musieli spotykać.

Nie chce mnie, pomyślała Diana. I natychmiast przypomniała sobie Safonę. Czy to z jej powodu markiz traktował ja tak ozięble? Czy rzeczywiście pojechała na północ, tak jak mówiła? A może wróci szybko do swego londyńskiego gniazdzka, żeby się z nim spotkać? I, na koniec, czym miałyby być rozczarowana? Czy tym, że markiz zgodził się jej pomóc?

- Gdzie spędzę dzisiejszą noc? - odezwała się po dłuższej przerwie.

- W Malloren House. Ale nie w pokojach przylegających do moich - dodał zaraz.

- Wobec tego unikniemy wszelkich niebezpieczeństw. Możesz mnie, panie, teraz pocałować na pożegnanie. - Wskazała palcem swoje usta.

- Nie, pani. Takie pożegnanie mogłoby się stać powitaniem.

Nie mógł się jednak powstrzymać i dotknął jej nabrzmiałych oczekiwaniem warg. Cóż to była za rozkosz czuć je pod palcami. Jakie były ciepłe i pełne.

- Mam wrażenie, że nie dokończyłeś jeszcze mojej edukacji - szepnęła.

- Uważaj, pani, bo rozpalisz płomień, który trudno będzie zgasić.

Miała wrażenie, że jego oczy pociemniały, a może sprawił to półmrok nadciągającej nocy. Rothgar pochylił się jeszcze bardziej i dotknął ustami jej warg. Nie mogła się powstrzymać i przylgnęła do niego całym ciałem.

Diana całowała się już wcześniej i nie sądziła, że ten pocałunek zrobi na niej aż takie wrażenie. Była w błędzie! To, co nastąpiło, przekroczyło jej najśmielsze oczekiwania. Był w tym żar rozkoszy i prostota miłości. Był błękit nieba i zieleń trawy. Miała wrażenie, że znalazła się gdzieś daleko od realnego świata.

Kiedy w końcu się od siebie oderwali, Diana dotknęła swych ust.

- C... co to było?

Głupie pytanie. Przecież był to pocałunek. Ale Rothgar nie użył tego słowa:

- To byliśmy my. - Położył nacisk na ostatnie słowo. - Czy rozumiesz teraz, pani?

Potrząsnęła głową.

- Wiem tylko, że chcę jeszcze.

- To oczywiste - powiedział i odsunął się od niej na swoje miejsce. Chciała zaprotestować, ale powstrzymała się po krótkiej walce wewnętrznej.

- Wiedziałaś, że tak będzie.

Skinął głową.

- Domyślałem się.

- Od kiedy?

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy dotknąłem twoich stóp?

Jak mogłaby o nim zapomnieć. Niedługo przestanie reagować na nazwisko de Couriac, a wciąż będzie pamiętać delikatny masaż.

- Moglibyśmy zostać kochankami - zauważyła po chwili milczenia.

Markiz westchnął ciężko.

- Ten ogień mógłby nas pochłoniąć - stwierdził z mocą. - Musimy pilnować, by nigdy nie połączyć naszych płomieni.

Diana zakryła twarz rękami. Nie chciała protestować. Wiedziała, że Rothgar ma rację. Liczyła jednak na to, że znajdzie sposób, żeby móc się z nim kochać bez zobowiązań.

A jeśli nie?

Wówczas będzie musiała uciec na północ i zamknąć się w swojej wieży. Może po jakimś czasie spłynie na nią ukonjenie? Może zdoła pogodzić się z losem?

Powóz zatrzymał się nagle. Rothgar otworzył drzwiczki. Wiedziała tylko, że chce ją opuścić. Z trudem powstrzymała okrzyk rozpacz.

Czyżby już przyjechali do Londynu? Wyrzała na zewnątrz. Wokół szczerze pole.

- Co się stało? - krzyknął markiz.

- Coś z **końmi, panie - odkrzyknął jeden z woźniców.** -
Nie chcą iść dalej.

14

Markiz wyszedł z powozu, a Diana, która nieco otrzeźwiała, poszła w jego ślady. Szóstka koni stała w zaprzęgu *ZE*zwieszonymi głowami. Tak jakby miały za chwilę zasnąć. Obaj woźnice oglądali je uważnie.

- Co to może być? - spytał markiz, rozglądając się ostrożnie.

Czyżby znowu groziło im niebezpieczeństwo? Diana nie mogła nikogo dostrzec w mroku. Po ich prawej stronie znajdowały się ugory, a po lewej zagajnik, w którym mógł się czać cały batalion Francuzów. Gdzieś przed nimi majaczyła kościelna wieża. Szeroka droga wznosiła się nieco, więc nie widzieli tego, co działo się dalej. Zresztą za jakiś czas, kiedy zapadną ciemności, i tak nie zobaczą zbyt wiele.

Diana przypuszczała, że nie są daleko od Londynu. O tej porze ruch zwykle jest niewielki. Zaraz jednak powinien nadjechać powóz bagażowy z Fetterem i Clary. Początkowo chciała dołączyć do Rothgara, który wymieniał jakieś uwagi z woźnicami, ale po namyśle powróciła do powozu i wyjęła z podręcznej torby pistolety. Oba naładowane. Większość ludzi, a zwłaszcza mężczyzn, uznałaby wożenie ze sobą broni za ekstrawagancję, ale Diana dziękowała teraz Niebu za swoją przezorność. Tak uzbrojona podeszła do Rothgara. On również miał swoje pistolety.

- Gdzie się podział powóz z naszymi służącymi? - mruknięta nerwowo. - Powinni już tu być.

Markiz tylko się skrzywił.

- Pewnie mają te same problemy.

- Gałęzie cisów?

Woźnice spojrzeli na nią z wyraźnym szacunkiem.

- Tak mówią moi ludzie - przytaknął Rothgar. - Wszystkie symptomy się zgadzają.

Diana cieszyła się, że nawet nie wspomniał, by odłożyła broń. Wiedział przecież, że jest dobrym strzelcem.

- Cisy - powtórzyła cicho.

Mimo, że były bardzo trujące, konie je uwielbiały. Po ich zjedzeniu popadały w stan zbliżony do śpiączki. Ale przecież nigdzie przy zajazdach nie sadzono cisów.

- Wydaje mi się, że konie woźniców są w porządku. - Diana spojrzała do tyłu. Stały tam dwa osiodłane zwierzęta, przywiązane do powozu.

- To prawda. Nie zmienialiśmy ich w Ware - dodał markiz po namyśle.

- Czy myślisz, panie, że powinniśmy na nich pojechać?

- Wszystko jest lepsze niż czekanie.

Kiedy jednak we czwórkę przeszli na tyły karety, jeden z koni padł na kolana.

- Biedne zwierzę! - westchnął woźnica.

- To dobra śmierć, Warner - powiedział Rothgar. - Mamy już tylko jedno zwierzę. Co robić? - Spojrzał na woźnicę. - Posłuchaj, Warner, pojedziesz do najbliższego zajazdu lub oberży i sprowadzisz nam konie. Jak najszybciej, bo niedługo nic już nie będziemy widzieć.

Mężczyzna schylił głowę.

- Tak, panie.

Odwiązał konia i bez zbędnych słów ruszył w drogę. Zostali we trójkę na trakcie. Mrok powoli gęstniał. Spływał na nich niczym zły duch z nocnego nieba. Nawet księżyc schował się za chmury, więc nie mogli liczyć na zbyt wiele światła.

- Wsiądź do powozu, Diana - zadysponował Rothgar.

- Po raz pierwszy użyłeś mojego imienia... panie - zauważyła.

Markiz uśmiechnął się do siebie w ciemnościach.

- Niebezpieczeństwa zbliżają ludzi - stwierdził. - Myślę, że możemy poniechać dworskiej etykiety. Wsiadaj szybko.

- Zrobię to, jeśli wsiądziesz ze mną.

- Wiem, o co ci chodzi - mruknął.

- O, to też - przyznała. - Ale na razie wyłącznie o twoje bezpieczeństwo.

Rothgar polecił woźnicy, żeby wszedł na dach powozu i uważnie śledził okolicę. Następnie zwrócił się do Diany.

- Wolę zostać tutaj.

- Więc zostaję z tobą. - Już nie dodała „panie”. Od tego momentu stali się towarzyszami broni.

- Nie bądź głupia - upomniał ją Rothgar. - Na pewno cię zabiją, jeśli staniesz im na drodze. Znam ludzi tego pokroju.

Zrobiło jej się nagle chłodno ze strachu. Jednak spokój, z jakim markiz traktował niebezpieczeństwo wpłynął również na jej morale.

- Ale będą się musieli na chwilę zatrzymać - zawahała się-Bey.

Było już ciemno, nie mogła więc zobaczyć uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy. Rothgar przyciągnął ją i ścisnął mocno.

- Trzymaj się, Diano - powiedział. - Pamiętaj, że nasza słabość jest naszą siłą. My boimy się mroku, ale oni też nie są w nim bezpieczni.

Zaczęli się rozglądać dookoła. Zdziwiałe było to, że nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Wieczór wydawał się cichy i spokojny. Tu i ówdzie brzęczały owady. Odzywały się też ptaki latające jeszcze nad ugiem. A zagajnik wcale nie wydawał się groźny.

Po jakimś czasie wyszedł zza chmur księżyc. W jego świetle zobaczyła ponownie wieżę kościoła. Wokół zapewne rozciągała się wioska. Chłopi szli już spać, nieświadomi tego, że za chwilę może się tu rozegrać tragedia.

Nawet zdychające konie były spokojne. Zapadały w sen, z którego miały się już nie obudzić.

Bez słowa stanęli do siebie tyłem. Ich plecy zetknęły się ze sobą. Była to najbezpieczniejsza z możliwych pozycji.

I nagle usłyszeli koński tętent. Na drodze. Dobiegał od strony, z której przyjechali.

- Są - szepnęła bezwiednie.

Równie dobrze mogła to być ich służba, ale Diana odwróciła się, ponieważ stała plecami do nadjeżdżającego powozu.

- Są, panie, są - dobiegło do nich z góry.

To woźnica informował ich, że również zobaczył powóz.

- Miller, czy widzisz, kto to taki? - spytał Rothgar.

- To nasz powóz - odrzekł zagadnięty.

Diana odetchnęła z ulgą. Miller, chcąc lepiej widzieć, podpełzł do krawędzi powozu i wychylił się do tyłu.

- To nasz powóz - powtórzył - ale...

Nie zdążył skończyć. Od strony powozu rozległy się dwa strzały i Miller runął na ziemię, niczym wór ziemniaków. W tym samym momencie markiz pchnął ją do rowu, a sam uskoczył nieco dalej, za niewielkie drzewo. Kolejne strzały podziurawiły ich powóz. Diana wyciągnęła przed siebie jeden z pistoletów i strzeliła w okno nadjeżdżającego powozu. Rothgar zrobił to samo sekundę później.

Usłyszeli głośny okrzyk, a potem ciszę. Kolejne strzały oddano już w jej kierunku. Leżała zmartwiała na ziemi łykając kurz. Łzy ciekły jej po policzkach. Markiz wyskoczył zza drzewka, które i tak nie dawało mu schronienia i oddał drugi strzał. Ilu jeszcze napastników kryło się w powozie?

Rothgar wskoczył nieco dalej do rowu i przywarł do ziemi. Teraz mógł już liczyć tylko na swoją szpadę. Jednak Diana miała jeszcze jeden strzał. W świetle księżycy zobaczyła, że co prawda jeden z woźniców próbuje zapinować nad oszalałymi końmi, ale drugi zaczął mierzyć z muszkietu do Rothgara.

Do Beya!

Ułożyła się tak, jak ją uczył Carr i znalazła pewne podparcie dla ręki. Niestety woźnica z lejcami wciąż blokował jej widok mężczyzny z muszkietem. Wewnątrz powozu panowała cisza. Zamachowcy albo polegli, albo wystrzelali już wszystkie naboje. Diana wciąż nie mogła się zdecydować.

dować na strzał. W pewnym momencie stwierdziła, że głowa strzelca weszła jej na muszkę i spokojnym ruchem pociągnęła za język spustowy.

Rozległ się strzał. Znacznie głośniejszy niż te, które pamiętała ze strzelnicy. Usłyszała krzyk, ale jakiś dziwny, jakby podwójny.

Obaj mężczyźni spadli z koni.

Przed oczami miała czarną krew.

A potem konie poniosły, unosząc ze sobą pozbawiony woźniców powóz, a Rothgar wstał z ziemi i zaczął ściągać swoje ubranie.

- W życiu nie widziałem tak żadnej krwi kobiety. Dwóch jednym strzałem!

W jej uszach wciąż jeszcze wibrował krzyk mężczyzn.

Rothgar podszedł do hrabiny i pomógł jej wstać. Potem wziął ją w ramiona i zaczął tulić do siebie.

- Płacz, Diano, płacz - szepnął gładząc ją po głowie. - Tak ciężko jest zabijać.

Przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy zabiła człowieka, zemdłała. Teraz było troszkę lepiej, ale nie chciała patrzeć na trafionych woźniców.

- Nie żyją? - spytała słabym głosem.

Rothgar podszedł do nich i trącił najpierw jednego, a potem drugiego czubkiem buta.

- Nie cierpieli długo - stwierdził. - Mistrzowski strzał.

- To przypadek. - Podeszła do powozu. - Musimy ratować Clarę i twojego służącego!

- Na razie nie mamy koni - zauważył.

- Popatrz, powóz podziurawiony. - Wskazała ręką ślady kul. - A chciałeś, żebym tam usiadła.

Markiz cmoknął, jakby poirytowany niewiarą w jego możliwości.

- Wewnątrz są żelazne blachy. Na pewno zatrzymały kule. Musieliby raczej strzelać z armaty.

Wskoczył do środka i po chwili wyszedł z powozu z butelką brandy w ręku.

- No proszę, najlepszy dowód - dodał. - Niestety, nie mam kieliszków. Pij.

Diana pomyślała, że nigdy wcześniej nie piła alkoholu z butelki. Smakował inaczej, jakby pełniej. A może był to smak życia, którego omal nie straciła?

Nagle dobiegł do nich przeciągły jęk. Rothgar odsunął butelkę od ust.

- Miller?

Ponowny jęk.

Rzucili się razem na tyły powozu. Trwali w przekonaniu, że woźnica nie żyje. Był to jednak kawał chłopa i mimo postrzału odzyskał przytomność.

- Boli! - jęknął, kiedy znaleźli się przy nim.

Rothgar przystawił mu do ust butelkę brandy.

- Czy masz jakieś bandażę? - spytała Diana.

- Nie, chyba nie.

Postrzał wyglądał okropnie, ale kula na szczęście ominęła serce. Poszła trochę wyżej, więc oszczędziła najdelikatniejsze narządy wewnętrzne. Ból musiał być straszny, a poza tym, biedny woźnica mógł się lada chwila wykrwawić.

W końcu pozrywała zasłonki z powozu i zrobiła z nich szarpie z nadzieją, że choć trochę zatamuje krwawienie. Dziwiła się przy tym, że jeszcze nie zemdląca.

Rothgar ułożył woźnicę wygodnie, a potem ruszył na poszukiwanie pistoletów. Znalazł ich pięć oraz muszkiet zamachowca i zabrał się do nabijania broni.

- Myślisz, że wróca? - zadała dręczące ją pytanie.

- Nie sędzę - mruknął Rothgar, podsypując prochu na panewkę. - Lepiej się jednak zabezpieczyć.

Dopiero teraz zrozumiała, że cały atak zajął najwyżej dwie, trzy minuty. Zapewne miał trwać krócej. Zamachowcom chodziło o zabicie Rothgara, a także woźnicy, gdyby się im opierał. Być może specjalnie nie nakarmili jednego konia cisami, licząc na to, że markiz wyśle gdzieś drugiego służącego.

Diana wstała od jęczącego Millera i poczuła, że drżą jej

ręce. Rothgar odłożył ostatni pistolet i otoczył ją ramieniem. Mimo upadku muszkiet wciąż był nabity.

- Nie zemdleję - zapewniła Beya.

- Z całą pewnością - zgodził się, przytrzymując ją mocniej.

- Nie żartuję.

- Z całą pewnością.

- Zemdlałam tylko po tym, jak zastrzeliłam Edwarda Overtona. Ale postanowiłam, że to się już nigdy nie stanie. Że nie zemdleję - dodała, nie bardzo wiedząc, czy wyraża się dostatecznie jasno.

- Zapewne, zapewne...

- On też krzyczał.

- To naturalne - zapewnił ją. - Ludzie zwykle krzyczą przy takich okazjach.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Nie żartuj sobie z tego! - fuknęła.

- Nie żartuję.

Zrozumiała, że naprawdę nie żartuje. Rozmawiał z nią tak, jakby była jego towarzyszem broni. Bez wielkich słów, ze zrozumieniem czyjejś słabości. Już wcześniej poczuła tę więź, ale teraz stała się ona silniejsza.

- Nabić twoje pistolety? - spytał jeszcze.

- Jasne, że nie - odparła i uwolniwszy się z jego objęć, podeszła do rowu.

Bez trudu odnalazła swoją broń. Spojrzała na nią najpierw z odrazą, a potem z podziwem. W końcu uratowała im życie. Dokładnie tak, jak chciał Carr. Wzięła do ręki pierwszy pistolet, kiedy jednak usiłowała podsypać prochu do lufy, dłoń znowu zaczęła jej drżeć.

- Do diabła z tym wszystkim! - warknęła, przekazując Beyowi pistolet i proch strzelniczy.

- Hm, może znowu spróbuj zachowywać się jak dama - zaproponował. - Wejdz do powozu i odpocznij troszkę. Dam sobie radę.

Poprosił, żeby poczekała i sam wszedł do powozu. Po chwili zaprosił ją do środka. Kiedy weszła, zauważyła, że

przygotował dla niej prawdziwe łożo, a nawet wyjął skądś ciepłą narzutę. Miejsca było tu dosyć dla paru osób.

Kiedy ułożyła się, markiz pocałował ją w czoło. Czekwała na następny pocałunek. I to niekoniecznie w czoło. Posunęła się, żeby zrobić mu miejsce, ale Bey pokręcił głową.

- Rozejrzę się dokoła.

Diana wcale nie chciała zasypiać. Postanowiła czuwać i tylko trochę odpocząć. Słyszała jeszcze kroki Rothgara. Po jakimś czasie wszystko pogrążyło się w ciszy. Nie wiedziała, czy to świat zasnął, czy ona.

Do gospody „Pod Białą Gęsią” dotarli dopiero koło godziny jedenastej. Po krótkim oczekiwaniu pojawił się woźnica z końmi i uzbrojonymi stajennymi. To, co zobaczył, wcale go nie przeraziło. Być może dlatego, że po drodze natrafili na wywrócony powóz z dwoma trupami w środku.

- Musieliśmy zastrzelić wałachy, panie. - Jego spokojny ton wskazywał, że nie była to pierwsza tego rodzaju przygoda, którą przeżył przy boku markiza.

- Trudno. Zajmij się teraz Millerem - zadysponował Rothgar. - Lepiej go nie ruszać, zanim nie przyjedzie lekarz.

Ranny woźnica znowu stracił przytomność. Nie wytrzymał najprawdopodobniej przejmującego bólu.

Na miejsce wypadku dotarło już sporo osób z wioski, zwabionych wystrzałami. Posłano po medyka. Markiz żałował, że nie może to być doktor Ribble.

- Czy to naprawdę jest lord Rothgar? - zapytał ktoś z tłumu.

- Podobno tak - padła odpowiedź. - Na drzwiach powozu jest jego herb.

- No i do czego to teraz dochodzi! - odezwał się ktoś trzeci.

- O, o, widać jeszcze ślady po kulach.

Diana leżała w powozie, nie chcąc pokazywać się na zewnątrz. Po co stawać się jeszcze jedną atrakcją dla ciekawskiej gawiedzi? Na szczęście chłopcy pomogli też usunąć z drogi martwe konie. Jednak, kiedy przybył medyk, oka-

zalo się, że Thomas Miller już nie żyje. Zawinięto go więc w koc i umieszczono obok niej w powozie. Nie miała nic -przeciwko temu. Od Beya dowiedziała się, że miał żonę i dwoje dzieci i że dorastał w jego majątku. Zauważyła, że kiedy o tym mówił, bolesny grymas wykrzywił mu twarz. Nie potrafił pozostać nieczuły na nieszczęścia swoich ludzi.

Gospoda „Pod Białą Gęsią” miała zaledwie parę pokoi gościnnych. Znajdowała się zbyt blisko Ware, żeby pełnić jakąś ważną rolę, ale gospodarz zrobił wszystko, co mógł, *zeby* było im wygodnie.

Historia napadu rozniosła się po całej okolicy i wkrótce, mimo późnej pory, sprowadzono Eresby'ego Motte'a, miejscowego sędziego.

- To dobra okazja, żeby przeciwżyć rolę damy - postanowiła Diana.

Rothgar, który przyniósł jej tę wiadomość, skinął głową. Wciąż chodził pochylony, ponieważ pokoje w gospodzie były bardzo niskie.

- Oczywiście nie przyznasz się do zastrzelenia tych ludzi - stwierdził z diabelskim uśmiechem. - Dzięki temu zyska tylko moja reputacja.

Chciało jej się śmiać, ale zdołała się powstrzymać i z miną prawdziwej damy zeszła na dół. Pozwoliła, by żona właściciela gospody nalała jej słodzonej herbaty i czekała na sędziego. Najpierw jednak pojawiła się Clara. Trochę potargana, ale cała i zdrowa.

Jej historia okazała się prosta. Nikt nie otruł koni z ich powozu, ale pękła im uprząż. Kiedy woźnica zatrzymał się, żeby ją naprawić, otoczyło ich pięciu zamaskowanych ludzi. Kazali im wysiąść, a gdy natrafili na opór, po prostu wyrzucili ich z powozu. Następnie związali i zostawili w pobliskich krzakach.

Pięciu, pomyślała Diana. Znaczyło to, że jednemu z morderców udało się zbiec. Aż zadrżała, kiedy pomyślała, że ten człowiek może się czaić gdzieś w pobliżu. Postanowiła zadbać jednak o sprawy bieżące i poprosiła Clarę

o przygotowanie czystej sukni. Będzie jej łatwiej zagrać prawdziwą damę w czystym przyodziewku.

Clara wróciła po paru minutach z informacją, że nie sprowadzono jeszcze drugiego powozu.

- Dlaczego nie ma czegoś w podróżnym? - Diana nie kryła irytacji. - Przecież jest tam miejsce na bagaż.

Clara skłoniła głowę jeszcze niżej.

- W powozie podróżnym jedzie automat, pani - wyjaśniła. - Markiz kazał go poowijać w gałgany, żeby się nie stłukł.

No tak, automat mógł zawsze liczyć na luksusową podróż. Niestety, Diana nie wozila przy sobie zapasowej sukni. W podręcznym sakwojażu miała jedynie parę książek, przybory do pisania, kremy i pudry oraz pistolety. Ciekawe, jak długo będzie czekać na resztę swoich bagaży. I czy woźnica nie zdecyduje się jechać prosto do Londynu.

Przyjęła więc sędziego, kostycznego staruszka, w zabrudzonym ziemią i krwią stroju, co tylko wzbudziło jego współczucie. Eresby Motte wysłuchał ich relacji i zapewnił, że zajmie się całą sprawą. Jednak Diana nie sądziła, że by udało mu się odnaleźć bandytów.

Pożegnała się z Beyem, zjadła późny posiłek i zaraz po północy udała się na spoczynek. Ze względu na niewielką ilość pokoi musiała dzielić swój z Clara. Służąca zasnęła szybko, ale Diana leżała w łóżku, zastanawiając się nad wydarzeniami minionego dnia. Szybko zapomniała o walce i śmierci. Zapomniała nawet o piątym napastniku/Pamiętała tylko pocałunek markiza.

Najwspanialszy pocałunek w jej życiu!

Przez chwilę przewracała się niespokojnie w pościeli, potem wstała i owinęła się lekką, różową kołdrą.

Postanowiła pójść do Rothgara.

Nie wiedziała, jak ją przyjmie, ale na razie nie miało to żadnego znaczenia. Dotknęła jeszcze swoich ust i wyszła na korytarz. Nagle przyszło jej do głowy, że podobnie jak ona, markiz może dzielić pokój ze swoim służącym. Co zrobi wówczas? Ach, nieważne, nieważne...

Juz chciała otworzyć drzwi do pokoju obok, ale z wnętrza dobiegło do niej lekkie pochrapywanie. Nie, Bey, *eminence noire* Anglii, nie mógł wydawać z siebie takich odgłosów. Nacisnęła więc klamkę kolejnych drzwi, żeby sprawdzić, czy nie są zamknięte.

Nie były.

Pchnęła je więc lekko i... omal nie krzyknęła. Bey siedział na krześle naprzeciwko wejścia z pistoletem w ręce. Miał na sobie krótkie spodnie, białą koszulę i powalane krwią długie buty do jazdy.

Diana owinęła się szczelniej kołdra,

- Chciałam tylko sprawdzić, czy nic ci nie jest - szepnęła.

Przez moment rozważał, co z nią zrobić. W końcu wstał i wskazał miejsce na swoim drewnianym łóżku. Jednocześnie kocim ruchem zamknął drzwi. Hrabina usiadła, czując, że serce wali jej jak młotem.

15

Diana rozejrzała się dokoła. Pokój do złudzenia przypominał ten, który ona dostała. Pod oknem stało proste biureczko, a przy wejściu stolik z fajansową miską. Tyle, że znajdowało się tutaj tylko jedno łóżko i dwa krzesła. Na biurku, podobnie jak w jej pokoju, żona właściciela postawiła wazon z pięknym bukietem. Wszystko było proste, ale za to czyste i pachnące. A przede wszystkim wykrochmalona pościel, na której usiadła.

- Nic ci nie jest? - powtórzyła pytanie, kiedy markiz usadowił się na swoim krześle.

- Większość ludzi myśli, że jestem z żelaza - mruknął.

- Przy mnie nie musisz udawać.

Jego wzrok padł na stojącą na biureczku karafkę i kieliszki.

- Może napijemy się porto? - zaproponował, wstając. - To pewnie nie *vintage*, ale moje zostało gdzieś na drodze. Podszedł do biurka i odłożył pistolet.

- W zasadzie sam nie wiem, na co czekam - dodał z westchnieniem. - Przypuszczam, że jesteśmy tu bezpieczni. Na razie nic nam nie grozi.

Nalał porto do kieliszków i jeden z nich podał Dianie. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, kiedy przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko.

- Wiedziałaś o tym piątym?

Wydął lekceważąco wargi. W blasku świec był jeszcze bardziej mroczny niż normalnie, w ciągu dnia.

- Przecież wiem wszystko! - Roześmiał się sucho. - Ale tak naprawdę, wypytałem Fettleera. Potwierdził moje podejrzania. Czy rozpoznałaś któregoś z napastników?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Było zbyt ciemno. Poza tym, nie myślałam, że... - Posłała mu szybkie spojrzenie. - De Couriac?

- Prawdopodobnie to on zbiegł - Rothgar potwierdził jej przypuszczenia. - Tak by przynajmniej wynikało z relacji Fettleera. Dowódca tych zbirów w ogóle się nie odzywał. Pokazywał tylko, co mają robić.

Diana zawstydzona się nagle, że nie wypytała o wszystko Clarę. Sądziła, że zaskoczy Beya informacjami o zbiegłym bandycie, a tymczasem to on ją zadziwił.

- Bali się, że służący go rozpoznają!

- Albo, że zdradzi go akcent - dodał.

- A... a jego żona? - dopytywała się.

Markiz uśmiechnął się lekko pod nosem i pochylił nieco w jej stronę.

- Teraz jestem pewien, że to nie była jego żona - stwierdził. - Pewnie odesłał ją do Francji. Niewiele mogłaby zdziałać z taką twarzą.

Hrabina patrzyła na niego przez moment, nie bardzo rozumiejąc. Więc kim była madame de Couriac? I o co mu chodziło, gdy mówił o jej twarzy? Jednym haustem wypi-

pół kieliszka porto. Rzeczywiście, nie było najlepszej jakości, ale nie to ją teraz interesowało.

- Co zrobiłeś, że chcą cię zabić, Bey?! Co się w ogóle dzieje?!

Rothgar również wypił porto, a następnie położył dłoń na sercu.

- Może być - mruknął i zwrócił się do niej: - Bardzo mi przykro, Diano, że wplątałem cię w tę sprawę. Wysłałem po posiłki do Londynu i jutrzejsza podróż powinna już być bezpieczna.

- Ale dlaczego Francuzi chcą cię zabić? - Nie dawała niu spokoju.

Rothgar spochmurniał i milczał przez chwilę.

- Mogę zaszkodzić ich krajowi w dwóch sprawach - odezwał się w końcu. - Nie chcę im pozwolić na odbudowę floty i pragnę zniszczyć fortyfikacje w Dunkierce. To ich główna baza wypadowa na Anglię. W ten sposób moglibyśmy uniknąć przyszłego najazdu.

- Najazdu? - powtórzyła. - Od czasu Normanów nikt nie poważył się na podbój wyspy!

- Normanowie też byli Francuzami - zauważył. - Ale nie o to mi chodzi. Pod groźbą siły łatwiej by im było zmienić króla. Na przykład na kogoś z dynastii Stuartów.

Diana wypijała jeszcze wina, czując, że szybciej niż zwykle uderza jej do głowy. Miała problemy ze zrozumieniem tego, o czym mówił Rothgar.

- Ale dlaczego nie zniszczono jeszcze tych umocnień? Przecież było to jedno z postanowień traktatu pokojowego.

Markiz spojrział na nią z szacunkiem. Czyżby interesowała się też sprawami kraju?

- Nie dotrzymano także paru następnych - stwierdził. - Francuzi wiedzą, co oznaczałoby zniszczenie Dunkierki. Dlatego robią co mogą, żeby do tego nie dopuścić. Ostatnio ambasador francuski przedstawił czarującą propozycję, żeby nie zasypywać kanału prowadzącego do morza, tylko nazwać go imieniem świętego Jerzego. Na cześć króla Anglii.

- Żartujesz!

- Niestety, nie. - Dopił swoje wino i sięgnął po karafkę. - Co więcej, królowi bardzo się ten pomysł spodobał, bo w pierwszej wersji miał to być kanał świętego Ludwika. Jeszcze?

Pokręciła głową, więc markiz nalał tylko sobie. Patrzyła jak pije, zwracając szczególną uwagę na usta.

Pocałunek. Ich pocałunek.

- A może jednak. - Wyciągnęła do niego swój kieliszek. Więc króla tak łatwo oszukać?

- Nawet o tym nie myśl! - odrzekł, nalewając jej porto. - Jest próżny, ale potrafi być bardzo przenikliwy.

Diana napiła się trochę wina i oblizała wargi. Zrobiła to odruchowo, nie zastanawiając się nad tym gestem.

Rothgar spojrział gdzieś w bok.

- Poza tym pełniący rolę ambasadora Francji D'Eon, to niezwykle sprytny, ale i czarujący człowiek - dodał po chwili

- I nie cofa się przed niczym - dorzuciła.

- Z całą pewnością!

Markiz wstał i zbliżył się do wazonu, z którego wyjął lilię. Była piękniejsza i bardziej okazała niż mak, ale Diana prawie nie miała na sobie ubrania, a przede wszystkim sztywnego stanika sukni. Została w samej bieliznie, bo jej szlafrok też znajdował się w powozie podróżnym. Dlatego teraz jeszcze mocniej otuliła się kołdrą.

Bey pochylił się w stronę hrabiny. Czuła już słodki zapach kwiatu.

- D'Eon walczył jako kapitan dragonów w czasie wojny - zaczął wyjaśnienia. - Jednak jego rola była znacznie poważniejsza. Kiedyś podróżował dwa dni ze złamaną nogą, żeby dostarczyć wiadomość. Nie można traktować go zbyt lekko. To człowiek ambitny i niebezpieczny.

Zbliżył się do niej jeszcze bardziej. Ich usta znalazły się po przeciwległych stronach lilii. Woń kwiatu była odurzająca.

- O co mu chodzi? - spytała słabo.

- Żeby zostać stałym ambasadorem - padła odpowiedź.

- Myślałam, że już nim jest. - **Przypomniała sobie jego słowa.**

- Rothgar potrząsnął głową.

- Zastępuje tylko hrabiego de Guerchy - wyjaśnił. - I uważa, że doskonale sobie radzi w tej roli. Poza tym wydał już część pieniędzy z budżetu reprezentacyjnego i nie chciałby tłumaczyć się przed hrabią.

Diana dostrzegła diabelski błysk w jego oku i natychmiast otrzeźwiała.

- Czyżbyś maczał w tym palce?

Rothgar ze śmiechem podał jej kwiat.

- Czy sądzisz, że by mnie posłuchał? - Wyglądał na jeszcze bardziej rozbawionego. - Otrzymał bezpośrednie upoważnienie od króla.

Hrabina zrobiła wielkie oczy i odłożyła lilię.

- Na miły Bóg! Sfałszowałeś dokumenty?! - wykrzyknęła.

Rothgar położył palec na ustach.

- Cii! Nie jesteś chyba taka naiwna, żeby sądzić, że polityka polega na wzajemnej wymianie uprzejmości - rzekł z westchnieniem. - To są brudne sprawy, Dianko. Francuzi już dwukrotnie w tym stuleciu wypowiedzieli nam wojnę. Na szczęście nie mogą już użyć Szkotów. Ich klany są albo wierne królowi, albo pozbawione władzy. Ale mają jeszcze Irlandię. A ja robię wszystko, żeby zapobiec nowej wojnie.

Diana skinęła głową na znak, że rozumie. Nie dziwiła się już zakusom Francuzów. Rothgar stał im na drodze niczym skała. Nie był próżny, tak jak król. Nie miał ambicji, ponieważ nie sprawował żadnych ważnych funkcji. Co więcej, zapewne nie można go było przekupić.

Markiz sięgnął po kwiat. Po chwili dotknął delikatnymi płatkami jej policzka. Diana znów poczuła mocny, słodki zapach.

- Obawiam się, że czekają cię nowe niebezpieczeństwa - szepnęła.

Dotknął lilią jej warg.

- Teraz chyba zmniejszyło się zagrożenie - zauważył. -

Dostali dobrą nauczkę. Mam nadzieję, że **nie** posuną się do najgorszego.

Przytrzymała kwiat.

- Najgorszego?

- Gdybym nagle skonał, wzbudziłoby to zbyt wiele podejrzeń - wyjaśnił. - Myślę, że nie użyją trucizny.

W nagłym przypiływie strachu chwyciła go za rękę.

- Och, Bey.

Diana wiedziała, że powinna już odejść. Nie miała na to jednak najmniejszej ochoty. Dotyk Rothgara działał na nią silniej niż jakikolwiek narkotyk. Jednocześnie drżała ze strachu, że coś mu się może stać. Nigdy nie darowałaaby sobie tego, że pozostali wobec Ciebie tak... obcy.

- Dotknij mnie - poprosiła.

Spojrzał jej w oczy.

- Mówisz tak, bo ledwo uszliśmy z życiem. Jutro będziesz tego żałować.

- Nigdy! - szepnęła, czując, że nie może opuścić jego pokoju. - Proszę, dotknij.

Pogłodził ją po głowie.

- Jeszcze? - spytał.

Chciała krzyknąć, że jest gotowa na wszystko. Jeśli tylko on zechce. Wprawdzie dziś oboje żyją, ale kto wie, co będzie jutro?

- Tak. Proszę, pocałuj mnie. - Zaczynało jej brakować tchu w piersiach. - Ale bez... bez...

Skinął głową.

- Nie jestem nierozważnym młodzikiem - zapewnił ją.

Znowu wziął kwiat i zaczął prowadzić go delikatnie po jej szyi i policzkach. A kiedy już nie mogła wytrzymać, dotknął płatkami jej warg. Diana zamknęła oczy, wiedząc, co za chwilę nastąpi.

Pocałunek był jeszcze dłuższy i jeszcze wspanialszy niż poprzedni. Przyłgnęła całym ciałem do markiza, nie zdając sobie sprawy z tego, że jej kołdra opadła na podłogę. Dzieliła ich teraz zaledwie cienka warstwa bielizny.

-Jeszcze, jeszcze - powtarzają, **kiedy nagle poczuła, że się od niej odsuwa.**

Rothgar westchnął głośno.

- Nie jestem niedoświadczonym młodzikiem, ale... są pewne granice.

Diana nie chciała nic wiedzieć na ten temat. Wyciągnęła do niego ramiona.

- Proszę - jęknęła żałośnie.

Spojrzał na nią uważnie.

- Czy mógłbym...? - spytał, nie kończąc. - Kiedy miałaś ostatnią niedyspozycję miesięczną?

Zaczerwieniła się słysząc to pytanie.

- Już dawno, bardzo dawno - odparła, spuściwszy oczy. - Niedługopowinnabyć nowa.

Starła się przypomnieć sobie to, co wyczytała z broszurki, którą dostała od Elf.

- Ryzyko jest niewielkie - stwierdził.

- Ale wciąż istnieje! - przestraszyła się. - Myślałam, że możemy być razem zupełnie nago, a wciąż nad sobą panować.

Rothgar zacisnął usta. Widziała, że przez chwilę walczył z sobą, a następnie podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Tak będzie bezpieczniej - rzekł.

W jego oczach znowu pojawiły się diabelskie iskierki. Tak jakby chciał sprostać kolejnemu wyzwaniu. Być może trudniejszemu niż walka.

Rozpiął górne guziki od koszuli i ściągnął ją przez głowę. Diana aż otworzyła usta ze zdziwienia. Czyżby wziął dosłownie to, co powiedziała? Spuściła oczy chcąc się czegoś napić, sięgnęła po kieliszek. Była jednak tak stremowana, że zakrztusiła się portem.

- Mam przestać? - usłyszała pytanie Rothgara.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, uniosła lekko głowę. Nawet nie podejrzewała, że jego ramiona są tak szerokie. I że pod koszulą kryją się węzły mięśni. Pomyślała z pogardą o swoim ciele, gładkim i słabym.

- Nie, proszę...

Markiz skinął głową, a następnie sięgnął do tyłu i rozwiązał aksamitkę. Ciemne, niemal granatowe włosy rozsypały się po jego plecach. Teraz wyglądał na mrocznego jeźdźca. Diana nie mogła wprost oderwać od niego wzroku.

- Dalej? - upewnił się.

- Koniecznie.

Uśmiechnął się, słysząc, że nagle nabrała pewności. Ustawił krzesło naprzeciwko niej, żeby zdjąć buty z ciemnymi plamami. Następnie ściągnął pończochy i zabrał się do rozwiązywania tasemek przy aksamitnych spodniach.

- Jesteś wspaniała - powiedziała, widząc pracę jego mięśni. - Nie przypuszczałam, że aż tak.

Rothgar wstał i pociągnął w dół spodnie.

- Wolę kobiece ciało - stwierdził. - Sam sobie wydaję się za bardzo zyłasty.

Z tymi słowami ściągnął spodnie i rzucił je na podłogę. Stał przed nią nagi. Diana zawsze myślała, że wie dużo o męskim ciele. Czytała o penisie i o tym, jak wygląda w stanie wzwodu i spoczynku. Widziała nawet odpowiednie ilustracje. Jednak to, co zobaczyła, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Nagle miała przed sobą zupełnie nagiego mężczyznę i to, co według jej wyobrażeń powinno być małe, znajdowało się przed nią, olbrzymie i kuszące.

- O Boże! - jęknęła.

- Słabo ci?

Chciał się do niej zbliżyć, ale Diana podniosła się z łóżka i wskazała mu swoje miejsce. Obawiała się, że wystarczyłoby najniewinniejsze dotknięcie, a nie potrafiłaby nad sobą zapanować. Cała była pożądaniem. Starła się oderwać oczy od Rothgara, ale bezskutecznie.

- Teraz chyba moja kolej - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Markiz pokręcił głową.

- Nie musisz tego robić.

- Zupełnie nadzy - przypomniała mu, nie chcąc już tłumaczyć, że cała sytuacja wynikała z nieporozumienia.

Problem polegał na tym, że w zasadzie nie miała prawie nic do zdjęcia. Kiedy kołdra zsunęła się na ziemię, została tylko w jedwabnej, sięgającej jej do pół łydki halce. Sama nie wiedziała, co dalej.

- Jeśli przesuniesz się trochę w lewo, będę lepiej widział.

Przesunęła się i spuściła głowę, Czy możliwe, żeby to był wstyd?

- Może jednak damy sobie spokój - zaproponował po raz kolejny.

- Wcale się nie wstydzę - zapewniła go, czując, że rumieni się jeszcze bardziej. - Czytałam różne książki.

Rothgar uśmiechnął się do niej.

- Mogłem się domyślić. No już, zdejmuj tę halkę i wskaż do łóżka!

Sam położył się i przykrył, zasłaniając to, co do tej pory było odkryte. Diana przestąpiła niepewnie z nogi na nogę. Ciekawe, że w jej książkach nie było par w łóżku. W krzakach, na łące, nawet na huśtawce, ale nigdy w łóżku. Pomyślała, że to pewnie dlatego, że po pierwsze, pod kołdrą niewiele widać, a po drugie, sypialnia kojarzy się z małżeństwem. Za chwilę rozbierze się i położy przy Beyu, jak... jak żona.

No już, dosyc tego!

Schyliła się, żeby ściągnąć halkę przez głowę.

- Nie, nie. Opuść ją w dół. Najpierw powinienem zobaczyć piersi - poinstruował Rothgar.

Wyprostowała się i spojrzała w stronę łóżka. Nie będzie jej pouczał! Nagle uśmiechnęła się zalotnie, wyjęła trzy kwiatki z wazonu i włożyła je między piersi. Poczowała spływającą w dół zimną wodę. Zsunęła jedno ramiączko i przesunęła w dół, odsłaniając koniuszek piersi. Bey westchnął głucho na swoim miejscu.

- Dobrze.

Zupełnie bez wstydu zsuwała wolno halkę. Kwiaty pachniały słodko między jej piersiami. Czuła, że markiz jest coraz bardziej podniecony. W końcu stanęła przed nim zupełnie naga.

- Chodź do mnie - usłyszała jego schrypnięty głos.

16

Diana poczuła, że jest bardziej przestraszona niż podniecona, ale posłuchała wezwania. Kiedy znalazła się w pobliżu łóżka, markiz chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Patrzył na kwiaty, które się wciąż trzymały między jej piersiami.

Dopiero, gdy poczuła jego bliskość, znowu odezwało się pożądanie. Rothgar również był podniecony, a ona nareszcie mogła go zaspokoić.

Tylko, czy znajdzie w sobie tyle odwagi?

- Jesteś piękna - szepnął, przesuwając wzrokiem po jej bujnych kształtach.

Zawsze wydawało jej się, że ma za duże piersi. Jednak płaski brzuch, wąska talia i rozłożyste biodra nie pozostawiały chyba wiele do życzenia. Nie mogła się tylko poszczycić takimi muskułami, jak Rothgar. Chociaż ramiona miała mocne, znacznie mocniejsze niż większość kobiet.

Jeśli zdobędzie się na odwagę...

Według broszury, którą otrzymała od Elf, nie ryzykowała zbyt wiele. Bliskość kolejnej niedyspozycji niemal gwarantowała bezpłodność. Niemal. W tych sprawach nie było nic pewnego. Ryzyko zawsze istniało.

- Cudowna! - dodał, przesuwając dłoń po jej boku.

Dreszcz rozkoszy przeszył ciało Diany. Nie sądziła, że może tak mocno zareagować na męski dotyk. Jednak Bey nie był też pierwszym lepszym mężczyzną.

Markiz pociągnął ją lekko ku sobie. Znowu się zawstydziała i spuściła wzrok. Usiadła jednak na łóżku koło niego. Po chwili poczuła pocałunek na szyi, a następnie delikatne dotknięcie jego dłoni. Rothgard ujął od tyłu piersi Diany i zaczął je pieścić.

- Ach! - westchnęła, czując, że sutki stwardniały jej niezmiernie kamyki.

Położył ją na łóżku i przesunawszy się usiadł obok. Ich oczy spotkały się na chwilę. Jego skrzyły się pożądaniem. Natomiast w zieleni jej oczu kryła się jeszcze obawa i niepewność. Jednak ciało Diany mówiło co innego. Jej ramiona, piersi, łagodne zaokrąglenia bioder mówiły: „Bierz nas”.

Rothgar pochylił się znowu. Wystarczyło, że dotknął ustami jednego z sutków, a znowu jęknęła z rozkoszy.

- To niesprawiedliwe! - poskarżyła się.

Przesunął wargi nieco wyżej.

- Chcesz, żebym przestał?

- Nigdy. I to właśnie jest niesprawiedliwe - wyjaśniła, prężyć się z rozkoszy.

Znowu pocałował jej pierś.

- To jedna z tych pieszczot, które nie smakują w samotności - stwierdził.

Diana raz jeszcze poczerwieniała na całej twarzy. Czyżby odgadł, że praktykowała od czasu do czasu autoerotyzm, o którym przeczytała w jednej ze swoich książek? Teraz, kiedy miała porównanie, zrozumiała, że nic nie może się równać z pieszczotami Rothgara.

- Mężczyźni też mogą mieć z tym problem - rzuciła. - To znaczy, z samotnością.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Uwielbiam czytane kobiety. Zwłaszcza, kiedy są tak piękne i... nagie.

Znowu wyprężyła się w oczekiwaniu na kolejną pieszczotę. Tymczasem Rothgar sięgnął tylko po jeden z kwiatów, które wciąż trzymały się między piersiami Diany. Wziął go w dłoń i zaczął przesuwając po jej drżącym ciele. Nawet nie przypuszczała, że zrobi to na niej aż takie wrażenie. Niemal przestała oddychać, kiedy poczuła na ciele delikatne płatki, które przesuwały się wolno w dół.

- Och! - westchnęła ponownie.

I właśnie wtedy Rothgar poniechał pieszczoty.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że pochyla się nad nią z poważną miną.

- Musisz podjąć decyzję - powiedział. - Czy chcesz ryzykować?

Od razu pomyślała, że chyba powinna poprzestać na tym, co było dotąd. Zrobiło jej się jednak żal tych niezwykłych, cudownych doznań.

- A czy będziesz w stanie się wycofać? - spytała po krótkiej wewnętrznej walce.

- Mogę spróbować. Ale tak naprawdę nigdy nie wiadomo, co się zdarzy, kiedy zawładnie mną pożądanie.

- Ja już jestem w jego mocy - wyznała. - Nigdy w życiu się tak nie czułam.

- To dopiero wstęp. Uwertura do prawdziwego dzieła - zapewnił ją.

Jeśli tak, to byłaby głupia, gdyby się wycofała. Nie może zrezygnować z czegoś, co zaczyna się tak... tak podniecająco. Z drugiej strony, może zakończyć się dosyć żałośnie dziecięcym krzykiem. Wiedziała już, że byłoby to nieszczęściem nie tylko dla niej, ale i dla Beya.

Nie wolno aż tak ryzykować.

- To spróbuj - westchnęła ledwie dosłyszalnie.

Markiz posłuchał tego wezwania. W nim też krew aż wrzała. Pochylił się nad nią, chcąc ponownie ucałować jej pierś, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Przyciągnęła go do siebie mocno. Ich nagie ciała zetknęły się po raz pierwszy. Było to dla niej wstrząsające doznanie, ale wydawało się, że Bey również nie panuje nad sobą. Całował ją i tulił. Po chwili przesunął Dianę nieco dalej na łóżko i położył się obok. Nie było to niestety tak wspaniałe łożo, jak w jej sypialni. Mieli mało miejsca i dlatego musieli do siebie przylgnąć. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyła.

Zaczęło jej się wydawać, że przesadza z ostrożnością. Przecież nie może teraz zająć w ciążę. Nigdy nie znajdzie lepszego momentu na to, żeby kochać się z markizem.

Poczuła na swoim ciele jego wyprężoną męskość i rozchyliła ściśnięte dotąd uda.

Nie będzie lepszego momentu, powtórzyła w duchu.

Rothgar skorzystał z okazji i wsunął się między jej nogi. Poczuła wilgoć w intymnym miejscu. Wiedziała, że jest gotowa, by go przyjąć. Już nie potrafiła myśleć, roztrząsać argumentów za i przeciw. Krew pulsowała jej w skroniach. Przed oczami latały kolorowe punkty, jakby patrzyła w witraż.

- Jeszcze się mogę wycofać - dobiegło do niej wprost z nieba.

Nie, nie z nieba. Z góry. Rothgar dopiero chciał ją zabrać do nieba.

Diana poczuła, że łzy zaczynają jej spływać po twarzy. Były to jednak łzy szczęścia. Nigdy w życiu nie czuła tego, co teraz.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

Ten pocałunek trwał długo, bardzo długo. Zawarła się w nim jakby cała historia ich poznania. Wzajemna fascynacja, walka, ale też i bardziej subtelne uczucia. Diana bała się nazwać, chociaż chciała szepnąć: „kochany, kochany”.

Rothgar miał nadzieję, że hrabina wycofa się po tym pocałunku. Wmawiał sobie, że to pożegnanie, koniec. Czuł, że coraz bardziej pożąda Diany i że za chwilę nie będzie mógł się zatrzymać, choćby go o to błagała.

Wiedział, że może ją mieć w każdej chwili.

Nie chciał jej do niczego zmuszać.

To nie było do końca w jego stylu, ale też powtarzał sobie, że Diana jest kimś wyjątkowym.

- Co dalej? - szepnął, unosząc się troszkę nad nią.

Przyciągnęła go do siebie. Jej nogi rozsunęły się jeszcze bardziej i uniosły w górę. Droga do rozkoszy stała otworem.

- Kochaj mnie, Bey. Nie mogłabym żyć, gdybyśmy nie skończyli tego, co zaczęliśmy...

Nie potrzebował dalszej zachęty. Diana zamknęła oczy i wygięła ciało w łuk, a on wszedł w nią jednym silnym pchnięciem.

- Aa!

Zatrzymał się na chwilę i **spojrzał na nią z niepokojem.**

- Mocno boli?

Pokręciła głową.

- Nie przestawaj.

Rozkosz przytłumiła ból. Wkrótce zupełnie o nim zapomniała. Chciała tylko czuć Beya jak najpełniej. Chciała go poznać jak najlepiej. Tak jak ją zapewnił, pieszczoty stanowiły jedynie uverture do tego, co nastąpiło później. A on umiał cudownie grać na jej ciele. Wygrywał na nim gwałtowne wzloty i długie *crescenda*. Potrafił uderzyć *forte*, ale też *piano*, kiedy potrzebowała chwili odpoczynku. Nie wiedziała, jak dłużej się z nią kochał, ale mogło to być całe życie. Jej życie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nikt ich nie słyszy. Łóżko pod nimi trzeszczało, a oni sami jęczeli i krzyczeli z rozkoszy. W końcu stwierdziła, że jest jej wszystko jedno. Chciała żyć jedynie swoją miłością do markiza.

W końcu wszedł w nią po raz ostatni, a następnie opadł na poduszkę. Diana otworzyła oczy i westchnęła w pełni zaspokojona. Rothgar leżał obok, dysząc ciężko.

- Ale jesteś spocony i zmęczony - zdziwiła się, a potem spojrzała na siebie i stwierdziła, że jest w podobnym stanie.

- Nawet ja nie potrafię się kochać z zimną obojętnością - wydyszał.

- Z Mallorenami wszystko jest możliwe - powiedziała to, co sam jej parę razy powtarzał.

Zaśmiał się cicho i założył ręce za głowę. Nie sądziła, że może być aż tak zrelaksowany i naturalny.

- Zdarzało mi się uprawiać seks z wyrachowania z osobami pokroju pani de Couriac - przyznał. - Ale to nie znaczy, że się z nimi kochałem. Z tobą bym tak nie potrafił.

Kochać się?

Słowo „kochać” połąskotało ją mile, chociaż wiedziała, że chodzi o coś innego. Do tej pory nie rozmawiali o uczuciach. Domyślała się, że Rothgar wolałby tego uniknąć. Ale przed sobą mogła się już przyznać, że kocha Rothgara. I to nie tylko jako wspaniałego kochanka i niezwykle przystojnego

mężczyznę. W ciągu tych paru dni miała okazję poznać go jako nieustraszonego rycerza i zręcznego polityka. Nawet, jeśli dopuszczał się fałszerstw, robił wszystko dla dobra kraju. Diana nie wątpiła w jego uczciwość i prawy charakter.

Kocham lorda Rothgara, pomyślała. I nigdy mu tego nie powiem.

Nie chciała obciążać go swoją miłością. Wiedziała, że ma inne zadania. Nigdy też przed nianie krył, że nie myśli o małżeństwie. To, które jej zaproponował, było jedynie zręcznym wyjściem z sytuacji, zagrywką zupełnie w jego stylu.

Stwierdziła, że tym bardziej nie może dopuścić do tego związku.

Chciała jednak coś zrobić. Sama nie wiedziała, co.

Po krótkim namyśle zdjęła z palca pierścionek z szafirem. Pomyślała, że tak nawet będzie lepiej, z tym kamieniem niebieskim jak jego oczy. Wzięła dłoń markiza i sprawdziła, czy pasuje. Okazało się, że Bey ma palce niemal równie cienkie jak ona.

Czy domyśli się znaczenia tego gestu?

Spojrzał na pierścionek, a potem na nią. Coś jakby smutek pojawiło się w jego oczach. Wyciągnął dłoń do góry i przez chwilę patrzył na szafir, a potem pocałował ją usta.

Diana bała się, że się rozpłacze. Dlatego wstała i ściągnąwszy prześcieradło z łóżka, rzuciła je do miski. Jutro zajmie się nim służba.

Poczuła coś dziwnego i spojrzała na swój brzuch.

- Jaka szkoda - powiedziała i wytarła go ręką prześcieradła. Na kartce, którą dostała od Elf, też pojawiły się informacje na temat zakończenia aktu przed wytryskiem nasienia. Było to dodatkowe zabezpieczenie, ale Dianie, nie wiedzieć czemu, zrobiło się nagle przykro. Czuła się niepełna, niedowartościowana.

- Tak będzie lepiej - zapewnił ją.

- No tak, to jeszcze nie zimna obojętność, ale już racjonalne zachowanie.

Wyciągnął rękę, zapraszając ją do łóżka. Położyła się

obok, chociaż goły siennik nie był już tak wygodny, **jak** wykrochmalone prześcieradło.

- Przestań - poprosił. - Ja też tego nie chciałem.

Przysunęła się i wtuliła w jego ciało.

- Jeśli teraz zaszłam w ciążę, to będę mogła jedynie skarżyć się na ślepy los - zauważyła.

Markiz pokręcił głową.

- Powstrzymaj się ze skargami chociaż parę dni - zaproponował. - Nie sądzę, żeby cokolwiek mogło się stać. - Nie wiedzieć czemu te słowa wprawiły ją w jeszcze większe przygnębienie. Czy to możliwe, żeby żałowała straconej okazji? Czyżby naprawdę chciała dać Rothgarowi dziecko? To dziecko, którego nie chciał. Którego wręcz się obawiał!

Diana westchnęła, stwierdziwszy, że powinna być racjonalna. Tak, jak Bey. Tak, jak inni ludzie. W zasadzie niemal cały świat.

Miała wrażenie, że płynie gdzieś w łóżku. Że unosi się na falach, żeglując daleko, daleko. Musi się spieszyć, żeby zdążyć przed zmrokiem. Musi uważać.

Rothgar patrzył z uśmiechem na zasypiającą Dianę. Tył jej chciał powiedzieć, ale wciąż nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Teraz, kiedy położył jej głowę okoloną kasztanową aureolą na poduszce, Diana wyglądała jak anioł. Czy ma prawo brukać niebiańskie istoty? W tej chwili sprawiała też wrażenie osoby całkowicie zaspokojonej i odprężonej. Z całą pewnością potrzebowała odpoczynku po tak ciężkim dniu.

Podparł się łokciem i przez dłuższy czas patrzył na nią z góry. Na pełne usta i jasną cerę, która tak bardzo kontrastowała z jego karnacją. Liczył na to, że sen przyniesie Dianie ukojenie.

Widział jej zmagania wewnętrzne.

Bez trudu zrozumiał symbolikę pierścienia.

Co dalej?

To pytanie nie dawało mu spokoju. Gdyby Diana nie

należała do osób, które naprawdę cenił, nie miałby z tym problemów. Ale już rok temu zaświtało mu, że może być kimś wyjątkowym. A teraz ocaliła mu życie i nie robiła przy tym żadnego hałasu, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Większość kobiet, które znał, zemdlałaby już na początku strzelaniny.

Diana otarła się dzisiaj o śmierć i miłość. Dwie najpotężniejsze siły tego świata. Miał nadzieję, że nie wpłynie to źle na jej stan.

Wyglądała zresztą uroczo.

Nie, nie należała do osób, które by wpadały w histerię po zabiciu człowieka, czy utracie cnoty.

Jest niezwykła.

Niesamowita.

To aż dziwne, że uchowała się gdzieś na północy.

Przypomniał sobie ich wcześniejszy pocałunek, a potem to, co wydarzyło się w jego sypialni i raz jeszcze spojrzął z miłością na śpiącą. To niezwykle, że oddała mu się z taką odwagą, chociaż nie miała żadnego doświadczenia. A jak cudownie się kochali! Poznał cieleśnie wiele kobiet, ale żadna, nawet Safona, nie potrafiła być tak namiętną kochanką.

Tylko, co dalej?

Nagle zdał sobie sprawę, że tuż obok leży ktoś dla niego ważny. Zastanawiał się, jak powinien nazwać Dianę. Nie była jego żoną. Nie chciał, żeby stała się kochanką. Więc może przyjaciółką albo towarzyszką?

Safona twierdziła, że nie potrafi żyć bez rodziny. Czy Diana mogłaby mu zastąpić rodzinę? A jeśli tak, to w jaki sposób? Jednego był pewny. Jeśli jest płodna, to choćby najbardziej uważali, prędzej czy później poczną dziecko.

Rothgar skrzywił się boleśnie.

Dopiero teraz zaczął rozumieć, że lepiej było zostawić Dianę w spokoju. Mógł przecież spić ją winem, żeby uspokoić jej skołataną nerwy, a później odnieść ją z powrotem do pokoju. Nie musiał korzystać z okazji.

Co dalej? Co dalej? Co dalej?

Najgorsze było to, że w całą historię wplątali się jeszcze Francuzi. Nie dbał o własne bezpieczeństwo, ale bał się o Dianę. Być może ten, który uciekł, dobrze ją sobie zapamiętał.

Pochylił się i pogłaskał głowę leżącej. Spała jak dziecko. Nawet jedna zmarszczka nie pojawiła się na jej czole. Usta miała pełne, jakby stworzone do pocałunków.

Nie, nie, wystarczy.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Potrzebował stroju, żeby chronił go przed własnymi żądzami. Naciągnął pończochy i włożył atłasowe spodnie, których troczki związał pod kolanami. Ścisnął je mocno również w pasie, włożywszy w nie uprzednio koszulę. Podróżny surdut dopełnił stroju.

Teraz on był ubrany, a ona naga. Ta świadomość nie podziałała na niego kojąco. Wciąż przecież mógł ją pieścić. Wciąż mógł na nią patrzeć. Przykryła się wprawdzie kołdrą, ale jej brzег zsunął się, odsłaniając krągłą pierś.

Rothgar wstał i zaczął krążyć po pokoju. Na nogach miał tylko pończochy, żeby nie robić hałasu.

Usłyszał turkot na zewnątrz i wychylił się ostrożnie, żeby sprawdzić, czy to nie Francuzi. Okazało się, że to przybyły z Londynu jego posiłki. Będą więc mieli bezpieczną podróż. A jutro Diana spotka się z królową, a potem przeprowadzi się do jej części pałacu. Będą się widywać tylko w czasie oficjalnych spotkań.

Pewnie szybko o sobie zapomną.

Markiz odszedł od okna i spojrział na śpiącą. Nagły skurcz wykrzywił mu twarz. Zrozumiał, że stanie się inaczej, nie zapomni o niej nigdy. Czas być może trochę uśmierzy ból. Ich życie potoczy się swoim torem.

W końcu pomyślał, że czas odpocząć. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spocząć na podłodze. Nie miał jednak żadnych dodatkowych pledów. Po krótkim namyśle położył się więc w ubraniu obok Diany, która, jakby wyczuwając obecność Rothgara, obróciła się w jego kierunku i chwyciła go za rękę.

Trzymała mocno. Nie chciał się ruszać, żeby nie zbu-

dzić Diany. Spała tak rozkosznie z rozchylonymi wargami. Z trudem się powstrzymał od pocałunku.

17

Diana obudziła się czując, że nigdy nie była tak wypoczęta. Po chwili zaskoczona zmieszała się, ponieważ ktoś ją pocałował.

Przetarła oczy.

Markiz.

Bey.

Wyciągnęła ręce, chcąc go objąć, ale odsunął się od niej.

- Już prawie świt - powiedział. - Musisz wracać do swojego pokoju.

Wcale nie miała na to ochoty, lecz zrozumiała, że powinna to zrobić. Spojrzała niepewnie na ubranego Rothgara, a on zrozumiał jej prośbę i odwrócił się do okna. Poranna szarość ustępowała właśnie słonecznym żółciom i amarantom.

Diana odszukała swoją wygniecioną halkę, którą szybko włożyła przez głowę. Owinęła się też dokładnie różową kołderką.

- Gotowe - poinformowała markiza.

Odwrócił się od okna i spojrzał na nią tak, jakby znajdowali się na balu. Podał jej ramię. Zauważyła, że nie ma na palcu pierścienia z szafirem. Dianie zrobiło się żal, chociaż pochwaliła w duchu taką przezorność.

Wiele słów cisnęło jej się do ust, ale jakoś nie mogła niczego powiedzieć. Zdecydowała się na to, co się stało z silnym postanowieniem nie wiązania się z Beyem. Pragnęła tylko zaspokoić swoją ciekawość. Gdy to nastąpiło, zamierzała dotrzymać postanowienia, nawet gdyby miała cierpieć z tego powodu.

Podeszli do drzwi i Rothgar wyrzwał pierwszy na korytarz.

- Droga wolna - rzucił, oglądając się za siebie. - Możesz iść.
Chciała jeszcze dotknąć jego ramienia, ale się powstrzymała. To markiz zatrzymał ją, kiedy go mijała.

- Myślę, że jesteś bezpieczna. Ale musisz mi powiedzieć, gdybyś... - zawiesił głos - nie miała kolejnej miesięcznej niedyspozycji.

Pobladała tylko i potrzęsnęła głową.

- Przecież nie chcesz się ożenić, a ja nie mogę wyjść za mąż - szepnęła. - To będzie mój problem.

- Nieprawda!

Wzruszyła ramionami.

- Tak ma być i koniec - mruknęła.

- Tylko nie wydawaj mi rozkazów, Diano - zaczął groźnie, ale skończył miękko i wziął jąw ramiona. Ich usta zetknęły się na moment. I znowu dreszcz rozkoszy przebiegł po jej ciele. Czy już nigdy się od tego nie uwolni?!

- *Adieu*, Bey - szepnęła, wysuwając się na korytarz.

- *Adieu*.

Nie oglądając się za siebie, przeszła do drzwi swojego pokoju. Clara jeszcze spała. Diana wyjęła z podręcznej torby kasetkę z biżuterią i wsunęła na palec pierwszy znaleziony pierścień. Następnie położyła się na swoim łóżku, wpatrując się w drewniane krokwie przy suficie. Wiedziała, że już nie zaśnie. Wspomnienia nie dawały jej spokoju. Były cudowne i miały tylko jedną wadę - wszystkie należały do przeszłości.

Rano Diana znowu musiała włożyć swoją powalaną błotem suknię. Zeszła na dół, żeby zjeść śniadanie z markizem. Na szczęście nie musieli rozmawiać, ponieważ dołączył do nich Eresby Motte z plikiem raportów do podpisania. Raz jeszcze wypytał ich o wszystko. Okazało się, że mimo wyglądu safandudy, był niezwykle sprytny. Jeszcze w nocy wysłał swojego człowieka do Ware z poleceniem, by sprawdził, kim byli zamachowcy. Ponieważ w miasteczku nie było zbyt wielkiego ruchu, wywiadów-

ca bez trudu ustalił, że wszystkim zarządzał Francuz, niejaki de Couriac. Jego ludzie nie pochodzili z okolicy.

- A pani de Couriac? - wyrwało się Dianie.

Motte spojrzał na nią bystro.

- Nie było z nimi żadnej kobiety. Dlaczego pytasz, pani?

Rothgar opowiedział pokrótce historię ich spotkania z Francuzami. Wspomniał też o chorobie pana de Couriac.

- Czy to możliwe, panie, żeby chował do ciebie urazę? - spytał go stary sędzia.

Markiz poruszył się na swoim miejscu.

- Nie widzę powodów - odparł. - Starałem się mu pomóc.

Umysł Eresby'ego Motte'a pracował wyjątkowo sprawnie. Sędzia milczał przez chwilę, pijąc herbatę, o którą poprosił wcześniej.

- W tej sprawie brakuje mi jednej rzeczy. Motywów. - Posłał Rothgarowi ostre spojrzenie. - Oczywiście wiesz, panie, że musisz uważać.

Zapewne, podobnie jak oni, policzył napastników i zauważył, że jeden zbiegł.

- Sam nie wiem, dlaczego. - Markiz wzruszył ramionami. - Nic nie zrobiłem tym ludziom. Nie mam pojęcia, dlaczego na mnie napadli. Wydawało mi się, że ten osobnik był wyjątkowo zazdrosny o żonę - dodał, napotkawszy pełne niedowierzania spojrzenie sędziego.

Po kolejnych pytaniach, które wskazywały, że Motte nie w pełni uwierzył w wersję markiza, Rothgar wstał i położył rękę Dianie.

- Pan wybaczy, panie sędzio, ale musimy już ruszać. Lady Arradale ma się jeszcze dzisiaj spotkać z królową.

Sędzia podniósł się ze swego miejsca.

- Ależ oczywiście - zgodził się, ale nie poddał do końca. - Pozwolisz, panie, że pošlę do ciebie mojego człowieka, gdyby pojawiły się jakieś nowe kwestie?

- Naturalnie.

Pożegnali się i wyszli przed gospodę. Do Londynu nie

było już daleko. Diana zachwiała się, widząc ciemną plamę na karecie.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się Bey.

- Nie, po prostu zapomniałam o tym - szepnęła. - Biedny człowiek.

Rothgar wiedział, co wymazało złe wspomnienia z jej pamięci. Sam jednak pamiętał, że musi zająć się rodziną woźnicy.

- Już będzie dobrze - zapewnił ją, rozglądając się dokoła. Jego ludzie dobrze strzegli terenu. Na zmianę trzymali wartę. Teraz, kiedy dał im znak, powoli zaczęli przygotowywać się do odjazdu.

Diana spojrzała na swoją suknię.

- Mam nadzieję, że już niedługo będę się mogła przebrać - rzekła z westchnieniem. - Clara zrobiła, co mogła, ale część tego brudu po prostu nie chce zejść.

Pomyślała, że to dobra metafora życia. Niektórych zmian i doświadczeń nie da się już odwrócić.

- Powóz będzie czekał na nas w Londynie - pocieszył ją. - Przebierzesz się w Malloren House.

Clara i Fettler zasiedli już na swoich miejscach. Diana wraz z markizem usadowiła się naprzeciwko i natychmiast wyjechali na londyński gościniec.

Nie rozmawiali i nawet nie udawali, że czytają. Nie patrzyli też na siebie. Mimo to w powozie czuć było atmosferę intymności. Tak przynajmniej wydawało się Dianie.

Przypomniała sobie ostrzeżenia Rosy. Teraz sama doświadczała czegoś w rodzaju zakochania i nie potrafiła tego oddzielić od seksu. Czyżby więc przyjaciółka miała rację?

Diana nie wiedziała, co o tym sądzić. Chwilami wydawało jej się, że Bey jest jej brakującą połówką i że pragnie go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Potem znowu przychodziła refleksja, że połączyła ich tylko ta jedna noc i że tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego.

Jednak im dłużej nad tym myślała, tym trudniej było jej uwierzyć, że są dla siebie zupełnie obcy. Zaczęła też

rozważać praktyczne strony ewentualnego małżeństwa.

Jej niezależność?

O nią się nie obawiała. Wiedziała, że markiz by ją respektował.

A władza?

Rothgar miał jej tyle, że na pewno nie pragnął więcej. Mogłaby tylko skorzystać, gdyby stał się jej sojusznikiem.

A geografia?

Odległość dzieląca ich dobra mogła stać się zarówno wrogiem, jak i sojusznikiem. Z całą pewnością musieliby znaleźć sposób sprawnego zarządzania zarówno na północy, jak i południu kraju. Być może oznaczałoby to okresy rozłąki, ale Diana wiedziała, jak przyjemnie byłoby się później spotykać.

W końcu zaczęła się dziwić, że już wcześniej nie pomyślała o mężu, który byłby znaczniejszy od niej. Przecież w ten sposób mogła jedynie skorzystać. Zerknęła w bok, na Rothgara i... porzuciła swoje nadzieje. To prawda, że jej problemy można jakoś rozwiązać, lecz Bey wciąż obawiał się szaleństwa w rodzinie. Nie będzie łatwo go przekonać, że może warto zaryzykować.

Wyrzała za okno i stwierdziła, że przejeżdżają przez coraz gęściej zabudowane tereny. Co chwila też na ich drodze pojawiały się zajazdy i gospody. Nasilił się również lokalny ruch. Wszystko wskazywało na to, że są już blisko Londynu.

Niedługo się rozstana.

Diana pomyślała o swojej wcześniejszej rozmowie z markizem. Prosił ją, żeby powiedziała mu o ewentualnym dziecku. Dopiero teraz zrozumiała, ile kosztowała go ta prośba. Nie, nie może być w ciąży. Jeśli Bey kiedykolwiek zdecyduje się na dziecko, musi to być jego samodzielna, w pełni świadoma decyzja.

Jednocześnie przypomniała sobie sposób, w jaki traktował dzieci z rodziny. Jaka szkoda, że nie chce mieć własnych. Z całą pewnością byłby dla nich dobrym ojcem. Musi tylko pokonać strach, który, jak jej się wydawało, nie

miął racjonalnych podstaw. **Wynikał jedynie ze strasznych** doświadczeń dzieciństwa.

Jednak Diana była świadoma, że najtrudniej pozbyć się obsesji. Dlatego stwierdziła, że jeśli nawet będzie miała dziecko, to nie powie o niczym Rothgarowi. Da je na wychowanie komuś ze swojej posiadłości, chociaż na pewno będzie jej bardzo żal. Ale jeszcze bardziej obawiała się strachu Beya. Na pozór był człowiekiem silnym, ale wiedziała, że każdy, nawet najmocniejszy, ma swoją piętę Achillesa.

Tak jak jej słabym punktem było uczucie do Rothgara. Teraz zrozumiała to z całą jasnością.

Nagle wzdrygnęła się, kiedy pomyślała o automacie, który podróżował tuż za nią w kufrze podróżnym, owinięty w szmatki niczym małe dziecko. Poczuli się tak, jakby to było ich nienarodzone dziecko ukryte przed światem.

Do licha, przecież musi być jakiś sposób, żeby pokonać trudności. Pomyślała z bólem, że zgodziłaby się nawet na małżeństwo bez dzieci, gdyby istniał jakiś skuteczny sposób zapobiegania ciąży. Broszura Elf nie pozostawiała w tym względzie wątpliwości. Nawet, gdyby oboje z Rothgarem zawsze uważali, i tak nie byłiby całkiem bezpieczni. Diana słyszała co prawda o babkach mieszkających w niektórych wioskach, które potrafiły „zamawiać” bezpłodność, ale bała się tego rodzaju metod. Poza tym nie wierzyła do końca w ich skuteczność. Natomiast konwencjonalna medycyna nie miała jej nic do zaoferowania.

Zrozpaczona raz jeszcze spojrzała w bok, żeby upewnić się, czy Bey jest przy niej. Siedział z przymkniętymi oczami. Wysoki, smukły z jastrzębimi rysami. Jaka szkoda, że nie przekaze żadnej z tych cech potomkom!

Markiz poczuł jej wzrok na sobie i otworzył oczy.

- Czy coś cię „niepokoi, pani? Mogę w czymś pomóc?

Diana spojrzała na dwójkę służących i potrząsnęła głową. Znowu zaczęła obserwować ruch za oknem. Mijali właśnie wielki targ, gdzie Londyńczycy kupowali owoce i warzywa. Ich powóz zatrzymał się na chwilę z powodu wzmo-

zonego ruchu. Wkrótce potoczył się dalej, ale już znacznie wolniej. Ludzie ciągnęli do miasta. Część nawozach lub furach, a część pieszo. Diana czuła się tak, jakby znalazła się nagle w ulu, albo wśród pracowitych mrówek. Od dawna nie widziała tylu ludzi w jednym miejscu. Nawet w porcie w Liverpoolu był mniejszy ruch, chociaż tamtejszy tłum wydawał się znacznie barwniejszy i bardziej egzotyczny.

Moment ich rozstania zbliżał się nieubłaganie. Gdyby mogła zostać na zawsze z Beyem w tym powozie!

W Londynie czekał na nią zagniewany król.

Pomyślała, że mogłaby też przystać na propozycję markiza i wyjść za niego. Uznała to jednak za niegodne. Nie, nie może z tego skorzystać. Jednocześnie wiedziała, że nie poślubi już nikogo innego.

Ludzie z okolicznych wiosek przystawali, żeby popatrzeć na wspaniały powóz, który jechał w asyście ośmiu uzbrojonych jeźdźców. Niektórzy pokazywali sobie herb na jego drzwiach. Diana zwróciła uwagę na parę z dwójką dzieci. Starszy chłopiec stał między rodzicami i łączył ich niczym ogniwa łańcucha. Młodsza dziewczynka wyciągnęła ręce do ojca, a on podniósł ją z uśmiechem.

Diana nie mogła się powstrzymać i pomachała do dziecka swoją upierścienioną ręką. Dziewczynka aż otworzyła buzię, widząc blask drogich kamieni.

Po chwili powóz minął rodzinę, która pewnie uznawała ich za wybrańców bogów. A Diana dałaby wiele, żeby zamienić się z tą kobietą. I jeszcze, żeby to Rothgar był uśmiechniętym wieśniakiem przy jej boku.

Wyjechali nagle za miejskie rogatki. Ulice nabrały od razu innego wyglądu. Diana zastanawiała się, czy Bey zauważył szczęśliwą rodzinę. I co sobie pomyślał? To prawda, że jest twardy jak skała. Ale nawet jemu musi być czasami smutno.

Jej chciało się płakać.

- Co będzie, panie, jeśli powóz z bagażami nie przyjechał? - spytała, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będą sobie mówić po imieniu.

Markiz potrząsnął głową, jakby wyrwała go z głębokich rozmyślań.

- Na pewno przyjechał - zapewnił ją i zmarszczył czoło. - Jeśli nie, będziesz mogła skorzystać ze strojów Elf. Zostawiła część w Malloren House.

Diana stłumiła chichot. Ach ci mężczyźni! Przecież nie tylko różniły się wzrostem, ale i budową.

- A ty panie, skorzystasz z ubrań szwagra? - dopytywała się, wiedząc, że sugestia jest równie absurda.

Markiz od razu zrozumiał swój błąd.

- Dobrze, wobec tego wyślemy przeprosiny do królowej.

Oznaczało to, że zyska trochę czasu. Będzie go mogła spędzić w towarzystwie Beya. Cały dzień, a kto wie, może nawet całą noc...

- Wjeżdżamy na Marlborough Square - oznajmił, kiedy powóz wtoczył się na plac, przy którym stały nowoczesne domy z cegły. Na jego środku znajdował się nawet miniaturowy park ze stawikiem dla kaczek.

- Śliczny! - ucieszyła się. - Nie sądziłam, że jest tu tyle zieleni.

Rothgar pokiwał głową.

- W Londynie jest wiele parków.

- Wiem, panie. Byłam w kilku w czasie mojej poprzedniej wizyty.

Co za banalna konwersacja! Równie dobrze mogli być parą nieznajomych skazanych na odbycie wspólnej podróży. Na szczęście powóz minął rząd szeregowców i zatrzymał się na podjeździe przed lekkim, lecz dosyć sporym pałacem.

- Malloren House - oznajmił.

- To dom rodzinny? - spytała, wyglądając na zewnątrz.

- Nie, mój - padła odpowiedź.

- Największy na całym placu, panie? - zaczęła się z nim drażnić.

Rothgar wzruszył ramionami.

- To nie moja zasługa - stwierdził. - Mój dziad postanowił wyprowadzić się ze starszej, bardziej zatłoczonej

części miasta i wybrał to miejsce. A ojciec dokończył budowy. Wtedy mówiło się, że mieszka na wsi.

Diana rozejrzała się po pięknie zagospodarowanej okolicy i wydeła wargi.

- Wobec tego ja mieszkam na pustyni.

- Właśnie wtedy zaczęła się moda na takie place i wszyscy zaczęli się przenosić - wyjaśnił. - Ale my byliśmy pierwsi przy Marlborough Square.

- Wobec tego plac powinien się nazywać Malloren Square.

Markiz pokręcił głową.

- Mój dziadek był przyjacielem i wielbicielem księcia Marlborough.

Do powozu podbiegła służba z drewnianymi schodkami. Dopiero teraz mogli wysiąść. Weszli na schody, z których Diana raz jeszcze spojrzała na plac. Następnie weszli do środka. Hol był cały wyłożony dębem i rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby stanowił wejście do wiejskiej rezydencji. Tylko dzięki długim oknom od klatki schodowej nie wyglądał ponuro, chociaż w pochmurne dni robił chyba gorsze wrażenie. W przejściach ustawiono rzeźby i portrety, ale w rozsądnych ilościach. Brak tu było przepychu, którego się spodziewała. Odniosła wrażenie, że jest to przyjazna siedziba, a nie wzniesiony na pokaz pałac.

Diana odwróciła się do Beya, żeby wyrazić swoje uznanie, ale okazało się, że jest zajęty. Natychmiast podskoczyło do niego trzech służących z papierami, które zaczął przeglądać. Natomiast czwarty szeptał mu coś na ucho. Służba widocznie czekała na niego niecierpliwie. Miał się przecież pojawić wczoraj wieczorem.

Westchnęła i podeszła do jednego z płócien. Przedstawiło Rothgara w paradnym stroju. Patrzył w dół na wszystkich, tak jakby byli marnymi robaczkami. W ten właśnie sposób i ona do niedawna go sobie wyobrażała.

Markiz w końcu pozbył się służących i podszedł do niej.

- Specjalnie wybrałem takiego malarza, który się mnie bał - wyjaśnił - Czy nie sądzisz, że doskonale pasuje do holu?

Skinęła głową.

- Jeśli chcesz przerazić swoich gości.

- A czemu nie?

- Wobec tego musisz mi zdradzić nazwisko tego artysty - stwierdziła. - Potrzebuję podobnego portretu.

- Niestety, pewnie byś go nie przeraziła - rzekł, potrząsnąwszy głową. - Co tylko świadczy o jego głupocie. Służba poinformowała mnie, że bagaże już przyjechały. Twoje kufry są w apartamencie na górze.

Diana skrzywiła się z niezadowolenia. Próbowала jednak ukryć swoje uczucia i ruszyła korytarzem, przyglądając się następnym portretom. Markiz wskazał jej drogę na górę.

Kiedy znalazła się na piętrze, przystanęła przed kolejnym obrazem. Znajdowało się na nim dwoje stojących obok siebie ludzi. Mężczyzna i kobieta.

Rodzice Beya, pomyślała. Mężczyzna do złudzenia przypominał syna. Też miał ciemne włosy i ostre rysy, ale wyglądał na łagodniejszego, tylko trochę smutnego.

- Mój ojciec - wyjaśnił.

Powiedział ojciec, a nie rodzice! To znaczyło, że kobieta na portrecie była jego macochą. Miała płomienne włosy i rzeczywiście przypominała odłam „rudych Mallorenów”, jak ich nazywała Diana. Na jej twarzy nie było nawet śladu szaleństwa, a tylko miłość i dobroć. Jej urodę odziedziczył Bryght, a kto wie, może również Cyn, o którym tyle słyszała.

Zgodnie z konwencją obie postaci na portrecie stały osobno. Wyczuwało się jednak między nimi jakąś więź. Można było bez trudu stwierdzić, że się kochają. Czy ojciec markiza kochał również swoją pierwszą żonę? I czy w pałacu są jakieś jej portrety?

Bey chrząknął, więc ruszyła dalej.

Przed drzwiami do jednego z pokoi czekały na nich dwie służące. Markiz pożegnał się z nią, zapewniwszy, że uzyska od nich wszystko, czego będzie chciała.

Było to oczywiście przesadzone zapewnienie. W tej chwili pragnęła jedynie bliskości Rothgara.

- To apartament lady Elf, to znaczy Walgrave - poprawiła się służąca, wprowadzając ją do przestronnego pokoju.

Znajdowały się tu pomalowane na biało meble, w tym fantastyczne biurczko. Ściany zdobiła jasna tapeta w chińskie wzory. Wielkie okna dawały dużo światła. Diana podeszła do jednego z nich i otworzyła je na oścież. Wychodziło na przyjemny ogród, w którym śpiewały ptaki.

Jak tu sielsko, pomyślała.

- Nie rozpakowywałyśmy twoich bagaży, pani, bo masz się przenieść do pałacu królowej - ciągnęła służąca. - Powiedz tylko, jaką suknię ci przygotować, a zaraz to zrobimy. I przygotujemy ci, pani, kąpiel.

Miły krajobraz, do którego się tak przyzwyczaiła. Ciekawe, czy tak samo wygląda zza krat domu dla psychicznie chorych?

Obróciła się do służących.

- Moja pokojówka, Clara, wie, gdzie jest suknia - powiedziała. - Ale bardzo chętnie skorzystam z kąpieli.

Obie służące skłoniły się grzecznie.

- Tak, pani. Czy czekając napijesz się herbaty?

- Poproszę - zadysponowała Diana i raz jeszcze wyrzła na zewnątrz.

Kiedy została sama, zdjęła swój kapelusik i potarła skroń. Nie, nie bolałajeszcze głowa, ale cała czuła się spięta. Końcówka podróży była okropna, a obawiała się, że dalej będzie tylko gorzej.

Przez chwilę zastanawiała się, gdzie może być Rothgar. Być może już przygotowuje się do wizyty na królewskim dworze. Czy bierze kąpiel? Czy jest nagi? Jednego była pewna. Gdyby była na miejscu Fettleera, znacznie sumienieniej spełniałaby swoje obowiązki przy kąpieli Beya. Ale pewnie ociągałaby się przy jego ubieraniu!

Rothgar pożegnał Dianę przed drzwiami do jej pokoju, i ruszył na dół, żeby sprawdzić, czy wszystko w domu jest w porządku. Zastanawiał się przy tym, co też mogła do-

strzec w portrecie ojca i macochy. Na pewno nic, co rzucałoby jakiegokolwiek światło na jego tragedię.

Wyszedł jeszcze na zewnątrz, żeby osobiście nadzorować rozpakowywanie automatu. Na szczęście nocna przygoda wcale mu nie zaszkodziła, chociaż mogła go uszkodzić jedna z kul, ponieważ skrzynia bagażowa nie miała zabezpieczenia. Upewniwszy się, że dobosz jest w takim stanie, w jakim wyjechał z Arradale, markiz posłał służącego do mistrza Johna Josepha Merlina, żeby dowiedzieć się, kiedy będzie mógł przyjąć automat do naprawy.

W końcu został w pokoju sam na sam z mechanicznym chłopcem. Kucnął więc, chcąc zajrzeć mu w oczy. Poczł dziwną pokusę, by go nakręcić i na chwilę przywołać do życia.

- Będiesz dla mnie jak wyrzut sumienia, wiesz? - zwrócił się do dobosza. - Przy tobie nigdy nie zapomnę o tym, co mogło się wydarzyć. Albo, co się wydarzyło - dodał, przypomniawszy sobie, że nie może być niczego pewny.

Chłopiec patrzył na niego tak, jakby chciał zapytać, czy rzeczywiście nie chce, by stał się rzeczywisty.

Markiz podniósł się gwałtownie. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Starał się przekonać siebie, że nic się nie zmieniło. Dotąd kierował się w życiu jedynie rozumem. To co czuł, było jedynie chwilową słabością.

A nikt tak jak on nie potrafił sobie radzić ze słabościami.

18

Diana postanowiła rozerwać się, penetrując pokoje Elf. Jednak obrazy niewiele jej mówiły, a książki, które stały w przeszklonej biblioteczce znalazły się tu zapewne przypadkowo, już po jej wyjeździe. Trudno przypuszczać, by lady Walgrave interesowała się hodowlą bydła i uprawą ziemi.

Przeszła więc do sypialni, która wydała jej się urocza,

a następnie otworzyła drzwi do sporej gotowalni. Zobaczyła tam Clarę w towarzystwie dwóch służących. Jej pokojówka przygotowywała już suknię na spotkanie z królową, a służące lały wodę do balii. W kominku palił się ogień, chociaż w pałacu wcale nie było zimno.

Diana domyśliła się, że zapalono go już wcześniej, zapewne z myślą o kąpeli. Gorąco wprost buchało od gotowalni. Diana zamknęła drzwi, nie chcąc go wypuszczać i pomyślała, że Rothgar prowadzi swój dom z godną pozazdrośczenia precyzją.

To przywiódło jej na myśl automat. Markiz być może dlatego lubił tego rodzaju mechanizmy, ponieważ przypominały jego własne życie. Pewnie już wypakował dobosza i ustawił go gdzieś w swoich pokojach. Patrząc na jego figurkę, Diana wspomniała własne dzieciństwo. A ciekawe, jak wyglądał Bey, kiedy miał sześć czy siedem lat? Czy istnieją jego portrety jeszcze sprzed wielkiej tragedii, której był świadkiem? Czy zmienił się po tym wydarzeniu?

Po jakimś czasie pojawiła się kolejna służąca w towarzystwie lokaja niosącego tacę z herbatą.

- Czy w pałacu jest galeria portretów? - spytała Diana.

- Tak, pani, ale mała - odparła pokojówka. - W korytarzu niedaleko sali balowej.

Lokaj postawił filiżankę na stoliku.

- Chciałabym ją zobaczyć.

Służąca spojrzała najpierw na parującą herbatę, a potem na pokój, w którym szykowano kąpiel. Ale jeśli nawet zdziwiła ją ta prośba, nie powiedziała nic na ten temat.

- Tak, milady. Proszę za mną.

Diana ruszyła za pokojówką. Przeszły do drugiej części domu z szerszym korytarzem, gdzie rzeczywiście wisiły rodzinne portrety. Diana podziękowała dziewczynie i powiedziała, że chce być sama.

Pierwsze obrazy pochodziły zapewne z epoki Tudorów. Wiele wskazywało na to, że nie są nowe. Między innymi stroje portretowanych osób. Przeszła dalej, gdzie znalazła dwa

płótna z okresu restauracji Stuartów, na których znajdowali się zapewne dziadkowie Rothgara. Tutaj podobieństwa już były znacznie oczywistsze, chociaż dopiero teraz zauważyła, jakie cechy powtarzały się w tej rodzinie. Nie było w niej jasnowłosych cherubinów. Brakowało też osób otyłych. Wszyscy byli ciemni lub rudzi i mieli w rysach coś drapieżnego.

Niestety nigdzie nie znalazła portretu matki Beya. Być może wisiał gdzieś, w jakimś odległym miejscu. W końcu dotarła do płótna z wizerunkiem markiza. Nie mogła się nie uśmiechnąć na jego widok. Spory portret znajdował się w centralnym miejscu, a wokół niego rozwieszono miniatury z członkami jego rodziny. Ciekawe, czy to on sam wpadł na ten pomysł?

Bey na obrazie miał siedemnaście, osiemnaście lat, ale jego oczy były poważne, nawet smutne. Namalowano go w czasie obowiązkowej podróży do Włoch, ponieważ markiz opierał się o jakąś rzeźbę, a w dali znajdowały się starożytne ruiny. Diana wiedziała, że italscy malarze bardzo często wykonywali tło, żeby przyjezdni mogli sobie wybrać takie, które im odpowiada. Tak też mogło być i z tym portretem.

Mimo smutku w oczach, na twarzy markiza gościł uśmiech. Było w nim coś, co mówiło, że portretowany doskonale bawił się podczas wizyty we Włoszech. I to nie tylko przy zwiedzaniu zabytków... Diana była przekonana, że ma przed sobą mężczyznę, który poznał smak lupanarów Neapolu i Rzymu.

Włoskie kobiety musiały za nim szaleć. Z jednej strony jego wygląd miał w sobie coś południowego, ale z drugiej, ostre rysy i potężny wzrost czyniły go niepodobnym do Włocha.

Diana przeszła dalej, ale galeria szybko się skończyła. Nie było tu portretu matki Rothgara. Znalazła za to płótna z Hildą i Elf, a także braćmi markiza. Wszystkie jednak przedstawiały ludzi dorastających albo już dorosłych. Wcale jej to nie zdziwiło, ponieważ obrazów dzieci nie wystawiano raczej na widok publiczny. Można je było znaleźć w sypialniach i rodzinnych jadalniach, rzadziej w salonach.

Jeszcze raz rozejrzała się dokoła. Tak, wszyscy chcieli zapewne zapomnieć o jego matce. Portret samego markiza powiedział jej, że mimo smutku, nie stracił on całej radości życia. Późniejsze wypadki też zostawiły swój ślad. Od Rosy wiedziała, że ojciec i macocha Rothgara zmarli z powodu jakiejś przywiezionej przez niego infekcji. Oczywiście markiz nie ponosił za to winy. Jednak ten wypadek również położył się cieniem na jego życiu.

Od dzieciństwa obcował ze śmiercią. Diana pomyślała o wydarzeniach poprzedniego dnia. Nawet teraz, po latach, niewiele się zmieniło.

Z westchnieniem uniosła lekko suknię i skierowała się do swoich pokoi. Służące czekają pewnie niecierpliwie na jej powrót. A herbata jest może jeszcze gorąca.

Dwie godziny później Diana stanęła przed olbrzymim zwierciadłem i stwierdziła, że już dawno tak nie wyglądała. Imponująco przedstawiała się zwłaszcza obowiązująca przy stroju dworskim turniura, której na co dzień nie używano. Dzięki niej szeroko rozpostarta spódnica mogła ukazać barwy i bogactwo zdobień. W jej przypadku był to kremowy jedwab z kwietnymi wzorami i złotą krezą. Stanik był również zdobiony złotymi motywami. Znajdował się na nim jedwabny kwiat w okolicach piersi. Może dlatego przypominał jej mak, który dostała od Rothgara.

Strój był tak bogaty, że spod falban niemal nie było widać butów z licowanej i specjalnie barwionej skóry.

Diana poprawiła kwiaty przy staniku i pomyślała o Beyu. Czy jemu również skojarzą się z makiem? A może z wczorajszą nocą? Wstrzymała oddech na to wspomnienie. Oczy w lustrze wydały jej się nagle dziwnie zamglone.

Nie, dosyć tego!

Rothgar chce pewnie zapomnieć o tym, co się między nimi zdarzyło. A ona nie powinna mu teraz o tym przypominać. Musi przekonać króla, że jest zdrowa na ciele i umyśle, a zwłaszcza to drugie. Dlatego ma za zadanie grać

rolę konwencjonalnej damy z prowincji. Dygnęła przed lustrem i rozejrzała się ze strachem.

- Iluż tu znakomitych ludzi - rzekła w wystudiowany sposób. - Czuję się taka onieśmielona.

Parsknęła śmiechem, gdyż ta scena wydała jej się groteskowa. Do diabła z londyńskimi znakomitościami! Nie sądziła, że spotka na dworze kogoś ciekawszego i odważniejszego od Rothgara.

Przypomniała sobie jedną z ich wspólnych prób. Musi uważać, żeby nie przesadzić w swojej grze. Wtedy łatwo się zdradzi. I czy król uwierzy, że to właśnie ta prowincjonalna gęś prosiła go o miejsce w Izbie Lordów? Nie, powinna pozostać wielką damą i tylko trochę zmienić swój charakter.

Przeszła do pokoju obok, gdzie znajdowały się jej bagaże.

- Claro, czy znalazłaś już puder?

Służąca dygnęła.

- Tak, pani.

- No to na co czekasz?

Przeszły znowu do lustra, gdzie pokojówka zastłoniła jej twarz i popudrowała włosy. Diana spojrzała, żeby ocenić efekt. Dobrze! Jej pyszne kasztanowe sploty wyglądały teraz bardziej mysio. Jeszcze tylko trzeba pomalować twarz, żeby zamaskować ślady rumieńców. Nie będzie jednak czernić brwi i rzęs, co zwykle podkreśla siłę osobowości.

Zerknęła na kwiaty przy sukni i stwierdziła, że ma zbyt głęboki dekolt. Nie chciała wyglądać zalotnie.

- Claro, moja chusteczka - zadysponowała. - Ta ze złoceńiami, z muślinu.

Biedna służąca znowu musiała wrócić do skrzyń. Wkrótce znalazła chusteczkę, którą Diana kazała sobie założyć na szyję, a następnie sama zatknęła jej oba końce za stanik.

Wyglądała teraz przesadnie skromnie, ale właśnie o to jej chodziło.

Żeby dodatkowo wzmocnić ten efekt, wybrała najprostszą biżuterię. Zdjęła pierścionie z palców, chociaż bardzo je lubiła. Zostawiła tylko jeden z rubinem, a na szyję zało-

żyła sznur pereł. Jeszcze tylko kolczyki z perłą oraz małym rubinem i koniec. Wszystko to dostała na swoje szesnaste urodziny i szczerze nie znosiła tej biżuterii. Przypominała w niej mniszkę, o co zapewne chodziło rodzicom.

Ponownie spojrzała w lustro. Wyglądała poprawnie, lecz blade. Nikt zapewne nie uzna jej za zagrożenie dla męskiego rodu.

Ciekawe, co powie Rothgar? pomyślała. Wciągnęła jeszcze koronkowe rękawiczki i wzięła wachlarz z kości słoniowej. Tak długo go nie używała, że od razu go otworzyła, żeby sprawdzić, czy nie jest uszkodzony. Podeszła do drzwi, czując, że głupie serce aż skoczyło z radości.

Wreszcie zobaczy go znowu. Po tylu godzinach rozłąki!

Przed drzwiami czekał lokaj w peruce.

- Prowadź mnie do lorda - zadysponowała.

Skinął głową i zaprowadził ją na tyły domu. Przyjęła to ze zdziwieniem, ponieważ znajdowały się tu zwykle pomieszczenia dla służby.

Mężczyzna zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i zastukał w nie trzykrotnie laską. Następny służący otworzył drzwi i zaanonsował jej przybycie:

- Lady Arradale, panie.

Diana przeszła dalej i znalazła się w zawałonym papierami gabinecie. Stały tu aż dwa biurka, a ściany były wprost zastawione pełnymi książek półkami. Zauważyła, że na jednym z biurek leży wielka, kolorowa mapa.

Markiz wstał, żeby ją powitać. Wciąż trzymał pióro w dłoni, jakby tylko na chwilę przerwał pisanie. Robił wrażenie znużonego.

Nie za dużo tej pracy? spytała go w duchu.

Rothgar już zdążył się przebrać. Wyglądał wspaniale w swoim dworskim surducie z czerwonej satyny.

Jednak coś innego przykuło jej wzrok. W kącie pokoju, tam gdzie kończyły się półki, wisiał obraz przedstawiający ciemnowłosą kobietę w czerwonej sukni. Twarz miała piękną, a minę, wydawać by się mogło, wyzywającą. Ale gdzieś

w głębi jej oczu czaił się strach. Strach przed sobą, Diana wiedziała, że jest to matka Beya. Coś w nich takiego było, że od razu można ich było skojarzyć. Może oczy, które tyle mówiły tak o jednym, jak i o drugim.

Nic jednak nie wskazywało na to, że kobieta jest chora psychicznie.

Czy właśnie dlatego Bey trzymał to płótno w gabinecie? Czy miało ono służyć jako przestroga?

Diana zrozumiała, że kazał ją tutaj przyprowadzić po to, by zobaczyła ten portret. Specjalnie też ubrał się na czerwono, aby aluzja stała się bardziej przejrzysta. Chciał ją przekonać, że szaleństwo czai się w jego rodzinie. Nie trzeba wyglądać na wariata, żeby nim być.

Diana czuła, że serce wali jej jak młotem. Udając spokój, podeszła do portretu. Jej wykrochmalona suknia zaszeleściła niczym suche liście.

~ Wygląda na przerażoną - zauważyła. - Czy nie chciała wyjść za twego ojca?

Rothgar aż otworzył usta ze zdziwienia.

-Jak...? Skąd...? - Nie, Diana nie mogła nic wiedzieć o jego matce. Markiz skinął głową. - Wiem niewiele, ale coś rozegrało się między nią a ojcem. To było zaplanowane małżeństwo. Kochający rodzice znacznie wcześniej spisali intercyzę. Moja babka do tej pory twierdzi, że to wszystko z tego powodu.

Diana chętnie podjęłaby temat, ale nie w tym momencie. Miała przecież przed sobą wizytę u króla. Nagle w jej głowie załęgło się podejrzenie, że markiz również i to zaplanował. Chciał, żeby ta rozmowa miała jedynie pobieżny charakter.

Do diabła z nim!

Pomyślała, że ma do czynienia z przebiegłym strategiem i że będzie się musiała nagłowić, jeśli zdecyduje się na ofensywę. Na razie czuła, że może sobie pozwolić jedynie na nekające wypady.

- Byłeś mały, kiedy zmarła - rzekła po chwili namysłu. - Być może twój ojciec rzeczywiście był dla niej niedobry.

- Ojciec bardzo przypominał Branda. Czy sądzisz, że Brand mógłby doprowadzić jakąkolwiek kobietę do szaleństwa?! Poza tym, jakiego trzeba upodlenia, żeby zadusić gołymi rękami własne dziecko.

- Gołymi rękami?! - szepnęła, a ta scena stanęła jej nagle przed oczami. Zobaczyła kobietę duszącą własne dziecko i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się chłodniej.

- W najgorszy z możliwych sposobów - dodał, nie wiedząc, że jego oczy upodobniły się w tym momencie do oczu matki.

Diana ganiła siebie w duchu za tak gwałtowną reakcję.

- Czasami trudno zrozumieć to, co się dzieje z ludźmi - rzekła po namyśle. - Jednak powinniśmy się starać pojąć ich motywy. Szaleństwo miewa różne źródła. Nie każde przechodzi z krwią na nowe pokolenie.

Milczeli przez chwilę. Wzrok Diany raz jeszcze padł na portret.

- Czy namalowano go przed, czy po ślubie? - zainteresowała się.

- Tuż przed.

- Więc ziarno choroby było tam wcześniej - stwierdziła.

- Od początku - dorzucił Rothgar.

Pokręciła z dezaprobatą głową.

- Zawsze mi się wydawało, że jesteś bardzo dociekliwy - powiedziała. - Dlaczego właśnie tutaj szukasz najłatwiejszych rozwiązań? Czy zauważyłeś u siebie jakieś oznaki szaleństwa?

Chciał odpowiedzieć, że wiele. Od kiedy ją poznał. A wczorajsza noc była tego ukoronowaniem.

- Nie, jeszcze nie - odparł, jakby miał już ten problem dobrze przemyślany.

- No widzisz! - ucieszyła się.

- Ale to nie znaczy, że szaleństwo nie może dotknąć mojego dziecka - dodał szybko. - A nawet mnie, w przyszłości. Już się przeciwko temu zabezpieczyłem.

Diana nie mogła uwierzyć własnym uszom. Tak bardzo bał się choroby psychicznej, że znalazł jakiś sposób ograniczenia

swoich uprawnień, gdyby to nastąpiło. Ten problem stanowił rzeczywiście jego obsesję. Jeśli w przyszłości zdecyduje się za niego wyjść, będzie musiała zacząć właśnie od tego.

-Jak?

Misterny zegar stojący na kominku wybił czwartą.

- Nieważne - mruknął. - Musimy już iść.

Dopiero teraz przyjrzał się Dianie dokładnie. Uśmiechnął się lekko na widok jej biżuterii, a także „maskującego” makijażu.

- Nie przesadziłam? - spytała.

- W najmniejszym stopniu - zapewnił i podał jej rękę do wyjścia.

Jednak Diana postanowiła wyjść samodzielnie.

- Nie rób tak na dworze - usłyszała za plecami jego ostrzeżenie. - To wbrew etykietce.

- Do diabła, a myślałam, że tak mi dobrze idzie! - Skrzywiła się jakby jadła cytrynę. - Wiem, wiem. Min też mam nie robić.

- I nie mówić, nie będąc zagadniętą - dodał, całując jej dłoń. - Na miłość Boską, uważaj, Diano!

Tak, wiedziała, że nie chce się z nią żenić. A ona też nie miała zamiaru ratować się tym małżeństwem.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewniła.

Spojrzała raz jeszcze na tajemniczy portret, po czym wyszła, prowadzona przez markiza. Na podjeździe czekał na nich zaprzężony w czwórkę koni miejski kocz, którym pojechali, korzystając z ładnej pogody. Z tyłu towarzyszyli im dwaj eleganccy lokaje w liberiach. Patrząc na tłum, Diana przypomniała sobie de Couriaca. W otwartym koczku byli wystawieni na strzały niczym kaczki. Jaka szkoda, że nie ma ze sobą pistoletów!

Zwierzyła się ze swoich obaw markizowi, a on dyskretnie zwrócił jej uwagę na jadących za nimi uzbrojonych konnych.

- Jesteśmy dobrze chronieni.

Ale Diana wiedziała, że nikt lepiej od niej nie potrafi za-

troszczyć się o Beya. Chciała więc mieć taką możliwość. Zwłaszcza, że być może jest to jedno z ich ostatnich spotkań.

- Do diabła z królem i dworem! - westchnęła.

Markiz pochylił się w jej stronę. Poczowała upojny zapach jego balwierskiego mydła.

- Na twoim miejscu zachowałbym te uwagi dla siebie. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Chociaż przyznaję, że czasami myślę tak samo.

Jechali szybko ulicami Londynu. Wielu przechodniów zatrzymywało się i pokazywało rękami herb na złoconych drzwiach koczka. Wielobarwny tłum przepływał ulicami miasta. Oni jednak czuli się wyjątkowi. Hrabina Arradale i markiz Rothgar pojawili się na scenie.

19

Kiedy znaleźli się już w pobliżu St. James's Pałace, na co wskazywały tłumy gapiów i narastający ruch powozów, Diana poczuła pot na plecach. Nie, miejscowi dandysi nie byli dla niej wyzwaniem. Wiedziała, że musi uważać na króla. To, co do tej pory było jedynie próbą, udawaniem, miało się za chwilę stać rzeczywistością.

Już teraz zaczęła tęsknić za swoim spokojnym, cichym życiem w Yorkshire.

- Te wieczorne audycje są bardzo popularne - poinformował markiz znudzonym tonem, który miał ją zapewne uspokoić.

Diana rozejrzała się dokoła.

- Czy tak samo, jak poranne spotkania?

- Niezupełnie. Poranne są to, żeby zaznaczyć swoją obecność. Wieczorne, by się pokazać - wprowadzał ją w zawilgości dworu. - Celują w tym zwłaszcza panie.

Zerknęła na jego atłasowy surdut.

- Jak sędę, nie tylko. W świecie zwierzęcym to męskie osobniki są hojniej wyposażone przez naturę - zauważyła.

- A jak stwierdził monsieur Rousseau, nie ma nic lepszego niż naturalność! - roześmiał się swobodnie. - Zaproponuję królowi, żeby nakazał wszystkim paniom, by przychodziły we włosiennicach przepasanych sznurkiem!

Ich kocz zatrzymał się przed wejściem. Lokaj otworzył drzwiczki. Diana poruszyła się, ale Rothgar zgromił ją wzrokiem. Wsiadł pierwszy i podał jej swoją upierścienioną dłoń. Rubin hrabiny wyglądał jak przydrożny kamień w zestawieniu z jego biżuterią.

Diana wysiadła i poprawiła suknię.

- Czy pragniesz, pani, poznać swoich wrogów?

Wyprostowała się, zastanawiając się kogo też ma na myśli,

- Życie bez wrogów byłoby nudne - rzekła sentencjonalnie.

- Oto jeden z naszych największych. - Markiz uśmiechnął się promiennie do ubranego w brązowe jedwabie mężczyzny. - Kawaler D'Eon.

Francuz już z daleka wyciągnął do nich serdecznie ręce. Przez jego strój biegła czerwona szarfa z jakimś odznaczeniem. Rothgar miał również order Łaźni z wstęgą nieco jaśniejszą niż jego surdut. Ktoś z wyobraźnią mógłby to uznać za spotkanie dwóch błyskawic, albo wyciągniętych ku sobie mieczy.

Francuz podszedł do nich z gracją, niemal krokiem baletnicy, chociaż miał na nogach buty na wysokim obcasie.

- *Monsieur le marquis* - zaczął po francusku, ale zaraz przeszedł na angielski: - Jakże mi miło.

Wymienili z Rothgarem uprzejme ukłony, a następnie D'Eon spojrzął na Dianę.

- Och, madame, zdaje się, zdaje... że nie byliśmy sobie przedstawieni? Czy możemy mówić po francusku?

D'Eon mówił po angielsku lepiej niż de Couriac, ale zapewne wolał korzystać z ojczystego języka. Już chciała odpowiedzieć, że nie widzi przeszkód, ale markiz posłał jej

ostrzegawcze spojrzenie. Może jednak lepiej zataić przed nim to, że zna francuski?

- Wolałabym po angielsku - odparła.

- Hrabina Arradale wychowała się na wsi. - Myślała, że go kopnie w kostkę. - Pozwól, pani, że przedstawię ci kawalera D'Eon. Najlepszego *Ministre Plenipotentiare*, jakiego miała Francja.

D'Eon pochylił się nad dłonią Diany z niezwykłym na mężczyznę gracją, ale nawet nie musnął jej ustami.

- Przycmiewa pani Londyn swą urodą, madame - powiedział, i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. - Czy to możliwe, żeby ktoś nastawał na tak wspinałą kobietę? I to podobno mój rodak, Francuz?!

Diana dygnęła lekko, uważając, żeby się nie roześmiać.

- W każdym kraju mogą znaleźć się bandyci - rzekła i spojrzała z uwielbieniem na Beya. - Na szczęście markiz pokonał ich wszystkich.

Coś w rodzaju niedowierzania pojawiło się w oczach D'Eona. Natomiast Rothgar pokręcił tylko głową.

- To był przypadek. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, żebym mógł nad tym zapanować. Poza tym, nie wiadomo, kawalerze - Rothgar zwrócił się do D'Eona - czy to byli twoi ziomkowie. Chociaż jeden z pewnością był Francuzem. Niejaki de Couriac. Słyszałeś o nim, panie?

Ostatni goście zaczęli wchodzić na pałacowe schody. Ruszyli więc we trójkę za nimi. Z tego powodu markiz nie mógł sprawdzić wyrazu twarzy D'Eona. Wiedział jednak, że jest na tyle wytrawnym graczem, że nie zdradzi się, choćby de Couriac był jego bratem.

Francuz powtórzył parę razy nazwisko, jakby się namyślał.

- Tak, przedstawił mi papiery po przyjeździe - rzekł w końcu. - *Petite noblesse* z Normandii, jeśli dobrze pamiętam.

- Więc może dowiem się czegoś od hrabiego de Broglie. Zdaje się, że pochodzi właśnie z tego regionu.

Diana, która szła w środku, dostrzegła kątem oka, że D'Eon lekko się spłoszył.

- Wątpię, panie. Żyje teraz spokojnie i nie ma żadnej władzy. - Francuz przystanął u szczytu schodów i skłonił się lekko Dianie. - Zapewniam, madame, że zrobię wszystko, aby wyjaśnić tę sprawę.

Po chwili pożegnał się z nimi i wszedł do środka.

- Kim jest de Broglie? - spytała szeptem, kiedy znalazła się przed drzwiami.

- Jego tajnym pryncypałem - odpowiedział niemal bezgłośnie, a jego spojrzenie wskazywało, że nie powinna już o nic pytać.

Nic z tego wszystkiego nie rozumiała. Przecież jedynym zwierzchnikiem D'Eona powinien być Ludwik XV. I dlaczego D'Eon przestraszył się, kiedy Rothgar wymienił nazwisko hrabiego? Czyżby rzucił mu w ten sposób wyzwanie? Cała ta sprawa wymagała dalszych wyjaśnień.

Ale markiz kłaniał się już kolejnym osobom. Wprost nie mogła za nim nadażyć. Bała się, że znowu zaangażuje się w jakieś ryzykowne przedsięwzięcie, a ona nie będzie mu mogła pomóc. Czuła, że znienawidzi tę złotą klatkę, jaką był królewski dwór. Musi jednak wytrwać do końca.

Weszli do środka i Diana zaczęła się rozglądać po ponurym wnętrzu. Jak dobrze, że to nie tutaj znajduje się królewska rezydencja. Stare, przyciemnione ściany wydawały się ociekać jeszcze krwią, a w korytarzach rozbrzmiewały echa okrzyków skazańców. Ilu wśród nich było jej przodków? Co najmniej paru. Nastawiła uszu, żeby sprawdzić, czy nie woła jej któryś z hrabiów z rodu Arradale.

Nie, to przecież są rozmowy, poprawiła się. Ale jakoś brakuje im wesołości i beztronski, do których przyzwyczała się w swoim zamku. To prawda, że po wyjeździe Rosy, zrobiło się trochę smutno. Ale z pewnością nie tak ponuro jak tutaj.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy weszli do wielkiej, pozbawionej mebli sali przyjęć. Widziała teraz miejsce, gdzie siedziała para królewska w otoczeniu swego dworu. Większość gości składała jej ukłon powitalny, ale osoby nowe

zatrzymywano na krótką rozmowę, co było oczywiście przejawem królewskiej łaski. Diana zauważyła, że niektórzy goście wychodzili zaraz po powitaniu i żałowała, że sama nie może tego zrobić.

Kiedy przyszła jej kolej, Bey poprowadził ją do tronu, a ona złożyła głęboki ukłon królewskiej parze. Królowa wskazała gestem, że może wstać. Jednak tym razem Diana czekała aż Rothgar poda jej ramię, co spotkało się z wyraźną aprobatą króla. Oboje z małżonką przyglądali jej się tak, jakby spodziewali się zobaczyć jakieś monstrum.

- Witamy w Londynie, lady Arradale - powiedziała królowa, kładąc dłonie na swym wielkim brzuchu.

Mówiła z silnym niemieckim akcentem i nie grzeszyła urodą. Miała nieco małą twarz i wyłupiaste oczy.

- Z radością przyjęłam zaproszenie Waszej Królewskiej Mości. Diana ponownie się skłoniła.

Zapomniała już, że królowa jest taka młoda. Miała przecież zaledwie dziewiętnaście lat. Ale wiek nie miał tu niestety żadnego znaczenia. Król był o rok młodszy od hrabiny, ale mógł z nią igrać niczym z małym dzieckiem.

Królowa ściągnęła brwi.

- Słyszeliśmy, że odziedziczyłaś, pani, tytuł i majątek po ojcu. To bardzo dziwne, bardzo dziwne.

- Tak, nawet w Anglii nie zdarza się to często, Wasza Królewska Mość - przyznała Diana.

- To straszny ciężar, prawda?

- O, tak - potwierdziła, dodając w myślach, że nigdy nie chciałaby się go wyzbyć.

- Więc tym dziwniejsze, pani, że nie wyszłaś jeszcze za mąż.

Więc od razu atak! Tego się nie spodziewała. Miała nadzieję, że znajdzie w sobie tyle pokory, by stosownie odpowiedzieć królowej.

- Niestety, najjaśniejsza pani, nie znalazłam jak dotąd nikogo, kogo mogłabym pokochać.

W oczach królowej Charlotte pojawiły się cieplejsze tony.

- *Das ist gut*. Ale nie powinnaś, pani, za bardzo zwlekać,

bo z czasem będzie ci jeszcze trudniej znaleźć odpowiedniego kandydata - ostrzegła ją. - Porozmawiamy o tym później. Na razie zostań z nami, jako nasza dama dworu.

Królowa ustaliła to już wcześniej, ale teraz oficjalnie poinformowała o tym wszystkich. Tego rodzaju „nominacje” uważano za wielki honor. Szkoda, że Diana miała na ten temat zupełnie inne zdanie.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, Wasza Królewska Mość.

Skloniła się raz jeszcze królewskiej parze i mogła przejść dalej. Pierwsza potyczka skończona, pomyślała. Jednak w tym momencie król podniósł się ze swego miejsca.

- Chwileczkę, lordzie Rothgar. Słyszeliśmy, że napadli na was francuscy bandyci! Czy to możliwe?! W środku Anglii, co?!

- To niefortunny wypadek, najjaśniejszy panie.

- Niefortunny?! - Król cały poczerwieniał. - Wysłaliśmy już pułkownika Allenby'ego, żeby zajął się tą sprawą. Nie pozwolimy, żeby coś takiego działo się tuż pod Londynem. Nic ci się nie stało, panie?

- Zupełnie nic, najjaśniejszy panie - zapewnił Rothgar.

- A lady Arradale? - Król spojrzał na nią, ale Diana wiedziała, że nie powinna się odzywać.

- Była tylko przerażona, Wasza Królewska Mość.

Diana błogosławiła swój puder i farbę, którą miała na twarzy. Próbowała też zrobić odpowiednią minę.

- To w pełni zrozumiałe, co? - Król skinął głową. - Słyszeliśmy, że aż czterech bandytów nie żyje. Wiemy, panie, że jesteś prawdziwym mistrzem, ale to i tak nieprawdopodobne. Musisz nam o tym opowiedzieć, co? Nie teraz - dodał po namyśle. - W apartamentach królowej.

Diana myślała, że parsknie śmiechem, ale markiz skinął poważnie głową.

- Tak jest, najjaśniejszy panie. Jeśli chcesz, mogę tam odwiedzić lady Arradale.

Król Jerzy zgodził się łaskawie i już przeszedł do dalszych obowiązków. Diana cieszyła się, że spędzi więcej

czasu z Beyem. Ciekawe, czy przemyślał tę propozycję, czy też uległ chwilowej słabości?

Trudno było zgadnąć, patrząc na niego. Oprowadzał ją po sali, przedstawiając kolejnym osobom. Jak się okazało, Diana budziła powszechne zainteresowanie. Rzadko widywało się przecież utytułowaną dziedziczkę rodu. Zwykle tytuły, a co za tym idzie i majątek, przechodziły na męskich potomków. Zapewne, z wyjątkiem królowej, była najbogatszą kobietą na sali.

Paru przedstawionych jej dżentelmenów zajrzało nawet zalotnie w oczy hrabiny. Diana wiedziała, że stanowi dobrą partię i trudno jej będzie wymigać się od małżeństwa, jeśli król zdecyduje, że ma wyjść za mąż.

Przypomniała sobie spojrzenie, jakie wymieniła królewska para na jej widok. Być może Jerzy III i Charlotte spodziewali się, że wpadnie na salę ubrana w spodnie i surdut. To była jeszcze jedna krzycząca niesprawiedliwość. Jeśli jakaś kobieta uchodziła za silną, wszyscy oczekiwali, że będzie się ubierać i zachowywać jak mężczyzna.

Pomyślała, że powinna porozmawiać o tym z Beyem. Niestety, w najbliższym czasie nie będzie miała ku temu okazji. Musi już teraz nastawić się na rozmowy o niczym. Nie powinna zdradzić się z tym, że interesują ją poważne tematy.

Sala powoli pustoszała, ale ani ona, ani Rothgar nie mogli jej jeszcze opuścić. Czekali na królewskie przyzwolenie. Oczywiście Diana potrafiła ukryć zmęczenie czy znużenie, choć nie ćwiczyła tego zbyt często. Za to markiz czuł się tutaj jak ryba w wodzie.

- Wyczerpana? - szepnął, widząc jej minę.

W sali nie było krzeseł. Wszyscy musieli stać w towarzystwie królewskiej pary.

- Raczej zniecierpliwiona - odparła.

- Cierpliwość jest najlepszym lekarstwem na wszystko.

- Plaut - mruknęła wznosząc oczy ku niebu. - Musiałam to kiedyś napisać sto razy po łacinie.

Rothgar zaśmiał się bezgłośnie.

- Ciekawe, dlaczego?

- Nie twoja sprawa! - warknęła i poruszyła parę razy swoim wachlarzem.

Damy i dżentelmeni wokół pograżeni byli w rozmowie na błahe tematy. Będzie jej trudno przetrwać najbliższe tygodnie. I oby Bóg dał, żeby nie stały się miesiącami.

- Będzie mi tutaj ciężko - wyznała szczerze.

Markiz rozłożył ręce w teatralnym geście.

- Obawiam się, że nie jestem w stanie powiedzieć niczego, co by nie brzmiało jak pouczenie albo wykład.

Diana dostrzegła w jego oczach wesołe iskierki. Czyżby z niej kpił?

- Wobec tego sama zajmę się czytaniem Marka Aureliusza - powiedziała. - Bardziej mi odpowiadał. Zwłaszcza te cytaty, które musiałam przepisywać z „Myśli”.

- Byłaś chyba wyjątkowo krnąbrną uczennicą - zauważył. - Co jeszcze musiałaś robić za karę?

- Uczyć się wierszy na pamięć. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - Ale i tak miałam szczęście. Mógł mi kazać coś dziergać lub wyszywać.

Rothgar spojrzał na nią z politowaniem.

- Królowa lubi, gdy jej damy dworu zajmują się czymś pożytecznym - poinformował ją.

- Więc może nauczę ją strzelać - zaproponowała.

- Ani mi się waź!

Zauważyła, że uśmiechają się do siebie jak dwójka spiskowców. Byłoby źle, gdyby ktoś zwrócił na nich w tej chwili uwagę. Na szczęście ci, którzy zostali, byli zajęci swoimi sprawami. Ale Diana nie chciała ryzykować. Odwróciła wzrok od Beya i spojrzała na obraz, przedstawiający dom na wsi. Trudno by było znaleźć coś nudniejszego.

- No dobrze, opowiedz mi teraz o tym de Broglie - prosiła.

- A, miałem nadzieję, że już zapomniałaś - rzekł, patrząc na płótno. - Te informacje nie są ci do niczego potrzebne.

Sprawiali wrażenie, jakby wymieniali w tej chwili uwagi na temat obrazu.

- Tak sądzisz? W najbliższym czasie nie będę miała nic ciekawego do zrobienia. Zauważyłam, że nie chciałeś, żebym zdradziła się ze znajomością francuskiego przed D'Eonem. Mam więc zwrócić uwagę na to, co się dzieje na dworze, czy nie? - Spojrzała na niego prowokacyjnie.

Rothgar zmarszczył brwi.

- Szpiegowanie przy królu to bardzo niebezpieczne zajęcie - syknął.

Diana pokręciła głową.

- Myślałam o czymś innym. Przecież kobiety uwielbiają plotki...

Markiz przez chwilę zastanawiał się nad jej propozycją. To prawda, że wśród jego informatorów znajdowały się kobiety, ale nie z taką pozycją. Czasami były znacznie skuteczniejsze niż mężczyźni. Bał się jednak o Dianę. Znał reguły tej gry i wiedział, że jest niebezpieczna. Tym niebezpieczniejsza, że D'Eon mógł się dowiedzieć, choćby od de Couriaca, że hrabina świetnie mówi po francusku. Jaka szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej!

- Och, jesteś niemożliwa! - roześmiał się w końcu, po czym zniżył głos: - Dobrze, zwróć uwagę na to, co się będzie działo wokół, ale nie próbuj nikogo podsłuchiwać lub śledzić. I najlepiej... niczego nie udawaj.

- Hrabia de Broglie - przypomniała mu.

I znowu miał nadzieję, że ją zagada. Jak się okazało, na próżno.

- Dobrze, ale pamiętaj, że niewiele osób wie o tym, o czym będę mówił - ostrzegł ją jeszcze cichszym głosem. - Zwłaszcza Francuzi nie wiedzą, że my wiemy i tak ma pozostać. Czy to jasne?

- Najzupełniej.

Markiz rozejrzał się dokoła.

- Wyjdźmy stąd - zaproponował. - Ściany mają uszy.

Te środki ostrożności wydały jej się przesadzone, ale nie

chciała się sprzeciwiać Beyowi. W każdej chwili mogli przecież wyjść na ulicę lub do parku, a potem wrócić. Markiz wybrał pustą o tej porze aleję.

- Sytuacja polityczna we Francji jest nad wyraz dziwna - zaczął szeptem, kiedy ruszyli przez plac. - Otóż Ludwik XV prowadzi dwa rządy. Jeden oficjalny, a drugi tajny.

Diana aż otworzyła ze zdziwienia usta.

- Ale po co?! - niemal wykrzyknęła.

Rothgar położył palec na ustach.

- Cii. Ponieważ jest wyjątkowo ograniczony. Przez tradycje i przywileje szlachty, lecz również przez swoich ministrów i panią de Pompadour.

- Myślałam, że jest już stara i nic nie znaczy - wtrąciła Diana.

- Wciąż ma wielkie wpływy - zapewnił. - Nie przerywaj mi, nie mamy zbyt dużo czasu.

Doszli właśnie do skraju St. James's Park. Rothgar zawahał się, ale po chwili weszli na teren parku. Diana skinęła głową i zgodnie z jego życzeniem zasznurowała usta.

- Dotyczy to głównie polityki zagranicznej - ciągnął markiz. - Chodzi o to, by król mógł zabezpieczyć własne interesy. Zwłaszcza wtedy, gdy kolidują z przywilejami szlachty. Poza tym ma w ten sposób dostęp do informacji, czego w przeszłości często mu brakowało. Hrabia de Broglie jest oficjalnie w niełasce. Ale tak naprawdę przewodzi tajnemu rządowi. Zaś D'Eon jest jego zaufanym człowiekiem. Ma bezpośredni dostęp do Ludwika XV.

- Ale jak rozumiem pełni tylko obowiązki ambasadora.

- De Guerchy, faworyt arystokracji i szlachty, dostał nagle bolesti żołądkowych... - Bey zawiesił głos. - Uważaj, Diana, to niebezpieczni ludzie.

- Ale dlaczego król nie nominuje D'Eona? - dopytywała się. - Przecież chyba ma tyle władzy!

Szli szeroką aleją. Rothgar trzymał się z daleka od drzew i gęstych krzaków.

- Tak, oczywiście. Tyle, że nie chce wchodzić w otwar-

ty konflikt ze szlachtą - tłumaczył jej cierpliwie. - Poza tym, D'Eon to awanturник bez majątku, czy odpowiedniego tytułu. Nagła łaska króla zostałaby odczytana jednoznacznie. Wszyscy dowiedzieliby się, że jest tajnym agentem. Taki człowiek musi się trzymać na uboczu.

- Tak jak ty - zauważyła.

Rothgar potrząsnął głową.

- Ja nie jestem tajnym agentem. Chociaż paru zatrudniam - dodał po chwili.

Diana wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Nareszcie zaczynała rozumieć całą sytuację. Co więcej, życie blisko dworu wydało jej się bardziej interesujące niż przypuszczała. Trzeba tylko, bagatela, mieć pozycję markiza!

- No dobrze, ale co wobec tego planuje tajny rząd Ludwika? - zadała kolejne pytanie. - Nie to samo, co oficjalny?

Markiz uśmiechnął się lekko do siebie.

- Wobec tego po co byłby ten cały napad? - odpowiedział pytaniem. - Nie, Dianko, wręcz przeciwnie. Przecież to nie tajny rząd podpisał traktat pokojowy. Francuzi chcą jak najszybciej wylizać się z ran, a potem przypuścić na nas nowy atak.

Aż zamarła na moment z wrażenia.

- Skąd wiesz?!

- Zgaduję. Wszystko o tym świadczy. Również zdarzenia z ostatniej nocy.

Przez moment chciała powrócić do tej nocy, ale stwierdziła, że nie ma już nic więcej do dodania. Potrzebowała raczej informacji Rothgara, żeby móc jak najlepiej wywiązać się ze swojej roli.

- A król Jerzy? 2 pewnością wie o wszystkim.

Markiz tylko pokręcił głową, co wprawiło ją w tym większe zdziwienie.

- Ale dlaczego?

- Powiem mu w odpowiednim czasie - zapewnił. - Na razie jest jeszcze zbyt młody. Wcześniej stracił ojca i wydaje mu się zapewne, że kuzyn Ludwik doskonale nadaje się na mentora.

- Władca wrogiego państwa?!

Znowu rozejrzała się dokoła.

- Ciszej, Dianio. Przecież zawarliśmy pokój. Kawaler D'Eon bardzo dba o to, żeby nasz król widział w Ludwiku tylko swojego przyjaciela. Kręci się przy nim niczym panna na wydaniu.

To porównanie wydało jej się nadzwyczaj trafne. D'Eon miał w sobie coś miękkiego, kobiecego.

- Wydaje mi się jednak, że powinieneś powiedzieć królowi - stwierdziła po dłuższym namyśle.

- Bądź rozsądna. Nie mam przecież konkretnych dowodów, a jedynie podejrzenia - przekonywał ją markiz. - D'Eon by mnie wyśmiał i stałby się jeszcze bardziej ostrożny. Dlatego musisz uważać, żeby się nie zdradzić.

- Będę uważać - zapewniła.

- Gdybym przypuszczał, że będzie inaczej, nic bym ci nie powiedział - mruknął. - Zresztą młode kobiety są zwykle znacznie rozsądniejsze od swoich mężów. Muszą włożyć wiele sprytu w to, żeby dobrze wydać się za męża. A później jeszcze powinny udawać głupsze niż są w rzeczywistości.

Diana nigdy nie podchodziła do tego problemu od tej strony. Może dlatego, że w ogóle nie chciała wychodzić za męża. Musiała przyznać, że Bey ma rację. Ileż było takich małżeństw jak Rosy i Branda? Można je pewnie policzyć na palcach jednej ręki.

Dookoła powoli zaczęło się ściemniać. Pomyślała, że powinni już wracać.

- Uważaj, Dianio - ostrzegł ją raz jeszcze. - Gdyby coś się stało, nie mógłbym nawet wystąpić w twojej obronie. Mam tylko parę zaszyfrowanych wiadomości przejętych od francuskich łączników, ale nie mogę ryzykować przekazania szyfru królowi. Na pewno zdradziłby, że go zna.

Diana złapała się za głowę.

- Mój Boże, trzeba ukrywać przed królem, że się działo dla jego dobra! Czy ktoś ci pomaga?

- Parę osób w rządzie wie o tym, czym się zajmuję - odparł niechętnie.

-W tajnym rządzie?

Na jego wargach pojawił się nikły uśmiech.

- Obawiam się, Diano, że za dużo ci powiedziałem i teraz zaczniesz gustować w szpiegowskich historiach.

Jakby na komendę odwrócili się i ruszyli do wyjścia. Brama parku majaczyła przed nimi gdzieś w oddali. Powoli robiło się coraz ciemniej.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytała jeszcze.

- Miej oczy i uszy otwarte. Chcę przede wszystkim wiedzieć, czy D'Eon kontaktuje się z królową i co jej mówi.

Diana uśmiechnęła się do siebie.

- Więc będziemy się widywać - ucieszyła się.

- Czy sądziłaś, że cię opuszczę?

- Ale chyba nie będziesz przychodził codziennie? - Jej serce biło szybciej niż zwykle.

- Mam wolny wstęp do królewskich apartamentów. Mogę przychodzić, kiedy chcę -zapewnił. -Jednak rzadko będziemy mogli rozmawiać na osobności.

Wyszli z parku i skierowali się do pałacu. Królewski powóz już stał przed wyjściem.

- Spóźniliśmy się. Musimy teraz poczekać na zewnątrz, a potem odwiezę cię do królowej. Może ustalimy jakiś szyfr - Rothgar wrócił do poprzedniego tematu. - Królowa może być Rosą, a król Brandem.

- Sprytnie - rzekła z uznaniem. - Wobec tego D'Eon niech będzie Samuelem, rozplodowym baranem Rosy.

Markiz zaśmiał się złośliwie.

- Dobrze, choć to zupełnie do niego nie pasuje.

- Dlaczego? - Diana od dawna nie zadała tylu pytań.

- To długa historia. Może opowiem ci przy innej okazji. - Skłonił się ostatnim wychodzącym gościom i pociągnął ją za rękaw. Hrabina niezwłocznie poszła w jego ślad. - A kim będzie Ludwik?

- Dirkiem, flamandzkim ogierem Rosy - odparła bez namysłu. - W ten sposób będziemy mogli ograniczyć się do rozmowy o jej obejściu.

Tym razem Rothgar zdołał powstrzymać śmiech.

- Dobrze, ale mimo wszystko uważaj.

Przy schodach znowu zebrało się sporo osób, które chciały pożegnać królewską parę, musieli więc przerwać rozmowę. W końcu król i królowa wyszli z pałacu i pozdrowszy poddanych, udali się do siebie.

- Możemy ruszać - rzekł markiz.

Po chwili podjechał do nich jego powóz. Lekki kocz musiał więc powrócić do Malloren House. Diana pamiętała o tym, że nie powinna wsiadać sama i zaczęła aż Rothgar poda jej rękę, po tym jak lokaj otworzył drzwiczki.

- Bardzo dobrze - szepnął, kiedy znaleźli się w środku.

- Czy chcesz jeszcze porozmawiać o Samuelu, baranie Rosy, czy wolisz skończyć ten temat? - spytała.

Spojrzał na nią z uznaniem, co dostrzegła w świetle pałacowych latarni.

- Wystarczy, że będziesz pamiętać, że to niebezpieczne zwierzę - skierował do niej ostatnie ostrzeżenie. - Zajmij się raczej samą Rosą.

Pod wpływem nagłego impulsu chwyciła go za rękę.

- Kiedy cię zobaczę, Bey?

Sama zdziwiła się, że stać ją na taki gest. Trudno było w bardziej oczywisty sposób wyrazić to, że go pragnie. Markiz ścisnął jej dłoń, ale po chwili ją cofnął.

- Jak mówiłem, będziemy się widywać.

Jednak Diana postanowiła pójść na całość.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi. - Rozchyliła namiętnie wargi. - Pocałuj mnie na pożegnanie.

Wahał się przez chwilę.

- Lepiej nie - zdecydował. - Z tego mogą być tylko kłopoty.

Diana czuła się pobita. Pomyślała, że znacznie łatwiej będzie jej wypełnić tajną misję, niż przekonać Beya, że powinien poddać się swoim uczuciom. Ona już im uległa. Wiedziała, że kocha markiza i że nie wyjdzie za mąż za nikogo innego.

Pozostawała kwestia, jak przekonać go, że warto zaryzy-

kować. Być może problem szaleństwa jest tylko iluzoryczny.

Cóż, zastanowi się jeszcze.

- Wydawało mi się, że potrafisz pokonać wszystkie trudności.

Rothgar pokręcił głową.

- Nie wszystkie. Na przykład nie potrafię latać.

I nie potrafię powstrzymać strachu przed chorobą, dodał w duchu.

- Ale słyszałam, jak Elf mówiła o tobie „nasz Dedal” - zauważyła.

- Chodziło jej raczej o zamięłowanie do mechanizmów i labiryntów - wyjaśnił.

Diana wiedziała już o mechanizmach, ale po raz pierwszy usłyszała o labiryntach.

- Czyżbyś je budował?

Obdarzył ją ponurym spojrzeniem.

- Tak. Oboje znaleźliśmy się w jednym z nich - rzekł niechętnie. - Jest naprawdę bardzo skomplikowany.

- Ale Dedal też latał - przypomniała.

-I pozwolił, żeby jego syn za bardzo zbliżył się do słońca.

Diana od razu zrozumiała aluzję. Nie było jednak czasu na dyskusje, ponieważ powóz zatrzymał się właśnie przed królewską rezydencją.

- Ale ty nigdy byś na to nie pozwolił! - rzuciła tylko.

Pałac, przed który zajechali, wybudował książę Buckingham i król dopiero niedawno kupił go małżonce. Budynek przypominał bardziej zwykłe londyńskie domy niż prawdziwy pałac, ale właśnie to odpowiadało królewskiej parze. Jak również jego nowoczesny wystrój i położenie w sąsiedztwie parków.

Samo miejsce bardzo spodobało się Dianie, jak również to, że z pałacem nie wiązała się żadna mroczna historia. Wnętrza też wydawały się miłe i jasne, chociaż dotarli tu po zmroku. Wielkie świeczniki dawały dużo światła.

Jednak Diana nie liczyła na to, że spędzi tu miłe chwile. Przede wszystkim nie będzie już mogła tak swobodnie

spotykać się z Beyem. Poza **tym** musi przecież **uważać na** każde słowo i gest.

Służba zapowiedziała ich królewskiej parze.

- Proszę za mną, lordzie - władca zwrócił się do **Rothgara**. W prywatnych kontaktach nie używał formy „my” w odniesieniu do siebie.

Bey pożegnał się z nią pospiesznie i ruszył za królem, Diana z trudem oderwała od niego wzrok. Czuła się **tak**, jakby zabrano jej najbliższą osobę na świecie.

- Proszę za mną, lady Arradale - do niej z kolei zwróciła się królowa. - Muszę się przebrać do kolacji.

Diana chętnie sama zdjęłaby suknię, ale od tej pory **miała** przede wszystkim służyć królowej. Poszła więc pokornie na górę do apartamentów Charlotte, gdzie już czekały dwie niemieckie garderobiane. Służące niezwykle sprawnie poradziły sobie z suknią z fiszbinami. Królowa zaś nie kryła zmęczenia.

- To dobrze, że nie jesteś przeciwna małżeństwu, pani - zwróciła się do Diany, położywszy dłoń na swoim wielkim brzuchu. - Król bardzo się ucieszył. Czy naprawdę **tak** trudno było ci znaleźć stosownego kandydata?

- W Yorkshire trudno znaleźć kogoś z odpowiednim statusem i majątkiem, najjaśniejsza pani. - Diana skłoniła się lekko.

Królowa przysiadła w oczekiwaniu na wieczorną lekką suknię.

- W Londynie będzie z tym o wiele łatwiej - zapewniła ją. - Oboje z królem nie prowadzimy, co prawda, wystawnego życia, ale wydajemy co jakiś czas przyjęcia. Na pewno znajdziesz tam, pani, kogoś, kto ci będzie odpowiadał.

Czy powinna powiedzieć królowej, że już znalazła? Najgorsze było to, że jej wybrany nie chciał się zenić.

- Mam nadzieję, najjaśniejsza pani - rzekła i dygnęła lekko.

Królowa gestem wskazała jej wyściełane krzesło obok. Diana z ulgą usiadła. Od dawna nie musiała tak długo stać.

- A jeśli nie - ciągnęła królowa - to sami znajdziemy ci, pani, narzeczonego. Oboje z królem nie widzieliśmy się przed ślubem, a przecież cieszymy się z naszego związku.

Diana usłyszała dzwony bijące na alarm. Jednak zgodnie z radami markiza zachowała spokój.

- Byłby to dla mnie wielki zaszczyt, Wasza Królewska Mość.

Królowa skinęła głową z zadowoleniem, a następnie wstała, więc Diana podniosła się wraz z nią. Garderobiane bardzo szybko przebrały swoją panią w lekką suknię. Charlotte wygładziła jej fałdy i zaprosiła hrabinę do sąsiedniego pokoju. Już w drzwiach uderzyła je woń pachnącego groszku.

- Lubisz, pani, kwiaty? - spytała królowa.

Diana zaczerwieniła się na wspomnienie wczorajszej nocy.

- Nawet bardzo, najjaśniejsza pani - bąknęła, zastanawiając się, czy monarchini dostrzegła jej zmieszanie.

- To dobrze. Mamy tu piękny ogród, z którego możesz korzystać. Myślę, że twoje obowiązki, pani, nie wydadzą ci się zbyt ciężkie. Będziesz mi co jakiś czas czytać i prowadzić ze mną konwersacje po angielsku. Czy grasz na jakimś instrumencie?

- Na klawesynie i flecie, najjaśniejsza pani - padła odpowiedź.

Przeszły do kolejnego pokoju ze szkarłatnymi draperiami i lambrekinami. Tutaj też pełno było kwiatów w delikatnych porcelanowych wazonach. Królowa usiadła ciężko na wyściełanym krześle, wysunęła stopy z pantofelków i umieściła je na podnóżku.

- W pokoju obok jest klawesyn. - Wskazała otwarte drzwi. - Zagraj coś, pani.

- Z przyjemnością, Wasza Królewska Mość.

Królowa zaczęła rozmawiać o czymś ze służbą po niemiecku, Diana zaś oddaliła się do sąsiedniego pomieszczenia. Udało jej się nawet nie nadepnąć na swoją spód-

nicę w trakcie wycofywania, a nie była to łatwa sztuka.

Aż gotowała się ze złości na myśl o tym, że ktoś kazał jej coś zrobić. Kiedy zniknęła z pola widzenia królowej, pokazała jej przez ścianę język. Szybko jednak przypomniała sobie ostrzeżenia Rothgara. Ściany mogą mieć nie tylko uszy, ale i oczy. Nie powinna pozwalać sobie na podobne gesty.

Raz wspomniany, markiz znowu stanął jej przed oczami. Gdzie jest? Co teraz robi? Czy spotkają się już wkrótce?

Diana starała się pozbierać myśli. Nie może ciągle wspominać Beya, inaczej rzeczywiście skończy w domu dla psychicznie chorych. Usiadła przy klawesynie i odetchnęła z ulgą. Nareszcie mogła chwilę odpocząć. No niezupełnie, powinna przecież coś zagrać. W stołku zapewne znajdowały się nuty, ale wolała skorzystać z pamięci. Palce same układały jej się na klawiaturze i dzięki temu mogła przemyśleć jeszcze raz swoją sytuację.

Nie spodziewała się, że królowa od samego początku będzie naciskała na małżeństwo. Było jasne, że wyraża w ten sposób wolę króla, ale sama też była gorącą orędowniczką rodziny. Diana uśmiechnęła się do siebie smutno. Z jednej strony, będzie musiała walczyć z parą królewską, żeby nie stanąć na ślubnym kobiercu, a z drugiej, spróbuje przekonać Beya, że warto zaryzykować małżeństwo.

Co za paradoks!

Poza tym, nie mogła uwierzyć, że sama chce wyjść za mąż. Oczywiście, nie poślubiłaby nikogo innego poza Rothgarem. Ale wciąż wydawało jej się to dziwne.

Na jej wargach znowu pojawił się uśmiech. Tym razem weselszy. Od czego by nie zaczynała i tak w końcu jej myśli biegły do markiza, jak gołębie, które zawsze wracają do domu!

Utwór się skończył. Po chwili namysłu wybrała następny.

Rothgar obiecał, że będzie często zaglądał do pałacu. Czy zobaczy go jeszcze dzisiaj, czy dopiero jutro? A mo-

że - serce jej się ścisnęło na samą myśl - dopiero pojutrze?! Dwór królewski nie był najlepszym miejscem na spotkania z ukochanym.

Diana zawahała się i zmyliła tempo. Dopiero po chwili powróciła do właściwego.

Zaraz, czy rzeczywiście pomyślała „ukochany”? Czyżby zakochała się w markizie? Nie było sensu dalej ukrywać przed sobą, że uległa temu szaleństwu! Przynajmniej wie teraz, czego jej trzeba.

Uderzyła z mocą w klawisze, kończąc wielkim forte. Chciała teraz zagrać coś, co wymagało większej uwagi, żeby nie myśleć już o Rothgarze, ale przysłała do niej jedna z niemieckich pokojówek z informacją, że może iść się przebrać. Diana przyjęła to z wdzięcznością. Poszła za Niemką do swego apartamentu, który okazał się mały, ale wystarczający na jej potrzeby.

Powitała ją podekscytowana Clara, która kończyła rozpakowywanie rzeczy. Dziewczyna była podniecona tym, że jest w królewskiej rezydencji. Wszystko jej się podobało. Nawet Niemki zrobiły na niej duże wrażenie.

Diana ucieszyła się, że przynajmniej jedna osoba jest zadowolona ze zmiany. Szybko też zmieniła suknię na wygodniejszą. Dopiero, kiedy stanęła przed lustrem, przypomniała sobie, że właśnie w niej powitała Mrocznego Markiza w Arradale. Miała wrażenie, że od tej pory minęło wiele lat i że w tym czasie przeniosła się na inną planetę. Wszyscy tu grali w gry, których nie rozumiała.

Westchnęła cicho i zasiadła za ślicznym rzeźbionym biurkiem, żeby napisać listy do matki i Rosy. Musiała przecież poinformować je o napaści, zanim ta wiadomość dotrze do nich w mocno zniekształconej formie.

Najpierw zajęła się łatwiejszym, do matki. Potem zagryzła pióro, nie bardzo wiedząc, co napisać do przyjaciółki. Rosa od lat była powiernicą największych sekretów, ale Diana nie wiedziała, czy król nie zechce przejrzeć przed wysłaniem jej korespondencji. Nawet, gdyby miała tutaj

posłańca, nie zdecydowałaby się skorzystać z jego usług, żeby nie obrazić monarchy.

W duchu wyobrażała sobie rozmowę, którą mogłaby odbyć z Rosą:

- Kocham markiza i chcę wyjść za niego za mąż - powiedziała przyjaciółce.

Rosa jak zwykle przeszła do sedna sprawy:

- Jak chcesz pokonać jego opory?

- Sama nie wiem. Pomyślę o tym później - odparła Diana. - Na razie muszę uważać, bo król chce osobiście znaleźć dla mnie męża.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami.

- Najwyżej mu odmówisz.

- To nie takie proste, Roso! Obraziłabym majestat. A poza tym jest jeszcze groźba domu wariatów... Już lepiej przyjąć propozycję Beya.

- Małżeństwa na papierze? - Musiała założyć, że Rosa wie o całej sprawie. - Nie sądzę, żeby to się dało zrobić, moja droga.

Diana westchnęła ciężko.

- Ja również, ale nie mam innego wyjścia - przekonywała przyjaciółkę. - Przynajmniej mogłabym się cieszyć jego towarzystwem.

- Żyłabyś jak żebrak, który widzi ucztę, ale wie, że nigdy nie będzie na nią zaproszony - powiedziała pewnie.

A Diana potrząsnęła wówczas głową.

- To złe porównanie. Miałabym go przynajmniej przy sobie. Mogłabym z nim rozmawiać o tym, co nas interesuje. Nie, nie uśmiechaj się. Już wiem, że to nie wszystko, Ale zawsze coś!

Rosa nie dałaby się przekonać.

- Skoro już wspomniałaś chorobę psychiczną, to moim zdaniem takie małżeństwo prowadzi do niej nieuchronnie. To coś wynaturzonego i strasznego. Przypomnij sobie, jak się czułaś z markizem w powozie. - Diana znowu musiała przyjąć, że Rosa zna jej sytuację.

- Czułam się wspaniale!

- I wciąż czekałaś na więcej!

Diana zamyśliła się na chwilę. Wiedziała, że brakuje jej argumentów. Postać przyjaciółki zaczęła jej się rozmazywać przed oczami.

- Zaczekaj, Roso - poprosiła znikającą zjawę. - Nie pragnęłabym więcej, wiedząc, że nie mogę tego osiągnąć.

- Tak sądzisz? Przecież miałabyś go na wyciągnięcie ręki...

- Praktykowałibyśmy sztukę wyrzeczeń.

- To mogłoby zniszczyć was oboje.

Rosa pokręciła jeszcze z dezaprobatą głową, a następnie rozplynęła się definitywnie w powietrzu. Jak to się stało, że pojawiła się przed nią jak żywa, chociaż Diana zaczęła od prostej wyimaginowanej rozmowy?

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że umoczyła już pióro w inkauscie i napisała nawet kilkanaście razy jedno krótkie słowo - Bey. Jej pismo było albo proste, albo kaligraficzne, ale za każdym razem układało się w imię markiza. Czyżby rzucił na nią jakiś urok, czy co?

Zawsze myślała o miłości, jako o stanie miłej ekscytacji. Nigdy nie sądziła, że zakochanie niesie ze sobą tyle problemów. I że wiąże się z tak palącym pragnieniem ukochanego. To pragnienie wprost pustoszyło jej wnętrze. Od jakiegoś czasu nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o Rothgarze.

Wzięła kartkę do ręki i spaliła ją nad świecą. Po chwili namysłu wyrzuciła popiół za otwarte okno.

Niech Bóg się nade mną zmiłuje, pomyślała, przypomniawszy sobie to, co „powiedziała” jej Rosa.

Rothgar udał się za królem do jego części pałacu, wciąż rozpamiętując słowa Diany. To prawda, że nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Udało mu się przecież przywrócić cześć lady Chastity Ware i doprowadzić do tego, że król przyjął ją u siebie. Prawdą też było, że nie pozwoliłby skrzywdzić nikogo z rodziny, a już na pewno swojego dziecka, zakładając, iż miałby je kiedykolwiek. Ale wie-

dział, że istnieją granice jego możliwości. Nie potrafił latać i nie potrafił wyzwolić się z obsesji szaleństwa.

Czy Diana zrobiła słusznie, porównując te dwie rzeczy? Oczywiście zestawienie było przypadkowe. Jednak Bey wiedział, że gdyby pozbył się swego strachu, można by to porównać do radości, jaką zapewne dawało latanie.

Król zatrzymał się w końcu w garderobie i pozwolił, aby dwaj garderobiani przystąpili do dzieła. Markiz tymczasem próbował zachować obojętność, chociaż świadomość oczekiwania Diany nie dawała mu spokoju. Nie przypuszczał, że będzie go aż tak pragnąć. Gdyby wiedział, być może nie zdecydowałby się na tę wspólną noc. Gdyby jemu samemu starczyło silnej woli...

- Panie? - dobiegł do niego głos króla.

- Słucham, sire?

- Tak bardzo pograżyłeś się we własnych myślach, że nie słyszysz co mówię - rzekł król z niezadowoleniem. - Czy myślisz o krwi?

Rothgar przypomniał sobie krew Diany na prześcieradle.

- Nie rozumiem, sire.

- O tym krwawym ataku, co? - wyjaśnił zniecierpliwiony już monarcha. - Chciałbym o nim usłyszeć.

Bey zupełnie już o tym zapomniał. Miał przecież inne sprawy na głowie. Powstrzymał jednak słowa: „A, o tym!”, które wskazywałyby, że nadaje się do Bedlam i rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Niestety, obawiam się, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

Służba nareszcie przebrała monarchę i mogli usiąść na wyściełanych krzesłach. Rothgar opowiedział całą historię najprościej, jak mógł, pomijając zasługi Diany i podkreślając rolę zmarłego woźnicy.

- Odważny człowiek, odważny człowiek, co? - zadumał się król. - Czy zostawił rodzinę?

- Tak, sire. Żonę i dzieci. Kazałem już się nimi zająć - dodał, uprzedzając kolejne pytanie.

Król tylko powtórzył: „co, co” i milczał przez chwilę.

- Wyślę list z podziękowaniem do tej kobiety.

Markiz wąpił, czy cokolwiek zdoła ukoić smutek Elli Miller, ale list królewski może się okazać w przyszłości niezwykle cennym dokumentem.

- To nadzwyczaj uprzejme, sire.

Monarcha zmarszczył czoło. Rothgar stwierdził, że najprawdopodobniej już zapoznał się z całą sprawą. Być może czytał nawet raport Eresby'ego Motte'a.

- Ten de Couriac - odezwał się po chwili. - Czy jesteś, panie, pewny, że maczał w tym palce, co? I czy wiadomo, że to byli Francuzi?

- To tylko przypuszczenia, sire. Mówili dobrze po angielsku, ale z obcym akcentem. Ten, którego mógł zdradzić najsilniejszy akcent, milczał.

Król aż uderzył dłonią w kolano.

- Ale po co?! Po co ten atak, co?!

Rothgar nie chciał wiązać tej sprawy z Currym, ani też wskazywać na czynniki oficjalne. Opowiedział więc Jerzemu o zajściach w gospodzie i o lubieżnej pani de Couriac.

- Zapewniam Waszą Królewską Mość, że nie dałem mu żadnych powodów do zazdrości - zakończył.

- Tyle osób zabitych z powodu jednej Francuzki, co? - obruszył się król. - Każę panu D'Eon, żeby wnikliwieją się tą sprawą.

- Kawaler D'Eon jest bardzo zmartwiony tym wszystkim - zafrasował się Rothgar. - Czy wysunął może jakieś podejrzenia, sire?

- Też sądził, że to zazdrość - mruknął monarcha. - Podobno byłeś z nią, panie, sam na sam, co?

Ciekawe, skąd kawaler D'Eon wie takie rzeczy? pomyślał markiz. Jego przypuszczenia zaczynały się powoli konkretyzować.

- Ależ nic podobnego, sire - zaprzeczył gwałtownie. - Cały czas był przy nas jej mąż, lekarz albo lady Arradale.

Która zresztą uratowała mi życie, dodał jedynie w du-

chu, świadomy, że Jerzy III nie wysłałby do niej listu z gratulacjami.

Monarcha potarł zmarszczone czoło. Był jeszcze bardzo młody, ale jemu samemu wydawało się, że jest nadzwyczaj poważny i kompetentny.

- Hrabina, co? Nie tego się spodziewałem. Co o niej sądzisz, panie?

Co o niej sądził? Uwielbiał ją. Uważał, że jest jedną z najwspanialszych kobiet w Anglii, a także Szkocji, Walii i Irlandii.

- Nie sprawiała trudności w czasie podróży, sire - odparł wymijająco.

- Czy będzie się sprzeciwiać małżeństwu, co? - Król poprawił się trochę na swoim miejscu.

Markiz rozłożył ręce.

- Odniosłem wrażenie, że wręcz do niego dąży. - Jego głos był zupełnie wyprany z emocji.

- To dobrze, co? Lord Randolph Somerton jest drugim synem i potrzebuje porządnego majątku. Czarujące, prawda?

Z pewnością nie było to słowo, z którego chciałby skorzystać. Zwłaszcza, gdy pomyślał o fircykowatym i zarozumiałym lordzie i jego surowym ojcu, księciu Carlyle.

- Czy zbyt wiele władzy na północy kraju nie skoncentruje się w ten sposób w rękach jednej rodziny, sire? - spytał ostrożnie.

Król w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Przecież i tak musi wyjść za mąż za kogoś z północy, prawda? Inaczej jej mąż zaniedbałby majątek, co?

- Przecież mamy teraz wspaniałe drogi, sire. Podróż do stolicy zajęłaby nam tylko dwa dni, gdyby nie ten przykry incydent.

Monarcha skrzywił się, jakby nie chciał więcej dyskutować o całej sprawie.

- Wobec tego sir Harry Crumleigh z Derbyshire albo lord Scrope ze Shropshire, który szuka cichej żony. Lady Arradale wydaje się nad wyraz spokojna.

Rothgar omal nie wybuchnął śmiechem. O Dianie można było naprawdę wiele powiedzieć, ale nie to, że jest spokojna. Słowa króla oznaczały, że doskonale zagrała swoją rolę. Sir Harry był ulubieńcem króla, ponieważ uwielbiał polowania i był doskonałym jeźdźcem. Wiele jednak wskazywało na to, że nie przeczytał w życiu ani jednej książki. Niektórzy wprost twierdzili, że tylko dlatego, iż nie potrafił czytać. Lord Scrope był natomiast człowiekiem miłym i nieszkodliwym. Diana w ciągu tygodnia zanudziłaby się przy nim na śmierć. Jeszcze zanim zdążyłaby poznać jego liczne choroby.

- Jeśli mogę coś dodać, sire. Hrabina dopiero przyjechała do Londynu i przeżyła szok po drodze. Powinna mieć chyba więcej czasu, żeby oswoić się z myślą o małżeństwie.

Markiz zamarł, oczekując na odpowiedź.

- Dobrze, co? Ale chcę, żeby wyszła za mąż jeszcze zanim wróci do swojego zamku. A teraz - monarcha zawiesił głos, jakby szykował coś miłego - mam dla ciebie niespodziankę, panie. Król Francji przysłał mi w prezencie automat, żeby przypieczętować traktat pokojowy, co?

- Naprawdę, sire? - Rothgar udawał zainteresowanie, chociaż wciąż zastanawiał się nad niespodziewaną decyzją Jerzego.

- Kawaler D'Eon ma go zaprezentować jutro w pałacu. Czy przybędziesz, panie?

- D'Eon? Z całą pewnością przyjdę, sire. - Markiz skinął głową.

- Ze swojej strony chcę pokazać automat, który dostałem od ciebie, panie, w zeszłym roku, co? - dodał król.

- Cieszę się, że wciąż znajduje uznanie w oczach monarchy. - Rothgar wstał i skłonił się lekko przy tych słowach.

Monarcha również podniósł się z miejsca.

- Zaprawdę. - Przybrał oficjalny ton: - Dobrze, panie, służyysz Koronie. Jesteśmy zadowoleni z twoich usług i życzymy ci jak najlepiej.

Rothgar skłonił się jeszcze niżej.

- Wasza Królewska Mość jest dla mnie niezwykle łaskawy. Spotkanie dobiegło końca. Markiz przeszedł koryta-

rzem do schodów, powściągnąjąc chęć odszukania Diany. Pragnął upewnić się, że jest bezpieczna. Wolał nie mówić jej nic na temat postanowień króla. Zwłaszcza, że wątpił, czy tym razem skończy się tylko na groźbach. Hrabina będzie musiała wykazać wielki hart ducha i dużo determinacji, żeby wyjść cało z tej opresji.

Nie mógł teraz zająć się jej sprawami. Chciał pojechać do Abbey i osobiście złożyć kondolencje Elli Miller. Przez chwilę zastanawiał się co robić, a potem, będąc już na dole, skręcił do pokoju przyjęć i skreślił do niej kilka słów:

Wielmożna Lady Arradale!

Tuszę, pani, że jesteś pod dobrą opieką i że dotarły do Ciebie wszystkie bagaże. Proszę o sygnał, gdybym mógł pomóc Ci w czymś jeszcze. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Twój pokorny sługa,
Rothgar.

Miał nadzieję, że Diana odbierze właściwie treść tej błahaj notatki. Zwłaszcza wzmiankę o tym, co jest w jego mocy. Rothgar złożył kartkę i zapieczętował ją swoim sygnetem. Następnie przywołał lokaja.

- Dla lady Arradale - poinformował go.

Służący skinął głową.

Znalazłszy się w powozie, próbował zapomnieć o Dianie. Jego myśli zwróciły się ku D'Eonowi. Wybór prezentu nie był zaskakujący, ponieważ wielu zdolnych mechaników pracowało również we Francji, a poza tym wszyszy znali królewskie upodobania. Zamiłowanie do mechaniki łączyło króla z Rothgarem. To markiz dał mu pierwszy tego typu prezent, chińską pagodę, którą usiłowano, niestety, wykorzystać przy próbie zamachu. Czy to możliwe, żeby jakaś ciemna tajemnica wiązała się również z francuskim prezentem?

Ostrożności nigdy nie za wiele! pomyślał markiz.

Kolejny automat, który podarował królowi, był już

znacznie prostszy i, jak mu się zdawało, całkowicie bezpieczny. Czy to samo będzie można powiedzieć o mechanizmie D'Eona? Rothgar miał wrażenie, że krąg, który go otaczał, a pośrednio także króla, zaczął się powoli zacieśniać.

Nagle uderzyła go myśl, że to D'Eon stoi za pomysłem wydania Diany za mąż. Jak do tej pory król nie wykazywał tyle determinacji nawet w najważniejszych dla kraju sprawach. Znaczyło to, że ktoś nim manipuluje. D'Eon często bywał na dworze i Jerzy chętnie z nim rozmawiał.

Tylko po co?

Żeby zemścić się za dwóch zabitych Francuzów? Nie, niemożliwe. Sprawa była zbyt świeża. D'Eon nie mógł się domyślać, że Diana jest tak doskonałym strzelcem.

A może sam chciał się z nią ożenić?

To było już bardziej przekonujące. Należał do ludzi ambitnych, lecz pozbawionych majątku. A małżeństwo z angielską arystokratką otwierało przed nim nieograniczone możliwości szpiegowania. Było to moralnie obrzydliwe, ale Rothgar wiedział, że Francuz jest do tego zdolny.

Ale jedna sprawa była wątpliwa. Jak to już powiedział Dianie, męskość D'Eona stała pod znakiem zapytania. Wiadomo było, że nie unika flirtów, ale też nie ma żadnych kochanek.

Co więcej, Francuz spędził sporo czasu na dworze carycy Rosji w... kobiecym przebraniu. Oczywiście szpiegował wtedy na rzecz króla Francji. Wielu wątpiło w prawdziwość tej historii, ale Rothgar osobiście sprawdził wszystkie fakty. Nie wiedział tylko, czy D'Eon jest mężczyzną, kobietą, czy może hermafrodytą.

Niezależnie od swojej płci, pozostawał jednym z najzręczniejszych francuskich polityków. Brakowało mu tylko poważnego sukcesu, żeby zostać prawdziwym ambasadorem. Mogła to być na przykład zgoda na pozostawienie Dunkierki w niezmienionym kształcie.

Rothgar pokiwał głową. Wiele wskazywało na to, że D'Eon traktował go jak osobistego wroga. Często rozma-

wiał z królem i musiał dowiedzieć się, że markiz kategorycznie domaga się zburzenia fortyfikacji.

Powóz zatrzymał się przed Malloren House. Rothgar wysiadł i przeszedł od razu do swojego gabinetu. Zrobiło się zbyt późno na jakiegokolwiek odwiedzin. Będzie musiał jutro pamiętać o żonie woźnicy.

Usiadł przy biurku i podparł głowę rękami. Pojedynek z Currym był majstersztykiem. Nikt by nie powiedział, że to robota Francuzów. Ale już atak na drodze nie należał do najrzeczniejszych posunięć. Być może zainicjował go sam de Couriac, poruszony tym, że zdobycz wymknęła mu się z rąk.

Skoro zamachowcy posuwają się do bandyckich napaści, czego jeszcze można się po nich spodziewać?

Strzału z tłumu? Być może. Nie powinien jednak żyć w ciągłym strachu. Musi wypełniać swoje obowiązki. Poza tym, jeśli D'Eon znowu przejął inicjatywę, może chyba oczekiwać czegoś bardziej wyrafinowanego.

Markiz na chwilę zakrył twarz rękami. Niepotrzebnie powiedział Dianie o podwójnym rządzie. Jeśli D'Eon zorientuje się, że go szpieguje, znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wystarczy, że zdradzi się ze znajomością francuskiego, żeby wzbudzić jego podejrzenia.

Diana! Co się z nią teraz dzieje?

Czy D'Eon ma jakieś plany względem jej osoby?

Rothgar nie wątpił, że Francuzi przywarują na jakiś czas. Nie mogą już sobie pozwolić na otwarty atak, a nawet na to, by połączono z ich krajem kolejną próbę zabójstwa. Wbrew pozorom, de Couriac bardzo przysłużył się markizowi. D'Eon musi teraz bardzo uważać, żeby nie popaść w niełaskę.

Spojrzał na stos petycji leżących na stole. Wolał przegłądać je sam, chociaż mógł to za niego zrobić Carruthers. Między próbami wyłudzenia pieniędzy, czy prośbami prawdziwych przestępców, znajdowały się takie, którymi warto się było zająć. Na przykład ta, od pani Tulliver. Jej jedyny syn został skazany na deportację za kradzież surduta jakiegoś dżentelmena. Młodzieniec zrobił to z głupoty, po to, żeby

lepiej zaprezentować się swojej dziewczynie. A surowość kary była oczywiście związana z pozycją owego dżentelmena.

Rothgar odłożył petycję na oddzielny stosik. Będzie się musiał tym zająć w ciągu najbliższych dni, zanim statek nie odpłynie do Australii. W kilku następnych znajdowały się prośby o pieniądze, jak również sprawy, które wymagały głębszego namysłu. Markiz odsunął je wszystkie.

Myślami wciąż był przy Dianie.

Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić, żeby przynajmniej chronić ją przed D'Eonem. W końcu uśmiechnął się do siebie szatańsko. Miał pewien plan. Jako oficjalny przedstawiciel Ludwika XV, D'Eon był oczywiście nietykalny, ale można było inaczej dobrać mu się do skóry.

Natychmiast posłał po swojego drugiego sekretarza, Josepha Graingera. Carruthers pełnił wyłącznie funkcje oficjalne, natomiast młody Joseph, z wykształcenia prawnik, zajmował się takimi, które wymagały spokoju i dyskrecji.

- Witaj, Joseph. Przygotuj mi listę wierzycieli D'Eona - zadysponował. - Tę samą, którą przesłałeś mi do Arradale.

- Zaraz ją przyniosę - rzekł młodzieniec, a widząc zdziwioną minę chlebobdawcy, dodał: - Przygotowałem wszystkie dokumenty związane z D'Eonem, panie. Mam jeszcze więcej materiałów.

Rothgar skinął z uznaniem głową. Nigdy dotąd nie zawiódł się na inteligencji Graingera. Po chwili na jego biurku leżały odpowiednie dokumenty lub ich kopie.

- Świetnie.- ucieszył się markiz. - Widzę, że jego finanse są w strasznym stanie. Nie ma już pieniędzy na ambadorskie wydatki. Jest zadłużony po uszy.

- Chcesz, panie, wykupić jego długi - domyślił się Grainger.

- Właśnie! - Energicznie wstał od biurka. - Rozpuść plotki, że jest wypłacalny.

- A nie jest?

Rothgar machnął ręką.

- W tej sytuacji można powiedzieć, że ryzyko jest minimalne.

Grainger, który *należał* do ludzi niezwykle oszczędnych, spojrział na niego z przyganą, ale oczywiście nic **nie** powiedział.

- A, i jeszcze jedno. - Markiz podniósł dłoń do skroni. - Trzeba nasilić obserwację D'Eona. Chcę wiedzieć z kim i kiedy się spotyka. I przyslij mi jeszcze Rowcupa. Idę się przebrać.

Kiedy wrócił po dziesięciu minutach do gabinetu, zastał tam grubiotkiego człowieczka rozpartego w fotelu i raczącego się jego cygarem. Parę lat temu uratował go od stryżka i od tego czasu Rowcup był mu wierny niczym pies. Od razu też wstał na powitanie.

- Wszystko gotowe, panie.

Rowcup należał do najgenialniejszych fałszerzy, jakich znał. Dla niego to zajęcie było bardziej sztuką niż przestępstwem. Rothgar zatrudniał go oficjalnie jako kopistę, ale co jakiś czas wykorzystywał w innych celach. Na dziś Rowcup przygotował zaszyfrowany list dla D'Eona od króla Francji. Markiz sam opracował jego treść, dlatego teraz pokręcił jeszcze głową.

- Chcę, żebyś do pochwał dodał parę słów - powiedział. - Że jako król rozumiem jego sytuację finansową i obiecuję pokryć wszelkie wydatki. Nawet, gdyby de Guerchy został ambasadorem.

- Zaraz to zrobię - zadeklarował Rowcup. - I tak na trudniejszy jest zawsze sam początek.

Po skończeniu listu zapieczętował go pieczęcią, którą sam zrobił i spojrział na markiza, oczekując pochwały.

- Doskonale, Rowcup.

Pozostawało jeszcze dołączyć pismo do tajnej korespondencji, którą dostawał D'Eon. Nie było to trudne, ponieważ Rothgar znał skrzynkę kontaktową Francuzów. W końcu wyszedł z gabinetu, myśląc, że to koniec na dzisiaj, ale w korytarzu złapał go Carruthers z listem od Merlina.

Wrócił do siebie, żeby zapoznać się z jego treścią. Merlin informował go, że mechanizm jest bardzo skomplikowany, więc naprawa zajmie ładnych parę dni. Cóż, musi pogodzić

się z tym, że nie pokaże go jutro królowi. Był jednak pewny wyższości dobosza nad tym, co mógł przysłać Ludwik XV i tego, że automat przyda mu się jeszcze w przyszłości.

- Przekaż mu, żeby przystąpił niezwłocznie do naprawy - zwrócił się do czekającego Carruthersa.

Sekretarz skinął głową i wyszedł. Rothgar miał właśnie pójść w jego ślady, kiedy jego wzrok padł na portret matki.

Ciekawe, co zobaczyła w nim Diana? Jej diagnoza była zadziwiająco trafna. Czy powiedziała mu wszystko? I czy była w stanie stwierdzić, czy matka go kochała, czy może nienawidziła tak, jak matką Edith?

Rothgar przez wiele lat utwierdzał się w przekonaniu, że jest zimny, pozbawiony jakichkolwiek uczuć. Dzięki temu miał wrażenie, że tak bardzo różni się od swojej nadwrażliwej matki. Jednak wystarczyło, że brat poważnie zachorował, aby zatrzęsło to całym jego światem.

Spędził miesiąc przy łożu Cyna, pomagając mu walczyć ze śmiercią. Czasami miał wrażenie, że brat odpływa już do drugiego brzegu w łodzi Charona. Wówczas płakał z bezsilności.

Po miesiącu stan chorego poprawił się na tyle, że zaczął chodzić. Medyk powiedział, że nigdy czegoś takiego nie widział. Rothgar zaś przeżywał najszcześniejsze chwile swojego życia.

Nigdy później nie twierdził ani nie wmawiał sobie, że jest nieczuły. Osoby bliskie darzył bezgraniczną miłością. Safona mówiła mu o tym już wcześniej, ale nie chciał jej wierzyć.

A teraz Diana została członkiem rodziny. No, prawie, dodał po chwili.

Nie, znowu próbuje się oszukiwać. Uczucie do Diany było inne, nowe. Czy znaczyło to, że pokochał ją jako... kobietę?

Raz jeszcze spojrzął na portret. Nikt nie wpędził matki w szaleństwo. Musi pogodzić się z tym, że taka się urodziła.

Pogodzić i wyciągnąć konsekwencje.

21

Diana przesiedziała kolejnych parę minut nad prostym liścikiem od markiza. Czytała go już wczorajszego wieczoru, a teraz zasiadła nad nim niemal od razu po wstaniu. Nie sądziła, że można wyrazić tak wiele w zwykłych, konwencjonalnych słowach. Nie przypuszczała też, że taka nota może ją wzruszyć aż do łez. Był to jednak pierwszy list, który od niego dostała. Świadczyło o tym, że coś ich łączy. Ona co prawda dała markizowi swój pierścień, ale nie dostała niczego w zamian.

Hrabina uśmiechnęła się pod nosem. Z całą pewnością zrobił to świadomie. Nie chciał, by żywiła jakąkolwiek nadzieję. Ale liścik stanowił świadectwo tego, że o niej myśli. Przez moment chciała schować go jak najdroższy skarb, ale po namyśle zostawiła list na biurku między innymi papierami. Dzięki temu miała go wciąż na oku i mogła się nim nacieszyć do woli.

Markiz przypominał jej również o możliwości małżeństwa. Nie chciała jednak takiego rozwiązania.

Po dłuższym namyśle - miała teraz przecież mnóstwo czasu - zdecydowała, że musi zbadać problem szaleństwa w rodzinie Rothgara. On sam najwyraźniej bał się tego tematu, a przez to niewiele wiedział. Jeśli okaże się, że w rodzinie jego matki pełno było wariatów i dziwaków, wówczas od razu się podda. Żaden z portretów, które obejrzała w rodzinnej galerii, na to nie wskazywał. Nawet matka Rothgara wyglądała na osobę zdrową psychicznie, choć zastraszoną. Diana była pewna, że królewski dwór wprost roi się od plotek. Wbrew pozorom, niewiele się tu działo. Jeśli kogoś nie interesowały księgi, rzucał się w wir intryg i pomówień.

Tak, powinna odwiedzić którąś z tutejszych bibliotek. Z pewnością znajdzie tam informacje o przodkach Rothgara. Ale przez jakiś czas musi zachowywać się zupełnie konwencjonalnie. Nie może przecież wzbudzić podejrzeń królowej.

Z westchnieniem wyjęła z sakwojaża jedną z książek, które wzięła na drogę. Nawet do nich nie zajrzała ze względu na obecność Beya. Teraz będzie miała okazję przeczytać je wszystkie.

Tak, Bey! Przypomniała sobie sam początek podróży. Zupełnie nie zdawała sobie wówczas sprawy z tego, co się między nimi dzieje. Jednak markiz miał już pewne podejrzania. Ciekawe, czy gdyby się wówczas rozstali, jej uczucie wybuchłoby równie gwałtownie?

- Na pewno, na pewno - szepnęła do siebie.

Najpierw zaczęłyby tęsknić, a potem szukać pretekstu do ponownego spotkania. Przecież już wcześniej chciała się zobaczyć z Rothgarem i powstrzymywało ją tylko to, że mógłby potraktować ją z niechęcią.

Diana odniosła wrażenie, że lepiej niż kiedykolwiek rozumie teraz swoje motywy i zachowania.

- No, dosyć tego! - zganiła się już na głos i sięgnęła po pierwszą książkę, którą starała się czytać w podróży.

Był to „Porwany lok” Aleksandra Pope’a. Tekst zawierał bardzo trafny komentarz do tego, co działo się na dworze królowej Anny, pięćdziesiąt lat temu. Całość wydawała się niezwykle współczesna. Diana ponownie uśmiechnęła się do siebie przy lekturze następującego fragmentu:

„Tu znajdziesz fauny oraz nimfy z boru,
Wszystkich, co pragną zaznać uciech dworu,
Ich dni wypełnia uczona rozmowa,
Kto się ukłonił, kto kogo całował,
Ten mówi mądrze o królewskiej łasce,
Inny rozprawia o złoconej łasce,
Trzeci wyjaśnia twe spojrzenia, gesty,
I z każdym słowem mniej cnotliwa jesteś.”

Przy ostatnich słowach uśmiech zniknął z jej warg. To było ostrzeżenie. Już wcześniej myślała o dworskich plotkach, ale nie przyszło jej do głowy, że sama mogłaby stać się ich przedmiotem. A przecież wiele osób będzie ją obserwować, tylko po to, żeby później w towarzystwie rzucić jakąś złośliwą uwagę. Na dworze bardzo ceniono *bon moty*. Nawet wtedy, gdy mówiły nieprawdę.

Nagle opanowała ją tęsknota za północą. Ludzie tam nie zawsze byli uprzejmi, ale nie kryli swoich prawdziwych uczuć. Nikt nie udawał przyjaźni po to, żeby obgadać ofiarę za jej plecami.

Na dodatek, zakochała się w Rothgarze, który pochodził z południa Anglii. Jeśli nawet udałoby jej się złamać jego wolę i doprowadzić do małżeństwa, to mieliby sporo problemów z zarządzaniem majątkami. Przez chwilę zastanawiała się, jak to zrobić, ale w końcu przerwał jej jeden z paziów królowej.

Charlotte chciała widzieć Dianę w swoim salonie. Chłopiec nie wspomniał, dlaczego, więc oczekiwała wszystkiego najgorszego. Poprawiła „mysi” makijaż i wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Przed wyjściem zerknęła jeszcze na list od Beya.

- Odwagi - powiedziała do siebie.

Gdy pojawiła się w salonie, zastała tam również króla. Miała rację, monarcha nie zamierzał zwlekać z inkwizycją. Po krótkim powitaniu, król niemal natychmiast przeszedł do rzeczy:

- Czy wszystko w porządku, lady Arradale, co? - spytał.

- Najzupełniej, sire.

- To dobrze, co? - Pokiwał łaskawie głową. - Jesteś, pani, w niezwykle uprzywilejowanej sytuacji, ale - zawiesił głos - nie możemy zapominać, że jesteś przede wszystkim kobietą.

- Tak, sire - zgodziła się.

- Umysł kobiecy jest inny, co? - ciągnął król. - Kobieta nie jest w stanie zrozumieć tych samych rzeczy, co mężczyzna.

Przez moment miała ochotę zaprzeczyć i zobaczyć, co

się stanie. Bała się jednak że rozpętałoby się wówczas prawdziwe piekło.

- I odwrotnie, sire.

Łypnął na nią, chcąc sprawdzić, czy sobie z niego nie kpi. Ale Diana miała poważną i skupioną minę.

- Właśnie, co? Powszechnie wiadomo, że kobiety nie mogą, na przykład, nauczyć się łaciny czy greki - kontynuował wykład. - A jeśli nawet, niszczy to ich umysł. Nie są bowiem w stanie myśleć logicznie, działają pod wpływem emocji, co? Dlatego jest przeciw Boskiemu prawu, by decydowały w sprawach wagi państwowej. Na przykład to, co się działo w Koryncie prowadziło do czystego szaleństwa, co?

Miała ochotę odpowiedzieć w nienagannej grece, ale się powstrzymała.

- Rozumiem, sire.

Król wyglądał na zadowolonego.

- Więc sama przyznasz, pani, że twój list w sprawie miejsca w parlamencie nie był zbyt mądry, co?

- Tak, sire. - Mówiła szczerze. Dopiero teraz zrozumiała, że było szaleństwem dopominać się należnego jej prawa u Jerzego III. Popełniła wielki błąd, nie konsultując się z nikim w tej sprawie. Mogła przecież wywiedzieć się wcześniej, jakie zdanie ma na ten temat monarcha. Ale wówczas nie spotkałaby Beya i nie odbyłaby tej ekscytującej podróży.

Uważaj, Dianó, upomniała się w duchu. Pamiętaj, po co tu przyjechałaś.

- ...doskonałymi żonami i matkami - ciągnął król. Choć nie słuchała pierwszej części jego wypowiedzi i tak wiedziała, o czym mówi. - Ale brakuje im siły i zdecydowania i dlatego muszą szukać pomocy mężczyzn, co? Czyż wielki Hipokrates nie napisał, że „Kobiety są z natury słabsze i mniej odważne niż mężczyźni”?

Już chciała przytaknąć, co by zdradziło jej znajomość literatury klasycznej, ale w porę dostrzegła niebezpieczeństwo. Pomyślała, że odrobina oporu osłodzi monarsze zwycięstwo w tej jakże nierównej potyczce słownej.

- Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości. Kobiety rzeczywiście są słabsze, ale potrafią być też niezwykle odważne, kiedy bronią swych dzieci.

Chwyciło. Król uśmiechnął się z ukontentowaniem i skinął głową.

- Zaprawdę, pani! Odpowiedziałas, jak prawdziwa kobieta. Troska o potomstwo powinna być najważniejszym zadaniem kobiety, co? Jednak zbyt wielka fizyczna aktywność może doprowadzić do tego, że kobieta umrze przy porodzie albo urodzi potworki.

Diana chętnie by spytała, jak to się dzieje, że chłopki pracują w polu, noszą ciężary, a potem rodzą bez najmniejszych problemów zdrowe dzieci, jeszcze łatwiej niż większość pań z towarzystwa. Spuściła jednak oczy, udając, że ten temat ją krępuje. Jej udawana wstydlivość od razu przyniosła spodziewane rezultaty.

- Wybacz, pani, że poruszam takie tematy, ale... nic naturalniej szego, co? Kobieta powinna poświęcić się rodzinie. Ksenofont pisał, że kobieta jest stworzona do domowego życia, a mężczyzna do pozostałych funkcji. Jest przecież słaba, bezradna i nie umie korzystać z logiki, co? Widzisz, pani, już starożytni o tym wiedzieli.

Miała ochotę poprosić o pistolety i pokazać, jaka jest bezradna. Albo zmierzyć się z królem w jakimś zadaniu matematycznym. Jednak i tym razem poszła za radą Beya. Nie spytała nawet, co byłoby jedynie drobną złośliwością, czy ten Ksenofont był chrześcijaninem.

- Tak to wygląda, sire - potwierdziła.

Ale w rzeczywistości jest zupełnie inaczej, dodała w myślach.

Król rozpromienił się niczym słońce.

- Dobrze^A co? Kobiety są najszcześliwsze w domu, przy dzieciach. - Poklepał małżonkę po dłoni. - Tak, jak moja królowa. Chciałbym, pani, żebyś ty też była tak szczęśliwa.

- Dziękuję, sire.

Przede wszystkim powinna podziękować Beyowi za

próby, które z nią przeprowadzał. Musiała przyznać, że nadzwyczaj udatnie naśladował monarchę. A poza tym przygotował ją na wszelkie ewentualności.

Tylko nie na tę, że się w nim zakocha.

- ...wkrótce żoną, co? Będziesz wtedy znacznie szczęśliwsza, pani - zapewnił król.

Myślami wciąż była przy Rothgarze. Zrozumiała też, o co chodzi monarsze.

- Modłę się o to dzień i noc - wyznała żarliwie.

Król aż otworzył usta ze zdziwienia na widok jej gorliwości.

- Doskonale - pochwalił. - Cieszę się, pani, że zgadzasz się na mój wybór, co?

Dianie zrobiło się nagle ciemno przed oczami. Przecież niczego takiego nie powiedziała.

- Słyszałem, pani, że dobrze grasz, co? - ciągnął. - Może wobec tego uruczysz nas jakimś utworem. Chętnie posłuchamy z królową.

Diana z ulgą skłoniła się królewskiej parze i wycofała do klawesynu. To, co się stało, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Czy znaczyło to, że król już miał dla niej kandydata na męża?

Na szczęście mogła się ukryć, inaczej by zemdląła. Rzadko jej się to zdarzało. Miała ochotę uciec z salonu i zaszyć w swoim pokoju. Zagrała jednak prosty kawałek, pozwalając swobodnie wędrować swoim myślom. Szukała wyjścia z sytuacji, ale nic nie wskazywało na to, byje szybko znalazła. Może tylko liczyć na odwlekanie całej sprawy. Gdy królowa urodzi, zyska trochę na czasie. Będzie mogła zastanowić się nad strategią obrony.

Zmarszczyła czoło, a w jej oczach pojawił się smutek. Będzie musiała powiedzieć Beyowi o tym, co zaszło. Na pewno będzie bardzo rozczarowany. Może nawet wycofa się ze swojej obietnicy... Nie, wiedziała, że jest człowiekiem honoru i nigdy tego nie zrobi. To jej będzie przykro korzystać z jego pomocy.

Nie chciała, aby ich ślub był grą konwencji.
Pragnęła, by dla nich obojga oznaczał miłość i wierność.
Aż do ostatniego tchu.

Podróż do rodzinnej siedziby zajęła mu trzy godziny.
Był to doskonały wynik, ale musiał po drodze zmienić ko-
nia. Dzięki szybkiej jeździe mógł zapomnieć o kłopotach,
a także o czekającym go spotkaniu z Ellą Miller.

Biedna kobieta.

Może ucieszy ją przynajmniej to, że będzie teraz miała
stałą pensję pó mężu i dom do końca życia, pomyślał zsia-
dając z konia na dziedzińcu posiadłości w Abbey. Rozejrzał
się dokoła. Za sobą miał pałac, a przed sobą żyzne ziemie
Mallorenów. Czy nie lepiej by było zostać tutaj, zamiast
próbować wpływać na losy kraju? Przecież i tak, koniec
końców, potoczą się one swoim torem. Taki mały trybik jak
on może tylko chwilowo coś zatrzymać lub zmienić.

Jak zwykle podczas niezapowiedzianych wizyt, obstawili
go różnego rodzaju zarządcy, chcący przedstawić stan mająt-
ku. Wysłuchał wszystkich, a ponieważ wiedzieli już o śmierci
Millera, mógł ich po jakimś czasie pożegnać i skierować
do czworaków. Pani Miller była dzielną kobietą. Przyjęła
w milczeniu jego kondolencje i tylko jej puste oczy świadczy
o tym, że cierpi. Rothgar poinformował ją o wszystkim, co
postanowił, a następnie udał się do pałacu.

Rezydencja Mallorenów potrzebowała gospodarza lub...
gospodyni. Do niedawna to Elf pełniła tę funkcję, ale wraz
z małżeństwem musiała z niej zrezygnować. Markiz zde-
cydował w końcu, że napisze do paru kuzynek - starych
panien, z propozycją objęcia tej funkcji. Wybierał tylko te,
które mogły uznać to za zaszczyt.

Jednak, tak naprawdę, potrzebował żony. Tylko ona by-
łaby w stanie właściwie zadbać o jego interesy.

Wbrew swej woli pomyślał o lady Arradale i postano-
wieniu króla, by wydać ją jak najszybciej za mąż. Zdrowy
rozsądek podpowiadał mu, że nie zawleka jej do ołtarza

w czasie jego nieobecności, pragnął jednak trzymać rękę na pulsie. Postanowił zaraz wracać. Przedtem chciał przynajmniej zajrzeć do pałacu i trochę odpocząć.

Rozkazał przygotować świeże konie i poprosił o śniadanie do swego gabinetu. Zamierzał przejść do tej części pałacu, ale już na schodach zmienił zdanie i ruszył wyżej, do swoich dziecięcych apartamentów. Nie chodził tam od dziesięciu lat, od kiedy to Cyn i Elf przenieśli się do „dorosłej” części siedziby Mallorenów.

Zatrzymał się w korytarzu, który wydał mu się zapuszczony i nieprzyjemny. Nowe pokolenia dzieci nie będą już się tu wychowywać, pomyślał. Bryght zatrzyma syna w Candle Ford, a kto wie, co stanie się z dziećmi Cyna?

Wszedł do pokoju niemowlęcego, który upodobał się z czasem do zakurzonej rośliny. Pełno tu było zieleni i różu, ale wszystko to przytłumione i wyszarzałe. Nawet kołyski wydawały się przeznaczone dla starców.

Rothgar pchnął jedną z nich. Następnie podszedł do drugiej i ją również wprowadził w ruch. Pamiętał jeszcze, że wszystko w tym pokoju wydawało mu się większe. I tylko ta nowa istotka, z małymi paluszkami i wielkimi świecącymi oczami, wydawała mu się mniejsza i delikatniejsza od niego samego.

Czekał na chwilę, kiedy powie na niego „brat”.

Ludzie później mówili, że nie może niczego pamiętać, ale on przechowywał w głowie obrazy tego, co się stało. Widział matkę w szkarłatnej sukni, pochyloną nad kołyską. Nikt nie wiedział, dlaczego przyszła wówczas do pokoju maluchów, zamiast, jak zwykle, poprosić, by przyniesiono jej dziecko. Pamiętał, że kazała wyjść służbie, ale jemu pozwoliła zostać. Później często zastanawiał się, dlaczego to zrobiła. Dałby wiele, żeby wiedzieć, jakie ma zamiary przynajmniej parę minut wcześniej.

Starałby się krzyżeć. Protestować.

Matka po prostu podniosła małą Edith. Dziewczynka, być może wyczuwając jej nastrój, zaczęła płakać. Matka nie zważała na jej płacz. Nie zważała na nic. Po prostu usia-

dła z małą w fotelu i najspokojniej - Rothgar nigdy nie mógłby tego zapomnieć - zadusiła dziecko.

W pokoju nastąpiła cisza.

Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Przez chwilę patrzył na matkę, a potem rzucił się na nią, chcąc wydrzeć Edith z jej rąk. Ona jednak odepchnęła go z siłą wariatki, tak że poleciał przez cały pokój. Jęknął głucho, choć nie poczuł bólu. Przeszedł na czworakach do drzwi, otworzył je i wybiegł na korytarz.

Chciał krzyczeć, ale przerażenie ścisnęło mu gardło. Biegł do ojca, w nadziei, że on zajmie się całą sprawą. Jeszcze wtedy nie rozumiał, że mała Edith umiera. Być może, gdyby udało mu się wytłumaczyć znajdującym się w pobliżu służącym, co się stało, odratowaliby małą. Albo gdyby ojciec był gdzieś blisko...

Markiz wzdrygnął się i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Dotknął czoła i ze zdziwieniem stwierdził, że się spocił. Obie kołyski wciąż jeszcze się poruszały, chociaż pierwsza już tylko nieznacznie.

Za chwilę stanie.

Jej ruch zakończy się na zawsze.

Nie będzie już kolejnego pokolenia Mallorenów wychowującego się w tym domu.

Wyszedł z pokoju i skierował się na schody. Chciał już jechać do Londynu. Dopiero w holu przypomniał sobie o śniadaniu i wrócił na pierwsze piętro. Musi coś zjeść, jeśli chce szybko dojechać z powrotem.

Tylko po co? Żeby chronić Dianę? Przecież i tak nigdy nie zostanie jego żoną. Prawdziwą żoną, poprawił się w myślach. Kołyska na górze już na zawsze pozostanie pusta.

- Macierzyństwo jest prawdziwym cudem, lady Arradale - mówiła królowa. - Mam nadzieję, że już wkrótce się o tym, pani, przekonasz.

Znajdowały się w ogrodach królewskich. Roczny ksią-

zę był w centrum uwagi wszystkich dam dworu. Diana robiła dla niego właśnie wieniec ze stokrotek i, prawdę mówiąc, zupełnie nieźle się bawiła.

- Chciałabym mieć dzieci, najjaśniejsza pani - zapewniła Diana, która w dodatku wiedziała, kto powinien być ich ojcem.

Królowa zmarszczyła czoło.

- Lord Rothgar bardzo zmartwił mego męża - westchnęła. - Wiesz, pani, że nie chce mieć potomstwa?

Diana poczuła, że serce podskoczyło jej w piersi. Oto nadarzyła się wspaniała okazja, żeby poplotkować o markizie. Ciekawe, co inni sądzą na temat jego postanowienia?

- Słyszałam, że ma ku temu... powody - zauważyła.

Inne damy dworu przysłuchiwały się rozmowie, acz bez zaciekawienia. Prawdopodobnie temat ten nie należał tutaj do nowych.

- To prawda, jego matka zamordowała swoje drugie dziecko. - Charlotte aż wzdrygnęła się na myśl o tym. - Na pewno pokutuje za to w piekle. Ale lord nie powinien się tym tak bardzo przejmować.

Nie przejmować się? Matką w piekle? Królowa chyba zbyt wiele od niego wymagała.

- Zamordowała! - westchnęła tylko Diana-aktorka, udając omdlenie.

Królowa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Nie mówił ci o tym, pani?

Teraz przyszedł czas na udawane znudzenie i brak zainteresowania tematem.

- Och, znamy się bardzo mało, najjaśniejsza pani - wyjaśniła. - Tak naprawdę miałam okazję rozmawiać z nim tylko w podróży.

I to nie tylko porozmawiać, pomyślała, przypominając sobie wspólnie spędzoną noc.

- Och! - Królowa krzyknęła na widok małego księcia, który potknął się o jakiś kamień. - Chodź tutaj *herzlieb!* Pokaż mi swój wianuszek!

Malec „przyszedł” prowadzony przez dwie damy dworu. Jego matka zachwyciła się wianuszkami, a potem znowu włożyła mu go na głowę.

- Wiele kobiet na pewno zazdrości pani tej podróży, lady Arradale - dodała po chwili królowa. - Sporo jest takich, które oddałyby wszystko, żeby móc z nim...

- Po flirtować, najjaśniejsza pani? - spytała Diana, wymawiając z obrzydzeniem to słowo. Wciąż grała mniszkę. Kobietę nieprzywykłą do mężczyzn.

Charlotte spojrzała jej prosto w oczy, jakby chcąc sprawdzić, czy nie udaje. Następnie zacisnęła usta i przeniosła swój wzrok gdzieś daleko, poza ogród.

- Czy zaskoczyłoby cię, pani, gdyby to właśnie jego wybrał król?

W jej uszach zagrały weselne dzwony, a dusza wzleciała gdzieś pod niebiosa. Diana nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ślub wymuszony nie jest żadnym ślubem.

- Mój mąż uważa, że to doskonały pomysł - dorzuciła jeszcze królowa.

Diana ściągnęła brwi, udając, że się zastanawia.

- Ale dzieci, najjaśniejsza pani! - zauważyła, udając, że się przy tym czerwieni.

Królowa uśmiechnęła się do siebie.

- Porozmawiamy o tym... za rok. Nie chcesz chyba powiedzieć, pani, że markiz ci nie odpowiada? - Charlotte zgromiła ją wzrokiem.

Hrabina skłoniła się lekko.

- Nie, najjaśniejsza pani, ale...

- Żadnych „ale”. - Odprawiła ją machnięciem ręki. - Jesteś, pani, wolna.

Diana uniosła nieco suknię i oddaliła się tyłem. Stała się już całkiem biegłą w tej sztuce. Gdyby się potknęła, cały dwór śmiałby się z niej przez najbliższe tygodnie.

Miły nastrój związany ze spacerem pękł jak szklana bańka. Diana zaczęła krążyć po ogrodzie niczym lwica

w klatce. Parę razy, kiedy zbliżyła się do ogrodzenia, przyszło jej do głowy, że chętnie by stąd uciekła.

Między innymi dlatego, by przekonać Beya, żeby się z nią ożenił.

Z miłości, nie z obowiązku.

Przybyła tutaj, żeby udowodnić królowi, że nie stanowi zagrożenia dla kraju i że nie jest szalona. Miała nadzieję, że później zyska wolność. Nie spodziewała się, że król zechce ją od razu wydać za mąż. I to za człowieka, którego kochała z całego serca. Sytuacja stawała się niezwykle skomplikowana.

W dodatku, w jaki sposób ma o tym wszystkim powiadomić Beya?! Początkowo myślała, że po prostu napisze do niego list. Bała się jednak, że nie potrafi odpowiednio zaszyfrować wiadomości. Wybrała pseudonimy dla króla, królowej i D'Eona, ale oni dwoje ich nie mieli. Nie mogła przecież po prostu napisać: „Król chce, żebyś się ze mną ożenił... I ja też”.

Mogła co najwyżej wyzalić się Rosie. Potrzeba trochę czasu, żeby wieści dotarły do markiza.

Diana przystanęła przy krzaku róży. Był naprawdę piękny. Z przyjemnością dotknęła najpyszniejszego kwiatu i w tym momencie jego płatki posypały się jeden po drugim na ścieżkę.

Stała zaszokowana tym, co zrobiła. Jak to się mogło stać? Przecież chciała ją tylko pogłaskać.

Przykucnęła i pozbierała wszystkie płatki. Były przyjemne w dotyku i pachniały słodko, co zdziwiło ją, gdyż róże przyjeź zamku miały raczej słaby zapach. Pomyślała, że król i królowa też chcą dobrze. Gdyby mogli zobaczyć to zdarzenie, być może nie zdecydowałiby się jej swatać.

Musi napisać do Beya. Stojąc na ścieżce, zaczęła obmyślać pierwsze słowa listu. Po czym zaśmiała się i rzuciła płatki na wiatr. Niech lecą.

Rothgar kończył już pospieszne śniadanie i zerknął nawet miłościwie na projekty nowych liberii dla służby, kiedy zapowiedziano sir George'a Uftona. Mężczyzna wpadł jak pocisk do jego gabinetu. Nie był rumiany, jak zwykle, ale dziwnie blady.

- Na miłość Boską, jak dobrze, że wasza lordowska mość jeszcze tu jest!

Rothgar odsunął od siebie talerz i wstał. I tak nie miał już ochoty na śniadanie.

- Georgie! Mój syn, George, został aresztowany za kradzież koni!

Markiz wskazał starszemu Uftonowi miejsce, a następnie nalał mu brandy.

- Powiedz mi, panie, jak to się stało - poprosił.

Mimo wzburzenia Uftonowi udało się pokrótce streścić historię syna. Otóż George, który wybrał się na targ w Dingham, grał w karty z handlarzem końmi. Ojciec nie krył, że ma zamiar z nim o tym jeszcze porozmawiać. Kiedy przegrał, handlarz zażądał, aby w ramach spłaty długu, odstawił jego konie do sąsiedniej wioski. A kiedy Georgie się do tego zabrał, obwołał go koniokrądem. Miejscowy sędzia, Hadley Commons, z którym Uftonowie od dawna mieli na pieńku, chciał jak najszybciej zająć się tą sprawą.

Sir George dopił brandy jednym haustem i spojrzął błagalnie na Rothgara. Sprawa wymagała jednak zastanowienia. Markiz nie wątpił w niewinność młodego Uftona i nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodziło.

Chyba, że... Przypomniał sobie, że przed wyjazdem do Yorkshire to właśnie on przedstawiał Uftonów królowi.

D'Eona nie było wtedy wśród zebranych, ale Rothgar nie wątpił, że wiedział o wszystkim, co się z nim wiąże. W związku z tym mógł to być kolejny wymierzony w niego cios.

Oczywiście, nie było to nic szczególnego, ale musiałby znowu opuścić dwór królewski. Po zapadnięciu wyroku, cała sprawa zajęłaby mu znacznie więcej czasu. D'Eon nie mógł przypuszczać, że będzie akurat na miejscu.

Tym razem się przeliczył! Rothgar od razu odwrócił się od okna. Miał plan, jak wykorzystać to zdarzenie na własną korzyść.

- Pojadę z tobą panie i pomogę rozwiązać tę sprawę - rzekł do zmartwiałego szlachcica.

W oczach starego Uf tona pojawiły się łzy.

- Dziękuję, wasza lordowska mość. Bogu dzięki, że przyjechałeś dzisiaj do Abbey!

Rothgar skinął głową.

- To rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności - stwierdził.

Na zewnątrz dwaj służący czekali na niego z osiodłanym koniem. Rothgar zawahał się, przypomniawszy sobie Dianę. Będzie musiała na razie radzić sobie sama. Ta sprawa jest zdecydowanie ważniejsza.

Kiedy wjeżdżali do Dingham, poranny targ już dobiegł końca. Ludzie na wozach lub pieszo opuszczali właśnie miasteczko. Tłum rozstępował się niczym fale Morza Czerwonego, na widok chmurnego Rothgara jadącego w odkrytym koczku.

Przybywszy na miejsce markiz stwierdził, że sporo ludzi pozostało też w paru lokalnych szynkach, żeby uczciwie pomyślnie zakończyć interesy. Dzień targowy należał do najruchliwszych w miasteczku. Najwięcej też się tu wówczas działo. Dlatego sędzia urządował w najlepszej gospodzie i na miejscu ferował wyroki za złodziejstwo czy próbę przekupstwa.

Minęli kobietę, której właśnie wymierzano baty za jakieś przestępstwo i weszli do środka. Raz jeszcze ludzie rozstąpi-

li się na widok Rothgara. W gospodzie podniósł się szum, więc sędzia Commons uderzył młotkiem w stół przydialny.

- Cisza! Cisza!

Nagle dostrzegł markiza w towarzystwie George'a Uftona i jego usta ściągnęły się w jedną kreskę.

- Jak widzisz, panie, powstrzymałem się z sądzeniem George'a do twojego powrotu - zwrócił się do starego Uftona.

- Dziękuję, panie. - Sir George skłonił mu się, acz z niechęcią.

Sędzia spojrzął jeszcze na członków ławy przysięgłych, a potem na starszego mężczyznę, który stał przed sądem.

- Winny oszukiwania przy wazeniu - oznajmił. - Grzywna trzech szylingów z zamianą na dwadzieścia batów.

Starzec westchnął i wypłacił żadaną sumę. Nie opuścił jednak sali, tak jak to się zwykle działo w podobnych wypadkach. Do gospody napływali wciąż nowi ludzie, zaintrygowani obecnością Rothgara, który rzadko bywał w swoich włościach.

Wezwano młodszego Uftona.

- Czy wasza lordowska mość jakoś szczególnie interesuje się tą sprawą? - spytał nieufnie sędzia.

- Zawsze interesuję się sprawiedliwością - padła odpowiedź.

Rothgar wiedział, że może przejąć przewodnictwo. Nie chciał jednak tego robić. Wolał sprawdzić, kogo wybrał D'Eon. Z całą pewnością był to jakiś sprytny łotr. Może ktoś miejscowy...? Jeśli przyłapie go na gorącym uczynku, to zapewne będzie mógł go wykorzystać w przyszłości.

Dla dobra Diany, dodał w myśli.

Ciekawe, co się z nią teraz dzieje? I czy rozmawiała już z królem, czy tylko z królową? Wiele wskazywało na to, że Jerzemu nadzwyczaj się spieszyło z wydaniem jej za mąż. Rothgar znowu czuł tutaj robotę D'Eona.

Nie, teraz musi się skupić na procesie. Inaczej nie będzie w stanie zapobiec skazaniu George'a.

Młodzieniec wyglądał na przerażonego, chociaż robił wszystko, co mógł, żeby zachować godną postawę. Włosy miał rozpuszczone, a na policzkach ślady krwi, co znaczy-

ło, że nie poddał się tak łatwo. Kiedy dostrzegł ojca, na jego twarzy pojawiła się mieszanina wstydu i ulgi, co tylko dobrze o nim świadczyło.

Stary Ufton mógł być z niego dumny. Dumny ze swego syna...

Od razu głos zabrał oskarżyciel, czyli handlarz koniami, o nazwisku Stringle. Rothgar przyjrzał mu się uważniej. Nie, wcale nie wyglądał na łotra, co czyniło go szalenie wiarygodnym. Nie był też Francuzem, gdyż w Anglii wciąż traktowano ich nieufnie z powodu niedawnej wojny. Stringle miał przeciętny wzrost i wygląd i nosił porządne, acz podniszczone, ubranie. Mówił z zalem, jakby sam dziwił się temu, co zaszło.

Najpierw powołał trzech świadków, którzy powiedzieli, że młody Ufton rzeczywiście przegrał z nim w karty. Byli to miejscowi, którzy, jak się zdawało, niechętnie świadczyli przeciwko synowi sir George'a. Rothgar zastanawiał się, czy któryś z nich może być opłacony, ale stwierdził, że czas pokaże. Żaden z nich, w każdym razie, nie sprawiał wrażenia uczciwego człowieka.

Georgie słysząc to, pobladł. Zrozumiał chyba, że jest poważnie zagrożony, zwłaszcza, że za kradzież koni groził strycek. Oczywiście markiz wiedział, że nie dojdzie do najgorszego, wolał jednak na razie zachować spokój. Chciał przyłapać człowieka D'Eona, a na to trzeba było czasu.

Po wysłuchaniu świadków, głos mógł zabrać oskarżony.

- Chcę tylko powiedzieć, że tego nie zrobiłem, panowie sędziowie - zaczął drżącym głosem. - To prawda, że przegrałem, ale nie ukradłem konia. Ten Stringle powiedział mi, że-
bym go zaprowadził do Cobcott, a daruje mi część zapłaty.

Sędzia Commons zwrócił się do zebranych:

- Czy ktoś to słyszał?

Wszyscy milczeli.

- Byliśmy w stajni, panie sędzio - dodał nieśmiało młodziwiec.

- W stajni? Ale przecież Grigson zeznał, że prosiłeś, pa-

nie, o zwłokę, a Stringle odmówił, twierdząc, że musi jechać dalej. Wszedłeś więc, obiecując, że zaraz wrócisz z pieniędzmi. Stringle'a w ogóle nie było w stajni.

- Ależ był - upierał się Georgie.

Sędzia zwrócił się do przesłuchanych mężczyzn i wszyscy potwierdzili, że Stringle pozostał przy stole. Dopiero teraz Rothgar zauważył coś w rodzaju porozumiewawczych spojrzeń między jednym ze świadków a Stringlem i postanowił wkroczyć do akcji.

- Za pozwoleniem, panie sędzio - zwrócił się do sir Haldleya.

- Będę zaszczycony, wasza lordowska mość - odezwał się Commons, który wyglądał na człowieka pewnego winy podsądnego.

Rothgar spojrział na Stringle'a i zauważył na jego twarzy lekki niepokój. Pewnie nie spodziewał się jakichkolwiek problemów. Wszystko zostało tak dokładnie przygotowane.

Markiz zwrócił się do George'a:

- Powiedz, panie, czy kiedy pojawiłeś się w stajni, twój koń był już gotowy?

Na twarzy młodzieńca pojawiło się zdziwienie.

- Nie, panie. Przecież nie prosiłem, by go osiodłano.

- Więc sam to zrobiłeś?

- Tak, akurat nikogo tam nie było.

- To nie zajęło zbyt dużo czasu, prawda? - Rothgar ciągnął przesłuchanie.

- Nie, chociaż ktoś rzucił derkę na stos wraz z innymi, więc musiałem ją znaleźć - odparł coraz bardziej zdziwiony Ufton.

- A kiedy Stringle przyszedł do stajni?

- Gdy właśnie miałem wsiadać.

Rothgar skinął głową, a następnie zwrócił się do świadków:

- Jeśli pozwolicie, panowie, chciałbym wrócić na chwilę do wcześniejszych wydarzeń - powiedział. - Jak rozumiem, wszyscy graliście w karty?

Mężczyźni spojrzeli po sobie spłoszeni.

- Nie, wasza lordowska mość - odparł jeden z nich, czar-
niawy, wyglądający na włóczęgę. - Grałem tylko jaz Natem.

- A ile straciłeś?

- Ledwie parę szylingów, wasza lordowska mość. Gra
była bardzo wyrównana. Inaczej bym przecież nie grał.

- A ty, Nat, ile przegrałeś? - zwrócił się do drugiego
mężczyzny.

- Tyż mało - padła odpowiedź.

- Czyli najwięcej przegrał sir George. - Wskazał młó-
dzieńca. - Czy to znaczy, że grał głupio?

- Może trochę - odparł pierwszy, bardziej wygadany
mężczyzna. - Ale głównie, to miał pecha.

Rothgar przeniósł wzrok na Stringle'a.

- I to wielkiego - dodał.

Sala poczęła szemrać na te słowa, a Stringle rozejrzał się
niepewnie dokoła. Był tutaj obcy i znalazłby się w sytuacji
nie do pozazdroszczenia, gdyby okazało się, że oszukiwał.

Markiz uciszył wszystkich, podnosząc dłoń.

- Więc sir George wyszedł, a Stringle został, tak?

- Tak jest, wasza lordowska mość - potwierdziła cała
trójka.

- Jak długo?

To pytanie zdziwiło ich wszystkich. Tak, jakby nie my-
śleli o tym wcześniej. Jeden z nich znowu spojrzął na han-
dlarza koni, co tylko potwierdziło podejrzenia Rothgara.

- Nikt nie liczył czasu - rzekł z wahaniem pierwszy
świadek.

- No, no - dorzucił drugi.

- Chyba długo - wtrącił lisio trzeci. - Miał przecież cze-
kać na pieniądze.

Rothgar spojrzął na nich wszystkich surowo.

- Piliście coś w czasie gry? - zadał kolejne pytanie.

- No, piwo - odparł drugi ze świadków.

Pierwszy jedynie pokiwał głową.

- Rozumiem, o co chodzi, wasza lordowska mość. Tak,
musieliśmy wychodzić, żeby się wysikać. W czasie gry po-

wstrzymywały nas emocje, a potem sam pamiętam, że wychodziłem.

Markiz dostrzegł wyraźne ślady niepokoju na twarzy handlarza.

- A Stringle? - spytał.

Trzeci świadek rozglądał się dokoła, chcąc sprawdzić, czy może zaprzeczyć. Jednak pierwszy i drugi pokiwali głowami.

- Tak, wasza lordowska mość. Co najmniej raz - powiedział pierwszy.

- Jak długo go nie było?

- Parę minut. Właścicielka, pani Wilkins, nie pozwala sikać przy szynku.

Rothgar spojrział teraz na handlarza.

- Czy masz coś do dodania, Stringle?

Mężczyzna podniósł się z miejsca i położył rękę na sercu. Mimo, że był zdenerwowany, to panował nad emocjami.

- Jestem uczciwym człowiekiem - zadeklarował.

Sędzia Commons podrapał się po głowie. Wyglądało na to, że zupełnie się pogubił w trakcie przesłuchania. Dotarło do niego jednak, że to Stringle może być winny.

- To poważna sprawa - mruknął. - Ktoś musi zawisnąć.

W oczach Stringle'a pojawiła się panika. Nie przypuszczał zapewne, że może dojść do czegoś takiego. Rothgar stwierdził, że najwyższy czas zarzucić przynętę. Jeśli jej nie połknie, będzie wisiał.

- Sir George zabrał mojego konia - powtórzył Stringle.

- Ale go nie sprzedał - przypomniał mu Rothgar. - Może doszło do jakiegoś nieporozumienia? Może powiedziałeś coś, co on źle zrozumiał? - podsuwał mu kolejne możliwości.

- Nie przypominam sobie, wasza lordowska mość - zaczął Stringle, ale dostrzegł chyba groźbę czającą się w oczach markiza. - Ale... ale rzeczywiście dużo piliśmy. Mogło mi się coś pokręcić w głowie.

Sędzia Commons uniósł młotek.

- Więc dostaniesz bity za oskarżanie po pijanemu - oznajmił.

Rothgar spojrział na niego z kamienną powagą.

- To zwykłe nieporozumienie - położył nacisk na to słowo. - Lepiej dać temu spokój, panie.

Sędzia skurczył się pod jego wzrokiem.

- Niewinny - ogłosił łamiącym się głosem. - Następny. Rothgar wyszarpnął staremu Uftonowi rękę, którą ten *dat* ucałować i wskazał na jego syna.

- Zajmij się lepiej Georgem, panie - poradził.

Sam natomiast podążył za handlarzem, który usiłował śliznąć się z sali.

- Hej, Stringle! - zawołał.

Mężczyzna przystanął.

- O co ci teraz chodzi, panie? Czy chcesz się zemścić? Markiz pokręcił głową.

- Chcę cię odprowadzić bezpiecznie do stajni - oznajmił. - Chodźmyrazem.

Ludzie znowu się rozstąpili, robiąc im przejście. Część nawet patrzyła za nimi, ale wszystkich ciekawiła kolejna rawa o stręczenie.

Kiedy znaleźli się na brukowanej ulicy, Rothgar wziął go pod ramię. Dzięki temu miał pewność, że Stringle mu nie umknie.

- Oszustwo przy grze w karty i przekupienie świadków poważne zarzuty - stwierdził. - Właśnie ocaliłem ci życie. Stringle milczał.

- Znam człowieka, dla którego pracujesz - ciągnął. - To mało patriotyczne, prawda? Ale pewnie nie wiedziałeś, że w całej tej sprawie chodziło o to, żeby mnie dotknąć?

Handlarz spojrział na niego, ale nie odezwał się ani słowem. Rothgar musiał przyznać, że jest naprawdę dobry. Sam by go chętnie zatrudnił, gdyby miał pewność, że Stringle dochowa mu wierności.

- To nieważne. W każdym razie możesz mi pomóc w przyszłości.

- Ja tylko handluję końmi, panie - powiedział Stringle
- Dobrze, ale gdybyś miał zamiar robić to w Londynie...-
markiz zawiesił głos. - Interesuje mnie szczególnie bezpieczeństwo pewnej damy. Lady Arradale. Chcę wiedzieć, gdyby coś jej zagrażało.

Mężczyzna pobladł.

- Już wolę zniknąć, panie.

- Będzie ci bardzo trudno uciec przede mną.

Handlarz z trudem przełknął ślinę. Rothgar mówił spokojnie, ale groźba czaiła się w jego głosie. Stringle należał chyba do niezwykle inteligentnych ludzi, ponieważ od razu zrozumiał swoją sytuację.

- Kiedy będę wolny, po... wykonaniu zadania?

- Jak tylko lady Arradale odjedzie do siebie, na północ - obiecał. - A ty na pewno tego nie pożałujesz. Masz zwracać uwagę na nią i na Francuza, który nazywa się de Couriac. Wszystko jasne?

Mężczyzna pokornie schylił głowę.

- Tak, panie.

23

Po wydarzeniach w Dingham, Rothgar chciał jak najszybciej znaleźć się w Londynie. Tym razem podróż zajęła mu jeszcze mniej czasu. Kiedy dotarł do Malloren House przebrał się i od razu ruszył do pałacu. Król, który go przyjął, ani słowem nie zająknął się o Dianie. Natomiast raz jeszcze chciał z nim przedyskutować losy Dunkierki. Rothgar czuł narastającą złość. Monarcha nie był w stanie podjąć najważniejszej dla kraju decyzji, natomiast działał zdecydowanie, kiedy w ogóle nie powinien zabierać głosu.

Udało mu się w końcu wyjść koło czwartej. Ponieważ niedługo miał się zacząć obiad, nie mógł w tej chwili od-

wiedzie królowej. Pocieszał się tym, że zobaczy się z Dianą wieczorem. To im musiało wystarczyć.

Po powrocie do domu zjadł coś i ponownie zabrał się do pracy. Grainger i Carruthers przynieśli mu listy do podpisania, ale Rothgar zawsze lubił wiedzieć, co podpisuje. Choćby po to, żeby bez problemów wychwycić fałszerstwo.

Czekały na niego listy z towarzystw dobroczynnych, które popierał, a także zwykłe prośby i informacje od artystów i antykwariuszy. Jeden z nich donosił mu o klejnotach, które prawdopodobnie należały do króla Alfreda, i inny powiadamiał o odnalezieniu rodzinnego portretu, którego markiz szukał już od dawna.

Na koniec zajął się raportem na temat stanu ziem w koloniach, które nabył parę miesięcy temu. Szło mu kiepsko, ponieważ wraz ze zbliżaniem się pory audyencji, jego umysł coraz częściej zajmowała lady Arradale. Wreszcie jednak zdołał dokończyć lekturę i spojrzął niechętnie na puste biurko.

Praca oznaczała spokój ducha. Teraz nie miał nawet oręża, żeby bronić się przed myślami o Dianie.

W końcu, po krótkim namyśle wstał i przeszedł do pracowni, w której pracował Jean Joseph Merlin wraz ze swym pomocnikiem. Dobosz stał pozbawiony odzienia, a wiele z części mechanizmu leżało porozkładanych na białym płótnie.

- Kiedy skończycie?

Młody człowiek podniósł wzrok, w którym łatwo można było wyczytać rozdrażnienie. Nie lubił, jak mu się przeszkadzało w pracy. Jego ojciec był Anglikiem, ale matka Hamandką. - Za parę dni, panie - odrzekł. - Jak zauważyłeś, uszkodzenie nie było duże, lecz chcę sprawdzić cały mechanizm. Jest trochę rdzy.

- Ale żadnych innych uszkodzeń? - upewnił się Rothgar.

- Poza tym wszystko w porządku - zapewnił go Merlin, podchodząc do automatu. - To niezwykły mechanizm, panie. Szczytowe osiągnięcie Vaucansona. Nigdy nie widziałem tylu możliwości.

- Uruchomiłeś go? - Głos markiza zabrzmiał ostro.

- Oczywiście, że nie, panie - padła odpowiedź. - Wiedziałem zębaki i przekładnie. To mi wystarczyło.

- Przepraszam. - Rothgar nie mógł się powstrzymać, żeby nie pogłaskać chłopca po główce.

- Jest z wosku - wyjaśnił mechanik. - Prawdziwe arcydzieło. Wydaje się, że wprost oddycha. Prawdę mówiąc, można by osiągnąć ten efekt za pomocą miechów. Słyszałem nawet o automacie, który potrafi grać na flecie.

Markiz nie zastanawiał się zbyt długo nad odpowiedzią:

- Nie! Zostawmy to Bogu.

Merlin skłonił się lekko.

- Jak sobie życzysz, panie.

- Czy mogę ci pomóc?

- Jeśli chcesz, panie, możesz wyczyścić i wypolerować części - zaproponował mechanik.

Już wcześniej umówili się, że Rothgar co jakiś czas będzie pomagał mu w pracy. I teraz, mimo, że był dosyć zajęty, usiadł ze szmatką do stołu i zajął się czyszczeniem. Natychmiast poczuł się odprężony. Z przyjemnością dotykał chłodnego metalu, nie myśląc o problemach i niebezpieczeństwach. Kiedyś stwierdził, że gdyby popadł w niełaskę, chętnie zająłby się mechanizmami. Może z czasem doszedłby do mistrzostwa Merlina.

Na myśl o tym, że mógłby grzebać w zegarach, na ustach markiza pojawił się uśmiech. Ciekawe, jak długo by wytrzymał?

- Teraz, kiedy wojna się skończyła, mógłbyś odwiedzić Vaucansona we Francji - zwrócił się do Merlina.

Oczy mechanika aż błysnęły.

- Z największą radością!

- Zajmę się tym - ciągnął Rothgar. - Podobno Vaucanson zajmuje się też maszynami przemysłowymi i wojennymi.

Merlin natychmiast zrozumiał, o co mu chodzi.

- Nie obawiaj się, panie. Mam dobrą pamięć. Zapamiętam wszystkie szczegóły - zapewnił.

Markiz z uśmiechem powrócił do pracy. Wiedział, że

może na niego liczyć. Wyczyściwszy kolejną część, odwrócił głowę dziecka tak, by móc na nią patrzeć. Wyglądała trochę niesamowicie na odsłoniętym mechanizmie, ale on skupiał się na samej twarzy. Pełnej wdzięku i wewnętrznej siły. Te dwie cechy pozostały niezmienione. Nawet po latach Diana przypominała sobie z dzieciństwa.

Szkoda tylko, że jej sprawy nie można „naprawić” tak łatwo jak dobosza, pomyślał.

Wszystko zaczynało się coraz bardziej komplikować. Nawet, gdyby udało jej się wrócić do domu bez męża, to nie będzie mogła czuć się do końca bezpieczna. Król zawsze może na nią zwrócić uwagę.

Było jeszcze coś, o czym Rothgar myślał niechętnie. Ich wspólna noc obudziła w niej kobietę. Diana miała teraz trzy wyjścia. Mogła przez resztę życia wytrwać w cnotcie. Mogła wyjść za mąż albo też brać sobie kolejnych kochanków. Wszystko wskazywało na to, że zdecydowała się na ślub. Szkoda tylko, że właśnie z nim... Jednak Rothgar musiał przyznać, że gdyby nie obawa przed potomstwem, chętnie pojąłby Dianę za żonę. Wciąż czuł pokusę, żeby ją w ten sposób wybawić od królewskich zakusów.

Tylko, co poczną dalej? Jak będzie wyglądało to ich dziwne małżeństwo?

Wciąż czuł na sobie wzrok dziecka. Chłopiec patrzył na niego swymi woskowymi oczami tak, jakby widział go na wskroś. Jednocześnie zdawał się coś mówić, jakby wzywał go, żeby usłuchał głosu natury.

- Nic z tego - mruknął Rothgar i dopiero, kiedy zobaczył zdziwiony wzrok Merlina i jego pomocnika, zrozumiał, że powiedział to głośno.

Czyżby to były pierwsze objawy szaleństwa?

Po chwili mężczyźni powrócili do pracy, a markiz mruknął porozumiewawczo do dobosza, jakby dzielił z nim jakiś sekret. Och, gdyby mógł mieć takiego syna! A chłopiec zdawał się mówić, że wszystko możliwe i że przy odrobinie odwagi osiągnie to, czego pragnie.

Znowu zamierzał wejść z nim w głośną polemikę, ale na szczęście w porę się powstrzymał. Spojrzał na Merlina i jego pomocnika. Obaj pochylali się nad jakąś zębatką, którą chcieli naoliwić.

To pozwoliło mu raz jeszcze rzucić okiem na chłopczyka. Tym razem wydał mu się tak załosny, że chciał podejść i pogłaskać go po główce. Dostrzegł nawet w jego oczach łzy, co było zapewne kolejnym przejawem obłędu.

Markiz westchnął głośno.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Po chwili pracowni pojawił się Carruthers, któryż niepewną miną oznajmił mu, że przybył posłaniec z nowymi listami. Jego ludzie wiedzieli, jak bardzo nie lubił odrywać się od tej pracy.

Tym razem jednak przyjął wiadomość jak wybawienie. Wychodząc, zerknął jeszcze na dobosza i poprzysiągł sobie, że jeśli Diana jest w ciąży, to natychmiast zaproponuje jej ślub. Nie mógł dopuścić do tego, by jakiegokolwiek dziecko miało płakać z jego powodu.

Następnie przeszedł do gabinetu, gdzie czekały na niego kolejne przesyłki. Zwłaszcza jeden list był dosyć ważny. D'Eon skarżył się w nim na „nieodpowiedzialne zachowanie de Couriaca” i prosił, by „natychmiast odwołano go do Paryża”. Znaczyło to, że de Couriac co prawda podlegał ambasadorowi, ale działał też na własną rękę. Zapewne był członkiem oficjalnego wywiadu Francji, a nie tego, stworzonego przez hrabiego de Broglie. Z listu wynikało również, że D'Eon nie odpowiadał za napad na drodze.

To była zła wiadomość. Zawsze lepiej mieć jednego przeciwnika niż dwóch. Chociaż z drugiej strony, można to było również obrócić na własną korzyść.

Markiz nie mógł znaleźć w piśmie informacji o miejscu pobytu de Couriaca. Wiele jednak wskazywało na to, że schronił się w ambasadzie. W takim wypadku usługi Stringle'a mogą się okazać nieocenione.

Długo siedział za biurkiem, zastanawiając się nad całą sytuacją niczym nad skomplikowaną partią szachów.

Przerwał mu dopiero Carruthers, który przyszedł, żeby przypomnieć mu o wieczornym przyjęciu. Markiz sam je wydawał, żeby spotkać się z tymi, którzy go lubili i... nie-nawidzili.

Przebrał się więc w czarny surdut, który doskonale pasował do jego nastroju. Włożył jasne pończochy i krótkie spodnie, a głowę przystroił wielką pudrowaną peruką. Jedynie kamizelkę miał kolorową i bogato zdobioną.

Tak wystrojony przeszedł do sali przyjęć i zarządził otwarcie drzwi. Ponieważ w zeszły piątek nie było go jeszcze w Londynie, tym razem liczba gości przeszła najśmielsze oczekiwania. Większości jednak chodziło o to, by wyrazić swój szacunek lub poparcie. Parę osób przyszło z prośbą o wstawienie się do króla w ich sprawie. Rothgar wyjaśnił, że robi to niezwykle rzadko, ale zebrał ich petycje, żeby zapoznać się z nimi w ciszy i spokoju.

W ten sposób minęła ponad godzina. Niektórzy goście dostali zaproszenie na skromny posiłek, po którym mieli się wspólnie wybrać do króla na pokaz francuskiego automatu. Markiz miał nadzieję, że spotka się wówczas z Dianą. Przypomniawszy sobie, że ten sam surdut i kamizelkę nosił na balu w Arradale rok temu. Hrabina natomiast wystąpiła w czerwonej, jedwabnej sukni, co dało niezwykle interesujący kontrast.

Kiedy już raz o niej pomyślał, nie mógł przestać. Przypomniawszy sobie ich rozmowy, a także flirt, który rozpoczął. Chciał wy badać, czy nie należy do kobiet łatwych. Z jej zachowania wówczas wnosił, że nie. Resztę powiedziała mu spędzona razem noc.

Jak dobrze, że nie uległa mu rok temu! Wtedy z całą pewnością zrozumiałaby opacznie jej decyzję.

Sam zresztą nie wiedział, co zrobiłby, gdyby mu się wówczas oddała. Już wtedy spostrzegł, że jest nietuzinkowa. Co jej wówczas powiedział? Gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie, pani, to jestem do twojej dyspozycji? Tak, chyba coś takiego.

Teraz te słowa nabrały zupełnie nowej treści. Tak, był

do jej dyspozycji! Nie mógł dopuścić, żeby **stała** się jej jakakolwiek krzywda!

Po chwili usłyszał chrząknięcie. To Walpole patrzył na niego ze zdziwieniem. Pewnie znowu czegoś nie dosłyszał.

- Właśnie myślałem, panie, o tym, jak błahe zdarzenia i słowa nabierają nagle zupełnie nowego znaczenia - wyjaśnił.

- Tak, tak zdarza się polityce - zgodził się Walpole. - Coraz częściej mam wrażenie, że to przypadek rządzi światem.

Polityka! Jemu chodziło o życie, a Walpole wciąż miał w głowie tylko politykę!

- Właśnie, panie. A my tylko próbujemy nim kierować. Na przykład wojna z Francją...

Ponieważ rozmyślał o Dianie, zaczął rozmowę o sytuacji kraju. Dawał przy tym delikatnie do zrozumienia, że doświadczony Ludwik XV wciąż stanowi zagrożenie dla Francji i że D'Eon jest jednym z jego najsprytniejszych ludzi. Słowa te padały na podatny grunt, ponieważ wielu obecnych na przyjęciu arystokratów było królewskimi ministrami.

Wraz z upływem czasu coraz częściej zerkał na wielki stojący zegar. Liczył minuty do wyjścia. Miał nadzieję, że wszyscy będą zajęci automatami i że uda mu się zamienić parę słów z Dianą.

Na razie musi mu to wystarczyć.

Fred Stringle zostawił konia w stajni przy ambasadzie i zapukał do drzwi kuchennych. Kiedy mu otworzono, podał swoje nazwisko i powiedział, że chce mówić z kawalerem D'Eonem.

- A niby czemu miałby cię przyjąć? - zapytała bezczelnie służąca. - Zresztą i tak ma zaraz wyjechać do Buckingham Palace.

Stringle pchnął ją i wszedł do środka.

- Po prostu przekaz, co powiedziałem - mruknął.

Kobieta wyszła niechętnie, ale powróciła nadzwyczaj żwawo. Szybko też poprowadziła go do prawego skrzydła ambasady, gdzie znajdowały się apartamenty panów.

No i co? Dlaczego tutaj przyszedłeś? - spytał go wystrojony w koronki, jedwabie i lśniące orderzy D'Eon. - Przecież miałeś trzymać się z daleka od ambasady! Stringle rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Mam problemy, panie.

Do sali weszło dwóch służących, niosących wielką perukę z włosami poskręcany w loki.

- Możesz mówić, nie rozumieją po angielsku - rzucił D'Eon. - Co, nie dało się w nic wciągnąć młodego Uf tona?

- O tak, panie. Udało się oskarżyć go o kradzież koni. I byłby wisiał, gdyby nie ten piekielny markiz.

Francuz, który przymierzał perukę przed lustrem, spojrział na niego z nagłym błyskiem w oku.

- Rothgar?! Przecież jest w Londynie!

Stringle pokręcił głową.

- Dziś rano był w Dingham i narobił mi masę kłopotów. Oczy D'Eona zwięziły się w szparki.

- Więc dlaczego jesteś tutaj? Miałeś nie przychodzić do Ambasady - przypomniał mu raz jeszcze.

Handlarz schylił lekko głowę.

- Nikt mnie nie śledził, panie, jeśli o to chodzi - zaczął wyjaśnienia. - Tam na miejscu zrobiło się bardzo gorąco. Ten markiz chyba... coś podejrzewał. Pewnie chciał się dowiedzieć, kto mnie wysłał. Dlatego wymknąłem mu się i uciekłem tutaj.

To było mądre posunięcie. D'Eon i tak by odgadł, że Rothgar chciał go wybadać. Stringle uprzedził w ten sposób następne pytanie.

- I tak się domyśli - mruknął Francuz, a potem znowu zwrócił się do lustra. - Dobrze, zostań tu na razie. Możesz mi się przydać, bo... czterech moich ludzi wyjechało nagle w ważnej sprawie.

W Dingham sporo mówiło się o napadzie na markiza i Stringle znał tę historię.

- Wiem, panie.

Znowu rozsądny ruch. Udawanie czegoś więcej poza-

tym, co konieczne, było zupełnie niepotrzebne. D'Eon słysząc te słowa, rozluźnił się nieco.

- Służąca pokaże ci pokój - zakończył rozmowę. - I trzymaj się ode mnie z daleka, dopóki cię nie poproszę.

Stringle skłonił się teraz głębiej i wyszedł. Cieszył się w duchu, że D'Eon nigdzie go nie wysłał. Wiedział, co to może znaczyć i bał się tej chwili. Tutaj, w ambasadzie, najlepiej spełni swoje zadanie.

D'Eon skierował się w stronę stajni, rozważając całą sytuację. Był rozczarowany, ale tylko trochę. Zastawił na markiza szereg pułapek, licząc na to, że odwróci na jakiś czas jego uwagę, nie oczekiwał jednak, że wszystkie okażą się skuteczne. Plan Stringle'a wydał mu się nadzwyczaj sprytny. Gdyby się powiódł, Rothgar spędziłby parę dni ratując młodego Uftona od stryczka.

Tyle by mu wystarczyło. Przecież w czasie nieobecności markiza już prawie udało się wmówić królowi, że utrzymanie fortyfikacji Dunkierki dobrze służy Anglii! Tak niewiele trzeba, by odnieść pełny sukces.

Intryga, do której wykorzystał de Couriaca, wydawała mu się jeszcze lepsza. Cóż, skoro ten bałwan nie wywiązał się z zadania. Co więcej, skierował podejrzenia na Francję. A tak, byłby jedynie zazdrosnym mężem, którego trochę poniosły nerwy. Nie chodziło przecież o śmierć Rothgara, a tylko o oddalenie go od dworu.

D'Eon zatrzymał się na chwilę, obserwując zniżające się słońce, a potem spojrział na południe. Gdzieś tam była jego ukochana Francja. Miał nadzieję, że wróci do kraju z tytułem szlacheckim, opromieniony sławą pogromcy Jerzego III.

To wciąż ^{est} osiągalne. Musi się tylko pozbyć markiza.

Nagle zza budynku wyłoniła się jakaś postać i zastąpiła mu drogę. D'Eon natychmiast wyciągnął szpadę, ale stojący przed nim mężczyzna nie miał zamiaru walczyć.

- De Couriac?

- Tak, to ja - odparł człowiek w łachmanach z rękoprzestaną bandażem.

D'Eon schował szpadę do pochwy i zaciągnął de Couriaca w stronę najbliższych budynków. Stamtąd przemknęli do ambasady.

- Co tutaj robisz? Szukają cię w całej Anglii.

- Dlatego przyjechałem tutaj - stwierdził de Couriac, łapiąc oddech. - Do ambasady nie wejdą.

- Mogłeś wracać do domu - syknął D'Eon, sunąc ostrożnie do swego gabinetu.

W końcu znaleźli się za solidnymi, dębowymi drzwiami. De Couriac był wynędzniały. Jego strój przypominał obszarpane szmaty.

- Nie sądzisz, że obstawili porty? - Ton de Couriaca był niechętny, nawet wrogi. Mówili sobie na „ty”, bo żaden nie chciał się przyznać, że drugi przewyższa go rangą. Należeli do drobnej szlachty i obaj aspirowali do arystokratycznych tytułów.

Po wpadce z Currym, D'Eon posłał do Paryża po prawdziwego fechtmistrza, takiego, który bez problemów sprostałby markizowi. Chodziło o to, żeby go tylko zranić, ponieważ zabicie Rothgara uznano by zapewne za akt wrogości wobec Anglii. Ale de Couriac nie wywiązał się ze swojego zadania. Nie dosyć, że nie doprowadził do pojedynku, to jeszcze napadł na markiza. I jak to się stało, że nie pomogła mu najlepsza aktorka z królewskiego teatru? Przecież bez trudu potrafiła zmienić się z Kopciuszka w prawdziwą Messalinę.

I jakim cudem w ogóle doszło do napadu? D'Eon domyślał się, że de Couriac otrzymał oddzielne rozkazy z Francji. Ciekawe, czy osoba, która je wydała, wiedziała na co naraża ich kraj?

- Dlaczego nie odbył się pojedynek? - D'Eon rozpoczął przesłuchanie.

- Z powodu jednej wścibskiej suki, hrabiny Arradale.

Nie była to odpowiedź godna szlachcica, ale też wcale w tej chwili na niego nie wyglądał.

- Dobrze, a napad? Przecież nie wydałem takiego rozkazu!
- Rozkaz pochodził od króla. - De Couriac wyprostował się nieco.

Czy to możliwe? Przyjaciele z Paryża ostrzegali go, że może popaść w niełaskę. Nawet sam de Broglie o tym wspominał. Ale z drugiej strony D'Eon miał listy od samego monarchy, a w nich wyrazy poparcia.

- Mimo to, powinieneś skonsultować to ze mną! - warknął. De Couriac aż poczerwieniał na twarzy.

- Powiedziałem przecież, że rozkaz pochodził od samego króla!

D'Eon położył dłoń na rękojeści szpady. Rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi, ale czuł, że miarka się przebrała.

- Co takiego?! Może myślisz, że jesteś mi równy rangą?! Może uważasz też, że wygrałbyś ze mną w pojedynku?!

De Couriac miał co prawda opinię doskonałego fechtmistrza, ale D'Eon znał swoje możliwości. Wiedział, że każdego można pokonać. Gdyby chciał, pewnie słynąłby jako doskonały szermierz, ale wolał utrzymywać swoje umiejętności w tajemnicy. Ci, którzy je poznali, zabrali tajemnicę do grobu.

Mężczyźni przez moment mierzyli się wzrokiem. W końcu de Couriac pochylił nieco głowę.

- Przepraszam, jeśli cię obraziłem, monsieur - bąknął.

D'Eon rozkoszował się tą chwilą. Uwielbiał władzę i wszystko, co się z nią wiązało.

- W porządku. Powiedz teraz, co to były za rozkazy.

- Żeby wyeliminować markiza.

- Ale z gry - uzupełnił D'Eon.

De Couriac potrząsnął głową.

- Nic tam nie było na ten temat.

- Wobec tego przyjmujemy, że tylko z gry. - Spojrzał groźnie. - Jasne?

Po chwili de Couriac znowu skinął głową.

- Tak jest.

D'Eon przyglądał się przez chwilę podwładnemu.

- Powiedz jeszcze, jak to się stało, że Rothgar zabił aż czterech twoich ludzi? - spytał o rzecz, która od dawna go ciekawiła. - Wydaje się to mało prawdopodobne.

De Couriac skinął ponuro głową.

- Bo jest - rzekł niechętnie. - To ta lady Arradale.

- Co takiego?! - roześmiał się D'Eon. - Użyła swojego wachlarza?

- Nie, pistoletu - mruknął de Couriac. - To ona zabiła Guya i Rogera. To byli nasi najlepsi ludzie. Od lat pracowali w Anglii.

D'Eon spoważniał nagle, a na jego czole pojawiły się dwie pionowe kreski.

- Dobrze, a to? - Wskazał obandażowane ramię.

De Couriac nagle opadł z sił. Na jego twarzy widać było zmęczenie i zniechęcenie.

- Susette mnie dźgnęła w czasie kłótni. Miała nieposkromiony temperament i nie mogła znieść tego, że nie wywiązała się z zadania. Oczywiście musiałem ją zabić. - Zaciśnął pięści, a w jego oczach pojawiły się łzy. - Markiz i hrabina zapłacą mi za to. Była moją przyjaciółką...

D'Eon czuł, że ma dosyć komplikacji jak na jeden wieczór.

- W porządku, odpocznij teraz, a potem porozmawiamy - powiedział. - Spieszę się do króla. Jeśli chcesz, możesz dostać następne zadanie. Tylko musiałyś zmienić wygląd.

De Couriac położył rękę na sercu.

- Jestem mistrzem przebrania - stwierdził. - Występowałem nawet w teatrze.

- Świetnie, możesz więc nawiązać znajomość z lordem Randolphem Somertonem. Uwielbia hazard i często można spotkać go w domu gry „U Lucyfera”. Nie rób nic bez dalszych poleceń - rzucił na koniec i wyszedł.

Zrezygnował z oględzin koni i kazał służbie, by jak najszybciej podstawiła kapiący od złota powóz pod główne wejście do ambasady. Przez chwilę zastanawiał się, czy już przyszedł czas, żeby pozbyć się de Couriaca. Stwierdził jednak, że na razie nie może go zabić, bo, między innymi

z jego powodu, ma do dyspozycji za mało ludzi. Przyjdzie moment, kiedy monsieur de Couriac będzie się musiał udać w drogę za swą przyjaciółką-aktorką. A może lepiej zażądać odesłania go do Francji?

D'Eon sam nie wiedział, co robić. Czuł, że pełnienie obowiązków przychodzi mu z coraz większym trudem. Wydawał masę pieniędzy i angażował się w przedsięwzięcia, które spełzały na niczym. Gdyby nie łaskawe listy Ludwika XV, z pewnością zastanowiłby się głębiej nad swoją sytuacją. Król doceniał jego pracę i chciał, żeby D'Eon pełnił nadal obowiązki ambasadora.

Musi jednak zyskać większy wpływ na Jerzego III, co znaczy, że powinien unieszkodliwić lorda Rothgara.

Lady Arradale, pomyślał i przypomniał sobie cichą i szarą arystokratkę z prowincji. Może uda mu się wykorzystać ją do tego celu.

24

Kiedy Rothgar pojawił się w apartamentach królewskich, ze zdziwieniem spojrzął na kłębiący się tam tłum gości. Królewska para rzadko zapraszała większą liczbę osób do Buckingham Pałace, który uważała za swój dom. Już po chwili zorientował się, że nie chodzi nawet o francuski automat, lecz o to, by przedstawić Dianę londyńskiemu towarzystwu. Być może okaże się, że któryś z gości doskonale nadaje się na jej męża. O, choćby Somerton, Crumleugh czy Scrope.

Po moim trupie, pomyślał Rothgar, patrząc groźnie na zgromadzonych na sali kawalerów. Następnie przeszedł do króla i królowej, by złożyć im swoje uszanowanie.

Od razu zauważył pasterza i pasterkę, których podarował królowi w zeszłym roku. Automat stał odsłonięty, jakby stanowiąc wyzwanie dla Francuzów. Rothgar był pew-

ny, że D'Eon obejrzał go sobie dokładnie w czasie częstych wizyt w pałacu i na pewno sprowadził z Francji coś bardziej skomplikowanego. Żałował, że nie ma jego dawnej pagody, czy choćby dobosza, które na pewno przyćmiłyby dar francuskiego monarchy.

Rothgar uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, że prowadzi wojnę na automaty. Ale tak właśnie było. Polityką rządził przypadek, a także zmienny królewski gust. Chodziło o to, żeby zjednać sobie jak największą przychylność Jerzego III. Oczami duszy widział mechanizm złożony z francuskiego i angielskiego szermierza, walczących przy dźwiękach muzyki.

Przechodził dalej, starając się nie sprawiać wrażenia, jakby kogoś szukał. Zresztą i tak wypatrzył ubraną na zielono Dianę zanim jeszcze wszedł do sali. Teraz musiał tylko przywitać się z przybyłymi arystokratami. Gdyby podzielił się z nią od razu, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Po jakimś czasie znalazł się blisko grupki, w której stał. Zauważył, że się uśmiecha, ale jest błada. Mógł to być jednak nakładany na twarz puder. Musi to sprawdzić, ale nie teraz. Zwłaszcza, że zauważył, iż król przyzywa go gestem.

- Lady Arradale bardzo się nam podoba, co? - oznajmił monarcha. - Z pewnością będzie doskonałą żoną.

- Oczywiście, sire - potwierdził Rothgar.

Diana musiała świetnie grać swoją rolę. Prawda jednak była taka, że większość mężczyzn nie potrafiłaby znieść jej niezależności i dumy.

- Królowa jest nią zachwycona - ciągnął Jerzy. - A poza tym, powiem ci, panie, w sekrecie, że lady Arradale uwielbia dzieci. Za parę tygodni na pewno będziemy tańczyć na jej weselu, co?

Rothgar zdziwił się, widząc utkwiony w siebie wzrok monarchy. O co mogło mu tak naprawdę chodzić? I dlaczego informował go o tym wszystkim?

- Bez wątpienia, najjaśniejszy panie.

Król potarł policzek i powtórzył parę razy „co?”, wyraźnie z siebie zadowolony. Potem wziął jeszcze Rothgara pod rękę.

- Poza tym, lady Arradale zgodziła się, że jeśli nie zdoła znaleźć sobie narzeczonego, zda się na nas, co?

Rothgar poczuł, że krew w nim się burzy. Miał ochotę wyszarpnąć ramię, ale zapanował nad tym odruchem. Zastanawiał się, czy Diana nie zagrała swojej roli aż za dobrze

- Jednak oboje z królową wolimy, żeby sama wybrała sobie męża - ciągnął król. - Musi poznać kawalerów, po rozmawiać z nimi, co? I tak dalej.

- Wasza Królewska Mość chce powiedzieć, że potrzebuje czasu - podsunął mu Rothgar.

- Trochę czasu. - Król położył nacisk na pierwsze słowo. - Ale też i okazji. Jakiegoś balu, co?

- Co takiego, sire? - Rothgar bezwiednie powtórzył słynne, królewskie „co?”. - Tu, w pałacu?

- Nie, nie tutaj. - Król pokręcił głową. - Królowa potrzebuje spokoju, co? Chcieliśmy cię właśnie prosić, panie o przysługę...

Rothgar dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi. Miał zorganizować bal, na którym Diana powinna sobie znaleźć męża! To dobrze, że król zwrócił się z tym do niego. Mallorenowie znani byli zresztą ze wspaniałych przyjęć.

- Może bal maskowy, najjaśniejszy panie? - zaproponował. - To ostatnio bardzo modne.

Monarcha aż się do siebie uśmiechnął na myśl o balu maskowym. Markiz odgadł, że sam zechce w nim wziąć udział. To byłby niezwykle zaszczyt dla całej jego rodziny.

- Świetny pomysł. Jak szybko może się odbyć, co?

- Za dwa tygodnie, sire. - Chciał dać Dianie jak najwięcej czasu.

Król potrząsnął głową.

- Nie, nie, szybciej! Za dwa tygodnie nie będzie księżyc w pełni - przypomniał mu. - W poniedziałek przypada pełnia, co?

Rothgar uniósł brwi ze zdziwienia.

- To bardzo krótki termin, sire.

- Nie mów panie, że sobie nie poradzisz, co? Przecież dokonywałeś większych cudów.

Wyraz twarzy monarchy wskazywał, że nie należy mu nic przeciwstawiać. Markiz już dawniej zauważył, że król jest bardzo stanowczy w kwestiach codziennych, natomiast mało zdecydowany w sprawach państwowej wagi. Być może wynikało to z jego wieku i braku doświadczenia.

- Dobrze, najjaśniejszy panie - zgodził się. - Ale pod warunkiem, że skorzystam z dekoracji, które widziałeś już wcześniej.

Król jedynie machnął ręką, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma o czym mówić.

- Ależ oczywiście, oczywiście. Przecież chodzi o to, żeby przyciągnąć zalotników do lady Arradale, co? To ona będzie dodatkową dekoracją, cha, cha - zakończył zadowolony ze swego konceptu.

Ponieważ inni goście czekali w kolejce, Rothgar przesunął się dalej. Cały czas zastanawiał się nad królewskim planem. Dalby wiele, żeby znać myśli monarchy. Chciał od razu pójść do Diany, ale stwierdził, że ma na to jeszcze czas. Zaczął się więc przechadzać przy orkiestrze i tam natknął się na nowego protegowanego królowej, dyrygenta o nazwisku Bach.

Przywitał się z nim serdecznie. Znali się, ponieważ markiz zamawiał u niego wcześniej utwory. Polecił też skopować część partytur organowych jego ojca. Ta muzyka miała w sobie coś klarownego i dystyngowanego, poprosił więc teraz Bacha, żeby zagrał jeden z tych utworów transkrybowany na orkiestrę.

Potrzebował tego, żeby móc jasno myśleć.

- Oczywiście, panie - Bach skłonił mu się lekko. - Królowa również bardzo lubi utwory mojego ojca.

Chciał się już odwrócić do orkiestry, ale Rothgar powstrzymał go, ponieważ przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- A jak ci idzie, panie, praca nad kantatą do słów, któ-

re ci przekazałem? - spytał. - W poniedziałek wydaję bal maskowy i chciałbym ją wykorzystać.

- Czy wasza lordowska mość chce ją wystawić na scenie?

- Właśnie. I to w odpowiedniej oprawie.

Oczy Bacha błysnęły zainteresowaniem.

- Zaraz, zaraz, muzyka w zasadzie jest już gotowa - mówił na poły do siebie, a na poły do markiza. - Awykonawcy? Czy król zgodzi się na udział dworskich wykonawców?

- Z całą pewnością - zapewnił go Rothgar.

- To wspaniale! - ucieszył się muzyk. - Wobec tego wszystko będzie gotowe na poniedziałek.

Markiz podziękował mu i ruszył dalej przy pierwszych taktach utworu Bacha-ojca. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pożałuje tego, co zrobił. Muzykę do tłumaczenia Jana Jakuba Rousseau zamówił pod wpływem impulsu. Miał to być prezent dla Diany. Teraz, kiedy wystawi kantatę na scenie, uczyni lady Arradale najważniejszą osobą wieczoru. Kto wie, jakie będą konsekwencje? Para królewska zapewne i tak rozpuściła już wici o „pannie na wydaniu”, więc dobrze będzie przypomnieć wszystkim o sile i szaleństwie miłości. On też powinien o tym pamiętać.

Ale wystarczyło, że gdzieś z oddali błysnęły jej kasztanowe włosy, a zapomniał o wszystkim. Chciał jak najszybciej znaleźć się blisko niej. Pragnął trzymać ją w swoich ramionach.

Kiedy zbliżył się nieco do grupy w której stała, zauważył, że mimo pudru i farby jej skóra i tak lśni młodością i świeżością. Inne damy dusiły się w gorsetach i fiszbinach, dla niej natomiast stanowiły one naturalną oprawę ciała.

Jak to się stało, że najpierw przekroczyli barierę intymności, a następnie stali się sobie tak obcy? Rothgar nawet nie szukał odpowiedzi na to pytanie. Wolał patrzeć na Dianę, wokół której niczym sęp kręcił się lord Randolph Somerton. I to w dodatku źle ubrany sęp, ponieważ fioletowy strój, który miał na sobie, zupełnie do niego nie pasował.

Nie, to tylko zazdrość, powiedział do siebie markiz. Muszę nad tym panować.

Jednak było mu trudno, bardzo trudno. Pewnie dlatego, że Somerton należał przecież do przystojnych mężczyzn. Szeroki w barach i wąski w pasie, miał płowe włosy i niebieskie oczy. Kobiety za nim szalały, ale wszyscy wiedzieli, że potrzebuje bogatej i utytułowanej żony. Jak dotąd nie udało mu się znaleźć nikogo takiego, więc z tym większym zapałem przystąpił do adorowania Diany. Być może za bardzo już doskwierały mu karciane długi, a ojciec odmówił wypłacania kolejnych sum.

Ale patrząc na niego w tej chwili trudno było zgadnąć, że jest utraćjuszem. Poważny i skupiony wymieniał uwagi z resztą towarzystwa, w którym znajdował się również D'Eon. Wystrojony jak papuga i poruszający się z kobiecym wdziękiem, wydawał się zupełnie niegroźny.

Oto prawdziwa maskarada, pomyślał Rothgar. Każdy stara się grać swoją rolę.

Na szczęście Diana była w tym naprawdę dobra. Nie próbowała udawać, że go nie dostrzega, tylko odwróciła się z obojętnym uśmiechem.

- A, to ty, panie! - zwróciła się do niego spokojnym tonem. - Cieszę się, że mogę cię zobaczyć tak szybko.

Rothgar skłonił się dwornie.

Cała przyjemność po mojej stronie - rzekł i ucałował jej dłoń.

Przywitał się też z resztą towarzystwa, wymieniając przejmocności z D'Eonem. Jedna z obecnych pań chciała natychmiast dowiedzieć się czegoś o napadzie.

To przecież straszne! - westchnęła omdlewająco. - Już nigdzie nie można się czuć bezpiecznym. Do końca życia będę się bała podróżować!

Dana puściła w ruch wielki wachlarz wykończony złotą koronką.

Powinieneś uspokoić, panie, obawy panny Hestrop - **rzekła** do niego. - Robiłam co mogłam, ale sama wciąż jestem wstrząśnięta tym, co się stało.

- I tak, pani, zachowałam się bardzo dzielnie. Mogłaś prze-

cięż uczeplić się mojej ręki, czy zemdleć - zauważył markiz.

- Można wręcz powiedzieć, że zawdzięczam ci życie.

Coś błysnęło w oczach D'Eona. Czyżby wiedział? Natomiast Diana posłała mu zza wachlarza mordercze spojrzenie. Postanowił już więcej się z nią nie drażnić.

- Niech się pani uspokoi, panno Hestrop - zwrócił się z kolei do wystraszonej damy. - Jestem przekonany, że był to odosobniony wypadek. Ten człowiek musiał być szaleńcem.

Młoda dama załamała ręce.

- To jeszcze bardziej przerażające! - jęknęła. - Na świecie coraz więcej szaleńców! A ty, panie, sam dałeś radę czterem bandytom?

- I to w dodatku, jak mówiłeś, monsieur, trzema strzałami - dorzucił D'Eon.

Markiz pamiętał, że nigdy o niczym takim nie wspomniał.

- To był przypadek - mruknął. - Nic wielkiego.

- *Mon Dieu!* I ty, panie, mówisz nic wielkiego?! To prawdziwe bohaterstwo. Musisz nam wszystko koniecznie opowiedzieć - zażądał Francuz.

- Mój woźnica zastrzelił jednego z napastników, ale niestety sam zginął - wyjaśnił Rothgar. - Miałem więc tylko dwa strzały. Pierwszym zabiłem jednego z nich, a drugim... - zawiesił głos - dwóch. Jednak w taki sposób, że nie powinienem tego chyba opowiadać przy damach.

D'Eon spojrział na niego z niedowierzaniem, natomiast panna Hestrop zaczęła domagać się ujawnienia szczegółów.

W tym momencie Diana uniosła do czoła dłonie, na której nie było ani jednego pierścienia. Dziwne, bo zwykle nosiła ich całe mnóstwo.

- O nie, panie! Powstrzymaj się. - Jęknęła i zachwiała się, musiał więc ją podtrzymać. - Jeszcze dźwięczy mi w uszach i słyszę te krzyki!

Nareszcie czuł ją blisko. Jednocześnie mógł wziąć hrabinę delikatnie pod rękę i zaprowadzić do najbliższej sofy. Musiał to jednak robić ostrożnie, gdyż czuł na sobie wzrok D'Eona, a także innych, zgromadzonych na sali osób.

Przez chwilę mogli być blisko siebie. Ale teraz Diana powinna zemdleć albo dojść do siebie. Zdecydowała się na to drugie. I kiedy otworzyła oczy, jej wzrok napotkał spojrzenie Rothgara. Powiedziało jej ono więcej, niż można było zmieścić w długim liście.

- Już lepiej, pani? - spytał. - Pamiętaj, że nic ci tu nie grozi. Hrabina uniosła palce do skroni.

- Oczywiście, przepraszam. To głupie, że tak się zachowuję. Rothgar odwrócił się i zadysponował kieliszek wina. Miał nadzieję, że przez chwilę będą sami, ale kanapa przewrażliwiła prawdziwe oblężenie. I tak dobrze, że w ogóle tutaj stała. W St. James's Pałacu nie było żadnych mebli.

Diana ze zdziwieniem rozejrzała się dokoła. Odniosła wrażenie, że wszyscy tylko czekają aż wybuchnie jakiś skandal. Tak, jak w wierszu Pope'a:

^Trzeci wyjaśnia twe spojrzenia, gesty
I z każdym słowem mniej cnotliwa jesteś."

Nawet panna Hestrop, która wydawała się drzeć na myśl o napadzie, chciała poznać jego szczegóły. Diana słyszała gdzieś, że to kobiety najczęściej przychodzą na publiczne egzekucje. Patrzą, a potem mdleją. Być może tak rekompensują sobie brak prawdziwych podniet w życiu.

Po chwili zbliżył się do niej również królewski koniuszki i spytał, co się stało. Nawet monarcha zwrócił uwagę na jej zasłabnięcie. Wszyscy oczywiście uzalali się nad nią, ale Diana zdawało się, że słyszy ich myśli: „Krwi, chcemy krwi”. Dlatego wypłała parę łyków wina i zwróciwszy łojowi kieliszek, podniosła się z miejsca.

- Wszystko w porządku - oznajmiła.

Panna Hestrop znowu zaczęła domagać się szczegółów dotyczących napadu, ale w tym momencie król rozkazał, by rozpoczęto pokaz. D'Eon wystąpił do przodu, przed zakryty płótnem automat i rozpoczął mowę o wiecznej wzajemnej przyjaźni i pokojowym współistnieniu.

Dopiero teraz Diana odetchnęła z ulgą. Nigdy nie przypuszczała, że będzie się czuła aż tak skępowana spojrzeniami tylu osób. Zerknęła dyskretnie na Rothgara i zauważyła w jego oczach głęboką troskę. Wykorzystując mowę wachlarza, szybko posłała sygnał: „nic mi nie jest. Kocham cię”.

Markiz odwrócił się i spojrzał w stronę perorującego D'Eona. A ona pomyślała, że nie zgodzi się na niechciane małżeństwo i nigdy o nic nie będzie go prosić. Nie mogła jednak ukrywać swoich uczuć. Ani przed sobą, ani przed nim.

D'Eon skończył wreszcie swoją mowę i teatralnym gestem odsłonił automat.

- Oto gołąbek pokoju.

Blask świec załśnił na wyłożonych perłami piórami ptaka oraz w jego szmaragdowych oczach. Do wykonania ptaka zużyto tyle kruszcu, że zebrani aż wstrzymali oddech. Jedynie Diana i Rothgar wymienili znaczące spojrzenia. Ten przepych oznaczał, że automat tak naprawdę niewiele potrafił.

D'Eon nakręcił gołębia. Rothgar starał się skoncentrować na maszynie i nie patrzeć już w stronę hrabiny. Te spojrzenia mogły ich przecież zgubić.

Ptak opuścił głowę i „wziął” do dzioba oliwną gałązkę. Była to bardzo prosta czynność, ale przecież mechanizm, który mógł się zmieścić w gołębiu nie należał do skomplikowanych. Kiedy ptak wyprostował się i wszyscy myśleli, że to już koniec, ten jeszcze rozpostarł skrzydła. Na jednym było napisane *paix*, a na drugim pokój.

Goście nagrodzili pokaz brawami.

Rothgar stwierdził, że nie będzie wielkim wykroczeniem, jeśli teraz zajmie się przez parę chwil Dianą.

- Może obejrzymy tę zabawkę, pani - zaproponował, podając jej ramię.

Hrabina uśmiechnęła się, słysząc w jego ustach słowo „zabawka” i oparła się na jego ramieniu.

- Wolałabym, panie, obejrzeć automat, który ty podarowałaś królowi - powiedziała. - Ciekawa jestem porównania.

- Zaraz odbędzie się prezentacja - zapewnił ją markiz.
 - Ach, wobec tego możemy poczekać - westchnęła. -
 Może zainteresują cię najnowsze wieści od Branda i Rosy?
 Ich kod. A więc miała jeszcze czas na to, by obserwować, co działo się na dworze!
 - I co u nich? Wszystko w porządku?
 - Tak, panie, chociaż dziwi mnie to, że Rosa spędza tyle czasu w towarzystwie Samuela, swojego kozła - odparła. - To zwierzę najwyraźniej ją fascynuje.
 Rothgar powstrzymał uśmiech, wyobraziwszy sobie prawdziwą Rosę tkwiącą po parę godzin w stajni. Ale wiadomość była w najwyższym stopniu niepokojąca.
 - Bardziej niż mój brat? - zdziwił się.
 - Och, Brand jest wciąż zajęty. A Rosa znajduje w Saindichętnego słuchacza i opowiada mu o różnych sprawach. Tylko co biedne zwierzę z tego rozumie...?
 Znowu zła wiadomość. Rothgar wiedział, że król dzieli się różnymi informacjami z małżonką, zapewne w przekonaniu, że połowy nie zrozumie, a drugą zapomni. Ale jeśli królowa naiwnie przekazywała te wieści D'Eonowi, było to naprawdę niebezpieczne.
 - Kozły potrafią być groźne - zauważył. - Zauważyłem, że koło ciebie, pani, też zaczynają się kręcić. Taki Somerton...
 Somerton właśnie się do nich zbliżał z nieszczęśliwą panną Hestrop uwieszoną u jego ramienia. Diana zacisnęła usta na jego widok, ale po chwili znowu się do wszystkich uśmiechała.
 - O czym to, państwo, rozmawiacie? - spytał Somerton z taką miną, jakby już był narzeczonym hrabiny.
 - O mojej kuzynce, Rosie - poinformowała go Diana. - Wraz z mężem bardzo interesuje się moim ślubem.
 Somerton wykonał jakiś nieokreślony gest ręką.
 To zupełnie zrozumiałe, pani - powiedział. - Kobiety interesują się takimi sprawami.
 Słowo „kobiety” zabrzmiało w jego ustach tak, jakby mó-

wił o istotach podrzędnego gatunku. Diana żałowała, że nie może go w tej chwili wyzwać na pojedynek.

- Tak, ale niestety, nie znają się nawet na tym! - westchnęła Diana. - Moja kuzynka znalazła dla mnie aż dwóch, jej zdaniem, odpowiednich kandydatów. Jeden to irlandczyk, a drugi potentat ze Wschodu.

- Zawsze możesz, pani, odmówić - wtrącił zdenerwowany Somerton.

- To prawda, ale Brand, jej mąż, uważa, że obiecałam usłuchać ich wyboru - ciągnęła hrabina. - Nie mam odwagi mu się sprzeciwić.

Jakże sprytnie wykorzystała ich kod. I to w towarzystwie Somertona i panny Hestrop! Nikt nie mógł w tej chwili przypuszczać, że przekazuje mu poufne informacje, z drugiej strony, Rothgar zafrasował się, słysząc, że nie są zbyt pomyślne. Wiedział, o co jej chodzi. Król miał zwyczaj wmawiać niektórym, że się na coś zgodzili albo powiedzieli coś, co tak naprawdę nigdy nie padło z ich ust.

I jeszcze jedno. Kim miał być „potentat ze Wschodu”? Czyżby chodziło o niego samego? Rothgar niepomiernie się zdziwił, rozszyfrowawszy tę wiadomość.

- Więc będziesz, pani, musiała usłuchać kuzyna - rzekł, patrząc jej w oczy.

- Nie, nie, pani, to niemożliwe - Somerton raz jeszcze wtrącił się do rozmowy. - To musi być wyłącznie twój wybór.

Diana uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję ci, panie, za te słowa. Czy będę się mogła na nie powołać?

Nieświadomy niczego Somerton położył rękę na sercu. Rothgarowi chciało się śmiać. Blond utracjusz nie przypuszczał nawet, że kręci w tej chwili sznur na swoją szyję.

- Oczywiście, pani.

- Jednak potentat ze Wschodu może się doskonale nadać na męża - zachichotała panna Hestrop. - Nie wyrzekałabym się go tak szybko. Byle tylko nie był zbyt śniady!

- Muszę się zgodzić z młodą damą - poparł ją Rothgar.

Diana wyduła pogardliwie usta.

- Co takiego? Jedwabie, słońce i klejnoty? Nie potrzebujemy ich w Yorkshire! - zakończyła pewnie.

- To prawda, że jedwabie są za zimne na północy, a słońce mogą się przeziębic. Ale klejnoty... - kusił ją. - Klejnoty mogą się przydać wszędzie.

Spojrzała na niego znacząco zza swojego wachlarza.

- Na przykład szafiry, panie? Tak, to mógłby być dobry kandydat. Bardzo dobry.

Ich oczy spotkały się na moment i Rothgar poczuł, że ciarki przeszły mu po plecach. Czy rzeczywiście mógł dać Dianie pierścionek zaręczynowy? Teraz żałował, że nie zrobił tego już wcześniej.

Somerton aż poczerwieniał na twarzy.

- Chcesz, pani, powiedzieć, że wybrałabyś dzikusa zamiast uczciwego Anglika?! - wybuchnął.

- Uczciwego? Czy ja wiem? - Diana bawiła się w najlepsze. - To byłby trudny wybór, panie. Nie myślmymy już lepiej o tym i prośmy króla, żeby kazał zademonstrować autmat lorda Rothgara.

Hrabina wzięła pod rękę Somertona, a markiz zaferował ramię pannie Hestrop. Był pełen podziwu dla Diany, ale z drugiej strony obawiał się, że może przeciągnąć strunę. Musiał przyznać, że jak do tej pory świetnie sobie radziła i gdyby nie „obietnica”, której tak naprawdę nie złożyła, byłaby teraz bezpieczna.

Niestety, stało się inaczej. Mógł ją uprzedzić i nauczyć, jak wywikłać się z sieci. Czy jednak nie byłoby to za dużo jak na początek?

Może rzeczywiście król zmierzał do tego, by pchnąć Dianę w jego ramiona. Ciekawe dlaczego? Wyjaśnienie mogło być bardzo proste. Monarcha uważał, że małżeństwo to najlepsze, co może spotkać mężczyznę. Kochał swoją żonę i dzieci. Z drugiej strony, mógł w tym też maczać palce D'Eon, prze-
——, że po ślubie nie będzie chciał się zajmować polityką. Rothgar sam nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

Somerton zaprowadził Dianę aż do samej maszyny. Król spojrział na niego niechętnie, a następnie uruchomił automat i przesunął się do hrabiny. Komentował nie tylko przymioty mechanicznej zabawki, ale też ofiarodawcy. Rothgar słysząc to czuł się zażenowany. Król zapewne postanowił nie bawić się w żadne subtelności.

To śmieszne, że stara się namówić Dianę na coś, czego ona sama pragnie. To on, Rothgar, nie chce tego małżeństwa. Tylko czy na pewno? Na myśl o tym, że Diana mogłaby poślubić Somertona, poczuł wzburzenie. Posiekałby drania na kawałki. Przecież ten utracjusz nawet by nie wiedział, jaki klejnot dostaje.

Maszyna Rothgara nie była tak bogato zdobiona, ale za to miała sporo różnych funkcji. Wyobrażała pasterza i pasterkę pod drzewem, na którym siedziały ptaki. Część z nich wychylała również łebki z gniazd. Wystarczyło nakręcić automat, żeby usłyszeć ptasie trele. Niektóre ptaki po prostu kręciły głowami, ale inne otwierały też skrzydła. W tym momencie ożyli też pasterz i pasterka. Odwrócili do siebie głowy i spojrzeli z tęsknotą. Następnie ich usta zbliżyły się do siebie. Pocałunek trwał chwilę, po czym oderwali się od siebie i zastygli w poprzednich pozycjach. Ptaki przestały śpiewać.

Diana śmiała się i klaskała wraz z innymi, ale w sercu miała smutek. Chciała podejść do automatu i nakręcić go raz jeszcze, a potem znowu. Jeden pocałunek to bardzo mało. Nikt nie wiedział tego lepiej od niej.

Podeszła wraz z królem do Rothgara, żeby mu pogratulować.

- To tylko automat, lady Arradale - odparł, wysłuchawszy pochwał.

- Ale bardzo interesujący, co? - Król nie krył zadowolenia.

- Jest prawdziwym cudem. Podobnie, jak prezent od króla Francji - dodała zaraz, widząc w pobliżu D'Eona.

- A który z automatów bardziej ci się, pani, podoba? - spytał zaciekawiony monarcha.

Diana skryła twarz za wachlarzem. Wyglądało to tak,

jakby się spłoszyła, ale tak naprawdę zastanawiała się nad odpowiedzią.

D'Eon nadstawił uszu. Markiz też spojrzął na nią z zainteresowaniem.

- Oba są wspaniałe, Wasza Królewska Mość - odparła. - Mimo, że romantyczna scena pod drzewem bardzo przemawia do mnie jako kobiety, to wiem przecież, że pokój jest ważny.

Obaj panowie nagrodzili jej słowa brawami.

- To dobra odpowiedź, co? - zgodził się król. - Doskonale. I my również podzielamy to zdanie. Proszę, panie, przekaz naszemu kuzynowi we Francji nasze gorące podziękowania - rzekł do D'Eona, a następnie zwrócił się do markiza: - A tobie, panie, dziękujemy raz jeszcze.

Ponownie uruchomiono oba automaty, ale tym razem równocześnie. Patrząc na nie, Diana stwierdziła, że jej dobosz znacznie przewyższał obie maszyny. Chodziło nie tylko o stopień komplikacji, ale też o płynność ruchów i realizm postaci.

Już wcześniej myślała o mechanicznym chłopcu. Podarowała go Rothgarowi, ponieważ chciała się go pozbyć z domu. Wiedziała, że denerwował matkę, a jej samej przypominał o dawnych marzeniach ojca. Jednak dobosz mógł się okazać co najmniej równie kłopotliwy dla markiza. Po pierwsze, przypominał ją samą z dzieciństwa. I po drugie, pokazywał, jakie mógłby mieć dzieci. Zwłaszcza to drugie w połączeniu z naturalną wielkością i wyglądem dziecka, mogło go niepokoić.

- Znowu pani poblądła, lady Arradale - zauważył lord Somerton, kierując ją lekko w stronę sofy. - Chwila odpoczynku dobrze ci zrobi, pani.

Diana nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Najchętniej powiedziałaaby mu, że nic jej nie jest i żeby szedł swoją drogą. Z przyjemnością też spędziłaby trochę czasu w towarzystwie Rothgara. Wolała jednak nie rozbudzać królewskich nadziei i trzymać się z daleka od Beya.

Dlatego też pozwoliła sobie na mały flirt z Somerto-

nem. Jednocześnie zerkała co jakiś czas w stronę króla chcąc sprawdzić, czy to widzi.

Po kilku minutach podszedł do niej lord Scrope, żeby pytać o zdrowie. Diana uśmiechnęła się na jego widok. Wicehrabia był naprawdę miłym człowiekiem. W dodatku bardzo lubił mówić o swoich dzieciach i zmarłej żonie. Jego przyszła małżonka będzie miała w niej niepokonaną rywalkę.

Nie była to jednak najgorsza rzecz, jaka mogła się przytrafić kobiecie. Czyż Beya nie nękały duchy jego matki i siostry? W tym zestawieniu lord Scrope wydawał się wręcz człowiekiem pogodnym.

Tyle, że przeraźliwie nudnym. Diana chyba nigdy wcześniej nie spotkała większego nudziarza. W dodatku, bez choćby odrobiny poczucia humoru.

Spojrzała w stronę Rothgara. Panna Hestrop wciąż trwała uczepona jego ramienia. Hrabina wiele by dała, żeby być na jej miejscu. Po chwili zauważyła, że obserwują ją dwie pary oczu. To byli król i D'Eon. Dlaczego właśnie Francuz? Czuła, że wokół niej coś się dzieje, ale nie była w stanie powiedzieć, co. Czuła się uwieczona w tych spojrzeniach. Wszyscy coś o niej myśleli, mieli jakieś plany związane z jej osobą, a ona nie mogła tego odgadnąć.

Diabelski Londyn!

Odwróciła się do swoich zalotników i spojrzała na nich łaskawie. Przynajmniej z nimi wszystko było jasne.

25

Następnego ranka Diana obudziła się z jedną myślą. Kiedy znowu zobaczy Beya? Dzień bez niego wydawał jej się stracony. Tylko nadzieja, że wkrótce go ujrzy, pozwalała jej zachować coś w rodzaju pogody ducha.

Dopiero później przypomniała sobie, że musi udawać.

iż bardziej interesują ją inni mężczyźni. Jęknęła na myśl o tym, że ponownie czeka ją korowód zalotników. Już wczoraj stało się jasne, że biorą całą sprawę bardzo poważnie i zaczynają ze sobą konkurować.

Pozostawała jeszcze sprawa balu maskowego, który miał się odbyć w poniedziałek w Malloren House. Zostały jej więc tylko dwa dni. Sam król podał to wczoraj do wiadomości. Diana zauważyła, że wszyscy aż zadrżeli z emocji na tę wieść. Zapewne Rothgar słynął z tego rodzaju przedsięwzięć.

Diana chętnie by poszła w ślady innych, ale w czasie późniejszej rozmowy monarcha dał jej do zrozumienia, że właśnie w czasie balu ma lepiej poznać swoich zalotników i zdecydować, którego wybiera. Skąd ten pośpiech? Najchętniej byłaby Penelopą czekającą na swojego Odysa. Nawet dwadzieścia lat.

W końcu wstała i samotnie zjadła lekkie śniadanie, co było ogólnie przyjętym zwyczajem. Clara w tym czasie zajmowała się jej strojem. Racząc się kawą, Diana zastanawiała się, czy nie pomalować dzisiaj mocniej twarzy. Wyglądałaby wówczas na chorą i być może królowa odesłałaby ją szybciej do pokoju. Mogłaby też zrobić sobie pryszczki, takie jak rok temu, ale bała się, że odpadną przy jakiejś okazji. Powinna pamiętać, że to przecież nie zabawa.

Zrobiło jej się zimno na myśl, że markiz po raz pierwszy zobaczył ją właśnie z tymi pryszczkami, w przebraniu służącej. Wtedy też gra toczyła się o wysoką stawkę, ale Diana nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero później zrozumiała, że wszystko się mogło wówczas zdarzyć.

Po zjedzeniu śniadania i porannej toalecie, ubrała się z pomocą Gary i ruszyła w stronę ogrodu.

Ponieważ stanowiła jedynie dodatek do królewskiej świty, nie miała tak naprawdę zbyt wiele do zrobienia. Dlatego mogła przyglądać się bacznie wszystkiemu, co działo się na dworze. Zwykle siedziała przy królowej, starając się nie rzucić w oczy i przysłuchiwała się rozmowom.

Miała zatem dużo czasu na myślenie.

Głównie o Rothgarze.

Całymi dniami przemyśliwała, jak skłonić go do małżeństwa. Miała dziesiątki różnych planów, ale wiedziała, że przede wszystkim musi znaleźć dostęp do jakiejś biblioteki. Nie chciała wprost o nie pytać w obawie, że zniszczy swój wizerunek „typowej” damy.

Coraz lepiej rozumiała, że obawy Beya są czysto irracjonalne. Być może dlatego były w nim tak głęboko zakorzenione. Musi mu teraz wykazać, że ta jedna jedyna racjonalna przesłanka, na której się opierały, jest fałszywa.

Stłumiła westchnienie, ponieważ dotarła właśnie do królowej i skłoniła się jej głęboko.

- Najjaśniejsza pani - przywitała się.

Królowa skinęła łaskawie ręką. Ten rano był nieco inny od pozostałych, ponieważ do ogrodu przybyła lady Durham wraz ze swą dwutygodniową córeczką. Królowa prawdopodobnie zażądała tej wizyty, ponieważ uwielbiała dzieci. Zaraz też wzięła noworodka na ręce i zaczęła coś do niego mówić po niemiecku. Lady Durham patrzyła na to z niepokojem, choć widać było, że Charlotte doskonale sobie radzi.

Dianę najbardziej zdziwiła jej własna reakcja. Dziecko było brzydkie i pomarszczone, chociaż miało śliczne niebieskie oczy, takie jak Beya, i rozczulające rączki. Jednak ona też chciała je tulić i trzymać w ramionach. Ona też pragnęła być jak najbliżej tej niewinnej, nieświadomej niczego istotki. Zwłaszcza, że dziewczynka nie protestowała, widząc wokół siebie tyle obcych twarzy.

Królowa odłożyła dzieciątko do wiklinowego kosza.

Diana wstała gwałtownie i przeszła w róg ogrodu. Czy to możliwe, żeby było jej aż tak żal? Zwłaszcza, że to mogło być przecież dziecko jej i Beya...

- Lady Arradale?

Dostrzegła cię obok swojego na trawie.

Rozczarowana odwróciła się, żeby przywitać lorda Randolpha. Chętnie zostałaby jeszcze przy noworodku, ale królowa pozwoliła jej pójść na spacer z nowo przybyłym. Somerton podniósł jej dłoń do ust.

-Jesteś, pani, najpiękniejszym kwiatem w tym ogrodzie - powiedział, kiedy trochę się oddalili od królowej i dam dworu. - Zakwitłaś cudownie, aby cieszyć moje oczy.

Diana miała nadzieję, że jej przyszły mąż nie będzie wygadywał podobnych bzdur.

- Dobrze, panie. Ale obawiam się, że nie powinniśmy odchodzić zbyt daleko. Królowa może mnie potrzebować.

To zupełnie nie przeszkadzało Somertonowi w wygładzaniu kolejnych komplementów, a ponieważ z czasem zarzynało mu brakować pomysłów, były one coraz bardziej dziwaczne. Wiele wskazywało na to, że jego znajomość literatury ograniczała się do odczytywania nazw kolejnych gospód i zajazdów. Diana nie wątpiła jednak, że znalazłaby w nim godnego przeciwnika w walce na szpady.

Nagle usłyszeli niemowlęcy płacz i Diana oznajmiła, że muszą wracać. Już z daleka było widać, że lady Durham wraz z nianią chętnie odebrałyby dziewczynkę królowej i tylko nie śmiały tego zrobić. Królowa natomiast tuliła do siebie maleństwo.

- Zmarzły śliczności - powiedziała. - Przynieście jakiś kocyk.

Lady Durham sięgnęła nierozważnie po kocyk należący do małego księcia. Na to syn królowej też zaczął płakać.

- *Herzleib, nein!* - krzyknęła królowa i oddała w końcu dziecko zaniepokojonej matce, a sama wzięła w ramiona księcia. - Lordzie Randolph, proszę nam przynieść jeszcze jeden kocyk. Szybko, szybko!

Somerton zawahał się, ale w końcu puścił się biegiem w stronę pałacu. Teraz płakało już dwoje dzieci: księżę i córeczka lady Durham. Żadna z kobiet nie wiedziała, co zrobić, żeby je uspokoić.

- Lord Rothgar! - zawołała Charlotte, jakby nagle pojawiło się wybawienie. - Prosimy cię tutaj, panie. Musisz uspokoić nasze dzieci.

Mały księżę zamilkł na sam widok Rothgara. Nikt nie wiedział, dlaczego. Chłopczyk tylko patrzył na niego swo-

imi wielkimi oczkami. Jedyne dziewczynka jeszcze płakała, ale była chyba coraz bardziej zmęczona.

A markiz odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wszyscy patrzyli z otwartymi ustami za człowiekiem, który złamał wszelkie możliwe reguły. Diana nie była w stanie wytrzymać napięcia. Podciągnęła lekko spódnice i ruszyła za nim w pościg. Przebiegła alejkę, a następnie skręciła na trawnik, ponieważ wydawało jej się, że tak będzie szybciej. W końcu dopadła go przy zegarze słonecznym. Zatrzymał się tak nagle, jak ruszył.

- Co... co się stało? - wydyszała.

Rothgar milczał dosyć długo aż w końcu wyrzekł:

- Nie mogę znieść płaczących dzieci.

Jego siostra. I matka.

- Po prostu zrobiło jej się zimno - zauważyła.

Odwrócił się do niej i z ulgą stwierdziła, że wygląda normalnie, jest tylko nienaturalnie blady.

- Wiem.

- Obraziłeś królową - dodała.

- Wiem - powtórzył. - Pójdę ją przeprosić, kiedy... kiedy dziecko przestanie płakać.

Diana skinęła głową.

- Chyba straciłeś w jej oczach jako kandydat na mojego męża - rzuciła lekko.

Coś jakby cień uśmiechu pojawiło się na jego wargach

- Przypadkowa korzyść.

Dopiero teraz dotarło do niej, że są sami w odosobnionym miejscu. Nie było ich widać ani z okien pałacu, ani z dalszej części ogrodu. Cudowne miejsce, żeby choć na chwilę przytulić się do niego.

Nie, to zbyt niebezpieczne.

Płacz dziecka, który jeszcze przed chwilą do nich dobiegał, ustał zupełnie. Diana zaczęła się zastanawiać, co spowodowało tak gwałtowną reakcję Beya. Nie było to szaleństwo, ponieważ wyglądał zupełnie normalnie. Raczej potrzeba osłaniania słabszych, która została mu po tym, co się stało.

Ale wobec tego, ileż musiała go kosztować ta ucieczka? I czy potrafiłby wytrzymać płacz noworodka?

Dzieci mają to do siebie, że płaczą, pomyślała.

Rothgar podał jej ramię.

- Musimy wracać, lady Arradale.

Diana z ulgą wsparła się na nim. Tak pragnęła być blisko niego już zawsze. Niestety, wiedziała, że za chwilę znów będą musieli się rozstać.

- Jak wyjaśnisz to, że za mną pobiegłaś? - spytał ją jeszcze.

- Sama nie wiem. Chyba powiem, że myślałam, że królowa kazała mi to zrobić - improwizowała.

- Bardzo dobrze. Może nawet uwierzy, że rzeczywiście wydała taki rozkaz - powiedział. - Król wmawia jej różne rzeczy, co?

Oboje szczerze się roześmiali. To było ich pierwsze spotkanie tylko we dwoje od czasu podróży i oboje czuli się tak, jak by witali drogiego przyjaciela po bardzo długiej rozłące.

Diana nagle posmutniała. Za chwilę mieli się znów rozłączyć.

Nieuchronnie zbliżali się do królowej i jej dworu. Wciąż jednak byli niewidoczni. Pod wpływem nagłego impulsu pchnęła Rothgara w stronę najbliższego drzewa i pocałowała go mocno w usta.

Poraziła ją intensywność doznania. Już zapomniała, jakie to uczucie.

Bey ze zdziwieniem dotknął swoich warg.

- Nie możemy. To niebezpieczne - rzucił.

Przypomniała sobie jego uwagi na temat ścian, które *maja* uszy, a *takie* oczy. Być może dotyczyło to całego otoczeniapałacu.

W końcu wyszli na otwartą przestrzeń, tuż koło dworu królowej. Nie było tu już ani lady Durham z jej małenstwem, ani monarszego syna.

Lordzie Rothgar! - wykrzyknęła Charlotte na jego widok. - Proszę tutaj!

Markiz puścił rękę Diany i podszedł skruszony do królowej.

- I lady Arradale także!
Diana również zbliżyła się i skłoniła w poczuciu winy.

- Opuściłaś nas pani bez pozwolenia! I odwróciłaś się do nas tyłem!

Hrabina skłoniła się jeszcze niżej.

- Przepraszam, Waszą Królewską Mość, ale wydawało mi się, że Wasza Królewska Mość kazała mi pobiec za lordem. Charlotte wciąż patrzyła na nią nieufnie.

- Czy aby? A pan, lordzie? Co pana zmusiło do odejścia? Rothgar pochylił się w ukłonie.

- Przepraszam Waszą Królewską Mość, ale nie mogę znieść płaczu dzieci. Wasza Królewska Mość będzie w swej mądrości wiedziała, dlaczego.

Królowa skrzywiła się lekko, ale pokiwała głową. Przez chwilę zastanawiała się, co robić dalej, ale uznała chyba, że najlepiej będzie puścić ten incydent w niepamięć.

- Więc być może, nie powinienes, panie, mieć dzieci - zauważyła tylko.

- Sam tak uważam, najjaśniejsza pani.

Chociaż królowa nie wyciągnęła żadnych konsekwencji wobec Rothgara, to jednak postanowiła traktować go surowo.

- Co więc cię tu przywiodło, skoro nie lubisz dzieci?

Markiz nie sprostował, chociaż było to dla niego krzywdzące.

- Pomyślałem, że lady Arradale może będzie chciała uzupełnić swoją garderobę przed bale, najjaśniejsza pani - odparł. - O ile wiem, nie spodziewała się balu maskowego. Mój sekretarz przyjmie od niej zamówienie i dostarczy wszystko, czego zażąda.

- Lady Arradale? - królowa zwróciła się do niej chłodno. - Co powiesz, pani, na taką propozycję?

Diana najchętniej poszłaby do kupców z Beyem. potrzebowała żadnych pośredników. Oboje najlepiej sobie poradzili.

- Rzeczywiście brakuje mi stroju na bal, najjaśniejsza pani

Charlotte zmarszczyła brwi. 288

- Tylko po co załatwiać to przez służącego - rzekła, jakby zgadując myśli hrabiny.

W tym momencie pojawił się lord Randolph, powiewając białym kocykiem, który w końcu dostał od jednej ze flużących. Był bardzo poirytowany, kiedy okazało się, że tmy Durham już opuściła towarzystwo.

- Odnieś, panie, kocyk - poleciła mu królowa. - Albo nie zostaw go tutaj. Pójdiesz, panie, z lady Arradale i panią Haggerdorn do sklepów bławatnych. Możecie też skorzystać z usług królewskich krawców. Są przyzwyczajeni do krótkich terminów.

Rothgar stał nieporuszony. Dianie chciało się płakać. Gdyby za nim nie pobiegła, spędziliby razem jedną lub dwie godziny. A tak będzie musiała wysłuchiwać komplementów albo przechwałek Somertona.

Na pociechę przypomniła sobie ich pocałunek. Uznała że było warto i że czuje się teraz silniejsza.

Natomiast nie miała najmniejszej ochoty na zakupy, chociaż londyńscy kupcy ustępowali podobno jedynie pańskim. Usłuchała jednak królowej i już po kilkunastu minutach była gotowa do wyjścia.

Pojechali otwartym koczem lorda Randolpha. Oczywiście na Bond Street, która była o tej porze potwornie zatłoczona. Diana początkowo miała zamiar załatwić wszystko szybko, ale potem stwierdziła, że jest to dobra okazja, by ostudzić nieco jego małżeńskie zapały.

-To tylko parę drobiazgów - poinformowała go, wchodząc do pierwszego składu.

Spędziła tu chyba ze trzy kwadranse, cierpliwie wybierając każdą rzecz. Kiedy stamtąd wyszli, lokaj aż ugiął się pod ciężarem pudeł.

- O następny kupiec! - ucieszyła się, widząc kolejny skład. Jakże myliła się, co do reakcji Somertona. Już wcześniej lord niemal się oblizał nawidokzawartości jej portmonetki, a teraz jego oczy aż zabłyśły z niedowierzania.

Następny? - zdziwił się.

Do *diabla*, ten podstęp najwyraźniej jej się nie udał. Zwłaszcza, że miała już dosyć ciągłego tłoku i przekrzykiwania się. Wolała wrócić do swojego pokoju i spędzić trochę czasu w samotności, rozpamiętując pocałunek. To prawda, że to raczej i ona pocałowała Beya, ale cóż to było za uczucie...

- Nic ci nie jest, pani? - usłyszała głos Somertona.

Może wykorzystać ten moment i jednak zakończyć zakupy.

- Trochę źle się czuję. Ten tłok i gwar. Nie mamy tego w Yorkshire - rzekła zbolalym głosem. - Może przejdziemy od razu do krawca.

Ta wizyta okazała się nadspodziewanie miła, gdyż w salonie prawie nie było ludzi. Na wzmiankę o tym, że przyszła ich królowa, mistrz natychmiast odesłał czeladnika, który zajął się nimi po wejściu, i przeprowadził Dianę i Randolpha do oddzielnego pokoju z miękkimi krzesłami. Tutaj poczęstował ich porto oraz ciasteczkami i rozpoczął prezentację strojów. Pokazał też lalki, którymi dysponował.

Diana zauważyła, że lord Randolph wcale się nie nudził. Pił wino i patrzył tępo w ścianę, nawet nie rozglądając się dookoła. Dopiero teraz zrozumiała, jak ciężkim wyzwaniem było dla niego wymyślanie komplementów.

Modele, którymi dysponował krawiec, wcale jej nie odpowiadały. Dopiero na jednym z rysunków odnalazła to, o co jej chodziło.

- Grecki kostium, pani? - zdziwił się mistrz Mannerly. To prawda, że stają się modne, ale...

- To może być bogini Diana, prawda? - przerwała mu. Mannerly zastanawiał się przez chwilę.

- Masz rację, pani. Sprytny pomysł!

Lord Randolph nawet nie drgnął na swoim miejscu. Z całą pewnością nigdy nie słyszał o bogini Dianie, chociaż dziś rano parę razy nazwał ją boginią.

- Czy strój ma być z jedwabiu, czy wolisz, pani, raczej len z Man, żeby wyglądał autentyczniej? - spytał jeszcze mistrz igły.

- Wolę len - odparła.

Po ustaleniu dalszych szczegółów, Mannerly zapewnił, że strój będzie gotowy na poniedziałek i że sam przyjdzie do pałacu na przymiarkę. Znaczyło to tyle, że nie będzie oczywiście tani. Jednak Diana była zadowolona z wyboru.

Czy coś jeszcze, pani?

Skinęła głową.

Wszystkie możliwe dodatki - powiedziała. - Maski i pomalowany na srebrny kolor łuk i strzały.

Mistrz Mannerly zanotował to w swoim kajecie i jeszcze raz zapewnił ją, że strój będzie gotowy na czas. Diana już w nieco lepszym nastroju opuściła pracownię krawiecka. Cieszyła się strój bogini. Przypuszczała, że Bey zrozumie zawartą w nim aluzję.

- Jesteś, pani, czarująca, kiedy się cieszysz - usłyszała tuż obok głos Somertona.

Zupełnie zapomniała o jego istnieniu i traktowała go mniej więcej tak, jak lokaja, który stale jej towarzyszył. Pomyślała, że powinna przynajmniej trochę obrzydzić mu małżeństwo.

- To dlatego, że uwielbiam zakupy - stwierdziła. - Moja matka często narzeka na wysokość rachunków.

Jako twój mąż nigdy nie będę tego robił.

Lord Randolph zrównał się z nią i dla podkreślenia wagi swoich słów położył dłoń na piersi. Diana już chciała warkac, że nie miałby do tego najmniejszego prawa, ponieważ pieniądze nie należą do niego, ale po namyśle rzekła tylko:

- Mogę ci, panie, obiecać to samo.

Zdziwienie Randolpha szybko przeszło w gniew:

- Jak mogłabyś to robić?! - niemal wykrzyknął.

Diana przystanęła na chwilę i spojrzała na niego Uśmiechem.

- Czy chcesz powiedzieć, panie, że ignorowałbyś moje zyczenia? - spytała kokieteryjnie.

Lord Randolph zagryzł wargi. Widać było, że intensywnie myślał nad odpowiedzią.

- Oczywiście spełniałbym wszystkie twoje życzenia, pani. Ee, czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Na co?

- Na nasz ślub - odparł. - Ich Królewskie Moście popierają ten projekt.

- Nie.

Diana uniosła lekko suknię i ruszyła w dalszą drogę. Somerton szedł za nią. W końcu dotarli do koczka i lord Randolph rzucił się do przodu, chcąc jej otworzyć drzwiczki.

- Ale przecież powiedziałaś, pani...

- To były teoretyczne rozważania - przerwała mu i wsiadła do koczka. - Jedziemy!

Woźnica strzelił batem i czwórka koni ruszyła przed siebie. Somerton w ostatniej chwili wskoczył do środka i zajął swoje miejsce naprzeciwko.

- Bawisz się ze mną, pani - mruknął niechętnie. - Po powrocie do pałacu poinformuję króla o naszym ślubie.

- A ja zaprzeczę.

Lord Randolph z westchnieniem spojrzął na Haggerdorn, która przez cały czas czekała na nich w koczku.

- Przyznasz, pani, że lady Arradale zgodziła się mnie poślubić?

- Nie odniosłam takiego wrażenia - odparła Niemka.

- A poza tym, kobiety są niestałe - Diana przywołała jeden ze stereotypów. - Mam chyba prawo zmienić zdanie.

- Więc przyznajesz, że myślałaś o ślubie! - triumfował Somerton.

Nie, nie był głupi, jak jej się początkowo wydawało. W niektórych sytuacjach potrafił wykazać zadziwiający spryt. Teraz, żeby uniknąć zastawionej przez niego pułapki, sama musiała udąć idiotkę.

- Och, panie, a czemu miałabym nie myśleć? Muszę przyznać, że mi się podobasz, ale... Ale są też inni konkurenci. Potrzebuję czasu. Każdy mężczyzna ma jakieś zalety i muszę je wszystkie poznać.

Lord Randolph wziął ją za rękę.

- I tak mam ich najwięcej - stwierdził z błyskiem w oku. - Powiedz, pani, „tak”, a pozbędziesz się wszelkich trosk.

I sporej części swoich pieniędzy, pomyślała Diana.

- Mój zmarły ojciec zawsze powtarzał, że nie mogę w pośpiechu podejmować ważnych decyzji - rzekła z westchnieniem. - Nakazał, bym czekała co najmniej tydzień...

Somerton ścisnął dłoń hrabiny, a następnie puścił ją i rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu.

- Dobrze, wobec tego tydzień - zgodził się. - Ale daj mi, pani, znać, gdybyś zdecydowała się wcześniej. Będę czekał.

Tak, pomyliła się co do niego. Mimo braku wykształcenia, Somerton nie należał do ludzi głupich. W sprawach finansowych był zapewne okrutny i bezwzględny. Jak dobrze, że pojechała z nim na te zakupy. Inaczej mogłoby minąć sporo czasu, zanim by go w pełni doceniła.

Diana powróciła do pałacu, który w tej chwili wydał jej się schronieniem. Wiedziała, że lord Randolph nie może zmusić jej do małżeństwa, ale też zdawała sobie sprawę z tego, że odparcie jego ataków nie będzie łatwe. Zwłaszcza, że w dalszym ciągu będzie musiała się zachowywać jak „prawdziwa dama”.

Na szczęście tego dnia nie musiała już przyjmować żadnych zalotników. Królowa zażądała bowiem dokładnej relacji z wizyty u kupców i krawca. Chciała też obejrzeć przywiezione rzeczy.

Po południu natomiast wystawiono na cześć lady Arradale fragmenty pierwszej opery Johanna Christiana Bacha, zatytułowanej „Orione”, w której występowała bogini Diana. Hrabina starała się spożytkować ten czas na przemyślenie swojej sytuacji, ale muzyka szybko ją uwiodła. Dzięki niej zapomniała o swoich kłopotach, a ponieważ znała łacinę, z której wywodził się współczesny włoski, mogła bez problemów śledzić fabułę.

Orion pragnął poślubić dziewczynę imieniem Candiope, ale zazdrosna bogini sama chciała go uwieść. Cała historia oparta była na znanym micie, w którym Diana na końcu zabijała Oriona.

Czyjej związek z Beyem mógłby się skończyć w ten sposób?

Słuchając fragmentów opery bardziej utożsamiała się z Candiope niż z Dianą. Tą ostatnią mogli być król i królowa, nakłaniającą do małżeństwa z kim innym. Ale monarcha pragnął przecież, by poślubiła Rothgara.

Diana pomyślała, że nie można w prosty sposób przenieść sztuki na życie. Jakież analogie na pewno istnieją, ale to nie wystarczy. Z tą myślą znowu wsłuchiwała się w śpiew, tym razem Candiope: „Musimy poddać się woli bogów i rozstać się na zawsze. Bez ciebie jednak czeka mnie wieczny smutek i zgryzota.”

Orion odpowiadał: „Och, okrutne rozstanie, tracę to, co cenię. Już lepiej rozstać się z tym życiem.”

I znowu słowa zbyt mocno dotknęły rzeczywistości. Mit z całą pewnością żywił się prawdą. Dookoła przecież było tylu nieszczęśliwie zakochanych. Czy ona też dołączy do ich grona?

Pod koniec arii Oriona Diana nie była już w stanie wstrzymać łez. W sali rozległy się brawa. Sam król podszedł do niej i podał jej chusteczkę.

- Nie przejmuj się tak, pani. To tylko historia, co?

- Muzyka była naprawdę wzruszająca, najjaśniejszy panie - powiedziała wycierając oczy.

- Tak, pan Bach to prawdziwy mistrz - zgodził się król. - Ale myślę, że łzy biorą się z czegoś innego, co? Popatrz, pani, kobiety zamężne nie płaczą. Czas zdecydować się na małżeństwo, co?

Diana starała się ukryć panikę i skłoniła się lekko królom

- Tak trudno mi kogoś wybrać, sire - rzekła. - Tylu wekoło wspianiałych i odważnych mężczyzn.

- To prawda, to prawda - zgodził się łaskawie król, pocierając policzek. - Musisz jednak podjąć decyzję, co? Dla własnego dobra. Żeby nie popaść w melancholię.

- Za parę tygodni, sire - poprosiła.

Jednak król pokręcił stanowczo głową.

- O, nie, pani! Dla własnego dobra, co - powtórzył. - Założę się, że kiedy pierwszy raz się tu pojawiłaś, nie byłaś tak blada.

Do diabła z bielidłem i pudrem! Przecież chodziło o to, żeby odstraszyć kandydatów! Zrozumiała, że oni wcale nie zwracają uwagi na jej wygląd. Przyciągał ich tytuł i majątek.

- Przynajmniej tydzień, najjaśniejszy panie!

- Dobrze, wobec tego po balu maskowym, co? - zgodził się łaskawie Jerzy.

Diana chciała krzyknąć, że przecież do poniedziałku zostało zaledwie dwa dni. Nie mogła jednak spierać się z królem. Pochyliła więc tylko głowę.

- Tak jest, sire - bąknęła.

- Jeśli sama się nie zdecydujesz, pani, wybierzemy za dębie - dodał jeszcze monarcha na pożegnanie.

Diana starała się nie wpadać w panikę. Zostało jej mało czasu. Musi działać. Sama nie wiedziała, co robić. Udać chorobę? Nie, król zbyt często o tym wspominał, a przy tym patrzył na nią znacząco. Z całą pewnością uzna ją za nie zrównoważoną, jeśli będzie w ten sposób chciała uniknąć małżeństwa.

Gdyby mogła spędzić choć trochę czasu z Beyem! Może zdołałaby go przekonać do prawdziwego małżeństwa. **Bała** się, że jeśli zostanie do niego zmuszony, nigdy nie będą razem szczęśliwi.

W końcu, kiedy znalazła się w swoim pokoju, zmyła farbę, i puder z twarzy. Stała wyprostowana przed lustrem. Jej cera była równie zdrowa jak przedtem. Musi pamiętać, że jej ród wywodzi się od Ironhanda. Ma jeszcze dwa dni. Na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie.

Lord Randolph znowu przegrywał w karty „U Lucyfera” kiedy do stolika dosiadł się jakiś Francuz. Powiedział, że nazywa się Dionne i pochodzi z prowincji. Nosił też niemodną brodę i wąsy, więc Somerton uznał, że to prawda.

Oto doskonały kandydat do oskubania, pomyślał.

Zagrali raz i drugi, ale to lord wciąż przegrywał. Francuz dziwił się swojemu szczęściu, a dług Somertona wciąż rósł. Ojciec znowu wpadnie we wściekłość, kiedy zobaczy rachunek.

Nie, tym razem będzie inaczej. Przecież powie mu o lady Arradale i jej majątku. Głupia gęś z tym swoim północnym akcentem. Nic nie szkodzi, i tak będzie ją trzymał w domu i postara się, żeby miała zajęcie przy dzieciach. Jaka szkoda, że oprócz majątku nie będzie jej mógł pozbawić tytułu.

Tyle pieniędzy, pomyślał. Lecz kiedy wyłożyli karty, znowu okazało się, że Francuz wyprzedził go o parę oczek.

Rozmawiali po francusku, ponieważ Dionne nie znał angielskiego, co było typowe nie tylko dla prowincji.

- Monsieur? - Podsunął mu tabakierkę z kości słoniowej.

Somerton zażył tabaki, a potem kichnął. Była doskonałej jakości. Może jednak Dionne skłonny byłby udzielić mu niewielkiej pożyczki.

- Nie musisz się, panie, przejmować takimi małymi przegranymi - ciągnął Francuz. - Słyszałem, że masz poślubić bogatą dziedziczkę.

A więc w Londynie już o tym mówiono? Być może sam król rozpuścił te wieści.

- Tak, to ustalone - rzekł lord Randolph.

- Przyjmij gratulacje, panie. Chociaż słyszałem też, że lady Arradale może wybrać lorda Rothgara.

Somerton zacisnął pięści. Niedoczekanie! Markiz i tak należał do najbogatszych ludzi w Anglii.

- Przecież wszyscy wiedzą, że lord Rothgar nie chce się żenić.

Dionne rozłożył ręce i poruszył śmiesznie wąsami, tak jakby łaskotały go w twarz.

- Ludzie się zmieniają - zauważył.

- Bzdura - warknął Somerton wracając do gry. - Markiz będzie się musiał obejść smakiem. Lady Arradale obiecała już mi swoją rękę. We wtorek ogłosimy nasze zaręczyny.

Francuz podniósł w górę kielich wina.

- Wobec tego wszystkiego najlepszego, panie!

Ten gest nie pozostał nie zauważony. Wszyscy zaczęli mu gratulować. Miał tutaj wielu znajomych. Jednak lord Randolph nie cieszył się zbyt. Wciąż chodziło mu po głowie, że lord Rothgar też może interesować się hrabiną. Widział, co prawda, że ona nie zwracała na niego uwagi, ale markiz był jedną z najpotężniejszych osobistości w kraju. Jeśli zechce, będzie mógł wymóc na królu, by oddał mu jej rękę.

Godzinę później de Couriac wsunął się kuchennymi drzwiami do ambasady. W swoim pokoju odkleił sztuczną brodę i wąsy. Musi pamiętać, żeby je trochę przyszyć, bo za bardzo łaskoczą.

W głowie miał wspaniały plan. Do licha z D'Eonem. Jeśli mu się uda, zdobędzie uznanie króla i będzie całkowicie bezpieczny. Przybył do Londynu z rozkazami od ministra spraw zagranicznych. Miał doprowadzić do śmierci lorda Rothgara i jednocześnie skompromitować D'Eona. Teraz uda mu się zrobić jedno i drugie, a także pomścić biedną Susette.

Tak, śmierć Rothgarowi i cierpienie hrabinie! Jednak wiedział, że nie może działać sam. Kto w ambasadzie poszedłby na współpracę? De Couriac spojrzął w lustro i uśmiechnął się do swego gładkiego oblicza.

26

Niedziela nie zaowocowała niczym nowym. Diana wraz z dworem uczestniczyła w nabożeństwie w kaplicy królewskiej. Następnie odbyło się mniej oficjalne przyjęcie. Bey co prawda wziął w nim udział, ale nie mieli zbyt wielu okazji, żeby porozmawiać. Między innymi dlatego, że lord Randolph ani na chwilę nie spuszczał z niej oka. Diana za-

uważyła, że już czuł się panem i władcą. Dlatego celowo trzymała go na dystans.

Na szczęście udało jej się przekazać Rothgarowi, że „Brand” coraz bardziej naciska i że będzie musiała podjąć decyzję po balu maskowym. Na wzmiankę o balu towarzysztwo ożywiło się i wszyscy zaczęli wypytywać markiza o dekoracje. On jednak odmówił podania szczegółów.

Diana najpierw zdziwiła się, że sam się tym zajmuje. Później pomyślała, że Bey jest przecież współczesnym De-dalem, człowiekiem, który godzi zainteresowanie automatami z polityką. Mogło to też znaczyć, że czeka ją wiele niespodzianek w czasie maskarady.

Skąd, do diabła, brał na to czas? I czy w ogóle sypia

Kiedy spojrzała na niego po jakimś czasie odniosła w żenię, że jest zmęczony. Ale może to tylko była jej wyobraźnia. Po prostu widziała to, co spodziewała się zobaczyć. Z całą pewnością był bardzo wyciszony i skupiony. Starał się też nie wchodzić w drogę królowej.

Po przyjęciu Diana sama podeszła do monarchini. Pomyślała, że najwyższy czas zająć się sprawą najważniejszą. Poskarżyła się królowej, że przeczytała już romans, który przywiozła z domu i poprosiła o zgodę na odwiedzenie biblioteki królewskiej, a otrzymawszy ją, nie zwlekając skierowała się do prawego skrzydła pałacu.

Zadanie okazało się nadzwyczaj proste. Nikt jej nie przeszkadzał, więc mogła bez przeszkód kartkować kolejne woluminy.

Szukała informacji o rodzinie Rothgara ze strony matki. Mniej więcej po godzinie ustaliła, że wszyscy przodkowie markiza po kądzieli byli normalni, chociaż umierali dość młodo. Jego ciotka zmarła na ospę, osierociwszy szóstkę dzieci, wuj na jakąś nieznaną chorobę, a cioteczny brat w młodym wieku zjadł prawdopodobnie jakieś trujące rośliny. Diana zaniepokoiła się tylko na wzmiankę o Szalonym Randolphie Prease, ale okazało się, że przydomek pochodził od szaleńczej wprost odwagi dziadka Rothgara. Podobno

sam potrafił stawić czoło czterem napastnikom i ocalić króla. Diana uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie zdarzenie na drodze. Ciekawe, czy o Beyu też tak będą pisać?

Po przejrzaniu wszystkich tomów Diana odstawiła je na miejsce. Ręce miała brudne od kurzu, ale była zadowolona. Ani śladu choroby psychicznej. Dopiero po chwili przyszło jej do głowy, że Rothgar zna zapewne historię swojej rodziny. Chodziło więc raczej o to, by zmienić jego nastawienie do sprawy.

Teraz zyskała nowy argument.

Czy wystarczy, żeby go przekonać?

Przymknęła oczy i przypomniała sobie ich wczorajszy pocałunek. Musi coś zrobić. Już zdecydowała, że na balu będzie boginią Dianą i mogła mieć tylko nadzieję, że jej polowanie nie zakończy się tragedią.

Hrabina zaczęła przechadzać się po bibliotece, patrząc na opasłe tomy zawierające wszelkie mądrości. To dziwne, że w zasadzie dotyczyła ona rzeczy tak zmiennej i niestałej, jak ludzkie życie. Czy można zamknąć w słowach to, co tak zwiewne i ulotne? Czy można pisać o miłości i cierpieniu?

Można przynajmniej próbować, pomyślała.

W końcu, żeby usprawiedliwić jakoś swoją wizytę w bibliotece wybrała dwie niezbyt grube książki. Jedna zawierała wiersze, a druga opis podróży do Wirginii. Kiedy po umyciu rąk przeszła do apartamentów królowej, Charlotte poleciła jej przeczytać fragment tej drugiej. Książka okazała się ciekawa i pouczająca.

Dopiero po kolacji mogła przejść do siebie, gdzie już czekał na nią grecki kostium do przymiarki. Przyniosły go dwie panie, a nie sam mistrz, ponieważ Diana musiała się rozebrać, żeby włożyć suknię.

Clara aż otworzyła usta, widząc przebranie Diany.

- Bez gorsetu, milady!?

- Nie pasowałyby do tego stroju - wyjaśniła cierpliwie Diana, sama zaniepokojona tym, co kostium odsłaniał zamiast zasłaniać.

Czuła się pod nim naga. Na rysunku widziała co prawda, że jedno ramię jest odsłonięte, ale nie było to jeszcze jej ramię. Co gorsza, pozbawiony fiszbinów i krynoliny strój ujawniał kształt jej bioder i pupy, a przylegający do ciała materiał opinał się na piersiach, które w dodatku poruszały się przy każdym ruchu. Diana nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego!

Zbulwersowana Clara raz jeszcze pokręciła głową.

- Powinien być gorset, pani.

Diana zaczerwieniła się jeszcze mocniej, ale nie dała się zbić z tropu. W gorsecie to przebranie straciłoby całą swoją naturalność i autentyzm.

- Nie, Claro. Musi tak zostać.

Jednocześnie czuła, że końce jej piersi nabrzmiały nagle i stały się twarde. W lustrze dostrzegła, że ich kształt przebija przez cieką tkaninę.

- Czy... czy można by dać trochę więcej materiału? spytała starszą z kobiet.

Zagadnięta pochyliła lekko głowę.

- Mistrz Mannerly uważa, że tak jest dobrze - rzekła pewnym głosem.

Hrabina musiała przyznać, że strój jest doskonale dopasowany. Był zarazem elegancki i prosty. Co więcej, podkreślał jej naturalną urodę. Być może tylko wyglądałaby w nim trochę blado, gdyby pomalowała twarz i użyła pudru. Nie zdecydowała się jednak na to, żeby wystąpić w całej swej krasie. Może w ten sposób zdoła zachęcić Rothgara. Pamiętała jeszcze, jak patrzył na jej piersi „Pod Białą Gęsią”. Teraz też będzie je miał tuż przed oczami.

- Świetnie - zgodziła się zarumieniona Diana. - Mogę prosić dodatki?

Kobiety założyły jej srebrne pantofelki i maskę, a skwaszona Clara odsunęła się w kąt. Maska była naprawdę piękna, wykonana ze srebra i zdobiona perłami, układała się na twarzy w półksiężyc. Co prawda symbolem bogini Diany był księżyc w pełni, ale przecież nie mogła wyrzec się takiego cuda.

Hrabina z uśmiechem wyciągnęła ręce po łuk i strzały. Całe przedsięwzięcie wydawało jej się coraz bardziej ekscytujące. Najpierw przypięła sobie kołczan ze srebrnymi strzałami, a potem sięgnęła po łuk.

- O, prawdziwy! - ucieszyła się. - Mistrz Mannerly wziął dosłownie to, co mówiłam o autentyzmie.

Diana zajmowała się też przez jakiś czas łucznictwem pod czujnym okiem Carra. Potem zdecydowała się na nowocześniejszą broń. Jednak od czasu do czasu lubiła dla relaksu postrzelać z łuku. Wyjęła więc strzałę i złożyła się do strzału. Jako cel wybrała gałąź nad ponurym mnichem na tapecie w odległym kącie pokoju.

- Ależ, pani! - wykrzyknęła Clara.

- Cicho, bo ściągniesz tu cały pałac - zgromiła ją i naciągnęła cięciwę.

Nagły świst przeszył powietrze i strzała wbiła się wprost w gałąź. Mnich wciąż był ponury, choć przecież zachował życie.

- Niezła broń, ale parę metrów to żadna odległość - stwierdziła Diana i podeszła do otwartego okna. - Może powinnam wybrać jakiś cel w ogrodzie.

- Lepiej nie, pani.

Kobiety z pracowni krawieckiej stały spokojnie. Widać miały za zadanie niczemu się nie dziwić.

Diana podniosła łuk do góry, ale po chwili go opuściła. Ktoś mógł przecież zobaczyć strzał.

- Dobrze, Claro, ale muszę ci powiedzieć, że nagle odżyłam. Tak, jakbym wśliznęła się w moje stare buty.

- Które, pani? Te żółte? - spytała Clara odbierając jej łuk i strzały.

- Nie, chodzi mi o to... Zresztą nieważne.

Diana pożegnała obie panie i pozwoliła Clarze pomóc przy rozbieraniu. Następnie stanęła przy otwartym oknie i spojrzała na księżyc w pełni, swój prawdziwy symbol. To tam trafiało to wszystko, co źle wykorzystano lub stracono na ziemi. Nadzieje i miłości, marzenia i złamane serca.

Tam też zapewne dotarły jej życzenia. Nic dziwnego, że jest dziś tak jasny i świeci tak przejmująco.

Kiedy zegar w holu Malloren House wydzwonił dziesiątą, Bryght odesłał Portię ze śpiącym Francisem na górę. Służba już kończyła ścielenie łóżek. Jednak Bryght nie wybierał się jeszcze na spoczynek. Spojrzał na Rothgara mile zaskoczonego ich niespodziewanym przybyciem.

- To Elf nalegała, żebyśmy szybko skończyli naszą wyprawę - wyjaśnił.

Wskazał jeszcze służbie bagaże, które należało rozpakować jak najszybciej. Inne mogły poczekać do jutra. Rothgar patrzył na to wszystko, jakby nic się nie działo.

- Jak się miewa lady Arradale? - Od razu przeszedł do sedna. - Czy nic złego się nie stało, Bey?

Rothgar wzruszył ramionami.

- Wręcz przeciwnie. Jutro wydaję bal maskowy na jej cześć - poinformował brata. - Wasza pomoc bardzo się przyda. Elfi Fort pojechali pewnie do Walgrave House, co?

Bryght skinął głową.

- Oczywiście chciała od razu przyjechać tutaj, ale Fort jej to wyperswadował. Możesz się jej spodziewać jutro rano. Będzie chciała wydobyć z ciebie wszystkie twoje sekrety.

Markiz jedynie rozłożył ramiona, jakby chciał zdemontować w ten sposób swoją otwartość.

- Nie mam nic do ukrycia - zadeklarował.

Brat spojrział na niego z troską.

- I pewnie chętnie poprowadzi bal - dodał.

- Świetnie, chociaż mam już odpowiednią osobę - powiedział Rothgar, a następnie wskazał przejście do swego gabinetu. - Chodźmy, może napijesz się wina?

Bryght zgodził się z przyjemnością. Najpierw jednak musiał zająć się resztą bagażu, więc zaproponował, że przyjdzie do niego za chwilę. Kwadrans po dwunastej obaj bracia unieśli kieliszki wypełnione czerwonym portem.

- Za spotkanie! - rzekł Rothgar.

Bryght przyglądał mu się uważnie. Bey był zupełnie spokojny, ale tego należało się spodziewać. Jego zachowanie tak naprawdę nie świadczyło o niczym. Dlatego Bryght postanowił zadać mu bezpośrednie pytanie:

- Czy król naciska na małżeństwo lady Arradale?

- Tak. W tej chwili ma jednego poważnego kandydata, lorda Randolpha Somertona - odparł Rothgar.

Brat zmarszczył czoło, usiłując go sobie przypomnieć.

- Nie, nic o nim nie wiem - stwierdził w końcu. - Czy to dobry kandydat?

- Przystojny i czarujący. Poza tym ojciec chętnie by się go pozbył, bo lubi karty.

Bryght aż syknął, słysząc te słowa.

- Król mógłby jej znaleźć kogoś lepszego!

Markiz odwrócił się i z kieliszkiem w ręku podszedł do okna, za którym świecił księżyc w pełni. Przez chwilę stał, patrząc na jego tarczę.

- Niektórzy sądzą, że jest na księżycu/Bo tam co tutaj stracone jest wszystko.

- Bey, czy ty mnie słuchasz? - zaniepokoił się brat.

- Aleksander Pope - zakończył Rothgar. - Co? A tak, słucham. Wyobraź sobie, wszystkie nasze słabości i lęki, a także stracone okazje na księżycu. Obawiam się, że nie wytrzymałaby tego żadna planeta. A Ziemia jakoś wytrzymuje...

Rothgar dopił wino jednym haustem i rzuciwszy coś na pożegnanie wyszedł z gabinetu. Bryght jeszcze przez dłuższą chwilę patrzył na zatrzaśnięte drzwi, obracając w dłoni swój kieliszek.

Elf miała rację. To wszystko było bardzo dziwne i zapewne dobrze zrobili wracając wcześniej niż planowali. Tylko czy zdołają pomóc? Siostra twierdziła, że lady Diana prędzej czy później złamie postanowienie Rothgara i rzeczywiście na to się zanosilo. Muszą jedynie zdążyć, zanim król wyda ją za mąż.

Bryght podniósł swój kielich do księżyca.

- Bądź pozdrowiona, Diano - powiedział. - Zwyciężaj siły ciemności i prowadź nas wszystkich do szczęśliwego końca!

Diana wciąż stała przy oknie, a Clara pakowała łuk, kołczan i buty do pudła, w którym przyniosły te rzeczy obie panie.

- Ojej, tu jest jakiś papier - wykrzyknęła nagle, zajrzawszy do środka.

- Możesz go odłożyć, Claro. To pewnie rachunek.

Służąca pokręciła głową.

- Jest zapieczętowany.

Zaciekawiona Diana podeszła do łóżka i zerknęła pokojówce przez ramię. Clara miała rację. To nie był rachunek, ale list. Diana wzięła go do ręki i stwierdziła, że nie ma na nim pieczęci, a tylko kawałek wosku.

Otworzyła go szybko

„Lady Arradale!

Musimy porozmawiać. Wiesz, o co chodzi, dlatego będę na ciebie czekał przy altance w królewskim ogrodzie dziś w nocy pół do jedenastej. Małe drzwiczki prowadzące ze wschodniego skrzydła będą otwarte.

R.”

Tylko jedna litera, a tyle treści! Patrzyła z niedowierzaniem na list, nie mogąc uwierzyć, że tak zazwyczaj ostrożny Rothgar, chciał ryzykować w ten sposób. Gdyby ich złapano, musiałyby się z nią natychmiast ożenić.

Być może zdarzyło się coś ważnego, o czym chce jej powiedzieć. Jeszcze raz przeczytała tych parę zdań. Coś jej nagle przyszło do głowy i wyjęła z kasetki poprzedni list od markiza. Wszystko się jednak zgadzało, to było pismo Rothgara.

Trochę uspokojona rozważała przez chwilę całą sytuację. W zasadzie nic jej nie groziło. Cała wina spadała na Beya. Zresztą, być może o to mu chodziło. Prawdopodobnie również, że chciał z nią ustalić taktykę na jutrzejszy wieczór. Albo miał jakiś doskonały pomysł...

Musi iść! Zegar wskazywał już piętnaście po dziesiątej.

- Claro, żadnych pytań - od razu ją ostrzegła. - Przygotuj moją brązową suknię podróżną.

- Ależ, milady, w jakim...?
- Mówiłam, żadnych pytań.
- Zostań, pani - poprosiła ją służąca.
- Nie mogę. I pośpiesz się.

Poruszona dziewczyna przykucnęła, żeby wydobyć suknię z najniższej części komody. Diana natomiast otworzyła swoją torbę podróżną i zabrała się do nabijania pistoletu.

Tylko jednego.

Na wszelki wypadek.

27

Na parterze wschodniego skrzydła mieściły się magazyny oraz parę opuszczonych pokoi. Diana mogła więc czuć się tu bezpiecznie. Szybko też znalazła drzwi, które otworzyła bez najmniejszego trudu. Były dobrze naoliwione. Zapewne korzystała z nich służba, żeby wymknąć się na jakiś czas z pałacu.

Ścieżka prowadziła na tyły ogrodu. Diana skradała się nią ostrożnie niczym złodziej. Gdyby ktoś ją tutaj zobaczył, powiedziałyby, że wyszła na spacer. Jednak wokół było pusto. Strach powoli ustępował i Diana już rażniej ruszyła przed siebie. Doskonale pamiętała położenie altanki, gdyż często bywała tam z królową. A teraz spotka się tam z Beyem sam na sam. Była już nieco spóźniona, ale przed wyjściem zrosiła się jeszcze perfumami z drzewa różanego.

Nareszcie sami, pomyślała.

Wieczór był piękny i ciepły. Szła cichutko przy wtórze świerszczy. Królowa miała rację, że się tutaj osiedliła. Mogła się tu czuć jak na wsi, będąc jednocześnie prawie w centrum stolicy.

W końcu dotarła do altanki, ale nikogo tu nie dostrzegła. Może Rothgar czekał na nią w środku?

- Hej, jest tu kto? - szepnęła, zaglądając do wnętrza.

Miała wrażenie, że coś się poruszyło, więc przesunęła się dalej. Jednocześnie chciała wyjąć pistolet z kieszeni spódnicy, ale... już nie zdążyła. Ktoś chwycił ją za rękę, a druga osoba zakryła jej usta, zanim jeszcze zdążyła krzyknąć. Próbowwała się wyrwać, ale mężczyzna założył coś z tyłu na jej rękę. Zdecydowała się więc kopnąć go swoim bucikiem ze szpicem.

- *Mon Dieu!* - jęknął i natychmiast uderzył ją po głowie tak, że zobaczyła gwiazdy.

- Nic takiego - mruknął również po francusku, ale z wyraźnym angielskim akcentem drugi mężczyzna. - Trzeba związać jej nogi, a będzie bezbronna.

Pierwszy z napastników, klnąc na czym świat stoi, zabrał się do wiązania jej kostek. Diana znała skądś ten głos.

De Couriac!

Mężczyzna, który stał teraz przed nią nosił wprawdzie brodę i wąsy, ale miał wzrost de Couriaca i jego tuszę. Wpadła w pułapkę! Bey nigdy by jej nie darował, gdyby dowiedział się, jak łatwo dała się podejść.

Tylko czego mogli od niej chcieć Francuzi?

I kim był drugi mężczyzna, prawdopodobnie Anglik?

De Couriac wyjął nóż i przyłożył go jej do gardła.

- Nie waż się nawet pisnąć, bo zarżnę! - zagroził.

Drugi mężczyzna, najwyraźniej poruszony takim zachowaniem, zdjął dłoń z jej ust.

- Proszę zachowywać się cicho, milady, a nic się pani nie stanie - powiedział.

Lord Randolph!

Diana zastanawiała się przez chwilę, czy jednak nie nariobić hałasu. Ale złe oczy de Couriaca lśniły tuż przy jej twarzy. Nie miała wątpliwości, że spełniłby swoją groźbę, gdyby zdecydowała się krzyknąć.

Lord Randolph przerzucił ją sobie przez ramię i zaczęli przemykać do wyjścia na tyłach ogrodu. Brama była otwarta. Diana zobaczyła jeszcze powóz Somertona zanim wrzucono ją do środka niczym worek.

- Co robisz, panie?! - spytała głosem ochrypłym z wściekłości. - Król każe cię za to powiesić!

- Nic takiego, kochaneczko - powiedział, sadowiąc się obok Diana żałowała, że nie może w tej chwili dosięgnąć pistoletu. Do powozu zajrzał jeszcze de Couriac z brodą i wąsami.

- Jesteś pewny, panie, że sobie poradzisz? - spytał, wskazując Dianę. - To prawdziwa tygrysica.

Lord Randolph machnął tylko ręką.

- Bez najmniejszych problemów.

Francuz skinął głową i zamknął drzwiczki powozu. Ruszyli galopem. Mogła teraz krzyżeć, ale nie miało to żadnego sensu. Zwłaszcza, że Somerton i tak mógł ją w każdej chwili uciszyć.

Żabojad - mruknął. - Myśli, że nie poradzę sobie ze słabą kobietą.

- O co tutaj chodzi? - spytała z całym spokojem, na jaki ją było w tej chwili stać.

- Myślałem, że to oczywiste, pani. To nasza wspólna wycieczka.

- Chyba oszalałeś, panie!

- Wciąż myślisz, pani, że dam za to szyję? - Somerton Wydobył z kieszeni surduta tabakierę z kości słoniowej i zaczął się nią bawić. - Zapewniam cię, że nic takiego nie nastąpi. Wręcz przeciwnie, jeszcze dostanę nagrodę.

Diana patrzyła na niego nic nie rozumiejąc.

- Tak, pani, otrzymam dobra lordowskie wraz z przysługującymi mi przywilejami - dodał, zażywszy uprzednio tabaki i kichnąwszy siarczyście.

- Król nigdy nie pochwalał porwań.

- Tym razem zmienił zdanie.

Jego pewność siebie do końca wytrąciła ją z równowagi sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czyżby królowi aż do tego stopnia zależało, żeby wydać ją za maz? Itowtakisposób?

Przecież monarcha chciał, żeby poślubiła Rothgara!

A może królowa przekonała go, że lord Randolph będzie lepszym kandydatem na męża.

- Czy wiesz to od... króla? - spytała po chwili namysłu.

- Oczywiście.

- To znaczy, panie, że król sam ci to powiedział? - położyła nacisk na ostatnie słowo.

- Poinformował mnie o tym - odparł lord Randolph.

Powoli zaczynała rozumieć. Przecież ona też dostała list. Podejrzała, że Somerton nie współpracował z Francuzami, a był tylko narzędziem w ich rękach.

- Dostałeś list, panie? - upewniła się. - Pamiętaj, że może być sfałszowany.

- Sfałszowany?! - oburzył się. - Przecież miał królewską pieczęć!

Diana otworzyła usta, ale po chwili je zamknęła. Sfałszowanie królewskiej pieczęci było zdradą stanu!!! Nic go nie przekona, że Francuzi mogli się do tego posunąć.

- Widzę, pani, że wreszcie zrozumiałaś - powiedział udobruchany. - Nie przejmuj się. Będę dobrym mężem. Pod warunkiem, że będziesz mnie słuchać...

Diana znowu postanowiła udawać prowincjonalną idiotkę.

- Ale jeśli list był sfałszowany, mój mąż spędzi najlepsze swoje lata w Tower - rzekła smętnie.

Lord Randolph uśmiechnął się niepewnie.

- Daj spokój, pani, przecież nie ma lepszego kandydata - mruknął. - Gdybyś nie robiła maślanych oczu do lorda Rothgara, król w ogóle nie musiałby wydawać mi tych dyspozycji. Zarozumiały bubek!

- Lord Rothgar mnie nie interesuje!

- Doprawdy, pani? Przecież przybiegłaś, gdy tylko dostałaś list ode mnie - powiedział ze śmiechem.

No tak, R mogło oznaczać również Randolpha. W razie czego mógł stwierdzić, że ma po prostu podobny do marki za charakter pisma. W jego oczach cała sprawa była czysta.

- Zresztą doskonale cię rozumiem - ciągnął Somerton.

- Na początku udawałaś, że go nie chcesz, żeby złamać jego opór. Kto mógłby się oprzeć takiemu majątkowi? I sławie. Jednak nie sądziłaś, że król nie pozwoli na zgromadzenie tak wielkiej potęgi w jednych rękach.

Dianie chciało się śmiać. Oczywiście lord Randolph mierzył wszystkich własną miarą. Ale im dłużej myślała, tym mniej było jej do śmiechu.

Nie ulegało wątpliwości, że spisek zorganizowali Francuzi. Somerton był jedynie pionkiem w ich rękach. Ale de Couriacowi nie mogło przecież zależeć na jej skromnej osobie. Chodziło mu o coś więcej. Już dwa razy próbował zabić Beya i teraz przyszedł czas na trzecią próbę.

Zapewne Rothgar dowie się, że ją porwano.

Podąży jej śladem i wpadnie w przygotowaną zasadzkę. Znaczyło to, że w tej grze jest tylko przynętą.

- Markiz nie chce się żenić - rzekła w końcu. - Po prostu trochę z nim flirtowałam. Czy możesz mnie rozwiązać, panie? Zupełnie zdrętwiały mi ręce.

Lord Randolph wyjrzał przez okno.

- Jeszcze trochę, moja śliczna, a na pewno cię rozwiążę - zapewnił, patrząc na nią oblesnie. - Nie ma obawy.

Ciarki zaczęły jej chodzić po plecach. Nie podejrzewała, że Randolph mógłby posunąć się do takiej niegodziwości.

- Ale... nie zrobisz, panie, niczego przed ślubem?

I znowu to spojrzenie badające jej kształty.

- Niczego złego - rzucił.

Pomyślała, że ucieszyłaby ją teraz nagła niedyspozycja, na którą czekała. Bała się jednak, że Randolph mógłby nawet tego nie uszanować. Był wstrętny i oślizły niczym szczur.

- Zepsujesz mi, panie, ślub - poskarżyła się. - Zawsze chciałam wystąpić w mirtowym wianku i mieć piękną uroczystość.

- Za późno, moja droga - rzekł Somerton, który zrezygnował z oficjalnej formy „pani” i zwracał się do niej jak do bliskiej znajomej. Albo służącej. - Ale po powrocie ze Szkocji będziesz mogła urządzić przyjęcie.

Diana miała wrażenie, że za chwilę eksploduje z wściekłości. Najbardziej bolało ją to, że nic nie mogła zrobić. Miała co prawda schowany pistolet, ale też związane ręce. Wiedziała, że prośby nic nie pomogą. Lord Randolph wziął sobie chyba do serca przestrogi de Couriaca.

Patrzyła na Somertona, myśląc, że tak naprawdę jest żaloszny. Król z całą pewnością nie puści płazem tego porwania. Jednak nie będzie mógł ukarać D'Eona i cały jego gniew skupi się na lordzie Randolphie.

Powóz w końcu się zatrzymał. Dotarli do miejsca, gdzie Somerton zapewne zamierzał ją zgwałcić. Mogła spodziewać się ratunku od Beya, ale wolałaby działać szybciej, żeby uprzędzić atak Francuzów.

Somerton rozwiązał jej nogi. Chciała go kopnąć, ale w porę się powstrzymała.

Kiedy wysiedli, Diana rozejrzała się dookoła. Wiejska droga okolona żywopłotem, a dalej lasek. Przed nimi majaczyło światło z niewielkiej chaty stojącej parę metrów od drogi. Księżyc niczym wielka lampa oświetlał całe otoczenie.

Doskonałe miejsce na porwanie.

Jeszcze lepsze na morderstwo.

Diana czuła się bezradna. Sprawdziła, czy uda jej się może wyswobodzić ręce, ale okazało się, że nic z tego. Somerton nawet nie zwracał na nią uwagi. Wiedział, że nie będzie próbować ucieczki w takim odludziu. Zamienił parę słów ze stangretem, a następnie pchnął ją w stronę chaty.

Diana ruszyła posłusznie. Wiedziała, że jej czas jeszcze nie nadszedł, ale z całą pewnością nadejdzie.

Kiedy wchodziła do wnętrza, usłyszała odgłosy odjeżdżającego powozu. Zostali sami. Ciekawe, czy Clara czeka na jej powrót? I co zrobi, kiedy jej pani nie wróci w ciągu godziny?

Somerton chwycił ją za tył sukni i poprowadził przed sobą. Weszli do sieni, a potem do niewielkiej kuchni, której od dawna chyba nie używano. Puścił ją dopiero w izbie, w której znajdowało się wielkie łóżko, zupełnie nie pasujące do wiejskiej zagrody. Czy sprowadzono je tutaj specjal-

nie, czy też było to miejsce schadzek? Jeszcze jedno pytanie, na które nie znała odpowiedzi.

- Rozwiąż mnie - poprosiła raz jeszcze.

Jednak lord Randolph pogłaskał najpierw Dianę po twarzy, chociaż oczy wciąż miał zimne, a następnie pchnął ją na łóżko.

- Mam nadzieję, że jesteś, moja droga, dziewicą. Nie znoszę puszczałskich.

Diana pomyślała, że czeka go wobec tego przykra niespodzianka.

- Ręce mnie bolą! - poskarżyła się.

Somerton nie zważał na jej jęki.

- Przynajmniej się zabawimy - mruknął. - Dwór Jerzego III jest potwornie nudny. Para królewska to wcielenie wszelkich cnót.

Było oczywiste, że sam nie należał do cnotliwych.

- Proszę, nie, panie!

Zdjął surdut.

- Ech, te dziewice! Robią tyle hałasu z powodu zupełnie prostej sprawy.

Diana powoli zaczynała tracić ducha. Wiedziała, co prawda, że Randolph będzie musiał ją rozwiązać, jeśli zechce ją rozebrać. Tylko czy zdoła wówczas skorzystać z pistoletu?

- Chcę ślubu! - krzyknęła. - I małżeńskiego łóża z płatkami róż!

Somerton wybuchnął śmiechem. Potem wyszedł gdzieś. Sprawdziła raz jeszcze, czy nie uda jej się wyswobodzić z więzów, ale sznur był mocno zaciągnięty. Po chwili usłyszała znowu skrzypienie drzwi. Randolph wrócił z dworu i rzucił na jej łóżko garść różanych płatków.

- Masz! Żebyś wiedziała, że potrafię dogodzić żonie!

Gorące łzy polały się na jej policzki. Nie, nie może się poddawać. Musi się trzymać do końca. Somerton zaczął rozwiązywać troczki swojej koszuli. Natychmiast przypomniała sobie Rothgara, ale to, co się teraz działo było nędzną karykaturą ich wspólnej nocy.

Mój Boże, taki wstyd! pomyślała.

- Nie bój się, różyczko. I tak się z tobą ożenię - powiedział lord Randolph, który chyba opacznie zrozumiał jej płacz.

Diana modliła się, żeby Bey ją znalazł, a jednocześnie bała się tej chwili. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. A przecież rozwiązanie było tak blisko. Śmierć porywaczom i gwałtocielom!

Zaczęła drzeć na całym ciele.

- No, nie bój się! - Somerton spojrzał na nią z niepokojem i usiadł na łóżku. - Zaraz cię rozwiążę.

Diana natychmiast się uspokoiła. Poczwała, że nadchodzi wybawienie.

- O, dzięki, panie! - jęknęła.

Lord Randolph wyjął nóż i przez chwilę patrzył na nią. Następnie wziął leżące obok prześcieradło i przeciął je na cztery części. Diana ciągle nic nie rozumiała. Dopiero, kiedy przywiązał jej nogę do łóżka, zrozumiała, co chce zrobić.

- Co?! Dlaczego?! - bełkotała.

Po przywiązaniu drugiej nogi wstał i spojrzał na nią z góry.

- Teraz, moja droga, rozwiążę ci ręce - rzekł chłodno. - Mam nadzieję, że nie będziesz walczyć. To bezużyteczne. Z przywiązanymi nogami i tak nie mogłabyś wstać. Poza tym, pamiętaj, że jestem silniejszy.

28

Diana leżała na łóżku, patrząc z nienawiścią na Somerton. Na pewno nie przekona go już, że jest słaba i bezbronna.

- Możesz mnie zgwałcić, panie, ale i tak nie wyjdę za ciebie za mąż - rzuciła mu prosto w twarz. - I dopilnuję, żebyś za to wisiał.

Lord Randolph roześmiał się na te słowa.

- Szybko zmienisz zdanie.

Kiedy przeciął jej więzy, chciała od razu sięgnąć po pistolet, ale Somerton był szybszy. Chwycił jej prawą dłoń i przywiązał do oparcia łóżka. Próbowwała go uderzyć lewą, ale na próżno.

- Silna z ciebie kocica - syknął.

Po chwili znowu leżała związana i bezsilna. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby się nie rozkleić. Przypomniała sobie Ironhanda, bohatera z północy, od którego wywodził się jej ród. On na pewno by się nie poddał.

Mogła jeszcze spróbować oszukać Randolpha i wspomnieć o niedyspozycji, ale teraz miała już pewność, że zechciałby sprawdzić. Wołała więc milczeć z godnością. Już niemal pogodziła się z tym, że zostanie zgwałcona i tylko miała nadzieję, że uda jej się go później zabić. Jeśli nie król, to ona zadba, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Somerton usiadł na łóżku i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Musiałem cię tak związać, pani, żebyś nie zrobiła sobie nic złego - powiedział.

Zacisnęła z pogardą usta.

Randolph wziął jeden z różanych płatków i dotknął nim jej warg. Zachował tyle zdrowego rozsądku, że nie próbował jej całować. Inaczej odgryzłaby mu język.

- Jeśli będziesz dla mnie miła, moja droga, potrafię się odwdziżyć.

- Jesteś głupim zarozumialcem, któremu wydaje się, że jest najwspanialszy! - warknęła.

Uderzył ją w policzek na tyle mocno, że poczuła ból.

Było jej już wszystko jedno.

- Jeśli usłyszę jeszcze raz coś podobnego, to stłukę cię na kwaśne jabłko - rzucił. - Takie słowa nie przy sto ją przyszęj żonie.

- Nigdy nie będę twoją żoną - powtórzyła.

- Tylko ci się tak wydaje.

Znowu wyjął nóż i zaczął się nim bawić. Po chwili dotknął nim jej szyi. Diana zastygła, myśląc, że chce się ze-

mścić za zniewagę, ale on zaczął przecinać materiał jej stanika. Czuła tępa krawędź noża na swoim ciele.

- Zaraz sobie ciebie obejrzę - rzekł Randolph. - Zwykle bierze się żony w opakowaniu. Chociaż tutaj, muszę powiedzieć, uroda nie jest najważniejsza. Bardzo ładne, naprawdę bardzo ładne.

Odsunął nożem materiał, spod którego wytrysnęły jej piersi. Somerton przełożył nóż do lewej dłoni i dotknął jej sutka. Ciało Diany zareagowało natychmiast podnieceniem. Zamknęła oczy, starając się zablokować wszystkie uczucia, ale siły natury były potężniejsze.

- Naprawdę wspaniałe - dodał, odrzucając nóż.

Po chwili już trzymał jej piersi w dłoniach. Pieścił je coraz mocniej, a uczucie podniecenia było coraz silniejsze.

To nic, mówiła sobie Diana. Zabiję go, na pewno go zabiję. Zastrzelę jak psa. Albo nie, to będzie zbyt szybka śmierć. Podniosę nóż i go zasztyletuję. Tak jak uczył mnie Carr. Będzie wtedy umierał powoli, bardzo powoli.

Nagle znowu poczuła zimne ostrze. Tym razem na twarzy.

- Nie zamykaj oczu - zakomenderował Somerton. - Chcę, żebyś na mnie patrzyła. Masz prawo, jako żona.

Jej pierś wezbrała nienawiścią.

- Nie jesteś moim mężem!

Przesunął ręce niżej na jej nogi, a następnie rozdzielił je gwałtownym ruchem.

- Trzymaj je w ten sposób - rozkazał.

Tym razem poczuła swoją przewagę. Mimo więzów, w każdej chwili mogła zacisnąć nogi. Nic ich nie rozdzieli. Jeśli Somertonowi wydaje się, że...

Z przerażeniem dostrzegła, że zaczyna się rozbierać. Nie wiedząc, co robić, zaczęła krzyżeć.

- Zamknij się! - dobiegł do niej jego nabrzmiały wściekłością głos.

Jednak Diana krzyczała dalej. Czuła się tak, jakby odzyskała siły. Randolph rzucił się na swoją ofiarę i zatkał

jej usta dłonią, ale próbowała ją ugryźć. **Oderwał** więc kawałek stanika i wsadził jej w usta.

W izbie nagłe zapanowała cisza.

- Gdybyś nie miała tego całego majątku, poderżnąłbym ci gardło i zostawił robakom - rzucił z furją. - Wiesz co, chyba przyda ci się nauczka. Zostawię cię tak na jakiś czas. Jak wrócę, będziesz błagać o litość.

Odszedł od niej i usiadł przy palenisku. Z kieszeni surduta wyjął płaską fiaszeczkę. Diana próbowała się uspokoić i oddychać przez nos. Mogła się przecież udusić. Walczyła z pokusą, by zamknąć oczy. Wolała jednak obserwować Somertona.

- Muszę cię ujeździć jak dziką klacz - powiedział, pociągnawszy parę łyków. - Albo od razu trafisz do domu wariatów. I tak ta groźba wisi nad twoją głową.

Starała się nie zwracać uwagi na jego słowa. Niczym się nie przejmować. Oddychać równo i spokojnie. Nie okazywać strachu.

- Widzisz, jesteś teraz zdana na moją łaskę i niełaskę - ciągnął. - Nie możesz nic zrobić. I co, będziesz grzeczna?

Nie wytrzymała i wymamrotała coś obraźliwego, czego on oczywiście nie mógł zrozumieć. Wstał jednak ze swego miejsca i usunął knebel z jej ust.

- Rozumiem, że tak!

Nie odpowiadać. Zachować spokój. Musi zebrać siły na ostateczną walkę.

- Aa, obraziłaś się, moja droga. Może myślisz, że zdołasz mi się oprzeć? Ale ciało ludzkie, to zabawna rzecz. Robi czasem to, czego nie chce właściciel... - zawiesił głos - albo właścicielka. Zobaczysz, będziesz mi jeszcze dziękować.

- Właśnie, myślę, że wszyscy to za chwilę zobaczymy.

Diana spojrzała w stronę drzwi. Bey?! Jej serce zabiło w radosnym uniesieniu. Myślała, że śni, albo, że zemdlą.

To jednak nie był sen. Świadczyła o tym czerwona z wściekłości twarz Somertona, który wpatrywał się w lufę pistoletu lorda Bryghtha. Natomiast Rothgar podskoczył

do niej i paroma cięciami uwolnił z więzów. Diana usiadła, a stanik zsunął się z jej ciała, odsłaniając piersi. Nie dbała o to. Wstała i rzuciła się w ramiona Beya.

- Cicho, cii.

Dopiero teraz zorientowała się, że płacze. Łzy spływały jej po policzkach i spadały na nagie piersi. Rothgar owinał ją swoim czarnym płaszczem i ponownie zaczął uspokajać.

- No, już nie płacz. Lord Randolph czeka na twoje podziękowanie.

Somerton patrzył na nich z nienawiścią, ale bez strachu. Bey wydawał się całkiem spokojny, natomiast lord Bryght aż bladł z gniewu. Trzymał niedoszłego gwałciciela na muszce i nie ulegało wątpliwości, że strzeli, gdy tylko Randolph się poruszy.

Drżącą jeszcze ręką wyciągnęła pistolet z kieszeni swej spódnicy.

- Przysięgałam sobie, że go zabiję.

- Należy do ciebie. - Rothgar odsłonił Somertona, który chyba po raz pierwszy poczuł ukłucie strachu.

- Nie możecie tego zrobić! - jęknął. - Na miły Bóg, zabierz jej, panie, pistolet zanim dojdzie do wypadku! zwrócił się do markiza.

- Muszę go zabić!

- Lady Arradale strzela lepiej ode mnie, Somerton. Jestem pewien, że traici cię tam, gdzie będzie chciała i nie będzie to żaden wypadek. Osobiście proponuję celować między nogi - zakończył ze złośliwym uśmiechem.

Lord Randolph zakrył rękami przyrodzenie.

- Na Boga! Pamiętaj, pani, o królu - skamlał.

- Ty głupcze, czy myślisz, że król naprawdę mógł się zgodzić na coś takiego?! - Diana położyła palec na spuście.

- Ma m jego list!

Bey zmarszczył brwi i położył dłoń na jej pistolecie.

- Zaczekaj chwilę. Jaki list?

- Twierdzi, że ma list od króla - Diana pospieszyła z wyjaśnieniami. - Że monarsze zależy na tym, żebyśmy nie połączyli naszych rodów. Ale, Bey... to sprawka Francuzów.

Widziałam de Couriaca. Boję się, że to może być pułapka.

- Cii! - Rothgar uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. -
Wiem wszystko. Moi ludzie pilnują domu.

Diana odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie musiała obawiać się o jego życie.

- Król nigdy ci tego nie wybaczy, panie - markiz zwrócił się do Randolpha.

- Kłamiesz! W surducie mam list z jego pieczęcią.

Bey podniósł końcem szpady surdut Somertona z podłogi, a następnie zaczął przeszukiwać jego kieszenie. Po chwili znalazł opieczętowane pismo.

- Widzisz, panie, że mówię prawdę - rzekł Randolph do Rothgara, świadomie ignorując wściekłą Dianę. - Czy mogę włożyć spodnie?

- Nie. Nikt nie kazał ci ich zdejmować - padła odpowiedź.

Bey podszedł do świecznika i uważnie obejrzał pieczęć. Potem otworzył list i dokładnie badał pismo.

- No i co? - Lord Randolph naprawdę wierzył, że list pochodzi od Jerzego III i że dzięki niemu uda mu się wyjść cało z opresji.

- Doskonale sfałszowany - zawyrokował Rothgar. - Król będzie wściekły.

Somerton nie mógł się powstrzymać. Podszedł do markiza i wyrwał mu pismo z ręki.

- Sfałszowany?! Ale pieczęć...

- Pieczęć jeszcze łatwiej podrobić niż pismo - przerwał mu Rothgar. - Brakuje paru szczegółów, ale muszę przyznać, że to dobra podróbka.

- Dostałam list pisany twoim charakterem pisma - zauważyła Diana. - To też było sprytne fałszerstwo.

Bey smutno pokiwał głową.

- Przykro mi. Powiniennem wprowadzić jakiś kod, byś mogła sprawdzić, czy coś rzeczywiście pochodzi ode mnie.

Lord Randolph spoglądał to na pismo króla, to na nich.

- Co?! Chyba nie sądzisz, że podrobiłem te listy! - krzyknął do Diany. - Ty zdziro!

W tym momencie dostał tak silny cios, że przetoczył się aż na koniec pokoju. Gdyby nie ściana, na pewno by upadł. Masując szczękę, patrzył na nich wzrokiem pełnym nienawiści.

- Nie, nie sfałszowałeś listów - powiedział gniewnie Rothgar. - Jesteś tylko głupcem, a świat spokojnie może się obejść bez głupców. Pozostawiam cię w rękach lady Arradale, ale jeśli obrazisz ją chociaż jednym słowem, zginiesz z mojej ręki. A ja już zadbam o to, żebyś umierał długo z upływu krwi.

- A może to ja wygram. - Somerton spojrzał mu prosto w oczy, ale szybko spuścił głowę pod naciskiem wzroku Rothgara.

- Musiałbyś być bardzo dobry - mruknął markiz. - Tak byłby pojedynek na śmierć i życie. Powiedz lepiej, skąd dostałeś ten list? - wskazał leżące na podłodze pismo.

- Właśnie nie wiem - odparł po dłuższym zastanowieniu Randolph. - Po prostu znalazł się nagle w moich papierach

Widzieli, że nareszcie zaczął się naprawdę bać. Ręce mu drżały i kulił się pod ścianą. Diana niemal czuła litość na ten widok.

- Sam napisałeś list do lady Arradale? - wypytywa Rothgar.

- Tak jak mi kazał król. Niczego nie fałszowałem. Odesłałem go do pracowni krawieckiej Mannerly'ego - Somerton wyrzucał z siebie kolejne zdania.

Rothgar tylko pokiwał z politowaniem głową.

- Jesteś większym głupcem niż myślałem - stwierdził. Gdzie poznałeś de Couriaca?

- Kogo? Nie znam żadnego de Couriaca.

- Francuza, który ci pomagał! - zniecierpliwiał się markiz.

- A, Dionne'a. Spotkałem go „U Lucyfera”. Pojawił się u mnie zaraz po tym, jak dostałem królewskie polecenia. Musiałem mu o tym wspomnieć, bo zaproponował pomoc... To nie było jego prawdziwe nazwisko?

- Dionne? Nie - mruknął Rothgar.

- Brzmi jak D'Eon - zauważyła Diana.

Cała sytuacja stała się dla nich jasna. Bey podniósł list

i złożywszy schował do kieszeni. Następnie zwrócił się do Randolpha.

- No, kładź się na łóżku.

Somerton pobladł jeszcze bardziej.

- Co... co chcecie zrobić?

- Rób to, co ci każę!

Randolph zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Nic z tego - powiedział do Rothgara. - Możesz się wypchać.

Diana spojrzała na Beya, ciekawa, jak zareaguje. On jednak stał spokojnie i tylko patrzył na młodego Somertona.

- Rób, co ci każę - powtórzył.

Lord Randolph skulił się pod jego wzrokiem i jakby prowadzony niewidzialną ręką przesunął się w stronę łóżka. Po chwili już na nim leżał. Rothgar zbliżył się do niego i zaczął mu wiązać ręce do wezgłowia.

- Możesz przywiązać mu nogi - zwrócił się do Diany.

Odłożyła pistolet i sięgnęła po kawałek rozdartego prześcieradła. Nawet po rozcięciu wciąż był na tyle długi, że mogła z niego skorzystać. Kiedy dotknęła ciała Somertona, poczuła, że drży. Związała go z wyraźnym obrzydzeniem, jakby musiała dotykać szczura.

Lord Bryght obserwował całą scenę od drzwi. W opuszczonej ręce wciąż trzymał pistolet.

- Na miłość Boską, Malloren! - jęczał lord Randolph, któremu zupełnie puściły już nerwy.

Rothgar wyprostował się i spojrzał na niego z niechęcią.

- Sam nic ci nie zrobię - powiedział. - Zostawimy cię teraz w rękach lady Arradale. Jeśli przeżyjesz, jutro cię uwolnię i popłyniesz prosto do Ameryki. Twój ojciec ma tam chyba jakąś posiadłość. I nie radzę ci wracać do Anglii.

- Malloren, przecież nie chciałem nic złego... Miałem się z nią ożenić... Wiesz, jakie są kobiety.

Drzwi trzasnęły i Diana została sama ze swym oprawcą. Somerton zaczął się wić, próbując uwolnić się z więzów.

Podeszła do niego i uderzyła w twarz.

Lord Randolph uspokoił się i spojrzał na nią, próbując się uśmiechać.

- Ulżyło ci, pani? Możesz uderzyć mnie jeszcze. Tylko nie dotykaj pistoletu.

Znowu traktował ją jak idiotkę.

Diana spojrzała na swoją rękę. Miała takie wrażenie, jakby była brudna. Cała izba wydawała jej się wypełniona brudem. Chciała jak najszybciej stąd wyjść, sięgnęła więc po swój pistolet.

- Nie, nie! - wycharczał Somerton.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Uważaj na przyszłość, panie. Gdybyś mnie zgwałcił, musiałbyś pożegnać się z życiem. A każda kobieta może być taka, jak ja. Nie mamy wyjścia i musimy ukrywać naszą siłę i umiejętności, więc radzę mieć się na baczności.

Włożyła pistolet do kieszeni.

- Zegnaj, panie - powiedziała do oniemiałego Randolpha. Bey czekał na nią przed chatą. Od razu rzuciła mu się w ramiona.

- Co z Somertonem? - spytał, jakby chodziło o drobiazg.

- Nic mu nie jest. - Zajrzała mu w oczy. - Rozczarowany?

- Nie, jeśli to była chwila słabości - odparł.

Diana potrząsnęła głową.

- Nie, po prostu brzydziłam się go zabić - odrzekła.

Musimy uważać, de Couriac może się czaić w pobliżu.

Zgodnie z tym, co powiedział Bey cały teren był obstawiony jego ludźmi. Zaraz też podprowadzono im konie.

- Myślę, że jeszcze nie. Mieliśmy tu być znacznie później.

Przytrzymał jej konia. Diana wsiadła, starając się nie odsłaniać nagiego ciała.

Bryght dosiadł swojego wierzchowca.

- Możecie jechać? - rzucił w ich kierunku.

- Naturalnie - odparła Diana.

- Szybko czy wolno? - spytał jeszcze Rothgar, patrząc na nią z troską.

- Szybko. Wtedy trudniej nas **będzie trafić ze strzelby** - odpowiedziała z uśmiechem.

29

Diana dźgnęła konia, który ruszył niczym wiatr za wierzchowcem Beya. Pędzili galopem, a ona czuła, że nocne powietrze powoli ją oczyszcza. Mknęła z rozwianymi włosami, nie myśląc ani o lordzie Randolphie, ani o de Couriacu. Potrzebowała ruchu, żeby móc zapomnieć.

Po paru minutach wyjechali na główny trakt, gdzie zrównała się z Rothgarem. Jego ludzie i Bryght jechali gdzieś z tyłu. Przed nimi majaczyły światła Londynu. Widzieli nawet sylwetkę katedry św. Pawła.

Jednak Diana była opętana szybkością. Na widok bariery, przy której pobierano myto zmusiła konia do skoku. Rothgar poszedł w jej ślady. Minęli roгатki i pogalopowali w stronę coraz wyraźniejszych świateł, zostawiając w tyle swoją ochronę. Nie było to być może najmądrzejsze, ale Diana potrzebowała dotyku czystego powietrza. Płaszcz Beya łopotał za nią, ale zakrywał górę jej ciała. Zwolniła dopiero, kiedy budynki stały się gęstsze.

Nareszcie uspokojona czuła się czysta i znów pewna siebie.

Bey również wstrzymał swojego ciemnego niczym noc wierzchowca. W oddali słyszeli tętent kopyt. To Bryght z ludźmi Mallorenów starał się ich dogonić. Ciekawe, czy de Couriac zauważył ich ucieczkę? Jeśli czaił się gdzieś przy chacie, z pewnością nie zdołałby ich dopaść.

- Jak myślisz, czy dobrze zrobiliśmy jadąc tak szybko? - spytała, łapiąc oddech.

Rothgar jak zwykle zachowywał niezmacony spokój.

- Trudno powiedzieć - odrzekł. - Wydaje się, że nic nam

nie grozi. Ale gdybym był ostrożniej szy, na pewno w ogóle nie doszłoby do takiej sytuacji.

Diana uśmiechnęła się do siebie.

- Czy mówiłam już kiedyś, że nie możesz być Panem Bogiem?

Rothgar nie był w nastroju na żarty.

- Mogłem się domyślić, że uderzą właśnie w ciebie - powiedział po chwili. - Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w ogrodzie. Cały dwór na pewno aż kipiał od plotek.

A jej się wydawało, że wszyscy natychmiast zapomną o tym incydencie!

- Czy darujesz życie Somertonowi? Nawet za granicą może być groźny.

Bey wzruszył ramionami.

- Sama mówiłaś, że nie jestem Bogiem - mruknął. - Miałaś wybór. Mogłaś z nim zrobić, co chciałaś. Zresztą wystarczy pokazać królowi list, żeby spędził resztę życia w Tower.

Dianie zrobiło się nagle żal przerażonego Randolpha. Tak naprawdę był jedynie narzędziem w rękach Francuzów.

- Czy de Couriac go nie zabije? A może dopadną go SZCZURY? - Aż wzdrygnęła się na myśl o tak potwornej śmierci.

Markiz uspokoił ją gestem.

- Zostawiłem na miejscu moich ludzi, żeby się nim zajęli. Mają poczekać na Francuzów, ale nie strzelać - wyjaśniał cierpliwie. - Bryght natomiast pojechał do portu, żeby sprawdzić, czy jakiś statek odpływa do Ameryki.

Rzeczywiście, od jakiegoś czasu nie słyszała za sobą tętentu tylu koni, co przedtem. Dopędziło ich zaledwie trzech jeźdźców. Grzbiety ich koni parowały w chłodnym nocnym powietrzu.

- Mówiłeś, że miałaś przyjechać później - zauważyła. - Dlaczego więc byłeś wcześniej?

Diana próbowała wyczytać coś z jego rysów przy jasnym świetle księżyca. Niestety, twarz Beya przypominała kamienną maskę.

- Miałaś szczęście, że de Couriac zwrócił się o pomoc do

jednego z moich ludzi w ambasadzie. Anglika. Dzięki temu dowiedziałem się o wszystkim niedługo po północy. Potrzebowałem jeszcze czasu, żeby zgromadzić ludzi. Wiedziałem, że to pułapka, ale że nikt nie spodziewa się mnie tak wcześnie.

Zegar na wieży kościelnej wybił pierwszą. Odpowiedziały mu pobliskie zegary. Aż zadrżała na myśl, że mogłaby do tej pory znajdować się w rękach lorda Randolpha. Przecież, gdyby nie zaczęła krzyczeć i Somerton jej nie zakneblował, Rothgar i tak nie zdążyłby z odsieczą. W duchu podziękowała Bogu, że tak się nie stało.

- Dobrze, że miałeś tego człowieka w ambasadzie - zauważyła. - I tak, koniec końców, ocaliła mnie twoja przezorność.

Rothgar pokręcił głową.

- To przypadek - westchnął. - Nie można liczyć na to, że za każdym razem będziemy mieć szczęście.

Diana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Rozumiała obiektywnie Rothgara, który obmyślał swoje plany niczym ostrożny mechanik.

Jechali teraz przez eleganckie ulice, zbliżając się do centrum. Nocny ruch już prawie ustał. Minął ich tylko jeden powóz i jakaś blada twarz wyjrzała zza firanek.

- Myślisz, że de Couriac dotarł już do chaty? - spytała.

- Tak. Musi przecież zastawić na mnie pułapkę. Moi ludzie mają wziąć go żywcem - zawiesił głos - jeśli to będzie możliwe.

Nagle poczuła się zagubiona w tym wielkim mieście z jego wielkimi sprawami. Chciała wrócić do siebie, na północ. Do dawnego życia.

Rothgar skierował swego konia w lewo.

- Myślałam, że droga do pałacu prowadzi prosto - zauważyła.

- To prawda. Jedziemy do Malloren House.

Nic nie ucieszyłoby jej bardziej. Dom Rothgara wydawał jej się bardziej przyjazny niż pałac. Bała się jednak, że jego właściciel może mieć z tego powodu kłopoty.

- Ale, Clara...

- Za jakiś czas podniesie alarm - dokończył za nią.

- I co wtedy powiemy królowi? - dopytywała się.

- Całą prawdę - odrzekł z uśmiechem markiz. - Tylko przesuniemy zdarzenia o godzinę lub dwie. Mam nadzieję, że Somerton będzie już płynął do Ameryki. To spowoduje, że nie będzie miał ochoty na szybki powrót. - Klepnął się po kieszeni surduta, w której znajdował się list. - Nie mogę cię na razie spuścić z oczu, Diano.

Sama nie wiedziała, jak rozumieć jego słowa. Czy oznaczały one kapitulację, czy też nie? Z oczywistych powodów nie chciała w tej chwili rozmawiać o szaleństwie w jego rodzinie, ani tym bardziej o małżeństwie.

Minęli parę nowych, pięknych domów, co znaczyło, że zbliżają się już do Marlborough Square.

- Czy król ukarze za to D'Eona? - spytała tylko, przypomniawszy sobie Francuza kręcącego się wciąż koło królowej.

Rothgar pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć. Sam nie wiem, czy D'Eon maczał w tym palce.

- Mówiłeś, że w ambasadzie...

Przerwał jej ruchem ręki.

- Odnoszę wrażenie, że ten de Couriac jest bardzo samodzielnny - stwierdził Bey i pograżył się w swoich myślach. Na jego czole pojawiły się trzy zmarszczki.

Po minucie dotarli na plac. Diana spojrzała na okazały budynek, stojący na jego końcu.

- Czy mój pobyt w Malloren House nie będzie... jasną wskazówką? - zaczęła z innej beczki. - Czy król nie zmusi nas do małżeństwa?

- W pałacu jest Portia, a Bryght pewnie pojawi się tu ła-
da chwila. Wrócili nagle, ponieważ Elf miała złe przeczucia.

- Dotyczące dzisiejszej nocy? To niemożliwe!

- Dotyczące mnie i ciebie. - Rothgar zatrzymał się przed budynkiem. - Ostrzegała mnie już w Arradale.

- Do diabła!

- Co? Chciałabyś posłać do niego biedną Elf.

- Czasami całątwoją rodzinę - mruknęła, zsiadając z konia.
- Elf miała rację. Nie powinienem był zaczynać flirtu, jeśli nie mogę dać ci wszystkiego na co zasługujesz - rzekł chłodno.
- A teraz, pewnie nie będziesz chciała wyjść za mąż, prawda?

- Wyjdę tylko za ciebie - zadeklarowała. Zamierzała nie mówić o małżeństwie, ale sam markiz zaczął ten temat.

Poprowadzili wierzchowce na tyły budynku, gdzie zastali dwóch przechadzających się nerwowo stajennych.

- Wszystko w porządku, panie? - spytał służący, odbierając konia od Rothgara.

- Tak, Bibb. W najlepszym.

Drugi służący wziął uzdę z jej ręki. Obaj nie okazywali zdziwienia na widok hrabiny. Diana i Bey ruszyli w stronę pałacu, natomiast stajenni w towarzystwie pozostałych służących, zajęli się końmi.

Diana cieszyła się, że nareszcie może zachowywać się naturalnie. Nie musiała niczego udawać. Nie czuła też na sobie niczyich oczu. Nawet nie sądziła, że ostatnie dni były dla niej tak męczące.

Z westchnieniem wsparła się na ramieniu Beya. W tej chwili trudno jej było uwierzyć w to wszystko, co wydarzyło się dzisiejszej nocy. Myślała, że w holu też będzie czekać na nich służba, ale markiz wyjął klucz, którym otworzył niewielkie drzwi od strony stajni. Weszli do środka, a on pieczołowicie zamknął drzwi.

Jeśli Portia miała pełnić rolę przyzwoitki, to nie wywiązywała się zbyt pilnie ze swoich obowiązków. Przeszli dalej w głąb domu, nie napotykając nikogo z domowników. Diana przytuliła się mocniej do Rothgara przechodząc przez ciemne korytarze, a on objął ją ramieniem. Drżała, ale tym razem nie miało to nic wspólnego ze strachem. Jej serce biło coraz szybciej. Nie wiedziała, gdzie się znajdują ani dokąd idą. Zresztą było jej wszystko jedno. Było tylko mieć Beya wciąż przy sobie.

Pozwoliła zaprowadzić się na piętro, do wielkiej sypialni. Markiz zapalił dwa świeczniki, żeby mogła rozejrzeć się

dookoła. To nie był jej dawny apartament. Na środku stało podwójne łóżko z baldachimem, a w oknach wisiały różowe zasłony.

Nagle odniosła wrażenie, że markiz chce wyjść i przywarła do niego całym ciałem. Nie, nie chciała tak reagować, ale nie mogła zapanować nad własnymi emocjami.

- Muszę wyjść na chwilę - powiedział jej. - Zaczekaj.

Wytężyła całą swoją wolę, żeby go puścić. Kiedy wyszedł, zdjęła jego płaszcz i spojrzała na nagie piersi.

Gdzie jest umywalka? to była jej pierwsza myśl.

Woda w dzbanie była zaledwie ciepława, ale nie miało to znaczenia. Diana wzięła ją do miski, obnażyła całą górę i zaczęła myć piersi. Najpierw raz, a potem jeszcze i jeszcze, próbując usunąć z nich dotyk Somertona.

Rothgar pamiętał o tym, żeby zapukać przed wejściem. Odwróciła się, zasłaniając rękami piersi.

- Wejdz, proszę.

W rękach miał biały szlafrok. Podeszedł do niej od tyłu i włożył go jej na ramiona. Ciepły materiał pachniał mydłem do prania i świeżym powietrzem. Rothgar cały czas uważał, żeby nie dotknąć jej ciała. Czy bał się, że zareaguje histerią?

Diana zawiązała pasek, a następnie pod szlafrokiem zdjęła spódnicę. Była teraz w samej bieliźnie, mocno nadwerężonej przez lorda Randolpha.

- Chcesz się wykapać? - spytał.

Miała na to olbrzymią ochotę, ale wolała uniknąć ciekawych spojrzeń służby. Wolała, żeby nikt nie oglądał jej ciała. No, prawie nikt.

- Nie, dziękuję.

Stała do Rothgara tyłem i zaczęła zdejmować bieliznę. Koszula i krochmalone spódniczki powędrowały na podłogę.

- Spal to! - poprosiła, a potem zawstydzona się swego zachowania. - Przepraszam, głupio się zachowuję.

Bey pokręcił głową.

- Wcale nie. Nie wstydź się swej słabości, Dianko.

- Nie, nie. Muszę być silna. Inaczej Somerton wygra, rozumiesz? Przecież o to mu chodziło, żebym była słaba i bezradna!

Gdyby teraz wzięła kąpiel, przyznałaby w ten sposób, że czuje się zbrukana. Nie, nie może pozwolić, by prześladował ją cień lorda Randolpha. Musi pamiętać o swoich przodkach i ich odwadze.

- Więc co mogę dla ciebie zrobić?

O ich odwadze i prawdomówności.

- Weź mnie do łóżka, Bey - szepnęła. - Chcę poczuć cię blisko.

Wahał się jeszcze przez chwilę, ale potem wziął ją w ramiona. Podwójne łóżko okazało się nadzwyczaj wygodne. Jednak gdy tylko na nim legła, przed oczami stanął jej uśmiechnięty okrutnie Somerton.

- Potrzebuję tego - szepnęła.

Markiz dotknął delikatnie jej policzka.

- Jesteś pewna? Może lepiej nie teraz - rzekł niepewnie.

Diana już wiedziała czego potrzebuje naprawdę.

- Przywiąż mnie do łóżka - poprosiła.

Spojrzał na nią zdziwiony, wręcz zaszokowany.

- Jesteś pewna, że... właśnie o to ci chodzi?

Skinęła opartą na poduszce głową.

- Wiesz, co w tym wszystkim było najgorsze? Całkowita bezsilność. Poczucie tego, że nie mogę nic zrobić, chociaż mam ukryty pistolet. Wolałabym już walczyć i przegrać. Ale, nie... - nagle zmieniła zdanie. - Chyba proszę cię o zbyt wiele.

Jego wahanie trwało krótko.

- Zaczekaj chwilę - rzucił i wyszedł do drugiego pokoju. Po chwili usłyszała odgłosy darcia materiału, a potem w drzwiach stanął Bey. W rękach miał cztery czarne pasy mocnego płótna.

- Jesteś pewna? - powtórzył pytanie.

- Tak - odparła, wyciągając przed siebie ręce.

Usiadł na łóżku i zaczął wiązać pierwszą rękę. Następnie zrobił to samo z drugą. Łóżko było gładko toczone

z drewna. Mógł ją więc przywiązać jedynie do czterech słupów baldachimu.

- Czy uznałabyś eksperyment za niepełny, gdybym obiecał, że cię odwiążę, gdy tylko oto poprosisz? - zadał kolejne pytanie.

Diana z trudem przełknęła ślinę.

- Tak, chyba tak.

Markiz zaczął wiązać jej nogi.

- Więc przynajmniej postaram się wykonać to zadanie z elegancją i wyrafinowaniem - powiedział.

- Przepraszam, Bey. Pytałeś, co możesz dla mnie zrobić.

- Chodziło mi raczej o masaż stóp albo coś w tym rodzaju - mruknął. - Nie chciałem zamieniać się w gwałciela. No dobrze, czy możesz wyciągnąć drugą nogę?

Zrobiła to, o co ją prosił.

- To ja mam być ofiarą, a nie ty - zauważyła, patrząc na jego pełną goryczy minę. - Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Spojrzał na nią niechętnie, a potem zamyślił się, pocierając swój policzek z lekkim zarostem.

- No dobrze, nie ma co dramatyzować - stwierdził w końcu. - Ale odmawiam jednej rzeczy. Na pewno nie będę się z tobą kochał w ten sposób. To byłby zwykły gwałt.

- Oczywiście - zgodziła się bez zastrzeżeń. - Chcę sobie po prostu poradzić z tą sytuacją. To wszystko.

Uśmiechnął się do niej, jakby wielki ciężar spadł mu z serca i przywiązał drugą nogę do słupka. Nad głową miała żółty, satynowy baldachim.

- Co czujesz? - spytał.

- Strach - padła odpowiedź. - Chociaż wiem, że mi nic nie zrobisz. Boję się też tego, że wyjdiesz i mnie tak zostawisz.

Rothgar wstał z łóżka i zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju, a ona wodziła za nim oczami.

- Nie, Diano, to nie ma sensu - powiedział w końcu, zatrzymawszy się przed łóżkiem. - Masz rację, że się boisz. Gdybym był złoczyńcą, znajdowałabyś się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Muszę zapanować nad strachem. Widziałam, jak samym wzrokiem zmusiłeś Somertona do posłuszeństwa.

- Myślisz, że by mi się to udało, gdybym był związany jak ciele?! Nie łudź się nawet!

- Nie przerywaj! - rzuciła rozkazująco. - I nie mówmy już o tym. Rób, co do ciebie należy.

Znowu zaczął się przechadzać przed łóżkiem. Następnie wyjął z kieszeni nóż i rzucił go w jej kierunku. Krzyknęła przerażona. Ostrze wbiło się w deskę tuż nad jej głową.

Rothgar usiadł i przyłożył dłoń tuż pod jej piersią.

- Serce ci wali jak oszałałe - stwierdził.

- T... to eh... chyba naturalne - powiedziała, szczękając zębami.

- Nie, możesz nad tym zapanować. - Przesunął dłoń na jej brzuchu. - Staraj się oddychać spokojnie, wypychając moją dłoń. Raz, dwa, raz, dwa.

Czuła, że powoli spływa na nią spokój. Serce powróciło do normalnego rytmu. Sytuacja wydała jej się do opanowania. Miała przecież pistolet w kieszeni i musiała tylko zaczekać na odpowiednią chwilę. Randolph nie może jej trzymać cały czas w tej pozycji. W końcu ją rozwiąże, a wtedy...

Rothgar sięgnął po nóż i przeciął jej więzy.

- Dostyc tego!

Czy rzeczywiście była taka głupia, żeby prosić go, by ją przywiązał? Cała sprawa wydała jej się nagle niewarta zachodu.

Diana przeciągnęła się, czując bliskość Beya.

- A teraz może masaż stóp - zamruczała jak kotka.

Ich oczy spotkały się nagle. Rothgar potrzebował trochę czasu, żeby się uspokoić.

- No, nareszcie. Widzę, że wszystko w porządku - stwierdził, odkładając nóż. - Zaczekaj chwilę.

Chciała prosić, żeby nie wychodził, ale nie zdążyła. Wrócił wkrótce z niewielkim flakonikiem w dłoni.

- Co to takiego? - spytała.

Nie odpowiedział. Usiadł obok i wylał odrobinę płynu

na dłoń. Diana wciągnęła w nozdrza cudowny zapach drzewa sandałowego. Natomiast Bey obnażył jej nogi i zaczął wprawnie wcierać olejek.

- Och, jak dobrze! - westchnęła. - To tak odpręża.

Markiz z kolei nie wyglądał na odprężonego. Jego dłonie przesuwały się nerwowo wyżej, a potem cofały, jakby upomniane przez właściciela.

- Jeszcze drugą - poprosiła. - Chciałabym umieć to zrobić dla ciebie, gdybyś potrzebował relaksu.

Wyobraźnia podsunęła mu zapewne obraz Diany masującej jego stopy. Rothgar zadrżał. Jednocześnie starał się nad sobą panować. A przecież on też miał prawo do pożądania i... miłości. Pragnęła, żeby to zrozumiał i nie męczył się dłużej.

Tymczasem Bey wylał jeszcze trochę olejku z drzewa sandałowego na dłoń i wmasował go lekko w jedną, a potem drugą stopę. Chciał wstać, ale Diana chwyciła go za rękę.

Nie, nie może pozwolić mu odejść.

- Wciąż jesteśmy bezpieczni - rzekła dwuznacznie.

Od razu zrozumiał, o co jej chodzi, postanowił jednak utrzymać rozmowę na pewnym poziomie abstrakcji.

- Nigdy nie można się czuć całkowicie bezpiecznym, Diano. Sama widziałaś.

- Wobec tego, jesteśmy tak bezpieczni, jak ostatnio. Tym razem mógłbyś zostać dłużej - dodała kusząco.

Pochylił lekko głowę.

- Jestem na twoje rozkazy - powiedział.

Gdyby teraz stwierdziła, że go potrzebuje, żeby zatrzeć wspomnienia po lordzie Randolphie, na pewno mogliby się kochać. Ale Diana nie chciała kłamać. Po prostu pożałowała Beya.

- Nie chodzi o rozkazy. Pragnę cię, to wszystko.

Mówiła niemal szeptem, ale Rothgar ją usłyszał. Przez chwilę widać było, że walczy ze sobą. Tym razem mógł przemyśleć decyzję. Nikt go nie ponaglał.

Niespodziewanie w jego oczach zapaliła się wesoła iskierka.

- Rozpustna z ciebie kobieta. Mam się rozebrać?

Diana pokręciła głową.

- Nie, ja to zrobię - rzekła, by pokazać mu, jak bardzo stała się rozpustna.

Zaczęła rozpinać długi rząd zdobionych guzików u koszuli. Kiedy skończyła, spróbowała wyciągnąć ją ze spodni. Bezskutecznie. Musi najpierw poradzić sobie z jego spodniami do jazdy. Jej drżące dłonie przesunęły się niżej.

Rothgar nie przeszkadzał Dianie, ale też i nie pomagał. Tylko po stężonych mięśniach twarzy widziała, jak wiele go to kosztuje. I teraz, kiedy sięgnęła do krocza, wydał z siebie coś w rodzaju syknięcia.

Rozpięła spodnie i wyciągnęła z nich koszulę. Kiedy zobaczyła przed sobą nagi tors, przytuliła się do niego na chwilę, a potem zabrała się do zdejmowania butów i pończoch.

- I co? Dalej będziesz tak leżała? - spytała, oceniając krytycznie dalsze możliwości rozbierania Rothgara. Nie, na pewno nie poradzi sobie ze spodniami. Musi wstać i jej pomóc.

- Przecież sama chciałaś.

- Czuję się tak, jakbym cię gwałciła - poskarżyła się.

- Kto wie, może tak właśnie jest - mruknął, najwyraźniej rozbawiony.

- Nie mów tak! - uderzyła go lekko.

Rothgar podniósł się i jednym ruchem ściągnął spodnie. Stał teraz przed nią nagi. Nie wstydził się jednak, a i ona tym razem się nie zaczerwieniła. Rozwiązała pasek swojego szlafroka.

- Wiesz, że nie powinniśmy - szepnął, wpatrując się głodnym wzrokiem w jej nagie ciało.

Potrząsnęła głową, a kasztanowe włosy rozsypały się jej wokół ramion.

- Rozumiem twoje opory, ale ich nie akceptuję - odparła.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a następnie wziął ją w ramiona. Kiedy położył ją delikatnie na pościeli, Diana wyśliznęła się z jego objęć i pchnęła go na poduszki.

- Dzisiaj jest moja noc - rzekła, siadając na nim okrakiem. - Noc, kiedy księżyc jest w pełni.

W świetle, które wpadało przez okno, rzeczywiście przypominała łowczynię. Jej smukłe nagie ciało z burzą włosów mogło kojarzyć się z dawnymi Amazonkami. Rothgar nie miał tu nic do powiedzenia. Mógł jedynie poddać się pieszczocie.

Natomiast Diana zobaczyła flakonik z olejkiem i chwyciwszy go, wylała trochę wonnego płynu na pierś Beya.

- Chcę cię pieścić - szepnęła.

- Nie wiem, czy to przeżyję - rzekł zduszonym głosem.

Przesunęła rękami po jego piersiach. Potem pochyliła się i pocałowała go delikatnie. I znowu wylała odrobinę olejku, ale nieco niżej, i zabrała się do masowania. Powtarzała tę czynność parę razy, wciąż przesuwając się w dół, do jego męskości.

Bey zadrżał.

- O mój Boże! - jęknął.

- Coś nie w porządku? - zaniepokoiła się. - Robię to po raz pierwszy. Mógłbyś mnie czegoś nauczyć.

Rothgar ujął jej biodra w dłonie i przysunął do siebie. Już wcześniej czuła jego erekcję, ale teraz wydała się ona monstualna.

- Lepiej, żebyś się już niczego nie uczyła! Wystarczy to, co umiesz!

Wszedł w nią bez najmniejszego trudu. Diana była już gotowa na jego przyjęcie. Ich ciała się zwały. Eksploadowali rozkoszą. Diana wciąż znajdowała się na szczycie, a Bey ścisnął pożądliwie jej biodra.

- Tylko nie wychodź! - poprosiła, jęcząc z rozkoszy.

- Jestem w twojej mocy! Nie zrobię nic bez twojej zgody.

Nareszcie się poddał. Diana czuła się teraz jak prawdziwy zwycięzca.

- To ten księżyc - szepnęła do siebie. - Ten księżyc.

Obudziła się z głębokiego snu, łaskotana przez promień słoneczny, który przedarł się przez zasłony. Była sama. Usiadła gwałtownie na łóżku, przecierając oczy. Wokół nie było nic, co mogłoby wskazywać, że kochała się z Rothgarem. Ani jego ubrań, ani olejku, ani samego markiza. Nawet jego poduszka była zupełnie gładka.

W pomieszczeniu unosiła się lekka woń sandałowego drzewa. Natomiast sama Diana czuła się pełna i zaspokojona, chociaż trochę obolała.

Ileż to razy się kochali? Nie, nie mogła mieć wątpliwości, że tę noc spędziła z Beyem. Co więcej, należał do niej duszą i ciałem. Był jej. Czy to możliwe, żeby się znowu wymknął? A jeśli, tak, to kiedy wreszcie przestanie uciekać?

Rozejrzała się dokoła. Wczoraj przez jakiś czas miała wrażenie, że jest w sypialni Rothgara. Teraz stwierdziła, że był to jeden z pokoi gościnnych. Oczywiście Bey nie zabrałby jej do siebie, by nie narażać jej reputacji.

Wstała naga i podeszła do okna. Rozchyliła lekko zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Znowu zobaczyła ogród, który tak bardzo polubiła w czasie poprzedniego krótkiego pobytu w Malloren House. Co prawda ogród królewski był wspanialszy, ale nie mogła się tam czuć swobodnie.

Z trudem powstrzymała chęć otwarcia okna. Na pewno nie może robić tego nago. Ale czy w ogóle powinna się pokazywać? Możliwe, że Bey chce zataić jej obecność w domu.

Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy ma coś do ubrania. Na krześle spoczywał jej szlafrok. Włożyła go, nalała ciepłej wody do miski i obmyła twarz.

Ciepła woda! To znaczyło, że Rothgar był tu niedawno!

Dlaczego nie obudziła się właśnie wtedy?! Do diabła! Do diabła! Do diabła!

Zaczęła się nerwowo przechadzać po pokoju, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Zdrowy rozsądek wskazywał, że musi czekać na Beya. Tylko jak długo? I czy nie powinna wrócić do Buckingham Palace? Jak zareaguje królowa na to, co się stało? A co powie król? I czy może zrezygnują z pomysłu wydawania jej za męża? Te pytania wciąż kłębiły się w jej głowie.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła nagle i stanęła jak wryta.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że to poniedziałek. To właśnie dzisiaj miały się rozstrzygnąć jej losy. Co zrobi, jeśli król w dalszym ciągu będzie nalegał na małżeństwo? Czy powinna skorzystać z oferty markiza, licząc na to, że wszystko się z czasem ułoży?

Niestety, wiedziała, że nic się nie ułoży. Zmuszony do małżeństwa Rothgar dałby jej wolność, ale odebrałby siebie!

Czy to nie paradoks?!

Nagle opuściła ją cała energia i usiadła na łóżku. Jej wzrok padł na pościel i zaśmiała się widząc na niej plamę krwi. Przynajmniej Rothgar nie ma się czego obawiać. Ale jeśli ktoś to zobaczy, być może uzna, że tu właśnie straciła dziewictwo.

Usłyszała pukanie do drzwi i poderwała się z łóżka. Na szczęście była to tylko Clara z dzbanem gorącej wody.

- Tak się cieszę, że nic ci się nie stało, pani! - wybuchnęła służąca. - Strasznie się niepokoiłam, ale byłam cicho, tak, jak kazałaś, pani.

A więc Clara nie wszczęła alarmu. To dobrze. Wzięła dzban z rąk chwiejącej się pokojówki i postawiła koło miski.

- Świetnie. Powiedz, co działo się w pałacu?

- Nie spałam całą noc, pani - Clara zaczęła wyjaśnienia. - A potem, nad ranem, przyszła pani Swellenborg z wiadomością, że cię porwano, pani, i że mam przyjechać tutaj z twoimi ubraniami.

Diana skinęła głową.

- Markiz mnie uwolnił.

Clara patrzyła na nią tak, jakby widziała ją po raz pierwszy.
- Czy... to twój strój, milady? - wydusiła w końcu.
- Nie, to męski szlafrok, głupia. Całą suknię miałam pociętą nożem. Dostałam go od markiza.

Przeszła do lustra, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu i oniemiała z wrażenia. Szlafrok był straszliwie wygnieciony po nocy, musiała go zostawić gdzieś na łóżku, a poza tym włosy miała w nieładzie, usta obrzmiały i w ogóle wyglądała jak ulicznica.

- No tak, muszę się umyć i przebrać - mruknęła do siebie. - Uczeszysz mnie, Claro?

- Oczywiście, pani. Jaką suknię ci przygotować?

Najlepiej worek pokutny i popiół, pomyślała, przypomniawszy sobie bezceństwa, jakie wczoraj wyczyniali z Beyem. Głośno jednak powiedziała:

- Wszystko mi jedno, Claro. Wybierz tylko coś skromnego - powiedziała, zdejmując szlafrok. Żałowała, że nie może go jeszcze przytulić, gdyż pachniał drzewem sandałowym i seksem. - Przynies też darte płótno, bo zaczęło się moje miesięczne krwawienie.

Kiedy Clara wyszła, hrabina nagle posmutniała. Więcej nie będzie mieć dziecka. Jeszcze nie tym razem. Musi zwyciężyć i wyjść za mąż za Rothgara. Przecież po to tu przyjechała. Potem można będzie pomyśleć o innych sprawach.

Postanowiła zebrać siły. Wylała chłodną już wodę z miski i nalała do niej gorącej. Starła się umyć jak najdokładniej, gdyż powróciły do niej wspomnienia o lordzie Randolphie. Po chwili pojawiła się Clara z płótnem i pasem, który miał je trzymać. Służąca wybrała szaro-niebieską suknię, którą można było nawet uznać za bardzo skromną. Następnie po ablucjach i ubraniu pani, zaczęła czesać jej kasztanowe włosy.

Nagle Diana przypomniała sobie o balu maskowym.

Czy odbędzie się dziś wieczorem? I czy królowa nie uzna jej za *persona non grata*, na dworze?

- Kiedy cię tu przysłano? - spytała po jakimś czasie, chcąc wy badać pokojówkę.

- Zaraz po wschodzie słońca. Nie wiem, czy wiesz, pani, ale znajdujemy się w dawnym pokoju markizy - dodała, najwyraźniej zbulwersowana tym faktem. - Oczywiście nikt tu od dawna nie mieszkał.

Diana raz jeszcze rozejrzała się wokół siebie. No tak, pokój wydał jej się za duży, jak na gościnny. Poza tym od razu odniosła wrażenie, jakby był nie zamieszkanym, ale uznała, że to złudzenie.

- To zupełnie zrozumiałe - Diana siliła się na lekki ton. - Jeśli pamiętasz, markiz spał na zamku w moim dawnym pokoju.

Clara zaczęła wiązać i układać jej włosy.

- Tak, tylko, że im tutaj nie brakuje pomieszczeń - szepnęła. Zapewne wszystkie te „rewelacje” pochodziły od służby,

Diana pomyślała, że wcale nie potrzebuje informacji Gary. To dwór królewski uczulił ją na tego rodzaju drobiazgi. Wcześniej nie zwracała na nie uwagi. Wstała z krzesła i rozejrzała się dookoła z jeszcze większym zaciekawieniem.

A więc ten apartament należał do drugiej żony markiza, tej uśmiechniętej kobiety, którą widziała na portrecie. Ciekawe, czy poświęciła ona dostatecznie dużo uwagi Beyowi. Pewnie szybko urodziła Bryghta i musiała zajmować się własnym dzieckiem.

Szkoda, pomyślała Diana.

Podeszła do ściany, na której wisały liczne obrazy. Część z nich przedstawiała członków rodziny. Jej uwagę przykuł zwłaszcza jeden, na którym starszy chłopiec pochylał się nad młodszym. Młodszy miał buzię cherubinka, ale starszy obserwował otoczenie, jakby się czegoś bał. Bey i Bryght. Ciekawe, jak zachowywał się względem młodszego brata? Jeśli nosił w sobie poczucie winy, na pewno opiekował się maluchem. Być może nie odstępował go na krok. Mógł też unikać Bryghta, co byłoby też naturalną reakcją.

W końcu stanęła przed lustrem. Suknia wydała się jej jak najbardziej odpowiednia na dzisiejszą uroczystość. Ma

przecież zagrać ofiarę. W tym szaro-niebieskim stroju z prążkowanym, szczelnie zasłaniającym biust stanikiem będzie jej znacznie łatwiej.

- Dobry wybór, Claro - pochwaliła służącą.

- Dziękuję, milady. Czy... czy przyjmą nas, pani, na dworze? - Clara miała zapewne te same obawy, co ona.

Diana wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia - odrzekła. - Ale chyba najwyższy czas się dowiedzieć. Widziałaś może markiza?

- Zdaje się, pani, że pojechał do króla. Ale jest tutaj lady Walgrave, która chciałaby zjeść z tobą, pani, śniadanie.

Diana omal nie klasnęła w ręce z radości. Dopiero po chwili przypomniała sobie, co Rothgar mówił o opiniach siostry i mina jej trochę zrzędła. Poczowała napięcie, zupełnie do tej pory nieobecne w jej stosunkach z Elf.

- Przekaż, że z przyjemnością - rzekła Diana. - Za chwilę będę gotowa.

Niestety, nie wiedziała najważniejszego: czy Elf jest jej sojuszniczką, czy nie. Może dzięki niej uda jej się w końcu przebić do Beya.

Rothgar został wpuszczony do królewskiego gabinetu i stanął cicho przy drzwiach. Jerzy III dał głową znak, że zauważył jego obecność, ale nie przerwał pracy. Dopiero, kiedy podpisał już wszystkie dokumenty, odprawił swego sekretarza i zwrócił się do niego.

Markiz postąpił parę kroków do przodu i skłonił się nisko.

- Szokujące wieści, lordzie, jak słyszę, co?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Jak się czuje lady Arradale?

- Powoli dochodzi do siebie.

- Informacje od ciebie, panie, były nad wyraz skąpe, co? Dlatego zechciej wyjaśnić, panie, co się stało i dlaczego lady Arradale nie wróciła od razu do pałacu.

Rothgar spodziewał się chłodnego przyjęcia.

- To drugie znacznie łatwiej wyjaśnić, sire - zaczął. -

Otóż hrabina była w bardzo złej formie. Obawiałem się reakcji królowej, zwłaszcza w jej stanie. Dlatego przekazałem lady Arradale w ręce mego brata i jego żony, którzy niespodziewanie wrócili z północy.

Król pokiwał głową trochę udobruchany. Wzmianka o stanie żony zapewne trafiła mu do przekonania.

- Czy... czy ten łajdak ją skrzywdził?

- Zdażyliśmy na czas, sire.

- To dobrze, to dobrze. - Widać było, że kamień spadł mu z serca. - Lord Randolph jest chyba szalony, co?

Rothgar sięgnął po sfałszowany list i podał go monarsze.

- Do pewnego stopnia można go wytłumaczyć, najjaśniejszy panie.

Król zmarszczył brwi, widząc swoją pieczęć. Następnie zaczął czytać pismo. Wraz z lekturą jego twarz nabierała gniewnych rysów. W końcu, oburzony rzucił list na sekretarzyk.

- Kto śmiał?! Kto śmiał, co?! - wydyszał. - Królewska pieczęć i mój podpis na czymś takim!

Markiz skinął głową.

- Doskonałe fałszerstwo, prawda? Somerton nie wiedział, skąd wziął się ten list. Ale pomagał mu Francuz, którego hrabina rozpoznała jako de Couriaca. Tego samego, który napadł na nasz powóz.

Monarcha patrzył na niego JŁ niedowierzaniem.

- Ale jeśli nawet ten wariat dybie na ciebie, panie, to po co miałby porwać lady Arradale? - spytał, pocierając brodę.

To pytanie również nie zaskoczyło markiza.

- No cóż, wszyscy wiedzą, że hrabina jest pod moją opieką - odrzekł. - Chodziło o to, żeby zwabić mnie w pułapkę, a jednocześnie zemścić się na niej. W czasie tego napadu była bardzo dzielna, naprawdę bardzo dzielna.

- Istotnie, to dobrze, że ci wtedy nie przeszkadzała, panie. - Król, który przechadzał się po pokoju, uniósł nagle dłoń do góry. - Ale o co tutaj chodzi, co? Dlaczego Francuzi chcą cię zabić? Przecież mamy pokój, co?

Rothgar pomyślał, że najwyższy czas ponownie zaata-

kować Jerzego III. Musi na nim wymóc, by nie traktował zwyciężonych z pobłażaniem.

- Ale nie wszystkich to cieszy. Również na twoim dworze, panie - zauważył. - Mam wrażenie, że ktoś we Francji najwyraźniej przecenia moje możliwości i uważa, że mam na ciebie zbyt duży wpływ, najjaśniejszy panie. A przecież to ty sam chcesz, żeby Francuzi dotrzymali wszystkich warunków traktatu pokojowego.

- Tak, wszystkich! - zapalił się król.

- Ten ktoś we Francji ma, być może, niewłaściwe wiadomości - ciągnął markiz. - Od, na przykład, kawalera D'Eona. Król zatrzymał się i spojrzął na list.

- Co mam z nim zrobić? - spytał, biorąc pismo do ręki. - To obciąża również mnie, co?

- Miałem nadzieję, sire, że uda się utrzymać sprawę w tajemnicy. Gdybyśmy zdołali odnaleźć fałszerza, mógłbyś go ukarać, najjaśniejszy panie. Do tego jednak potrzeba dyskrecji

- Dobrze, ale chcę śmierci de Couriaca i Somertona!

- To wzbudziłoby zainteresowanie opinii publicznej, najjaśniejszy panie - stwierdził Rothgar. - Trzeba by ujawnić powód.

Monarcha znowu zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju. Markiz śledził go wzrokiem, starając się dociec, czy podjął już ostateczną decyzję w sprawie Dunkierki.

- Ale z pewnością nie przyjmę Somertona na dworze, co?! Wykluczone! - wykrzyknął wzburzony Jerzy.

- Myślę, że księżę Carlyle ucieszy się, jeśli jego syn zajmie się zamorską posiadłością w Wirginii. Mogę się tym zająć, sire.

- Doskonale! - ucieszył się król. - A co z prawdziwymi złoczyńcami?

Oczy Rothgara błysnęły drapieźnie.

- Jeśli pozwolisz, przygotuję dla nich karę, sire.

- Świetnie! Daj mi tylko znać, kiedy będziesz gotowy, panie. - Król zamyślił się na chwilę. - Pozostaje jeszcze kwestia ślubu lady Arradale.

- Hrabina jest w głębokim szoku. Czy nie można by z tym poczekać?

Jerzy III zastanawiał się przez chwilę, a potem zerknął podejrzliwie na markiza.

- No cóż, dobrze. Powiedz jej, panie, że może wrócić do siebie, co? - rzekł, cedząc słowa. - Ale poproś, żeby wzięła udział w balu maskowym. Zwłaszcza, że i tak mieszka w Malloren House.

Rothgar skłonił się ponownie królowi.

- Wasza Królewska Mość przypomniał mi, że powinienem zająć się tą imprezą. Czy mogę się oddalić?

Król dał znak ręką, że może odejść. Jednak, kiedy Rothgar był już na progu, rzucił jeszcze w jego stronę:

- Mam nadzieję, że przyjechałeś z eskortą, panie.

- W opancerzonym powozie z uzbrojonymi lokajami, Wasza Królewska Mość - odparł markiz z zabójczym uśmiechem.

- To dobrze, bo nie chcielibyśmy cię stracić, panie.

31

Bryght Malloren szukał brata. Po sprawdzeniu najbardziej oczywistych miejsc zapukał też do dawnego apartamentu matki. Zastał tam jednak tylko hrabinę i Elf. Żadna nie wiedziała, gdzie może znaleźć markiza.

- Niepokoisz się o niego, panie? - spytała lady Arradale.

- Tak.

Elf wstała ze swego miejsca.

- Dlaczego? Co się stało? Czy... czy chodzi o króla?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Wygląda na to, że gdzieś się schował.

- Schował? - powtórzyła Elf. - Bey?

Hrabina zrobiła taki gest, jakby również chciała wstać,

ale się powstrzymała. Potrafiła naprawdę doskonale nad sobą panować.

- Być może zajął się jakimiś sprawami związanymi z ba-
lem maskowym - zauważyła tylko.

Bryght pokręcił głową.

- Nikt go nie widział w pobliżu sali balowej. Czekają
nawet na jego decyzje.

- Och! - westchnęła Elf. - To zupełnie do niego niepo-
dobne. Muszę sama sprawdzić, co się dzieje. Diano, je-
dziesz ze mną? - zwróciła się do przyjaciółki.

Hrabina zmarszczyła brwi.

- Nie, muszę zostać tutaj. - Spojrzała na Bryghta. - Zda-
je się, że twój brat, panie, lubi zajmować się automatami.
Wspominał coś o końcu naprawy.

Bryght uderzył się w czoło.

- No, tak! Zawsze twierdził, że się przy nich odpręża.
Czy wiesz, pani, dlaczego mógłby chcieć się odprężyć?

Diana uniosła dumnie głowę. Bryght przyglądał się jej
uważnie, jakby wszystkiego się domyślał. Nie miała jednak
zamiaru mówić o tym, co łączyło ją z Rothgarem.

- Cóż, ma przecież diabelnie ciężkie zadanie... - zawie-
siła głos, a następnie pogрузzyła się w rozmyślaniach.

Elf dała znak bratu, żeby wyszli.

- Jak sądzisz, może to już? - spytała, kiedy znaleźli się
na zewnątrz.

- Dałby Bóg, dałby Bóg - powtórzył Bryght. - Żałuję,
że nie ma z nami Branda. On najlepiej by wiedział, jak po-
móc Beyowi.

Zostawił siostrę przed drzwiami i skierował się do nie-
wielkiego pokoiku na tyłach Malloren House. Kiedy stanął
przed pracownią, usłyszał bębnienie i śpiew ptaka. Wszedł
bez pukania, zastanawiając się, w jakim stanie jest brat.

Rothgar, wciąż w stroju galowym, siedział przy stole.-
Nie grzebał, jak zwykle, w mechanizmie, tylko patrzył na
automat. Dobosz zamarł w momencie, w którym Bryght
przekroczył próg.

Mimo zamyślenia, **Bey natychmiast zauważył jego obecność.**

- Coś się stało?

- Chowasz się przed nami.

- Czy to coś złego?

- Nie przywykliśmy do tego, ale jakoś sobie poradzimy - odparł po namyśle Bryght.

- Więc czemu zawdzięczam tę wizytę? - Rothgar zadał kolejne pytanie.

- Przecież masz diabelnie ciężkie zadanie. Gdzie miałbym być jako twój brat?

- Diabelnie? - powtórzył markiz, rozpoznając słowo często używane przez Dianę.

Bryght usiadł na stołku koło automatu, czując się tak, jakby to on miał „diabelnie ciężkie zadanie”.

- Tak. Moim zdaniem powinieneś ożenić się z lady Arradale.

Bey wskazał dobosza.

- To jest właśnie lady Arradale jako chłopiec - rzekł. - Prezent, który miał cieszyć, a posłużył zapewne jako broń przeciw ukochanym osobom.

Bryght spojrział ze zdziwieniem na figurę i stwierdził, że rzeczywiście jest trochę podobna do hrabiny. Nie miał jednak pojęcia, co by to mogło znaczyć. O wiele lepiej orientował się w zawiłościach liczb, niż w tym, co działo się między ludźmi. Dlatego postanowił uprościć całą sprawę:

- Powinieneś to zrobić po tym, co stało się dziś w nocy. Zresztą przecież się kochacie i nie widzę powodów, żeby to ukrywać. - Uniósł rękę do góry. - I nie mów mi tylko o rodzinnym szaleństwie. Czy myślałeś o tym, jak czuje się lady Arradale?

Rothgar położył dłoń na sercu.

- Cały czas o tym myślę.

- Czy kochałeś się z nią? - Oczywiście Bryght nie oczekiwał się odpowiedzi, co stanowiło wyraźną wskazówkę.

- Więc tym bardziej powinieneś się ożenić.

Jednak poirytowany brat machnął ręką.

- W tej kwestii mamy porozumienie...

- Które nic nie pomoże, jeśli ktoś cierpi - dokończył za niego.

Rothgar patrzył na niego nieufnie i z dystansem. Bryght czuł, że cała sprawa wymyka mu się z rąk. Raz jeszcze pożałował, że nie ma przy nim Branda. On wiedziałby, jak sobie poradzić. Na pewno znalazłby słowa o miłości i wzajemnym zrozumieniu, które trafiłyby do Rothgara.

Bryght wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Rozumiem, Bey, że boisz się podjąć ryzyko. Ale samo życie wiąże się z ryzykiem. Zapewniam cię, że kiedy Portia rodziła, obiecywałem sobie, że nie będzie więcej dzieci. I co? Właśnie przekazała mi radosną wiadomość. - Zaśmiał się głucho. - Widzisz, po prostu trzeba ryzykować. Inaczej będziesz takim właśnie automatem, niezdolnym do żadnych uczuć. - Wskazał do bosza.

No i proszę! Przemowa o miłości i zrozumieniu wyszła mu nadzwyczaj dobrze. Ciekawe, czy teraz Bey go zbije i wyrzuci z pracowni, czy tylko wyrzuci z pracowni? Bryght spojrzął na niego i stwierdził, że sam ma taką minę, jakby chciał stąd uciec. Czy to możliwe, żeby udało mu się trafić w czuły punkt?

- Zresztą, prawdę mówiąc, poród wcale nie był tak ciężki - dodał po chwili. - To ja wyobrażałem sobie Bóg wie co. Strach pochodził ze mnie, a nie z tego, co się działo na zewnątrz.

Rothgar zakrył nagle dłońmi twarz. Bryghtowi wydawało się nawet, że usłyszał jęk, ale postanowił, że tym razem mu nie popuści.

- To prawda, że twoja matka była psychicznie chora - ciągnął. - Ale pomyśl, czy też miałbyś opory, gdyby nic się nie stało i po prostu spędzała dnie mówiąc do ścian? Przecież to też mogło się zdarzyć. Mam wrażenie, że przede wszystkim uciekasz przed śmiercią. Masz poczucie winy, że nic wtedy nie zrobiłeś, chociaż tak naprawdę nie mogłeś nic zrobić.

- Mogłem!

Brat pokręcił głową.

- Tak sądzisz z obecnego punktu widzenia - rzekł pewnym głosem, jakby miał tę sprawę gruntownie przemyślaną. - Chciałbyś, żeby mały chłopiec działał tak, jak dorośli mężczyźni. Lepiej zachowaj się jak mężczyźni teraz, zanim będzie za późno.

Markiz odsłonił twarz. Była niemal biała, chociaż jednocześnie rysy pozostały nie zmienione. Potrafił doskonale nad sobą panować. Podobnie zresztą, jak lady Arradale.

- To znaczy?

Ich oczy spotkały się na moment.

- Podejmij ryzyko - powtórzył Bryght i usiadł, jakby zmęczony swoją przemową. - Podejmij ryzyko, Bey. Zobaczysz, że warto. Cała rodzina tak uważa. Wiemy, co dla nas zrobiliśmy. Zawsze nam pomagałeś. Teraz nadszedł czas, żebyś sam zaznał odrobiny szczęścia.

Przez chwilę w pracowni panowała cisza. Rothgar potarł dłonią gładko ogolony policzek.

- Muszę się zastanowić - stwierdził w końcu.

Bryght rozważał, czy znowu nie zacząć go przekonywać. Uznał jednak, że nie powinien przesadzać. Wyszedł więc bez słowa, zostawiając brata sam na sam z automatem. Zatrzymał się za drzwiami, oddychając ciężko. Czuł się tak, jakby przez ostatnich parę godzin wykonywał ciężką fizyczną pracę.

Chciał już odejść, kiedy dobiegła do niego ptasia melodia, a potem wybijany pałeczkami rytm. Rothgar znowu bawił się tym diabelskim automatem.

Diana nie widziała Beya aż do wieczora. Nie należała jednak do wyjątków. Elf parokrotnie skarżyła się, że brat gdzieś zniknął, i nie jest w stanie go znaleźć. Sama musiała też podejmować decyzje dotyczące balu. W końcu, kiedy nadszedł zmierzch, zajrzała do pokoju hrabiny w ślicznym kostiumie osy.

- No, nareszcie wszystko gotowe - rzekła, rozglądając

się dokoła. - Pojawili się już nawet śpiewacy i muzycy królewscy z panem Bachem, ale ponieważ wygląda na to, że wiedzą, co mają robić, zostawiłam ich samych. - Podeszła do łóżka. - Kostium Diany? Bardzo pomysłowe!

- Gdzie on jest? - spytała Diana, kładąc nacisk na ostatnie słowo. Gdyby Bey nie wziął udziału w balu, ona również miała zamiar z niego zrezygnować. - Często mu się to zdarza?

- Nigdy! Ale to może lepiej. Bryght twierdzi, że obiecał wszystko przemyśleć - dodała z obietnicą w głosie.

Diana skinęła głową, chociaż bez przekonania. Po jej głowie krążyły najczarniejsze myśli.

- Mam nadzieję, że... że nie poważyłby się na samobójstwo?

Elf natychmiast się przeżegnała.

- Nie, skąd! - wykrzyknęła. - To byłoby wbrew wszystkiemu, w co wierzy!

- Tak jak małżeństwo ze mną - mruknęła niechętnie. - Na szczęście nie musi już tego robić. Dostałam od króla pozwolenie na powrót do domu.

Elf już chciała pospieszyć z gratulacjami, kiedy dostrzegła jej minę.

- Może porto? - zaproponowała szybko.

- Chętnie - zgodziła się Diana, powstrzymując łzy.

Przyjaciółka chwyciła kryształową karafkę i nalała jej szczerze do kieliszka.

- To doskonały gatunek, chociaż dosyć mocny. Bey sprowadza czerwone porto z Quinta do Bom Retiro.

Diana rozpoznała nazwę, ale było jej w tej chwili wszystko jedno. Potrzebowała po prostu czegoś, żeby uspokoić skołataną nerwy.

- Nie wszyscy goście to dostają - dorzuciła jeszcze Elf.

- Rozumiem, to takie słodkie pożegnanie - domyśliła się hrabina.

Elf postanowiła pozostawić te słowa bez komentarza. Chciała raczej dodać Dianie otuchy i natchnąć ją do walki.

- Powiem ci, gdzie możesz go znaleźć - rzekła po na-

mysie. - Tak jak przypuszczałaś jest w swojej pracowni przy automacie. Mogę pokazać ci drogę.

Przy automacie! Przy chłopcu, który miał jej rysy, nie przy niej. Obraz dobosza dręczył jej matkę, a teraz zapewne stanie się i jej zmorą. Rothgar powinien być z nią, a nie z bezduszną maszyną!

Diana spojrzała na swój kostium.

- Nie, nie pójdę do niego.

- Powinnaś walczyć z nim! Złamać go! - podpowiadała Elf.

- Nie będę z nim walczyć. - W jej oczach pojawił się smutek. - Mam wrażenie, że i tak coś w nim kiedyś pękło. Chcę, żeby stał się wolny. Żeby mógł mnie kochać. A do tego potrzebny jest wspólny wysiłek.

Hrabina spojrzała na swoje przebranie.

- Czy przyjdzie na bal?

- Z całą pewnością - odrzekła Elf. - Poczucie obowiązku nie pozwoli mu zostać w pracowni.

- Nie chcę, żeby cierpiał.

Elf pogładziła ją po ramieniu.

- On też chce ci tego zaoszczędzić - powiedziała uspokajająco. - Zaczekajmy na bal. Może coś się wtedy wyjaśni.

Diana westchnęła i spojrzała na swój kieliszek. Jednym haustem wypiła całą jego zawartość. Czuła, że odsłoniła się przed Elf, ale siostra Rothgara przyjęła to bardzo naturalnie. Tak jakby wszystko już wiedziała. Zawsze byli bardzo ostrożni. Czy to możliwe, że Mallore nowie już wcześniej domyślili się, co się dzieje?

Odstawiła kieliszek i sięgnęła po leżący obok jej kostiumu łuk.

- Czas zacząć polowanie - rzekła.

Przed balem nie urządzano zwykle wspólnych kolacji, ponieważ goście woleli utrzymać swoje przebrania w sekrecie. Jednak Diana dołączyła do Elf, Portii i Bryghta. Szybko też zaczęli sobie mówić po imieniu. Było jasne, że uważają ją prawie za narzeczoną Beya i że zawsze może u nich szukać pomocy. Jed-

nocześnie nikt nawet słówkiem nie wspomniał o Rothgarze, choć z ogólnych komentarzy domyśliła się, że przeszedł już z pracowni do siebie i że przygotowuje się do balu.

Rozmowa obracała się przede wszystkim wokół ich wyprawy na północ. Dianę znowu zdziwiło to, że cała trójka traktuje interesy niezwykle poważnie. Co prawda Portia zadeklarowała na początku, że i tak ma dużo pracy z prowadzeniem domu, ale było widać, że całym sercem wspiera męża. Okazało się, że Fort połączył wysiłki swojej rodziny i Mallorenów w celu przejęcia handlu winem i spirytualiami na znacznym obszarze kraju i że wszyscy szukają teraz nowych możliwości inwestycyjnych. Diana starała się zawsze dobrze prowadzić interesy w swoim majątku, miała nawet powody sądzić, że radzi sobie lepiej niż ojciec, ale nigdy nie wykraczała poza to, czym tradycyjnie zajmowała się jej rodzina.

Jeszcze dziwniejsze wydało jej się to, że można prowadzić taką rozmowę i doskonale się przy tym bawić. Diana czuła, że łączą ją z tymi ludźmi coraz silniejsze więzy.

Szkoda, że nie z Rothgarem.

32

Bal maskowy zaczął się sam, chociaż oczywiście nadzorowany przez Rothgara i wspomagany przez przyzwyczajoną do tego rodzaju przedsięwzięć służbę. Kiedy Diana skończyła kolację, przeszła wraz z Mallorenami do holu, zaintrygowana tym, co zaczęło się dziać w pałacu. Gości witała dziwna kolorowa poświata, przypominająca wieczorną zorzę oraz księżyc, bliźniak tego, który świecił na niebie.

Ruszyli dalej, do sali balowej. Po chwili zastąpił im drogę kolorowy arlekin.

- Diana-łowczyni? - ucieszył się na jej widok. - Możesz mnie pani upolować!

Nie, to nie był ten, na którego miała ochotę.

- Na razie puszcze cię cało, panie - rzekła dobrotliwie.
Ale radzę uważać na mój łuk.

Bal maskowy prowokował nietypowe zachowania. Wielu wydawało się, że są doskonale ukryci za swoimi maskami i że mogą sobie pozwolić na znacznie więcej. Ciekawe, za kogo przebierze się Bey? I czy przywita gości w sali balowej, czy też skryje się wśród innych masek?

Sama przebrała się tak, że można ją było natychmiast rozpoznać. Podobnie zresztą jak wielu gości, chociaż niektórzy mieli na sobie weneckie kostiumy, skrywające ich od stóp do głów. Jednak sama świadomość tego, że występuje się jako ktoś inny, wydawała jej się wystarczająco podniecająca. I jeszcze to, że dzisiejszej nocy rzeczywiście wyruszyła na polowanie.

Tylko jaki będzie jego rezultat?

Patrzyła uważnie na kolejne mijane postaci. Wciąż nie widziała Beya. Korytarze zamieniły się na tę noc w rodzaj labiryntu. Tak, jakby markiz rzeczywiście przejął się jej porównaniem do Dedala. Szary materiał zdobiły kamienne wzory. I chociaż tu i ówdzie prześwitywało przez nie światło, czuło się atmosferę zagrożenia.

Jak, wobec tego, wygląda sala balowa?

Elf, która zapewne wiedziała coś na ten temat, pochyliła się w jej stronę.

- Zaczekaj, zaraz zobaczysz coś ciekawego.

Labirynt skończył się nagle, a przed nimi otwarło się pogodne, nocne niebo. Raz jeszcze dostrzegła księżyc, który był chyba symbolem całego przedsięwzięcia. Czy to możliwe, by Rothgar zrobił to na jej cześć? Chociaż na niebie widać było też gwiazdy i inne ciała niebieskie. Nawet Saturna z jego pierścieniami.

Zapewne w całym pomieszczeniu zawieszono czarne płótno. Skąd jednak brały się gwiazdy i planety?

- Jak to zrobiono? - szepnęła Elf do ucha.

- To bardzo proste. Za pomocą naftowych lamp z różny-

mi kloszami - wyjaśniła przyjaciółka. - Korzystaliśmy z tego, na balu ze „Snu nocy letniej”. A labirynt pochodzi z jeszcze wcześniejszej imprezy. Bey, z braku czasu, zdecydował się po prostu wykorzystać stare elementy. Nic takiego.

Jednak Diana uważała, że jest to majstersztyk. Wszystko zaplanowano i wykonano z niezwykłą starannością. Zachwycona przechodziła wzdłuż ścian, podziwiając szczegóły dekoracji. Weszła też do jednego z przylegających pokoiów, urządzonego jak grotta, w której rosły srebrne drzewa.

- Wykorzystujemy je na każdym balu * cierpliwie wyjaśniła Elf. - Tylko trzeba je inaczej pomalować i ubrać. A to przecież drobiazg.

Tym razem na srebrnych gałęziach wisiały różnego rodzaju srebrne owoce. Diana oderwała od nich wzrok i spojrzała na przyjaciółkę.

- Nie chcesz, żebym to wszystko podziwiała? - spytała rozżalona.

- Nie chcę, żebyś myślała, że Bey jest jakimś nadczłowiekiem - odparła nieco zmieszana Elf.

- Wcale tak nie myślę. Gdzie on jest? Czy wiesz, w jakim wystąpi kostiumie?

- Nie. Naprawdę - dodała, zauważywszy pełne niewiary spojrzenie Diany.

- Dobrze, spróbuję go znaleźć.

Hrabina oderwała się więc w końcu od dekoracji i zaczęła śledzić zamaskowanych uczestników balu. Nigdzie nie udało jej się dostrzec Rothgara. Natomiast w odległym końcu sali odkryła grecką świątynię. Zastanawiając się, czemu by mogła służyć, przechodziła dalej.

Na łowy, myślała. Na łowy.

W sali słychać było muzykę, chociaż Diana nie widziała orkiestry. Czy to możliwe, żeby znajdowała się gdzieś w ukryciu? A może raczej w jakimś zagłębieniu? Postanowiła to sprawdzić, nie zaprzestając, oczywiście, poszukiwań Rothgara. Zatrzymała się jeszcze przed sztucznym księżycem, żeby go obejrzeć. Był naprawdę wielki i wspa-

niały. Dostrzegła na nim zarysy twarzy, jakby księżyc śmiał się z ludzkiego szaleństwa.

- To głupie korzystać z lampy, kiedy nad domem jest prawdziwy księżyc. - Znajomy głos zabrzmiał tuż przy jej uchu.

Odwróciła się i cofnęła o krok.

Rothgar stał przed nią otulony czarnym kostiumem niczym pajęczyną. Na twarzy miał maskę, która stanowiła lustrzane odbicie tej, która ją zdobiła. Był chyba przebrany za noc. Jego strój stanowił miniaturowe powtórzenie wystroju sali.

A jego serce, to prawdziwy labirynt, dodała w myśli.

- Skąd wiedziałeś o mojej masce?

- Czyż nie jestem *emminence noire* Anglii? - odpowiedział pytaniem. - Muszę wiedzieć o wszystkim.

- A, więc może to jest strój szarej eminencji?

Jego usta rozszerzyły się w uśmiechu.

- Nie, jestem władcą nocy, panem ciemności - odparł, potwierdzając częściowo jej domysły. - Musiałem się odpowiednio ubrać. Mam przecież diabelnie ciężkie zadanie.

Diana zarumieniła się, słysząc te słowa. Na szczęście maska zakrywała jej twarz. Bey odrzucił czarną pelerynę z jedwabiu i podał jej ramię.

- Chodźmy, jesteśmy przecież władcami tego balu - rzekł dumnie. - Ty władasz księżycem, a ja ciemnością.

Kiedy jej naga skóra dotknęła jedwabiu, całym ciałem Diany wstrząsnął dreszcz. Wolałaby nie grać bogini, tylko być teraz sam na sam z Beyem. Mogłaby mu zrobić masaż, by trochę się odprężył i nie przesiadywał godzinami przy automatach.

Rothgar poprowadził ją na środek sali, a następnie wskazał orkiestrę. Zajmowała ona wnękę ze schodami i była ukryta za półprzeźroczystym tiulem. Tak, by pan Bach, kapelmistrz, mógł widzieć gesty markiza.

Teraz właśnie Bey skinął ręką i w powietrzu popłynęły pierwsze takty menueta. Potem poszedł z nią dalej, aż na koniec sali, gdzie znajdowało się przejście za kulisy scenografii. Wspiąwszy się na podwyższenie, mogła podziwiać

księżyc i gwiazdy oraz sposób ich umocowania. Tak, jak przypuszczała, Rothgar obmyślił wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Czuła się też wyraźnie podniecona, gdyż za zasłoną znajdowali się tylko we dwoje. Diana widziała tancerzy na sali, ale oni nie mogli dostrzec tego, co działo się za zasłonami. Sprytnie pomyślane.

Hrabinę tknęła nagle pewna myśl.

- Czy de Couriac może być na sali? - zaniepokoiła się.

Rothgar położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. Wolałaby jednak, żeby nie było ono nagie.

- Nie. Wszyscy goście muszą zdjąć maski przed wejściem. Jest tu też Stringle. Ten, który cię uratował - dodał tonem wyjaśnienia.

Diana wiedziała, że to on ją uratował, ale nie protestowała. Przypomniała sobie, co Bey mówił o swoim człowieku w ambasadzie.

- Czy nikt nie protestował?

- Wytłumaczyliśmy, że chodzi o względy bezpieczeństwa - odrzekł markiz. - Jest tu przecież król. O, widzisz tego rzymskiego żołnierza w złotej zbroi?

Jej wzrok powędrował we wskazanym kierunku. Nawet, gdyby Rothgar go nie pokazał, i tak domyśliłaby się, że to król. Miał bowiem specyficzny sposób poruszania się, który charakteryzował majestat, ale w wypadku prostego żołnierza był zupełnie nie na miejscu.

Diana odetchnęła z ulgą. Mogła mieć przynajmniej pewność, że Bey będzie bezpieczny. Rozejrzała się dokoła, wśród rusztowań, które wydały jej się jeszcze bardziej romantyczne niż wystrój sali.

- Chciałabym tu zostać z tobą na zawsze! - westchnęła.

Markiz ścisnął lekko jej dłoń.

- A mamy tylko chwilę - rzekł ze smutkiem. - Przepraszam, że unikałem cię dzisiaj. Mogliśmy spędzić cały dzień razem.

- Nie musisz przecież zawsze dotrzymywać mi towarzystwa...

Jego słowa mogły znaczyć tylko jedno. To był ich ostatni dzień. Już jutro opuści Malloren House i wyjedzie na północ.

- Zawsze chętnie ci służyć, a ty mi nie?

- Tak, oczywiście - przytaknęła zdziwiona. - Ale są chwile, kiedy wolę być sama. I rozumiem, że tobie też się to może zdarzyć.

Rothgar zsunął maskę na czoło i ucałował jej dłoń. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Czuła jedynie, że serce zaczęło nagle mocniej bić w jej piersi. Zanim jednak zdecydowała, co powiedzieć, markiz chwycił ją za rękę.

- Chodź, już czas. - Pociągnął Dianę w stronę wyjścia.

Znowu znaleźli się na sali, która wydała jej się teraz całkiem jasna. Po chwili taniec się skończył. Markiz musiał coś chyba zasygnalizować orkiestrze, gdyż nagle rozległy się trąby. Diana aż podskoczyła, nie spodziewała się bowiem takich efektów.

Wniesiono świeczniki i ustawiono je na murach greckiej świątyni. Dopiero teraz dostrzegła jakieś dziecięcej i dorosłe sylwetki spoczywające na murawie przed nią.

- Co to?

Rothgar pochylił się z uśmiechem w jej stronę.

- Niespodzianka. Specjalnie dla ciebie.

Zaciekawieni goście zaczęli otaczać świątynię. Wkrótce widzieli przed sobą tylko morze głów.

- Chodźmy na ławkę - zaproponował Bey. - Będziesz lepiej widzieć.

- Co to za niespodzianka? - dopytywała się Diana.

- Zobaczysz, zobaczysz - rzucił, znowu ciągnąc ją za sobą.

Widok z ławki był znacznie lepszy niż z dołu. Obejmowali wzrokiem całą zaimprovizowaną scenę i bez tłoku mogli śledzić to, co działo się w świątyni. Diana od razu dostrzegła wśród aktorów chłopca ze skrzydłami.

Kupidyn, pomyślała.

Z wnętrza świątyni dobiegł do nich czysty głos kastrata:

„Słońce dobiegło niemal końca szlaku,
Kiedy cna Diana w dziewiczym orszaku...”

Przed świątynię wyszła kobieta ubrana podobnie jak hrabina z czterema służącymi w chitonach. Wszystkie miały maski na twarzy. Służące rozpoczęły pieśń:

„Dostrzegła między krzakami jaśminu
Bożka miłości pośród cherubinów
- Wszyscy uśpieni leżeli na trawie...”

Wkrótce podjęła ją samotnie Diana:

„Śpij już tyranie serc najczulszych
I tak poddanym swoim ulżyj,
Bo kiedy tylko przetrzesz oczy,
Szybko się spokój ducha skończy.”

Służące odczekały chwilę, a potem dołączyły do swojej pani. Pięć głosów rozbrzmiewało mocno w balowej sali. Diana chciała pokonać Kupidyna i połamać jego strzały. Gdy tego dokonała, jej służki rozpoczęły pieśń pochwalną:

„Nasze jest zwycięstwo
Sprawiło to męstwo
Pani łowów - Diany,
Patrzcie, Kupidyna
Coś nietęga mina,
Więc się puśćmy w tany.”

Na sali rozległy się brawa i głośne wiwaty. Aktorki raz jeszcze powtórzyły pieśń, żeby mogła do nich dołączyć publiczność. Ośmielona śpiewaczka grająca Dianę zaimprovizowała nawet nowy fragment do znanej już melodii:

„Nimfy i młodzieńcy
Tysiące tysięcy
Czule zakochanych,
Kpijcie ze strzał jego,
Nie bójcie się złego
I puśćcie się w tany.”

Rothgar zadrżał ze śmiechu. Ławka zachwiała się niebezpiecznie i Diana chwyciła się srebrnej gałęzi. Na szczęście drzewo stało mocno.

- Dlaczego ktoś mógłby mieć coś przeciwko miłości? -
W jego oczach zapaliły się iskry, kiedy spojrzał w jej stronę. - Zobaczysz, że miłość potrafi zwyciężyć.

Ona miałaby wątpić w potęgę miłości? Znowu się zachwiała i Bey musiał ją złapać w objęcia. Dobrze, że wszyscy patrzyli w stronę śpiewaków.

W tym momencie Kupidyn poderwał się do boju. On również nosił maskę, podobnie jak bogini. Był od niej niższy, ale nie przypominał chłopca. Wydawało się też, że ma nieco gorzej szkolony głos niż większość aktorów. Zapewne główny wykonawca zachorował i trzeba było poszukać zastępstwa.

- Okrutna pani - śpiewał - zemsta będzie moja.

- Lepszy byłby z niego Mars niż Kupidyn - zauważyła Diana.

- Zobacz, co będzie dalej.

- Została jedna nie złamana strzała - ciągnął Kupidyn. -
W które serce wrazić/Aby miłością dusza zapałała?

Kupidyn rozejrzał się dookoła, a publiczność zaczęła go zachęcać, wskazując swoje serca. Diana poczuła dziwny niepokój. Chciała ostrzec Beya, ale on już zeskoczył z ławki i zniknął w morzu ludzi. Dopiero po chwili ujrzała jego głowę gdzieś z przodu. Wszyscy chcieli być jak najbliżej bożka miłości, a on zachęcał ludzi, by się do niego zbliżyli. Inni aktorzy cofnęli się, czekając na swoją kolej.

Strzała Kupidyna wciąż czekała na swój cel.

Diana wsłuchiwała się w pokrzykiwania aktora w masce.

Jego głos brzmiał z cudzoziemska. Pewnie był Włochem, jak większość śpiewaków. A może... Może był Francuzem?!

De Couriac!

Bey zbliżał się do króla i chciała krzyknąć, żeby go ostrzec. Jednak on już wiedział. Właśnie dlatego zbliżał się do monarchy.

Czyżby de Couriacowi chodziło tym razem o samego króla? Diana słyszała, jak Jerzy III krzyczał wraz z innymi:

- Strzel do mnie! Do mnie, co! Będę bardziej kochał moją panią!

Kupidyn posłusznie obrócił łuk w stronę monarchy.

33

Diana od razu dostrzegła, że Kupidyn ma w rękach prawdziwy łuk. Jednak dopiero po chwili przypomniała sobie o własnym. Broń nie należała do najwygodniejszych, zwłaszcza w takim tłumie, ale niewątpliwie była jedyną w tym momencie dostępną.

Bey dotarł już do króla. Co teraz zrobi? Pociągnie go na podłogę i zakryje własnym ciałem?

Starając się opanować strach, zdjęła łuk z pleców i sięgnęła po jedną ze srebrnych strzał. Żałowała teraz, że nie przykładała się bardziej do łucznictwa. Zawsze wydawało jej się, że lepiej będzie, jeśli poćwiczy strzelanie z pistoletu.

Do diabła! Strzała mogła jej się łatwo wyśliznąć z zapocynych dłoni. Wytarła je szybko o lnianą suknię, a następnie, starając się przypomnieć sobie wszystkie uwagi Carra, naciągnęła cięciwę. Kupidyn zrobił to samo. Ludzie uciszyli się, zdziwieni tym, że zabawa przybrała nagle tak konkretny wymiar.

Rothgar stanął przed królem i rozpostarł przed nim swoją jedwabną pelerynę.

- Wybacz, najjaśniejszy panie, ale ja bardziej potrzebuję miłości.

Nagły szept przebiegł wśród publiczności, ponieważ markiz odwrócił się tyłem do króla. Wszyscy zrozumieli, że dzieje się tu coś dziwnego.

- Miałeś strzelić do bogini Diany, jeśli dobrze pamiętam - Rothgar zwrócił się do Kupidyna.

- Ale sam prosiłeś, panie, żebym strzelił do ciebie.

Maska zniekształcała dźwięki i Diana zawahała się, nie bardzo wiedząc, czy ma rzeczywiście do czynienia z de Couriakiem. Gdyby miała pistolet, mogłaby spróbować trafić go w rękę z bronią. Teraz jednak wybór wydawał się oczywisty: serce lub szyja. Wybrała serce, ponieważ szyja stanowiła trudniejszy cel.

Zgromadzeni na sali ludzie rozglądali się dokoła, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. Być może był to jakiś żart. Lord Rothgar słynał przecież z ekscentrycznych pomysłów. Na przykład teraz przesunął się w stronę sceny, jakby sam chciał zająć miejsce Kupidyna. Jednak to, że wciąż stał tyłem do monarchy wydawało się niedopuszczalne.

- Nie jesteś wcale bogiem miłości - rzekł mocnym głosem markiz, wpatrując się w szparki na oczy w masce. - Nie miłości, tylko destrukcji. Czyta strzała jest dla mnie, panie de Couriac?

Król krzyknął i cofnął się wraz z tłumem. Kupidyn napiął łuk jeszcze mocniej. Bey znajdował się blisko sceny, ale nie na tyle, by skoczyć i wyrwać mu broń z ręki.

Teraz lub nigdy, pomyślała Diana.

Naciągnęła jeszcze mocniej cięciwę i modląc się do Boga puściła ją z nagłym świstem. Strzała w sekundę dosięgła piersi bożka i wbiła się w nią głęboko. Francuz zdążył wystrzelić, ale przebił tylko dekoracje gdzieś nad głowami publiczności. Spojrzał jeszcze na swoją pierś, jakby nie bardzo wiedząc, co się stało, a potem z potwornym krzykiem zważył się na sztuczną murawę.

Aktorka grająca Dianę i inni śpiewacy rozbiegli się z krzykiem po sali. Rothgar zdjął swoją pelerynę i przykrył nią ciało. Bryght, który czaił się gdzieś z boku wyskoczył na scenę. Reszta Mallorenów starała się uspokoić gości, a zwłaszcza histerycznie zachowujące się damy.

Diana stała nieporuszona z łukiem w ręku.

Obecni na sali mężczyźni otoczyli króla kordonem, ale on rozepchnął ich i wyszedł na scenę.

- Cisz! Cisz! To tylko jeden szaleniec! Wzywam wszystkich, by zachowali spokój. Wyprowadźcie stąd płaczące kobiety.

Wszyscy go usłuchali. Po chwili w sali balowej zaległa cisza.

- Jak widzicie, jestem bezpieczny, co? A wszystko to dzięki odwadze lorda Rothgara... - Monarcha zawahał się.

Diana prędko zeskoczyła z ławki. Domyśliła się, że zaraz zapyta o to, skąd pochodziła strzała.

Markiz skłonił się królowi.

- Bardzo przepraszam za ten incydent, Wasza Królewska Mość. W sali na dole podano już do stołu. Może tam przejdziemy?

Jerzy III skinął głową. Być może zapomniałby o nieznanym łuczniku, gdyby nie głosy, które podniosły się w sali:

- Kto strzelał? Skąd pochodziła strzała?

- Pewnie prawdziwy Kupidyn, rozgniewany tym, co zobaczył - starał się żartować Rothgar.

Wszyscy jednak wiedzieli, że nie wystarczy takie wyjaśnienie. Strzała była aż nazbyt wyraźna, nawet pod czarną peleryną Beya.

- Ja strzeliłam - przyznała się Diana, zadziwiona nagłym spokojem, który na nią spłynął.

Tłum rozstał się przed nią, robiąc jej drogę do króla. Ludzie znowu zaczęli szeptać. Będą mieli o czym plotkować przez najbliższe pół roku, pomyślała. Podeszła do monarchy, a markiz natychmiast stanął u jej boku. Zauważyła strumyczek krwi, który wypłynął spod czarnego materiału, Jprzykrywającego zwłoki.

- H m, tak. Umiesz, pani, strzelać z łuku, co? - Król był raczej zdziwiony niż rozgniewany.

Diana skłoniła się głęboko.

- Trochę się tym interesuję, Wasza Królewska Mość.

- Ale, hm, być może trafiłaś przypadkiem, pani?

Mogła się teraz wycofać i następnego dnia wyjechać spokojnie do Arradale. Postanowiła jednak, że nie będzie już dłużej grać kogoś, kim nie jest.

- Nie, sire - odparła, kłaniając się raz jeszcze. - Umiejętności te dwukrotnie pomogły mi ocalić życie mężczyźnie, którego kocham, nie żałuję więc, że się tego nauczyłam - zakończyła z ulgą.

Mogą ją teraz zesłać do domu dla psychicznie chorych. Mogą z nią zrobić, co tylko zechcą. Ludzie dookoła znorwu się ożywili i zaczęli coś szeptać.

Bey wziął ją za rękę.

- Prowadzimy z lady Arradale nie kończącą się debatę, sire, na temat tego, kto kogo powinien chronić - powiedział z uśmiechem. - Muszę przyznać, że silna i niezależna żona, która będzie mogła bronić interesów domu jest prawdziwą perłą.

Diana nie posiadała się z radości, słysząc te słowa. Jednocześnie z zapartym tchem czekała na reakcję króla. Wszyscy zgromadzeni znali jego poglądy i czuli, że Rothgar rzucił mu coś w rodzaju wyzwania.

- No cóż, no cóż - powtórzył zamyślony monarcha. - Każdy powinien mieć to, co mu odpowiada. Mam nadzieję, panie, że przynajmniej nie będziesz się pojedynkował z żoną, co?

- Nie, sire - odrzekł Rothgar.

Ponieważ nie miałbym z nią żadnych szans, dodał w duchu.

Monarcha wyszedł z sali w licznej asyście. Po jakimś czasie Rothgar i Diana zostali sami. Część ze zgromadzonych osób złożyła im gratulacje, ale część udawała, że ich nie zauważa, bojąc się, że markiz popadł w niełaskę z powodu swego ekscentrycznego gustu. Takie już było dworskie życie.

Stali przez chwilę obok siebie, a potem jednocześnie spojrzeli na księżyc.

- Zostaniesz moją żoną? - spytał, ściskając ją za rękę.

- A nie boisz się? - Zerknęła w jego stronę.

- Muszę nauczyć się podejmować ryzyko - odparł i wziął ją w ramiona.

Długo patrzyli sobie w oczy, a potem połączyli się w namiętnym pocałunku.

- Och, Diano, kocham cię. Kocham i boję się tego, co może nastąpić - dodał z westchnieniem.

- Szaleństwa dzieci?

- Własnego też. Pewnie ci nie mówiłem, ale moja matka nie mogła znieść płaczu dziecka... Stąd, być może moje dziwne zachowanie wtedy, w ogrodzie... Chcę jednak spróbować. Przecież nie mogę nie poddać się Dianie w czasie pełni.

Przytuliła go znowu, czując, że ich problemy jeszcze się nie skończyły. Przed nimi długa droga, zanim uda im się doświadczyć pełni szczęścia. Może „uleczenie” Rothgara zajmie mniej czasu, niż jej się zdaje? A może będzie musiała poświęcić na to całe życie.

Ona też chciała spróbować!

Podjąć ryzyko!

Wprost trudno jej było uwierzyć, że Rothgar będzie teraz należał do niej!

Znowu przytuliła się do niego. Ich usta ponownie się spotkały. Czuła się tak, jakby byli ze sobą od zawsze. I pomyśleć, że Bey jeszcze niedawno nie chciał słyszeć o małżeństwie!

- Chcę być z tobą sama - szepnęła. - Poznać cię najlepiej, jak tylko można.

Rothgar zaśmiał się na te słowa.

- Ja też nie pragnę niczego innego, ale obawiam się, że będziemy teraz bardzo zajęci. Jednak przede wszystkim, mam dla ciebie gwiazdkę z nieba. - Zdjął jeden z pierścieni i podał go Dianie.

Drżącą dłońią założyła go na swój palec. Wielki diament

wyglądał na nim naprawdę wspaniale. Pewnie *należał* do najpiękniejszych klejnotów w kolekcji. Diana czuła się tak, jakby mogła latać.

- Wiesz, co w tobie uwielbiam? - Zrobiła tajemniczą minę.

- Mm?

- Że nie przeszkadza ci to, jaka jestem. Nie będziesz chciał mnie zmienić, prawda?

Przez chwilę udawał, że się zastanawia, a potem zrobił do niej oko.

- Myślę, że chociaż trochę. Przydałoby ci się parę lekcji fechtunku, co?

Ucałowała go w policzek.

- Nie, Diano, nie musisz się zmieniać - dokończył poważnie. - Kocham cię taką, jaka jesteś.

- I tak bardzo się zmieniłam - stwierdziła po namyśle. Do niedawna w ogóle nie chciałam słyszeć o małżeństwie.

Dotknęła pierścienia, który dostała od Beya. Był trochę za luźny, ale wyglądał przepięknie na jej palcu i stanowił cudowną obietnicę prawdziwej miłości. Zwłaszcza, że musiała na niego tak długo czekać.

Teraz najchętniej zamknęłaby się z Rothgarem w sypialni. Mogłaby go przynajmniej całować i pieścić. Jednak ona też wiedziała, że czekają na nich obowiązki.

- Czy myślisz o tym, co ja? - Podał jej rękę i oboje odwrócili się od księżycy.

- Tak, musimy zejść na dół - westchnęła. - Co z królem?

- Jeśli zechce się obrazić, to nic na to nie poradzę. Zawsze będę po twojej stronie. Najwyżej wyjedziemy. Mam nadzieję, że Anglia na tym nie ucierpi.

Weszli do labiryntu. Cienie na ścianach wydawały się jeszcze bardziej złowrogie niż przedtem. Zwłaszcza, że w sali balowej zostawili martwego de Couriaca. Diana zatrzymała się nagle, uderzona pewną myślą.

- A może mógłbyś dać królowi swojego dobosza? - wyrzuciła z siebie. - To mogłoby go udobruchać. A ja nie przepadam za tą zabawką.

- Pewnie wolałabyś własną. - Rothgar po raz pierwszy zażartował na temat dziecka.

- Tak, ale pomyśl, ile przed nami problemów. Czy odziedziczyłby tytuł Rothgar, czy tytuł Arradale? - Mówiła to lekkim tonem, ale sytuacja rzeczywiście była dosyć skomplikowana. Zwłaszcza, że Diana zamierzała zachować swój tytuł, którego Bey i tak nie potrzebował.

Doszli do schodów i zaczęli schodzić w dół. Po chwili znaleźli się w jaśniej oświetlonym korytarzu. Cztery duże sale były wypełnione gośćmi, a służba podawała przekąski. Niektórzy siedzieli, ale większość przechadzała się i wymieniała uwagi na temat wydarzeń wieczoru. Rothgar ogłosił więc oficjalnie ich zaręczyny w pierwszej sali i chciał przejść do drugiej.

- Hej, Rothgar, masz narzeczoną po złej stronie! - zauważył ktoś z tłumu.

Diana natychmiast się zreflektowała i przeszła na jego prawą stronę. Musi pamiętać, w jakim świecie żyje. I tak powinna się cieszyć, że Bey ją akceptuje. Niewielu mężów pozwoliłoby żonom na strzelanie z pistoletu czy szermierkę.

W następnej sali Rothgar powtórzył swój komunikat i ruszyli dalej. Do trzeciej, w której znajdował się król. Diana poczuła ukłucie strachu na widok monarchy. Wiedziała, że nie może już zabronić im ślubu, ale bała się, że Bey owi bardzo będzie brakować dworu, jeśli popadnie w niełaskę.

Zerknęła w bok. Żaden muskuł nie drgnął na twarzy markiza. Skłoniła się głęboko królowi, który nie wyglądał na uszczęśliwionego jej widokiem.

- Aa, lady Arradale. Jesteś, pani, bardzo niezwykłą kobietą, co?

- Obawiam się, że tak, najjaśniejszy panie.

- Pamiętasz, pani, rozmawialiśmy kiedyś o niebezpieczeństwach czyhających na kobiety, które robią to, co mężczyźni.

- Pamiętam, sire.

Król zmarszczył brwi, a Diana pomyślała, że powinna

spodziewać się najgorszego. Jerzy III mógł ją nawet wtrącić do Tower za użycie broni w jego obecności. Każdy powód był dobry.

- Wspomniałaś wówczas, pani, że kobieta potrafi bronić swoich dzieci, co? A ja się zgodziłem.

- Istotnie, Wasza Królewska Mość.

- To samo dotyczy chyba męża, co?

Na sali rozległ się szmer aprobaty, a Diana odetchnęła z ulgą. To oznaczało pokój. Królowi zapewne nie było łatwo zdobyć się na taki gest.

- Tak, sire. - Ponownie skłoniła się głęboko, wciąż trzymając Beya za rękę.

Monarcha wskazał gestem, że może się wyprostować.

- Mam nadzieję, pani, że będziesz miała dwóch synów - rzekł, kładąc nacisk na przedostatnim słowie.

- A jeśli tylko jednego, najjaśniejszy panie? - wtrącił Rothgar. - Czy drugi tytuł będzie mógł pozostać w rodzinie?

Ścisnęła dłoń markiza. To jednak zbyt wiele, żądać od Jerzego III, by uznał kolejną hrabinę Arradale. Bey posunął się chyba za daleko.

Król zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Jeśli Bóg tak zdecyduje, wypadnie nam zgodzić się z Jego wolą - odparł w końcu chłodno.

Diana nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czyżby udało im się odnieść następne zwycięstwo? Tym razem to Rothgar pochylił się w ukłonie.

- Stokrotne dzięki, Wasza Królewska Mość. Pozwól, najjaśniejszy panie, że odpłacę ci małym prezentem.

- Prezentem? - Młoda twarz króla natychmiast się rozjaśniła.

- Lady Arradale podarowała mi automat, przedstawiający ją w dzieciństwie. Był zepsuty, ale go naprawiłem. Przyjmij go, najjaśniejszy panie, jako znak mojego oddania i dozgonnej lojalności. Może przejdziemy do holu, żeby wszyscy go mogli zobaczyć? - zaproponował na koniec Rothgar, wiedząc, że król uwielbia takie pokazy.

Monarsze nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ruszył pierwszy, wraz ze swoją obstawą, a za nim pozostali goście. Markiz natychmiast wydał polecenia służbie, nie chcąc, by król czekał zbyt długo. Po chwili wszyscy znaleźli się znów tam, gdzie zaczął się bal maskowy, pod księżycem w pełni. Dla większego efektu Rothgar kazał ustawić więcej świateł tylko koło miejsca, gdzie miał stanąć automat.

Służba wniosła zakrytą jasnym płótnem maszynę i ustawiła ją na podwyższeniu, tuż przed wyściełanym krzesłem, na którym spoczął monarcha.

Rothgar odsłonił dobosza.

- Na Boga, lordzie! Piękna rzecz! - wykrzyknął Jerzy III.

Ciekawe, co powie król, kiedy zobaczy wszystkie możliwości automatu? pomyślała Diana. Bey zrobił efektowną przerwę, wszyscy się uciszyli, a on puścił maszynę w ruch. Po chwili rozległy się śpiewy ptaka.

Po pierwszym pokazie nastąpił następny, a potem jeszcze jeden. Zebrani domagali się też czwartego, ale król kazał zabrać automat, zapowiadając jednocześnie kolejną prezentację w Buckingham Pałace.

Diana z przyjemnością patrzyła, jak służba wnosi zakrytego chłopca. Wraz z nim odchodziła od niej gorsza część jej życia. Sama przez ostatnie dni czuła się jak automat, który może wykonywać określone czynności i teraz miała wrażenie, że odzyskała wolność. Towarzyszyło temu jednak ogromne zmęczenie.

Goście powoli zaczęli się rozchodzić. Na szczęście nie musiała jeszcze grać roli gospodyni i żegnać się ze wszystkimi. Rothgar wyszedł, żeby odprowadzić króla. Żegnał się też z innymi wychodzącymi. Ona natomiast mogła stać w kątku, do niczego się nie mieszając.

Jednak jedna osoba podeszła do niej, żeby się z nią pożegnać. Na miłej buzi znajdowała się tylko wążutka maska, a różowa bufiasta suknia odsłaniała krągłe ramiona.

Zanim Diana zdążyła się przedstawić i spytać nieznajomą o nazwisko, pojawił się Rothgar.

- *Monsieur D'Eon*? Przykro mi, panie, jeśli nie bawiłeś się zbyt dobrze!

34

Diana aż otworzyła usta ze zdziwienia, zafascynowana iluzją kobiecości, którą wytworzył D'Eon. To prawda, że wiele można osiągnąć za pomocą zręcznego makijażu, ale Francuz zachowywał się tak, jak prawdziwa dama. Poza tym jego suknia odsłaniała górę, a tam widać było prawdziwy, pełny biust!

Być może D'Eon należał do tłuściochów, którzy mogli dowolnie modelować swoje ciało. Diana nie chciała się w tej chwili nad tym zastanawiać. Miała przed sobą człowieka odpowiedzialnego za wszystkie napady na Beya.

D'Eon puścił w ruch swój koronkowy wachlarz.

- Byłbym niepokieszony, panie, gdyby ten wariat osiągnął to, o co mu chodziło. - Nawet głos miał teraz cienki i kobiecy.

- Więc go potępiasz? - zdziwił się Rothgar.

- Ależ oczywiście! Za kogo mnie masz, panie?!

D'Eon wyglądał na naprawdę oburzonego. Ciekawe, czy grał, czy też rzeczywiście nie miał nic wspólnego z napadem de Couriaca?

- Myślisz, panie, że uwierzę, iż nie inspirowałeś ataków na moje życie - mruknął Rothgar.

Rzęsy D'Eona zatrzepotały niczym motyle w siatce. Stanowił teraz doskonały obraz urażonej niewinności. Jakby mąż posądzał go niesłusznie o zdradę.

- Nigdy nie nastawałem na twoje życie, panie.

- A Curry?

- Chodziło tylko o to, by cię zranić.

Diana patrzyła ze zdziwieniem na obu mężczyzn. Od-

niosła wrażenie, że Francuz zaleca się do Rothgara. Nie, to chyba niemożliwe. Jednocześnie na nią prawie wcale nie zwracał uwagi.

- Zresztą de Couriac miał te same rozkazy, panie - ciągnął D'Eon. - Sam nie wiem, co mu przyszło do głowy. Nie miałem pojęcia, że jest tak niezrównoważony.

- Albo, że miał inne rozkazy - rzucił Bey.

Francuz zacisnął swoje pomalowane usta.

- Być może.

- Czy mówisz to po to, panie, by się usprawiedliwić? - Rothgar spojrział ciekawie na D'Eona.

- Raczej, by wyjaśnić sytuację - padła odpowiedź.

- I tak, twój czas już się skończył, kawalerze.

D'Eon cofnął się, a na jego twarzy pojawił się strach.

- Nie możesz, panie, tknąć ambasadora.

- Pełnisz jedynie jego obowiązki, kawalerze - zauważył Rothgar.

- Staram się służyć mojemu królowi najlepiej, jak potrafię. Podobnie, jak ty, panie.

- Jednak będziesz musiał zapłacić za to, że wciągnąłeś lady Arradale w tę diabelską intrygę! - rzekł stanowczo markiz.

D'Eon spojrział na nią tak, jakby dopiero teraz ją zauważył. Nie myślał o niej wcześniej. Była jedynie użytecznym narzędziem, niczym więcej.

- Przyznasz, panie, że częściowo dzięki mnie staniesz na ślubnym kobiercu. To ja podsunąłem królowi pomysł, żeby wydać za ciebie lady Arradale. Miało cię to utrzymać z daleka od spraw państwowych.

Rothgar pokiwał głową.

- Domyśliłem się tego. A co z porwaniem? Czy to był twój pomysł?

Francuz wyglądał na zdziwionego. Jakby słyszał o całej sprawie po raz pierwszy.

- Porwano cię, pani? - dopiero teraz zwrócił się do Diany.

Skinęła głową.

- Zrobił to lord Randolph z pomocą de Couriaca - odparła.

- Lord Randolph, lord Randolph - powtarzał D'Eon. - Chodzi o tego karciarza Somertona? Bałbym się korzystać z jego usług, bo zanadto się lubi przechwalać, a brakuje mu odwagi.

Diana ze zdziwieniem wysłuchiwała tej jakże trafnej charakterystyki. Znaczyło to, że Francuzi bacznie obserwują osoby związane z dworem i starają się poznać ich wszystkie słabostki.

- I co się w końcu stało, pani? - spytał D'Eon, który rzeczywiście chyba nic nie wiedział o porwaniu.

- Markiz mnie uwolnił - odparła, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - zadeklarował Francuz. - Przyznaję się jednak do błędu. Powinienem był zabić de Couriaca po tym, jak nie wykonał pierwszego zadania. Przypominał wściekłego psa, a przecież usuwa się chore zwierzęta. Bez przerwy powtarzał, że to markiz odpowiada za śmierć jego towarzyszki.

- Znaleziono ją martwą, ale to nie ja ją udusiłem - stwierdził markiz.

- Och, nie! De Couriac sam to zrobił. Był wściekłym psem, ale jednocześnie Francuzem, a ja dałem mu schronienie. - D'Eon zamyślił się na chwilę. - Dobrze, *monsieur le marquis*, jestem do pańskiej dyspozycji.

Nie, pomyślała Diana. Nie teraz, kiedy znalazła w końcu szczęście i spokój. Jednak Rothgar był zdecydowany.

- Broń?

- Szpady - rzucił Francuz. Hrabina chciała zaprotestować, ale sam D'Eon podniósł do góry rękę z wachlarzem.

- Proponuję walkę do pierwszej krwi. Za dużo padło już trupów, panie.

- Gdzie i kiedy?

- Tu i teraz - rzekł zdecydowanie D'Eon.

Diana zaczęła się rozglądać dookoła. Gdzie Elf i Bryght, któ-

rzy mogliby zapobiec temu szaleństwu? Co na to reszta gości?

Zmartwiała zerknęła na Beya i dostrzegła, że jest wyraźnie rozbawiony.

- Wybacz panie, ale... z całym szacunkiem, nie będzie ci zbyt wygodnie w tej sukni.

- Mogę się przebrać. No już. Jestem gotów bronić honoru Francji.

Hrabina załamała ręce.

- Tylko proszę, do pierwszych ran.

D'Eon skłonił jej się dwornie, co byłoby śmieszne, zważywszy jego kobiece przebranie, gdyby sytuacja nie była tak poważna.

- Nie bój się, pani. Zranię markiza lekko, tak by nawet nie zepsuć ci przyjemności miodowego miesiąca.

Sama nie wiedziała, czy D'Eon mówi w dobrej wierze, czy też kłamie. Nauczyła się już nie ufać Francuzom. I uważać na ich diabelskie sztuczki. Ale Bey wiedział o tym lepiej niż ona. Jeśli teraz decydował się na pojedynek, miał zapewne swoje powody.

Następnie D'Eon skłonił się Rothgarowi.

- Muszę ci wyznać, panie, że do tej pory nikt mnie nie pokonał.

Markiz oddał mu ukłon.

- Mnie też, w poważnych walkach - stwierdził. - Chodźmy do sali balowej.

Znowu przeszli labiryntem, a Diana przez całą drogę modliła się w intencji Beya. Dekoracje wydawały jej się złowrogie i nieprzyjemne, a kiedy doszli do sali niemal krzyknęła na widok przykrytego płaszczem de Couriaca. Krew zastygła już na podłodze i wyglądała z daleka jak czarna kałuża.

- Nędzny pies - mruknął D'Eon i zaczął się rozbierać.

Okazało się, że pod suknią miał krótkie satynowe spodnie i ściągniętą do połowy koszulę. Francuz z wahaniem zerknął na Dianę, a potem przeszedł do groty, gdzie dokończył swoją transformację. Po chwili wyszedł stamtąd jako mężczyzna. Zdjął jeszcze buty na wysokim obcasie, by walczyć boso.

- A jeśli chce cię zabić? - szepnęła Diana do ucha markiza, korzystając z nieobecności Francuza.

Rothgar w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Nie musiał się przebierać. Czekał na D'Eona, bacznie obserwując jego ruchy.

- A twój gorset, kawalerze? Nie będzie ci przeszkadzał? Francuz machnął ręką.

- To głupstwo. Poradzę sobie.

Służba przyniosła szpady. Bey jako gospodarz dał Francuzowi prawo wyboru broni, z czego tamten skwapliwie skorzystał. Następnie wykonał na rozgrzewkę parę prostych cięć. Mimo, że nie było to niewielkiego, Diana była pod wrażeniem jego miękkich, kocich ruchów. Nigdy jeszcze nie widziała tak zręcznego szermierza.

Mężczyźni zbliżyli się do siebie. Jednak hrabina powstrzymała ich gestem.

- Kawalerze D'Eon - powiedziała do Francuza - pamiętaj, że wciąż mam swój łuk i strzały. Zabiję cię, jeśli nas oszukałeś.

- *Magnifique!* - Wyglądał wręcz na uradowanego taką perspektywą. - Oto kobieta godna Mrocznego Markiza!

Chcąc nie chcąc musiała grać rolę sekundanta i kiedy mężczyźni skrzyżowali szpady, dała sygnał do walki.

Ze względu na różnice wzrostu i budowy mogło się wydawać, że Rothgar zaraz wygra. On jednak tak nie sądził. I miał rację! D'Eon okazał się urodzonym szermierzem, człowiekiem, dla którego walka stanowiła rodzaj tańca. Jego ruchy były płynne i pewne. Co więcej, Diana odniosła wrażenie, że Francuz bawi się całą sytuacją. Tak jakby zaczął grę w kotka i myszkę.

Bey wydawał się przy nim wręcz niezgrabny. Jednak nadrabiał brak małpiej zręczności D'Eona wzrostem i zasięgiem ręki. Walka była więc bardzo wyrównana. Trudno było powiedzieć, który z nich osiągnie przewagę.

Diana patrzyła na walczących z coraz większym zdziwieniem. Nigdy nie widziała, by ktoś zadawał ciosy z ta-

ką szybkością. W niczym nie przypominało to tego, czego nauczyła się od Carra. Czy to możliwe, żeby jej fechtmistrz też walczył w ten sposób, tyle, że z mężczyznami? Po namyśle stwierdziła, że raczej nie. W tym pojedynku obserwowała dwóch prawdziwych mistrzów. Zapewne można by ze świecą szukać w całym kraju, a może i na kontynencie, równie dobrych szermierzy.

D'Eon wciąż tańczył śmiertelnego menueta z niespotykaną gracją. Rothgar starał mu się dorównać szybkością i skutecznością. Nie próbował nawet udawać, że jest gorszy niż w rzeczywistości, tak jak w pojedynku z Currym. Nerwy miał napięte jak postronki. Najmniejsza nieuwaga mogłaby kosztować go przegraną, a może i... życie.

- Co się tu dzieje? - Diana usłyszała głos Bryghtha tuż przy swoim uchu.

Spojrzała w bok. Był tu jeszcze Fort i obaj mieli nietęgą minę.

- Coś w rodzaju przyjacielskiego pojedynku - odparła.

- Hm, coś w rodzaju... - Bryght nie był do końca przekonany.

D'Eon zaatakował Beya z całą mocą, ale on zdołał odparować cios. Obaj walczący spływali potem i oddychali ciężko.

- Miałeś rację, kawalerze - rzekł Rothgar, z trudem łapiąc oddech. - Jesteś naprawdę dobry. Nawet trochę lepszy ode mnie.

- Świetnie dotrzymujesz mi pola, panie. - Francuz był chyba mniej zmęczony. - Uważaj, bo obaj zginiemy... z wycieńczenia.

Rothgar skłonił się lekko.

- Czy możemy, wobec tego, przyjąć remis?

D'Eon oddał szpadę służącego.

- Jak sobie życzysz, panie.

Diana nie mogła uwierzyć, że pojedynek właśnie się skończył. O co więc mogło chodzić D'Eonowi? Dlaczego w ogóle zgodził się na tę walkę?

- Przekonałeś mnie, panie, że nie nastajesz na moje życie - stwierdził Bey, odpowiadając w ten sposób na jej pytania. - Ale czy twoi mocodawcy nie przyślą tutaj nowego de Couriaca?

Francuz lekko wzruszył ramionami.

- Mogę ich tylko przekonywać, że nie służyłoby to sprawie Francji. Nie spodziewaj się jednak, panie, że zyskasz w nich przyjaciół.

Rothgar również oddał swoją szpadę.

- Wolę uczciwych wrogów - wyznał. - Ale powiedz, kawalerze, czy zamach na króla był tylko udawany?

D'Eon rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Mogę tylko przypuszczać, że tak. Nasz monarcha nigdy nie kazałby zabić swojego kuzyna. Żaden król nie cieszy się, gdy inny król ginie z ręki zamachowca. Wydaje mi się, że chodziło o to, żeby przyciągnąć cię, panie, do władcy. Wszyscy znają twój opiekuńczy instynkt.

Rothgar skrzywił się na te słowa.

- To przykre, że jestem tak przewidywalny.

D'Eon wskazał Dianę, której towarzyszyli Bryght i Fort.

- Nie przejmuj się tym, panie. Będziesz miał piękną i dzielną żonę, a potem dzieci... Mam nadzieję, że puścisz to wszystko w niepamięć. To już koniec, prawda?

Na ustach markiza pojawił się nikły uśmiech. Przypomniał sobie polecenia, które ostatnio wydał swoim szpiegom.

- Niezupełnie, panie - odrzekł, a w jego oczach zamigotały diabelskie ogniki. - Przygotowałem jeszcze dla ciebie małą niespodziankę. Myślę, że nie będziesz miał mi tego za złe...

Oczy Francuza zwięzły się w szparki.

- Pragnę cię jednak ostrzec - podjął Rothgar. - Masz, kawalerze, wrogów w samej Francji. Być może nie zawsze otrzymywałeś właściwe informacje.

D'Eon od razu się uspokoił. Spodziewał się chyba czegoś gorszego.

- To nic nowego, panie. - Skłonił się wszystkim zebranym. - Pani, panowie, pozwolicie, że was pożegnam.

Kiedy wyszedł, Bryght spojrzął na rozbawionego brata.
- No, powiedz, co mu szykujesz? - poprosił.
Rothgar ukazał w uśmiechu swoje białe zęby.
- D'Eon spodziewa się, że król pokryje wszystkie jego długi w Anglii. Otrzymał nawet specjalne pismo w tej sprawie, więc czuje się bezpiecznie. Natomiast Guerchy już ostrzy sobie zęby na jego stanowisko, a de Broglie powoli traci wpływy.
Diana od razu zrozumiała sytuację D'Eona.
- Ludwik XV wpadnie we wściekłość. Już nigdy nie uwierzę, że to co czytam nie jest sfałszowane - dodała smutno.
- A szkoda, bo mam zamiar pisać do ciebie wiele miłosnych listów.
Diana udała, że załamuje ręce.
- Jak to?! Czyżbyś już chciał gdzieś wyjechać?
Gdy tak się przekomarzali, nie zauważyli, że znowu zostali sami w sali balowej. Wyszli z niej pośpiesznie, nie chcąc obcować z trupem de Couriaca. Mieli przecież znacznie radośniejsze rzeczy do omówienia.
- Gdzie idziesz? - spytała Diana, widząc, że Bey podąża do jej apartamentu.
- H m, myślałem, że ta noc będzie należeć do nas - zafrasował się.
- Niestety, trapi mnie wiadoma przypadłość - odparła zmartwiona. - Będziemy musieli poczekać.
- Choćby do nocy poślubnej - rzekł Rothgar. - Czy mogę szykować ślub na za dwa tygodnie? Wtedy księżyc będzie na nowiu i utracisz całą swoją moc.
- Boisz się mnie?
- Potwornie - odparł z uśmiechem. - Myślę jednak, że jakoś sobie poradzę. Moje wpływy będą się zmieniały w zależności od kwadry księżyca. Więc za dwa tygodnie? - Diana potwierdziła. - Czy możemy urządzić ślub tutaj, w Rothgar Abbey?
- Tak. Zwłaszcza, że mieliśmy ślub Rosy w Arradale.

Rothgar potarł dłonią policzek. Zatrzymali się nagle przed drzwiami do jej sypialni.

- Też chciałbym mieć małą, spokojną uroczystość - powiedział zafrasowany. - Ale zważywszy naszą pozycję, nie możemy sobie chyba na to pozwolić.

- To nic. Zamkniemy się potem na parę dni w naszej sypialni - pocieszyła go.

Ta wizja była zbyt podniecająca, żeby mógł tu dłużej zostać. Ucałował ją jeszcze mocno i pospiesznie wycofał się do swoich pokoi, myśląc o tym, jak najszybciej powiadomić Hildę i Steena o ślubie. Był pewny, że cała rodzina chciałaby być razem, żeby wziąć udział w tym wielkim wydarzeniu.

Zobaczyć dzień, kiedy ktoś go wreszcie pokona.

Dwa tygodnie później na rozkaz markiza otwarto dla gości dobra Rothgar Abbey. Ludzie tańczyli na polu, przy dźwiękach orkiestry albo zajadali się smakołykami ze stołów ustawionych pod namiotami w sadzie. Nie brakowało też ponczu, piwa i lemoniady. W obejściu ustawiono sześć przystrojonych kwiatami słupów, których widok budził w Beyu radośnie falliczne skojarzenia.

Na łąkach pod lasem urządzono prawdziwy jarmark, ze wszystkimi atrakcjami. Był tam i linoskoczek, i połykacz ognia, a także dwóch żonglerów. Na miejscu bito świnie i pieczono je nad ogniem. Urządzono konkursy siły i zręczności dla młodzieży, które jednocześnie stanowiły informację dla Rothgara, kto najlepiej nadaje się do służby. Nawet dzieci miały swój wielki wyścig i dostały później łąkocie i kolorowe wstążki.

Sam ślub odbył się natomiast w skromnej kaplicy, jedynie w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół. Stary Ufton

był wyraźnie wzruszony tym, że jego też zaproszono na tę uroczystość.

Po ślubie nowożeńcy obejchali całą posiadłość, pozdrawiających poddanych i gości. Oboje mieli na sobie stroje z białego brokatu obwieszane rodzinną biżuterią. Czuli się wspaniale, przyjmując gratulacje.

Jednak w pewnym momencie Diana poczuła, że Bey nagle zesztyniał. Przez chwilę zastanawiała się, o co chodzi, aż w końcu dostrzegła rudowłosą dziewczynkę z zawiniątkiem w rękach. Mimo ogólnego gwaru słychać było płacz dziecka, zapewne przestraszonego tym, co działo się dookoła. Dziewczynka starała się ukołysać niemowlę, a jednocześnie rozglądała się wciąż dokoła, wołając co jakiś czas: „Mamo! Mamo!”.

Diana zastanawiała się, czy lepiej spróbować uspokoić dziecko, czy raczej odciągnąć Rothgara do dalszej części ogrodu. W końcu zdecydowała się na to pierwsze.

- Gdzie wasza matka, dziecko? - spytała, podchodząc do dziewczynki.

Miała nadzieję, że znajdzie jakiś sposób na ucieszenie noworodka. Niestety, rudowłosa tylko otworzyła buzię i patrzyła na nią jak sroka w gnat, nie mogąc nic z siebie wydusić.

Markiz natychmiast przyskoczył do dziewczynki i zanim zdążyła się zorientować, wyjął tłumoczek z jej rąk. Niemowlę wcale się nie uspokoiło, ale też nie zaczęło płakać głośniej.

- Idź, poszukaj matki - zwrócił się do dziewczynki.

- Ee, tak, panie - zdołała wykrztusić z siebie i szybko skoczyła w tłum.

- Wasza lordowska mość pozwoli. - Jedna z kobiet wzięła niemowlę z rąk Rothgara. - Zaraz je nakarmię, to się trochę uspokoi przed przyjściem matki.

Rothgar skinął głową na znak zgody. Kobieta rozpięła suknię, poluzowała trochę gieźło i przystawiła dziecko do piersi. Płacz ustał natychmiast i maluch z przyjemnością zaczął ssać.

Diana wzięła go za rękę i ruszyli dalej.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się.

Markiz był może troszkę blady, ale uśmiech od razu powrócił na jego twarz.

- Nie, chociaż sam się temu dziwię - poinformował. - Nawet nie jestem za bardzo roztrzęsiony. Zawsze się bałem, że mogę...

- Udusić płaczące dziecko, Bey?

- Po prostu zrobić coś, żeby przestało płakać. - Potrząsnął głową ze zdumieniem. - No, może nie będzie tak źle.

Diana wiedziała już, że wszystko się ułoży. Teraz przytuliła się do Rothgara i pocałowała go na oczach tłumu.

- Gorzko! Gorzko! - rozległy się wokół nich głosy gawiedzi.

Nie mieli wyboru. Żeby zadowolić poddanych musieli się pocałować jeszcze raz. A potem ruszyli dalej, aż na łąki, żeby przyjąć gratulacje od kolejnych poddanych.

Zabawa miała trwać całą noc. Niektóre ogniska już płonęły. Inne stały przygotowane i czekały na zapadnięcie zmroku. Właśnie zmierzchało i na niebie pojawił się wychudzony księżyc.

- I co teraz powiesz? - Wskazał cienki rogalik na niebie. - Jak twoje moce?

- Chętnie bym to sprawdziła - rzekła. - Ale potrzebuję jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy być sami.

Rothgar spojrzął za siebie.

- Czekaj na nas mój rodzinny dom. Myślę, że możemy już tam pójść.

Wycofali się do pałacowego ogrodu i już chcieli przejść przez bramę dzielącą go od podwórza, kiedy nagle wypatrzyli ich Brand i Rosa.

- Hej, gdzie uciekacie?! - krzyknęła Rosa.

- Zaczekajcie chwilę! - dodał Brand.

Po paru minutach za bramą ustawił się szpaler złożony z rodziny, a potem służby. Wszyscy sypali na nich płatki róż. Kiedy więc weszli do pałacu, byli w nich cali skapani. Mieli je w ubraniach i we włosach. Musiał to chyba być ja-

kiś specjalny gatunek róż, ponieważ płatki pachniały oszłamiająco.

A może Diana po prostu upajała się swoim szczęściem?

W końcu dotarli do sypialni, gdzie czekało na nich pachnące potpourri z kwiatów groszku i maków. Natomiast łóżko całe było w delikatnych płatkach róż.

Rothgar zamknął drzwi, a następnie wyrzucił klucz przez otwarte okno. Spojrzał głodnym wzrokiem na Dianę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie nacieszę się twoim ciałem. Te dwa tygodnie to była prawdziwa męczarnia.

Położył ją na łóżku i zaczął rozbierać. Diana czuła, że za chwilę pogrąży się w rozkoszy. W ostatnim przebłysku zdrowego rozsądku wskazała zamknięte drzwi.

- Ale... jak stąd wyjdziemy?

Bey rozpiął kolejny guziczek jej brokatowego stroju.

- Nie wyjdziemy już nigdy - odparł. - Wydawało mi się, że tego właśnie chciałaś.

Kiedy zaczął ją pieścić, pozbyła się wszelkich wątpliwości. Pragnęła spędzić z nim całe swoje życie. A najbliższe dni... tutaj, w tej sypialni.

POSŁOWIE

Rothgar i Diana są oczywiście postaciami fikcyjnymi. Stworzyłam ich, aby ukazać najwyższe warstwy społeczne i to, co się rzeczywiście działo w tych czasach w Anglii. Zapewne z perspektywy Paryża wyglądało to inaczej, ale zcentralizowany system francuski miał już niewielkie szanse powodzenia. To Londyn stał się wówczas jednym z najodważniejszych miast Europy i pozostał nim przez następnych sto lat.

Tło miłosnych perypetii moich bohaterów jest oczywiście prawdziwe. Ludwik XV rzeczywiście stał na czele dwóch rządów, a kawaler D'Eon był jego zaufanym człowiekiem. Należy on w ogóle do ciekawszych drugoplanowych historycznych postaci, również ze względu na wątpliwości dotyczące jego płci. Wiadomo, że przez jakiś czas był damą dworu carycy Rosji, a następnie zrobił szybką karierę wojskową. Jednak to, co najciekawsze pozostało mi jeszcze do opowiedzenia i mam nadzieję, że z pomocą markiza uda mi się zgłębić sekrety D'Eona.

Jego biografię zatytułowaną „Królewski szpieg” napisała Edna Nixon. Wynika z niej, że nikt w Anglii nie był w stanie zrozumieć przebiegu jego dyplomatycznej kariery. Jako p. o. ambasadora Francji wykazywał niezwykłą pewność siebie, jakby niczego się nie bał. Jego przyjaciele, łącznie z de Brogliem, słali kolejne ostrzeżenia, z których nic sobie nie robił. To dzięki Rothgarowi wiemy, że Ludwik XV obiecywał mu wsparcie w „swoich” listach.

Jednak w ciągu paru następnych lat jego sytuacja znacznie się pogorszyła. D'Eon musiał zrezygnować ze stanowiska i zamieszkał w paru pokojach w Londynie, strzegąc do-

kumentów, które chciał zniszczyć król. Żeby tego dokonać, musiał zainstalować w mieszkaniu bomby-pułapki i zatrudnić ludzi do obrony.

W końcu, być może powodowany prawdziwą sympatią, Jerzy III zgodził się zapewnić D'Eonowi bezpieczeństwo w Anglii, a Ludwik XV wypłacać mu pensję za jego dawne usługi. Ale pod pewnym warunkiem, który być może również zrodził się w umyśle markiza. Otóż D'Eon do końca życia miał nosić kobiece szaty. To właśnie prowadziło do nie kończących się rozważań na temat tego, czy był mężczyzną, czy kobietą.

Dziękuję za listy od czytelniczek. Można się ze mną kontaktować przez Meg Ruley z Jane Rotrosen Agency pod adresem: 318 East 51st Street, New York, N. Y. 10022 (będę wdzięczna za koperty zwrotne), a także e-mailem: jobev@poboxes.com.

Można też ubiegać się o przyjęcie na moją listę e-mailową, co oznacza automatyczne przesyłanie informacji o nowych książkach itp.

Istnieje też strona internetowa (<http://www.onelist.com/subscribe/jobeverley>), na której czytelniczki mogą wymieniać uwagi na temat moich książek. Staram się ją jak najczęściej odwiedzać. Pod adresem (<http://www.poboxes.com/jobev>) można z kolei znaleźć listę innych moich książek, a także wiele informacji pomocniczych, głównie z historii Anglii. Są tam też fragmenty „Sekretów nocy” z Rothgarem i Dianą.

I na koniec życzenie dla wszystkich czytelników. Niechaj bogowie wam sprzyjają!